

Dennis
Lehane
PUŁAPKA ZZA GROBU

Z angielskiego przełożyła

Ewa Gorzdek



Świat Książki



Tytuł oryginału: SACRED

Projekt graficzny serii

Anna Kłos

Zdjęcie na okładce

Flash Press Media

Redaktor prowadzący

Ewa Niepokólczycka

Redaktor

Helena Klimek

Redaktor techniczny

Małgorzata Juźwik

Korekta

Bożenna Burzyńska

Copyright © 1997 by Dennis Lehane

Copyright © for the Polish translation

by Ewa Gorządek, 2006

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy martwych - jest całkowicie przypadkowe.

Świat Książki

Warszawa 2006

Bertelsmann Media Sp. z o.o.

ul. Rosoła 10,02-786 Warszawa

Skład i łamanie

Studio ER

Druk i oprawa

Finidr, Czechy

ISBN 978-83-7391-660-9

ISBN 83-7391-660-1

Nr 4911

Poświęcam Sheili

Podziękowania

Wyrażam głęboką wdzięczność Claire Wachtel i Ann Rittenberg za to, że doszukały się w rękopisie książki, oraz za to, że trwały przy mnie, dopóki ja także się nie doszukałem.

Wszystkiego, co wiem o posługiwaniu się pistoletem półautomatycznym, dowiedziałem się od Jacka i Gary'ego Schmocków z Jack's Guns i Ammo w Quincy, Massachusetts.

To, czego nie pamiętałem o okolicach St. Pete/Tampa, Sunshine Skyway Bridge i specyfice prawa lokalnego na Florydzie, uzupełnili Mai i Dawn Ellenburg. Wszystkie błędy, jakie pozostały, obciążają wyłącznie mnie.

Na koniec, jak zwykle, dziękuję wszystkim, którzy czytali pierwsze wersje i podzielili się ze mną swoimi uwagami: Chrisowi, Gerry'emu, Sheili, Revie Mae i Sterlingowi.

*Nie dawajcie psom tego, co święte,
i nie rzucajcie swych pereł przed świnie,
by ich nie podeptały nogami,
i obróciwszy się, was nie poszarpały.*

Ewangelia św. Mateusza 7,6 Biblia Tysiąclecia

Spis treści:

Podziękowania	4
Część pierwsza - Lecznica Smutku	8
1.....	9
2	16
3	24
4	33
5	43
6	48
7	57
8.....	69
9	77
10	86
11	96
12.....	103
13.....	114
14.....	119
Część druga - Granica od południa.....	124
15.....	125
16.....	130
17.....	136
18	146
19.....	151
20	158
21.....	161
22	168
23	173

24	177
25	185
26	189
27	195
28	199
29	202
30	209
31	219
Część trzecia - Czerwona linia	228
32	229
33	234
34	239
35	248
36	255
37	260
38	263
39	270
40	276
41	285
42	291
Epilog	298

Część pierwsza

Lecznica Smutku

1

Na wstępie mała uwaga: jeżeli kiedykolwiek będziecie kogoś śledzić w mojej okolicy, nie ubierajcie się na różowo.

Już pierwszego dnia oboje z Angie zauważyliśmy łażącego za nami niskiego, pulchnego gościa ubranego w szary garnitur, różową koszulę i czarny płaszcz. Dwurzędowa marynarka była włoska i o jakieś kilkaset dolarów za droga jak na dzielnicę, w której mieszkam. Płaszcz był z kaszmiru. Sądzę, że ludzi w mojej okolicy byłoby stać na kaszmir, ale zazwyczaj wydają tyle na taśmę izolacyjną, którą przyklejają rury wydechowe do swoich chevroletów rocznik osiemdziesiąt dwa, że niewiele im już zostaje na inne ekstrawagancje.

Następnego dnia mały grubas zmienił różową koszulę na bardziej zwyczajną, białą, zrezygnował też z kaszmiru i włoskiego garnituru, ale z uwagi na kapelusz nadal rzucał się w oczy jak Michael Jackson w ośrodku opieki społecznej. Nikt w mojej okolicy - ani w żadnej innej znanej mi nędznej dzielnicy Bostonu - nie nosił na głowie niczego innego jak tylko czapkę baseballową lub co najwyżej tweedowy kaszkiet. A nasz przyjaciel, nazwaliśmy go Baniak, nosił melonik. Całkiem porządny melonik, nie zrozumcie mnie źle, ale tak czy owak, melonik.

- Może jest przybyszem - powiedziała Angie.

Wyjrzałem przez okno Avenue Caffee Shop. Baniak gwałtownie odwrócił głowę, a potem schylił się i zaczął coś majstrować przy sznurówkach.

- Przybysz - powtórzyłem. - Ale skąd? Z Francji?

Zmarszczyła brwi i nałożyła na obwarzanek grubą warstwę kremowego sera, tak intensywnie cebulowego, że od samego patrzenia zaczęły mi łzawić oczy.

- Nie, głupku. Z przyszłości. Nie oglądałeś tego odcinka starej wersji *Star Treka*, gdzie Kirk i Spock lądują w końcu na ziemi w latach trzydziestych i są kompletnie zdezorientowani.

- Nienawidzę *Star Treka*.

- Ale wiesz, o co tam chodzi.

Pokiwałem głową i ziewnąłem. Baniak przyglądał się z taką uwagą słupkowi

telefonicznemu, jakby nigdy przedtem czegoś podobnego nie widział. Może więc Angie miała rację.

- Jak możesz nie lubić *Star Treka*? - zapytała.

- To proste. Oglądam to, nudzi mnie, wyłączam telewizor.

- *Next Generation* też?

- A to co takiego?

- Założę się, że kiedy się urodziłeś - wycedziła przez zęby - twój ojciec podniósł cię, pokazał matce i powiedział: Spójrz, kochanie, urodziłaś pięknego, zręczliwego staruszka.

- O co ci chodzi? - zapytałem zdziwiony.

Trzeciego dnia postanowiliśmy się trochę zabawić. Kiedy rano wstaliśmy i wyszliśmy z mojego domu, Angie udała się na północ, a ja na południe.

Baniak poszedł za nią.

Ale za mną poszedł Frankenstein.

Nigdy przedtem nie widziałem Frankensteina i pewnie wcale nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie Baniak.

Zanim wyszliśmy z domu, przeszukałem pudło z letnimi rzeczami i znalazłem przeciwsłoneczne okulary, które zwykle zakładałem, gdy pogoda robiła się na tyle przyjemna, że mogłem jeździć na rowerze. Okulary miały maleńkie lustreczko przymocowane z lewej strony do oprawki i można je było tak ustawić, aby widzieć, co się dzieje z tyłu. Nie były aż takie fajowe jak ekwipunek, który Królowa podarowała Bondowi, ale robiły swoje i nie musiałem flirtować z Panią Moneypenny, aby je dostać.

Okno z tyłu głowy - założę się, że byłem pierwszym dzieciakiem z naszej okolicy, który miał coś takiego.

Zauważyłem Frankensteina, gdy zatrzymałem się gwałtownie przed wejściem do Patty's Pantry, gdzie chciałem wypić poranną kawę. Gapiłem się na drzwi, jakby wisiało na nich menu, wysunąłem lusterko i tak długo kręciłem głową, aż zobaczyłem faceta o wyglądzie przedsiębiorcy pogrzebowego, który stał po drugiej stronie ulicy przy aptece Pat Jay. Ręce splótł na cherlawej piersi i wyraźnie gapił się na tył mojej głowy. Jego zapadnięte policzki przecinały głębokie jak kanały zmarszczki, a wąskie pasmo włosów pomiędzy dużymi zakolami zaczynało się gdzieś w połowie czoła.

U Patty'ego przygłąłem lusterko do oprawki i zamówiłem kawę.

- Oślepieś z rana, Patrick?

Spojrzałem na Johnny'ego Deegana, który nalewał mi śmietankę do kawy.

- Co?

- Okulary - powiedział. - Chodzi o to, że jest połowa marca i od Święta Dziękczynienia nikt jeszcze nie widział słońca. Oślepieś, czy usiłujesz szpanować wyglądem?

- Właśnie, Johnny, usiłuję szpanować wyglądem.

Popchnął w moją stronę filiżankę z kawą i wziął pieniądze.

- To nie działa - powiedział.

Na ulicy znowu patrzyłem na Frankensteina przez okulary: strzepnął jakiś paproch z kolan, a potem schylił się, aby zawiązać sznurowadła, zupełnie jak wczoraj Baniak.

Pomyślałem o tym, co powiedział Johnny Deegan, i zdjąłem okulary. Bond miał klasę, to jasne, ale nigdy nie musiał odwiedzać Patty's Pantry. Spróbujcie jednak zamówić w tej okolicy martini. Wstrząśnięte czy mieszane, i tak natychmiast wylecicie przez okno.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, gdzie Frankenstein nadal pochylał się nad sznurówkami.

- Cześć - powiedziałem.

Wyprostował się i rozejrzał dookoła, jakby ktoś zawołał go zza rogu.

- Cześć - powtórzyłem i wyciągnąłem do niego rękę. Spojrzał na nią, a potem znowu w głąb ulicy.

- Och - zachnąłem się - śledzić ludzi to ty nie potrafisz, ale przynajmniej masz znakomite maniery.

Jego głowa zaczęła się obracać powoli, jak ziemia wokół swojej osi, aż wreszcie ciemne jak kamyki oczy spoczęły na mnie. W tym celu musiał spojrzeć w dół - cień jego kościstej czaszki zalał moją twarz i rozciągnął się na ramiona. A nie jestem ułamkiem.

- Czy my się znamy, proszę pana?

Jego głos zabrzmiał tak, jakby dochodził z trumny.

- Jasne, że się znamy - powiedziałem. - Ty jesteś Frankenstein. - Rozejrzałem się po ulicy. - Gdzie twój kuzyn?

- Wcale nie jest pan tak zabawny, jak się panu wydaje.

Uniosłem w górę kubek z kawą.

- Poczekaj, aż wleję w siebie jeszcze trochę kofeiny, Frankenstein. Gwarantowany przyływ humoru za piętnaście minut.

Uśmiechnął się do mnie, a zmarszczki na jego policzkach zamieniły się w kaniony.

- Stanowczo powinien pan być mniej przewidywalny, panie Kenzie.

- Jak to, Frankenstein?

Nagle dźwig przywalił betonowym słupkiem prosto w moje plecy, a równocześnie coś ostrego ukąsiło mnie w skórę z prawej strony szyi. Frankenstein zniknął z mojego pola widzenia, gdy chodnik poszybował w górę i znalazł się na wysokości mojego ucha.

- Lubi pan okulary przeciwsłoneczne, panie Kenzie - powiedział Baniak i przed oczami mignęła mi jego gumowata twarz. - Rzeczywiście są fajne.

- Bardzo nowoczesne pod względem technologicznym - dodał Frankenstein.

Ktoś się zaśmiał, ktoś inny uruchomił silnik samochodu, a ja poczułem się bardzo głupio.

Królowa byłaby zbulwersowana.

- Boli mnie głowa - powiedziała Angie.

Siedziała obok mnie na czarnej skórzanej kanapie, a ręce, podobnie jak ja, miała związane na plecach.

- A co z panem, panie Kenzie? - usłyszałem czyjś głos. - Jak pana głowa?

- Wstrząśnięta - powiedziałem - Nie mieszana.

Odwróciłem głowę w stronę, skąd dobiegał głos, ale moje oczy napotkały tylko ostre żółte światło, obramowane miękkim brązem. Zamrugalem i poczułem, jak pokój lekko się przesunął.

- Przepraszam za narkotyki - powiedział głos. - Gdyby był jakiś inny sposób...

- Nie ma za co przepraszać - powiedział głos, który rozpoznałem jako głos Frankensteina. - Nie było innego sposobu.

- Julian, proszę, podaj państwu aspirynę. - Głos westchnął gdzieś za mocnym żółtym światłem. - I proszę, rozwiąż ich.

- A jeśli się ruszą? - To głos Baniaka.

- Wygląda na to, że się nie ruszą, Clifton.

- Tak, proszę pana. Też bym tego chciał.

- Nazywam się Trevor Stone - powiedział mężczyzna ukryty za światłem. - Czy coś wam to mówi?

Potarłem zaczerwienienia na nadgarstkach. Angie rozcierała swoje, chciwie łykając tlen z gabinetu Trevora Stone'a, jak przypuszczałem.

- Zadałem wam pytanie.

Spojrzałem prosto w żółte światło.

- Rzeczywiście. Ale co z tego? - Zwróciłem się do Angie. - Jak się czujesz?

- Bolą mnie nadgarstki i głowa.

- A poza tym?

- Ogólnie jestem w parszywym nastroju.

Spojrzałem znowu w kierunku światła.

- Jesteśmy w parszywym nastroju.

- Domyślam się.

- Pieprz się - poradziłem mu.

- Dowcipnie - powiedział Trevor Stone zza żółtego światła, a Baniak i Frankenstein cicho zachichotali.

- Dowcipnie - powtórzył jak echo Baniak.

- Drodzy państwo - podjął znów Trevor Stone. - Obiecuję, że was nie skrzywdzę. Mógłbym, tak sądzę, ale nie chcę. Potrzebuję waszej pomocy.

- No to świetnie - udało mi się stanąć na chwiejnych nogach, a Angie stanęła obok mnie.

- Czy któryś z twoich półgłówków mógłby nas odwiedzić do domu? - zapytała Angie.

Złapałem ją za rękę, gdy zakreśliło mi się w głowie, i oparłem się nogami o kanapę, a pokój trochę za mocno przechylił się w prawo. Frankenstein dotknął mnie wskazującym palcem w klatkę piersiową, tak lekko, że ledwie to poczułem, i oboje z Angie znów znaleźliśmy się na kanapie.

Jeszcze pięć minut, powiedziałem swoim nogom, i spróbujemy znowu.

- Panie Kenzie - przemówił Trevor Stone - może pan do woli wstawać z kanapy, a my nadal będziemy z łatwością pana na niej sadzać, co potrwa na moje oko jakieś trzydzieści minut. Więc proszę się odprężyć.

- Porwanie - powiedziała Angie. - Przetrzywanie siłą. Czy te określenia są panu znane, panie Stone?

- Tak.

- Świetnie. Wie pan więc, że są to poważne przestępstwa, za które grożą poważne

kary?

- Hmm - mruknął Trevor Stone. - Mili państwo, czy znane wam jest poczucie własnej śmiertelności?

- Kilka razy się o nią otarliśmy - powiedziała Angie.

- Nie wątpię - przyznał.

Angie spojrzała na mnie i uniosła brwi. Ja też uniosłem brwi.

- Ale tylko się otarliście, jak pani powiedziała. Szybkie muśnięcie i po sprawie. Jesteście oboje żywi, młodzi, zapewne liczycie na to, że pobędziecie na ziemi jeszcze jakieś trzydzieści, czterdzieści lat. Świat - jego prawa, obyczaje i zasady, wyroki grożące za przestępstwa - ma nad wami władzę. Mnie jednak ten problem już nie dotyczy.

- On jest duchem - wyszeptalem, a Angie dała mi kuksańca.

- Całkiem słusznie, panie Kenzie - powiedział Stone. - Całkiem słusznie.

Żółte światło znikło przed moich oczu i mrugając, patrzyłem teraz w czarną przestrzeń, która pojawiła się na jego miejscu. Punktik białego światła w samym centrum czerni zmienił się w kilka większych pomarańczowych kręgów, które błyskawicznie znikły z mojego pola widzenia. Potem mój wzrok wyostrzył się i zobaczyłem Trevora Stone'a.

Górna połowa jego twarzy wyglądała jak wyciosana z jasnego dębu - nawisy brwi rzucające mocne cienie ponad zimnymi zielonymi oczami, ostry nos i wystające kości policzkowe, ciało w perłowym kolorze.

Dolna połowa natomiast sprawiała wrażenie zapadniętej. Szczeka z obu stron wydawała się zmiądzona, jakby kości rozplęły się gdzieś w ustach. Mały jak guziczek podbródek, spowity gumowatą skórą, celował prosto w dół, ku podłodze, a usta w ogóle pozbawione były kształtu; pływały w bezładzie dolnej części twarzy niczym ameba. Wargi miał wyschnięte i białe.

Jego wieku nie dało się określić z większym przybliżeniem niż w przedziale między czterdzieści a sześćdziesiąt lat.

Szyję pokrywały brązowe plastry, wilgotne jak rany. Kiedy wstał z za ciężkiego biurka, opierał się mahoniowej lasce ze złotą galką w kształcie głowy smoka. Szare flanelowe spodnie zwisały na chudych nogach, ale niebieska bawełniana koszula i czarna lniana marynarka opinały masywną klatkę piersiową i ramiona jak skrojone na miarę. Dłoń trzymająca laskę mogłaby jednym uściskiem zmiądzzyć piłki golfowe.

Stawiał niepewnie kroki i drżał, wspierając się na lasce.

- Przyjrzyjcie się dobrze - powiedział Trevor Stone - a potem pozwólcie, że powiem wam coś o stracie.

2

- Rok temu - zaczął swoją opowieść Trevor Stone - moja żona wracała do domu z przyjęcia w Somerset Club na Beacon Hill. Znaście ten klub?

- Szalejemy tam na wszystkich imprezach - rzuciła Angie.

- Tak, mniejsza o to, w każdym razie jej auto zepsuło się. Właśnie wychodziłem ze swojego biura w centrum miasta, gdy zadzwoniła, i postanowiłem po nią pojechać. To zabawne.

- Co? - zapytałem.

Zamrugnął.

- Właśnie uprzytomniłem sobie, jak rzadko to robiliśmy. Jak rzadko jeździliśmy razem samochodem. To jedna z tych rzeczy, które padły ofiarą mojego oddania pracy. To takie proste, siedzieć obok siebie przez dwadzieścia minut w samochodzie, a my robiliśmy to nie częściej niż sześć razy do roku.

- Co było dalej? - zapytała Angie.

Przełknął ślinę.

- Gdy zjeźdzaliśmy z Tobin Bridge, jakiś samochód próbował zepchnąć nas z szosy. To się chyba nazywa napaść na drodze. Właśnie kupiłem nowe auto - jaguara XKE - i nie miałem najmniejszego zamiaru oddawać go jakiegś zgrai łobuzów, którym się wydawało, że jeżeli czegoś pragną, to tym samym mają do tego prawo. Więc...

Przez chwilę patrzył przez okno, zagubiony, jak mi się wydawało, we wspomnieniach, w których słyszał łoskot metalu, wycie silników, czuł zapach tamtego wieczoru.

- Nasz samochód przewrócił się na stronę kierowcy. Moja żona Inez histerycznie krzyczała. Wtedy tego nie wiedziałem, ale miała złamany kręgosłup. Napastnicy byli wściekli, ponieważ zniszczyłem samochód, o którym już myśleli jak o swoim. Śmiertelnie postrzelili Inez, gdy ja usiłowałem zachować przytomność. Cały czas strzelali do samochodu i trzy kule trafiły we mnie. To dziwne, ale żadna nie była śmiertelna, chociaż jedna z nich utkwiała w mojej szczęce. Ci trzej mężczyźni usiłowali potem podpalić samochód, ale nie pomyśleli o tym, aby przedziurawić bak z benzyną.

Po jakimś czasie zniechęcili się i odjechali. A ja leżałem tam z trzema kulami w ciele, kilkoma złamanymi kośćmi i z martwą żoną u boku.

Przerwał i wyszliśmy z gabinetu, mając cały czas za plecami Frankensteina i Baniaka. Przeszliśmy wolno do pokoju rekreacyjnego Trevora Stone'a lub, jak kto woli, salonu dżentelmena, pomieszczenia wielkości hangaru lotniczego, w którym znajdowały się stoły do bilardu i snookera, deska z wiśniowego drewna do gry w strzałki, stół do pokera i jeszcze jeden mały zielony stolik w kącie. Wzdłuż jednej ze ścian pokoju ciągnął się mahoniowy bar z taką ilością wiszących nad nim kieliszków, że cała rodzina Kennedych przez miesiąc mogłaby urządzić tu przyjęcia.

Trevor Stone nalał sobie do szklanki whisky na dwa palce, skierował butelkę w moją stronę, a potem w stronę Angie, ale oboje odmówiliśmy.

- Ci mężczyźni - właściwie jeszcze chłopcy - którzy popełnili przestępstwo, dość szybko zostali złapani, osądzeni i już zaczęli odsiadywać w Norfolk dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego, co, moim zdaniem, jest w miarę sprawiedliwym wyrokiem. Moja córka i ja pochowaliśmy Inezi i to właściwie byłoby wszystko, jeżeli nie liczyć rozpacz.

- Ale - powiedziała Angie.

- Kiedy lekarze wyciągali kulę z mojej szczęki, znaleźli pierwsze objawy raka. A po zrobieniu dokładnych badań okazało się, że zaatakowane są węzły chłonne. Teraz spodziewają się znaleźć przerzuty w jelitach. Jestem pewien, że wkrótce nie będzie już czego wycinać.

- Ile panu dają? - zapytałem.

- Sześć miesięcy. Lekarze. Moje ciało mówi pięć. Tak czy inaczej, to moja ostatnia jesień.

Odwrócił się na krześle i spojrzał przez okno na morze. Podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem skalisty cypel wrzynający się głęboko w zatokę. Rozdawał się na końcu niczym widelec, tworząc coś na kształt szczypców homara. Na samym środku cypla odnalazłem znany mi kształt latarni morskiej. Dom Trevora Stone'a stał na skarpie w samym środku Marblehead Neck, poszarpanym pasie krajobrazu na północnym wybrzeżu Bostonu, gdzie cena wywoławcza za dom była niewiele niższa niż w większości miast.

- Smutek - odezwał się po chwili - jest nienasycony. Żywi się tobą na jawie i we śnie, czy walczysz z nim, czy się poddajesz. Zupełnie jak rak. Pewnego ranka budzisz się i okazuje się nagle, że pochłonął już wszystkie inne uczucia - radość, zazdrość,

chciwość, nawet miłość. Zostajesz sam ze swoim smutkiem, zupełnie bezbronny. A ona ma cię w swojej władzy.

Kostki lodu w jego szklance zagrzechotały.

- To nie musi tak być - powiedziała Angie.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej ustami przypominającymi amebę. Białe wargi zdrzębały w zanikających mięśniach i pogruchotanych kościach szczęki i uśmiech zniknął.

- Smutek nie jest pani obcy - powiedział cicho. - Wiem. Straciła pani męża. Pięć miesięcy temu, prawda?

- Byłego męża - sprostowała Angie, patrząc w podłogę. - Tak. Sięgnąłem po jej dłoń, ale potrząsnęła tylko głową i położyła rękę na kolanach.

- Czytałem wszystkie doniesienia prasowe na ten temat - powiedział. - Przeczytałem nawet tę pełną grozy powieść kieszonkową o „prawdziwej zbrodni”. Oboje walczyliście ze złem. I zwyciężyliście.

- To była loteria - powiedziałem i przełknąłem ślinę. - Proszę mi wierzyć.

- Może - powiedział, a jego zimne zielone oczy poszukały moich. - Może dla was obojga to była loteria. Ale pomyślcie, ile ofiar ocaliliście przed tymi potworami.

- Panie Stone - odezwała się Angie - z całym szacunkiem, ale zostawmy ten temat.

- Dlaczego?

Podniosła głowę.

- Ponieważ nie pan o tym nie wie, więc to, co pan mówi, brzmi kretyńsko.

Delikatnie pogładził palcami gałkę swojej laski, po czym nachylił się i drugą ręką dotknął kolana Angie.

- Ma pani rację. Proszę mi wybaczyć.

Uśmiechnęła się do niego w taki sposób, w jaki nie uśmiechała się do nikogo od śmierci Phila. Jakby ona i Trevor Stone byli starymi przyjaciółmi, jakby oboje żyli w miejscach, do których nie docierało światło i dobroć.

- Zostałam sama - powiedziała mi Angie miesiąc temu.

- Nie, nie jesteś sama.

Leżała na łóżku polowym, które rozstawiliśmy w moim salonie. Jej łóżko i większość rzeczy znajdowała się nadal w domu na Howes Street, ponieważ Angie nie była w stanie przekroczyć progu mieszkania, w którym strzelał do niej Gerry Glynn, a Evandro Arujo wykrwawił się na śmierć na kuchennej posadzce.

- Nie jesteś sama - powtórzyłem i objąłem ją ramionami.
- Owszem, jestem. I ani twoje objęcia, ani cała twoja miłość nie może teraz tego zmienić.

- Panie Stone... - powiedziała Angie.
- Trevor.
- Panie Stone - powtórzyła. - Współczuję panu w smutku. Naprawdę. Ale pan nas porwał. Pan...

- Tu nie chodzi o mój smutek - powiedział. - Nie, nie. Nie o mój.
- A więc o czyj? - zapytałem.
- Mojej córki. Desiree. Desiree.
Wypowiedział jej imię jak frazę modlitwy.

Jego gabinet, teraz dobrze oświetlony, był jej świątynią.

Przedtem widziałem tylko cienie, teraz dostrzegłem zdjęcia i portrety kobiety z niemal wszystkich etapów życia - fotki przedstawiające niemowlaka, uczennicę z podstawówki, zdjęcia z roczników szkoły średniej i z uroczystości wręczania dyplomu. Wypłowiałe i najwyraźniej źle przechowywane polaroidy znalazły swoje miejsce w nowych ramkach z drzewa tekowego. Niepozowana fotografia Desiree i kobiety, która bez wątplenia była jej matką, zrobiona przy okazji barbecue w ogrodzie, obie stały przy grillu z papierowymi talerzykami w dłoniach i żadna nie patrzyła w obiektyw aparatu. Moment był zupełnie nieważny, zdjęcie wyszło na brzegach nieostre, zrobiono je bez odpowiedniego naświetlenia, którego wyraźnie zabrakło po lewej stronie kobiet, gdzie pojawił się głęboki cień. To rodzaj zdjęcia, które raczej nie jest przeznaczone do albumu. W gabinecie Trevora Stone'a, oprawione w srebrną ramkę i ustawione na podstawce z kości słoniowej, nabrało jednak wagi relikwii.

Desiree Stone była piękną kobietą. Jej matka, jak zauważyłem na kilku fotografiach, była prawdopodobnie Latynoską, a córka odziedziczyła po niej gęste włosy barwy ciemnego miodu, piękną linię podbródka i szyi, cienką budowę kości, drobny nosek oraz skórę, która wyglądała, jakby była cały czas oświetlona blaskiem zachodzącego słońca. Od ojca Desiree przejęła oczy koloru jadeitu i pełne usta, wyrażające siłę charakteru. Symetrię genetycznych wpływów najlepiej było widać na fotografii znajdującej się na biurku Trevora Stone'a. Desiree stała pomiędzy matką i ojcem, ubrana w fioletowy biret i strój absolwentki college'u, za nią widać było główny

kampus Wellesley College; dziewczyna obejmowała ramionami za szyje rodziców, którzy z obu stron przytulali się do jej twarzy. Wszyscy troje uśmiechali się, ciesząc się zapewne dostatkiem i zdrowiem, a delikatna uroda matki i wyraźna aura potęgi ojca spotkały się w udanej kombinacji na twarzy córki.

- Dwa miesiące przed wypadkiem - powiedział Trevor Stone i na chwilę wziął do ręki fotografię.

Popatrzył na nią i dolna połowa jego zniekształconej twarzy wykrzywiła się w coś, co moim zdaniem miało być uśmiechem. Odstawił zdjęcie na biurko i spojrzał na nas, gdy siadaliśmy na wprost niego.

- Czy ktoś z was zna prywatnego detektywa Jaya Beckera?

- Znamy Jaya - powiedziałem.

- Pracuje dla Hamlyn & Kohl Investigations - dodała Angie.

- Zgadza się. Jak go oceniacie?

- Z zawodowego punktu widzenia?

Trevor Stone wzruszył ramionami.

- Jest znakomitym fachowcem - powiedziała Angie. - Hamlyn i Kohl zatrudniają tylko najlepszych.

Pokiwał głową.

- Zdaje się, że kilka lat temu was też chcieli kupić, ale nie zgodziliście się dla nich pracować.

- Skąd pan to wie? - zapytałem.

- To prawda, tak?

Pokiwałem głową.

- I chyba była to raczej korzystna propozycja. Dlaczego odmówiliście?

- Panie Stone - powiedziała Angie - jeżeli jeszcze pan nie zauważył, to wyjaśniam, że nie należymy do ludzi, których kręcą spektakularne procesy czy sale posiedzeń.

- A Jay Becker?

Kiwnąłem głową.

- Kilka lat pracował dla FBI, dopiero potem doszedł do wniosku, że bardziej ceni sobie kasę z prywatnego sektora. Lubi dobre restauracje, eleganckie ubrania, wygodne apartamenty, takie rzeczy. Dobrze się prezentuje w garniturze.

- A poza tym, jak sami powiedzieliście, jest dobrym detektywem.

- Bardzo dobrym - przytaknęła Angie. - To właśnie on pomógł położyć kres działalności Boston Federal Bank i ujawnił ich powiązania z mafią.

- Tak, wiem. Jak myślicie, kto go wynajął?

- Pan - powiedziałem.

- I kilku innych prominentnych biznesmenów, którzy stracili trochę pieniędzy, kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku załamał się rynek nieruchomości i zaczął się kryzys.

- Dlaczego więc pyta nas pan o referencje, jeśli już wcześniej korzystał pan z jego usług?

- Ponieważ, panie Kenzie, ostatnio zaangażowałem pana Beckera, a także firmę Hamlyn & Kohl, do odnalezienia mojej córki.

- Odnalezienia? - zapytała Angie. - Jak dawno zaginęła?

- Cztery tygodnie temu - wyjaśnił. - A dokładnie trzydzieści dwa dni temu.

- Czy Jay ją odnalazł? - zapytałem.

- Nie wiem - powiedział. - Ponieważ teraz zaginął także pan Becker.

Tego ranka w mieście było dość zimno, choć jeszcze do wytrzymania z uwagi na słaby wiatr, a słupek rtęci utrzymywał się w granicach paru stopni poniżej zera. Pogoda dawała się we znaki, ale nie na tyle, aby ją znienawidzić.

Na trawniku na tyłach domu Trevora Stone'a wiał jednak wiatr znad Atlantyku, o brzeg rozbijały się spienione fale z białymi grzywami, a chłód siekł moją twarz jak ziarenka śrutu. Postawiłem kołnierz skórzanej kurtki, żeby osłonić się od wiatru, Angie wsunęła ręce głęboko w kieszenie i skuliła się, natomiast Trevor Stone całym ciałem poddał się wiatrowi. Przed wyjściem z domu włożył tylko lekki szary płaszcz od deszczu, który rozpięty, łopotał na wietrze. Trevor Stone patrzył na ocean i zdawał się czekać, aż zimno całkiem go przeniknie.

- Hamlyn i Kohl zwrócili mi honorarium i zrezygnowali ze sprawy - powiedział.

- Dlaczego?

- Nie powiedzieli.

- To niezgodne z etyką - uznałem.

- Jakie mam możliwości?

- Sąd cywilny - powiedziałem. - Mógłby ich pan oskubać.

Odwrócił się od oceanu i patrzył na nas, dopóki nie zrozumieliśmy.

- Żadne kroki prawne nie mają sensu - zauważyła Angie.

Pokiwał głową.

- Ponieważ umrę, zanim rozpocznie się proces.

Znowu wystawił twarz do wiatru i mówił do nas odwrócony plecami, a jego słowa niosła morska bryza.

- Przywykłem do tego, że mam wielką władzę, nie znam gorzkiego smaku odmowy ani strachu. Teraz jestem impotentem. Wszyscy wiedzą, że umieram. Wszyscy wiedzą, że nie mam czasu walczyć. Wszyscy, jestem tego pewien, śmieją się.

Przemierzyłem trawnik i zatrzymałem się obok niego. W miejscu, gdzie stał, trawa się kończyła i widać było czarne urwisko skalne, którego powierzchnia błyszczała jak wypolerowany mahoń na tle wzburzonej powierzchni wody w dole.

- Dlaczego więc my? - zapytałem.

- Rozpytywałem się - wyjaśnił. - Każdy, z kim rozmawiałem, potwierdzał, że oboje macie cechy, których poszukuję.

- Jakie cechy? - zapytała Angie.

- Jesteście uczciwi.

- O tyle, o ile...

- Jest to możliwe w tym skorumpowanym świecie, to prawda, panie Kenzie. Ale jesteście uczciwi wobec tych, którzy zdobyli wasze zaufanie. A ja zamierzam je zdobyć.

- Porwanie nas nie było najlepszą drogą do celu. Wzruszył ramionami.

- Jestem zrozpaczonym człowiekiem, który ma w swoim wnętrzu tykający zegar. Zamknęliście swoje biuro, odmawiacie przyjmowania nowych spraw, nie chcecie się nawet spotykać z potencjalnymi klientami.

- To prawda - przyznałem.

- W ciągu ostatniego tygodnia kilkakrotnie dzwoniłem do waszego biura i do domu. Nie odbieracie telefonów i nie macie automatycznej sekretarki.

- Ja mam - powiedziałem. - Tylko teraz nie jest włączona.

- Wysłałem kilka listów.

- On nie otwiera poczty, z wyjątkiem rachunków - przyznała Angie.

Pokiwał głową, jakby w pewnych kręgach było to naturalne.

- Musiałem więc podjąć pewne desperackie kroki, aby zyskać pewność, że mnie wysłuchacie. Jeżeli nie przyjmiecie mojej sprawy, jestem gotowy wypłacić wam dwadzieścia tysięcy dolarów za stracony dziś przez was czas i doznane przykrości.

- Dwadzieścia tysięcy - powtórzyła Angie. - Dolarów.

- Tak. Pieniądze już dla mnie nic nie znaczą, a poza tym, jeżeli nie odnajdę Desiree, nie będzie ich miał kto odziedziczyć. Poza tym, jeśli mnie sprawdzicie, szybko się zorientujecie, że dwadzieścia tysięcy dolarów to zupełny drobiazg w porównaniu z

całym moim majątkiem. A więc, jeżeli chcecie, możecie pójść do mojego gabinetu, wziąć pieniądze z prawej górnej szuflady biurka i wrócić do swojego życia.

- A jeżeli zostaniemy - zapytała Angie - Co mielibyśmy zrobić?

- Znaleźć moją córkę. Biorę pod uwagę także to, że nie żyje. Prawdę powiedziawszy, liczę się z taką możliwością. Ale nie chcę umierać w niepewności. Muszę wiedzieć, co się z nią stało.

- Zawiadomił pan policję - wyraziłem przypuszczenie.

- A oni zadeklarowali pomoc. - Pokiwał głową. - Z ich punktu widzenia to historia młodej kobiety pogrążonej w rozpacz, która postanowiła zniknąć i w samotności próbuje się pozbierać.

- A pan jest pewien, że nie o to chodzi.

- Znam swoją córkę, panie Kenzie.

Obrócił się, pomagając sobie laską, i zaczął przemierzać trawnik w kierunku domu. Poszliśmy za nim; w olbrzymich szklanych taflach, którymi obłożony był fronton jego gabinetu, mogłem oglądać nasze odbicia: ciężko schorowany mężczyzna w rozwianym na wietrze płaszczu, z trudem prostujący plecy i szukający laską oparcia na zmarzniętym trawniku, po jego lewej stronie niewysoka, piękna kobieta o ciemnych włosach, które wiatr zarzucał jej na policzki, z twarzą doświadczoną cierpieniem, a po prawej trzydziestoletni mężczyzna w baseballowej czapce, skórzanej kurtce i dżinsach, z pewnym zakłopotaniem patrzący na dwoje towarzyszących mu ludzi, dumnych, ale zarazem zdruzgotanych.

Kiedy weszliśmy na patio, Angie otworzyła drzwi przed Trevorem Stone'em.

- Panie Stone, powiedział pan, że mamy dwie cechy, których pan poszukuje.

- Tak.

- Jedna to uczciwość. A druga?

- Słyszałem, że się nie poddajecie - powiedział, wchodząc do gabinetu. - Nigdy się nie poddajecie.

3

- Pięćdziesiąt - powiedziała Angie, gdy jechaliśmy metrem ze stacji Wonderland w kierunku centrum.

- Wiem - przytaknąłem.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów - powtórzyła. - Wydawało mi się, że już dwadzieścia to bajeczna suma, a teraz mamy ze sobą pięćdziesiąt tysięcy baksów, Patrick.

Rozejrzałem się po wagonie, w którym parę metrów od nas siedziała para zaplutyh pijaczków, w kącie zbита gromada dresiarzy dywagowała nad hamulcem bezpieczeństwa, a tuż obok nas trzymał się uchwyty jakiś popapraniec z cudacznie wystrzyżonymi blond włosami i nieobecny spojrzeniem.

- Powiedz to głośniej, Angie. Nie jestem pewien, czy słyszały cię te dresy na końcu wagonu.

- O rany. - Pochyliła się w moją stronę. - Pięćdziesiąt tysięcy dolarów - wyszeptała.

- Tak - odszepnąłem, gdy tymczasem pociąg z chrzęstem pokonywał zakręt, a fluorescencyjne świetlówki na suficie gasły, zapalały się, gasły i znowu się zapalały.

Frankenstein, czyli Julian Archerson, jak się naprawdę nazywał, miał nas odwieźć pod sam dom, ale gdy samochód stanął w korku na drodze 1A, a jeszcze wcześniej utknęliśmy na czterdzieści pięć minut na trasie 129, poprosiliśmy go, żeby nas podrzucił jak najbliżej metra, i przeszliśmy piechotą do Wonderland.

Staliśmy teraz stłoczeni jak sardynki w puszce, a zdezelowany wagon pokonywał trasę przez labirynt tuneli, światła gasły i zapalały się, a my mieliśmy ze sobą pięćdziesiąt tysięcy dolarów od Trevora Stone'a. Angie trzymała w wewnętrznej kieszeni swojej kurtki listonosza czek na trzydzieści tysięcy, a ja wiozłem dwadzieścia tysięcy gotówką, upchnięte za koszulą na brzuchu.

- Jeżeli zaczniecie poszukiwania natychmiast, będziecie potrzebowali gotówki - powiedział Trevor Stone. - Nie oszczędzajcie na wydatkach. To są pieniądze operacyjne. Zadzwońcie, gdybyście potrzebowali więcej.

- „Operacyjne” pieniądze. Nie mam pojęcia, czy Desiree Stone żyje czy nie, ale jeżeli żyje, musiałaby się zaszyć gdzieś naprawdę daleko, na Borneo lub w Tangerangze,

aby udało nam się wydać te pięćdziesiąt tysięcy baksów na jej odnalezienie.

- Jay Becker - powiedziała Angie i gwizdnęła.

- Tak - przytaknąłem. - To nie żarty.

- Kiedy widziałeś go ostatni raz?

- Jakieś sześć tygodni temu. Nie trzymamy się za rączki.

- Ja nie widziałam go od rozdania nagród Wielkiego Kutasa. Popapraniec obok mnie podniósł brwi i spojrzał na nas z zainteresowaniem.

Wzruszyłem ramionami.

Nagroda Wielkiego Kutasa to naprawdę Nagroda Złotego Standardu za wybitne osiągnięcia w zawodzie detektywa, przyznawana przez Bostońskie Towarzystwo Detektywów. Wszyscy w środowisku nazywali ją jednak nagrodą Wielkiego Kutasa.

W tym roku Wielkiego Kutasa zdobył Jay Becker, podobnie jak rok temu i jeszcze raz w roku 1989, a w środowisku prywatnych detektywów rozeszły się plotki, że zamierza otworzyć własne biuro i zerwać z firmą Hamlyn & Kohl. Ja jednak znałem Jay a na tyle dobrze, że nie byłem zaskoczony, gdy okazało się, iż pogłoski były fałszywe.

I to wcale nie dlatego, że Jay sam by na siebie nie zarobił. Wręcz przeciwnie, był najbardziej znanym prywatnym detektywem w Bostonie. Przystojny, diabelnie inteligentny, mógł z łatwością dostać zlecenie za pięciocyfrową sumę. Kilku najbogatszych klientów z kancelarii Hamlyna i Kohla z radością przeniosłoby się na drugą stronę ulicy, gdyby tylko Jay otworzył tam biuro. Problem polegał na tym, że nawet gdyby ci klienci zaoferowali Jayowi wszystkie pieniądze Nowej Anglii, i tak nie mógłby przyjąć ich spraw. Każdy detektyw, który podpisywał kontrakt z kancelarią Hamlyn & Kohl, podpisywał także zobowiązanie, że jeżeli rozwiąże z nimi współpracę, musi odczekać trzy lata, zanim przyjmie sprawę klienta, dla którego pracował w ich kancelarii. Trzy lata w tym biznesie to tak jak dekada.

Tak więc Hamlyn i Kohl trzymali go za jaja. Ale jeżeli jakiś detektyw był na tyle dobry i szanowany, aby odejść z kancelarii Everetta Hamlyna i Adama Kohla i jeszcze dobrze na tym zarobić, to był nim właśnie Jay Becker. Tyle że Jay szastał forszą jak mało kto. Gdy tylko wpadała mu w ręce, natychmiast ją wydawał - na ciuchy, samochody, kobiety, skórzane meble, co tylko chcecie. Hamlyn i Kohl płacili za jego wydatki, płacili czynsz za jego biuro, dbali o jego interesy na giełdzie i inwestowali w jego imieniu. Byli dla niego jak ojcowie, a Jay Becker potrzebował ojca.

W Massachusetts początkujący detektywi, zanim otrzymają licencję, muszą

przepracować dwa i pół tysiąca godzin z licencjonowanym detektywem. Jay musiał przepracować w ten sposób tylko sto godzin z uwagi na jego pracę dla FBI i odbył praktykę z Everettem Hamlynem. Angie praktykowała u mnie, a ja u Jaya Beckera.

Hamlyn i Kohl prowadzili rekrutację do swojej kancelarii w ten sposób, że po upatrzaniu obiecującego detektywa, który szykował się do odbycia praktyki, kontaktowali takiego napalonego żółtodzioba z doświadczonym wygą, a ten nie tylko pokazywał mu, o co w tym zawodzie chodzi i poświęcał mu swoje dwa i pół tysiąca godzin, ale także otwierał mu oczy na złoty świat Hamlyna i Kohla. Wszyscy znani mi detektywi, którzy uzyskali w ten właśnie sposób licencję zawodową, zaczęli potem pracować dla firmy Hamlyn & Kohl. To znaczy, wszyscy oprócz mnie.

Co, rzecz jasna, nie było w smak Everettowi Hamlynowi, Adamowi Kohlowi i ich prawnikom. Przez pewien czas dawali wyraz swojemu niezadowoleniu, a sygnały tego docierały do mnie na wykwintnym papierze listowym oznakowanym inicjałami prawników Hamlyn & Kohl, a czasami nawet na prywatnym papierze listowym Hamlyna i Kohla. Nigdy jednak niczego nie podpisałem, nie obiecałem im też słownie, że podejmę pracę w ich firmie, i kiedy mój prawnik, Cheswick Hartman, zwrócił im na to uwagę na swoim papierze listowym (w pięknym, fioletoworóżowym odcieniu), w mojej skrzynce na listy przestały się pojawiać ich ubolewania. No i jakoś udało mi się zbudować własną agencję, pracując dla klientów, których nie stać było na Hamlyna i Kohla, a jej sukces przeszedł nawet moje oczekiwania.

Jednak ostatnio, w dużej mierze pod wpływem silnego szoku wywołanego skutkami zdemaskowania groźnych psychopatów, Evandro Arujo, Gerry'ego Glynna i Aleca Hardimana, co kosztowało życie byłego męża Angie, Phila, zamknęliśmy agencję. Nie robiliśmy od tamtego czasu nic istotnego, nie licząc rozmów z przyjaciółmi, oglądania starych filmów i nadmiernego picia.

Nie mam pojęcia, jak długo by to jeszcze trwało - może kolejny miesiąc, może do czasu, aż zbuntowałyby się nasze wątroby i wymierzyły nam okrutną karę - ale w pewnym momencie Angie spojrzała na Trevora Stone'a z taką życzliwością, jakiej nie okazała nikomu w ciągu ostatnich trzech miesięcy, i kiedy w końcu uśmiechnęła się do niego zwyczajnie, wiedziałem, że bierzemy tę sprawę, mimo że posunął się do porwania nas i naszpikowania narkotykami. Pięćdziesiąt kawałków, trzeba to przyznać, także pomogło nam przymknąć oczy na złe zachowanie Trevora.

Znaleźć Desiree Stone.

Zadanie było proste. Zobaczmy, czy równie proste będzie jego wykonanie. Nie

miałem wątpliwości, że aby ją znaleźć, musieliśmy najpierw znaleźć Jaya Beckera, a przynajmniej podążyc jego śladem. Śladem Jaya, mojego mistrza i człowieka, który nauczył mnie pewnej istotnej w naszym zawodzie zasady.

- Nikt - powiedział mi kiedyś, gdy moja praktyka dobiegała już końca - i to naprawdę nikt, nie jest w stanie się ukryć, jeżeli szuka go właściwa osoba.

- A co z nazistami, którzy uciekli po wojnie do Ameryki Południowej? Nikt nie znalazł Josefa Mengele, zmarł w spokoju i na wolności.

Wtedy Jay posłał mi spojrzenie, do którego przywykłem już w trakcie trzech miesięcy wspólnej pracy. Nazywałem je „spojrzeniem tajnego agenta”, spojrzeniem człowieka, który spędzał czas w najciemniejszych korytarzach rządowych, człowieka, który wiedział, gdzie były pogrzebane ciała, jakie papiery zniszczono i dlaczego, człowieka, który rozumiał mechanizmy prawdziwej władzy lepiej niż ktokolwiek z nas.

- Myślisz, że nie wiadomo było, gdzie przebywa Mengele? Kpisz sobie ze mnie?

Pochylił się nad blatem stolika w Bay Tower Room, wcisnął swój krawat za pasek, chociaż talerze i obrus na stole jak zwykle były nieskazitelnie czyste.

- Musisz wiedzieć, Patrick, że Mengele miał trzy ogromne atuty, których nie ma większość ludzi usiłujących się ukrywać.

- Jakie mianowicie?

- Po pierwsze - zaczął i wyciągnął wskazujący palec - Mengele miał pieniądze. Na początek miliony. Ale milionerów można znaleźć. Więc, po drugie - do wskazującego dołączył palec środkowy - miał ważne informacje: o innych nazistach, o fortunach ukrytych pod Berlinem, o eksperymentach medycznych, do których wykorzystywał Żydów jak króliki doświadczalne, i wszystkie te informacje były przekazywane do kilku różnych rządów, także do naszego, który rzekomo go szukał.

Uniósł brwi i uśmiechnął się.

- A po trzecie?

- Ach tak. Po trzecie i najważniejsze: ja nigdy nie szukałem Josefa Mengele. Bo przed Jayem Beckerem nikt się nie ukryje. A teraz, ponieważ wytrenowałem także ciebie, d'Artagnanie, młody Gaskończyku, nikt się także nie ukryje przed Patrickiem Kenzie.

- Dzięki, Athosie.

Wykonał zamaszty ruch ręką i skłonił głowę.

Jay Becker. Nikt z żyjących nie miał więcej stylu.

Jay, myślałem, gdy wagon metra wyjechał z tunelu na zalaną zielonym światłem

stację Downtown Crossing, mam nadzieję, że miałeś rację. Bo właśnie nadchodzę. Zaczyna się zabawa w chowanego, czy jesteś na to gotów, czy nie.

Gdy przyjechaliśmy do mojego mieszkania, ukryłem dwadzieścia kawałków w schowku za kuchenną listwą przypodłogową, gdzie trzymałem także zapasowe pistolety. Razem z Angie uprzątnęliśmy stół w jadalni i zgromadziliśmy na nim wszystko, co udało nam się od rana zdobyć. Cztery fotografie Desiree Stone rozłożyliśmy jak wachlarz w samym środku, obok codzienne raporty, które Jay przysyłał Trevorowi, zanim zniknął trzynaście dni temu.

- Dlaczego tak późno skontaktował się pan z innym detektywem? - zapytałem Trevora Stone'a.

- Adam Kohl zapewniał mnie, że włączył do tej sprawy drugiego człowieka, ale myślę, że po prostu grał na zwłokę. Tydzień później zdecydowanie odmówił zajmowania się dalej moją sprawą. Przez pięć dni sprawdzałem każdego prywatnego detektywa w tym mieście, który miał reputację uczciwego profesjonalisty, i w końcu zdecydowałem się na was.

Siedząc przy stole w jadalni, zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do kancelarii Hamlyn & Kohl i nie poprosić Everetta Hamlyna, aby opowiedział mi swoją wersję tej sprawy, ale pomyślałem, że i tak nic z niego nie wydobędę. Jeżeli kancelaria rezygnuje z takiego klienta jak Trevor Stone, nie afiszuje się z tym potem ani nie opowiada szczegółów całej historii konkurencji w branży.

Angie rozłożyła przed sobą raporty Jaya, a ja zacząłem przeglądać notatki, które zrobiliśmy w gabinecie Trevora.

- W miesiąc po śmierci matki - opowiadał nam Trevor po powrocie z przechadzki po trawniku za domem - Desiree przeżyła dwa wstrząsy, z których każdy z osobna mógłby zniszczyć taką dziewczynę jak ona. Po pierwsze okazało się, że mam raka w stadium terminalnym, a zaraz potem zmarł chłopak, z którym Desiree spotykała się w college'u.

- Jak to się stało? - zapytała Angie.

- Utonął. To był wypadek. Ale, rozumiecie, Desiree przez całe życie była chroniona przez matkę i przeze mnie. Aż do śmierci matki jej życie było usłane różami, nie doświadczyła nigdy najmniejszego nawet dramatu. Zawsze uważała się za osobę silną. Pewnie dlatego, że była krnąbrna i uparta, tak jak ja, i myliła to z siłą charakteru, którą człowiek wyrabia w sobie pod wpływem ekstremalnych okoliczności. Więc, jak

widzicie, nigdy wcześniej nie przeżyła prawdziwego sprawdzianu. I kiedy jej matka zginęła, a ojciec leżał na oddziale intensywnej terapii, usiłowała sobie z tym jakoś poradzić. Myślę, że mogłoby jej się udać. Ale zaraz potem nadeszła informacja o moim raku i śmierć jej chłopaka. Bum, bum, bum.

Według Trevora Desiree załamała się pod ciężarem tych trzech tragedii. Dopadła ją bezsenność, gwałtownie straciła na wadze i rzadko kiedy wypowiadała więcej niż jedno zdanie w ciągu dnia.

Ojciec nalegał, aby zasięgnęła porady lekarskiej, ale nie przyszła na żadną z czterech wizyt, jakie dla niej zamówił. Była natomiast często widywana, jak informowali go Frankenstein i Baniak oraz kilku przyjaciół, w centrum miasta, gdzie spędzała całe dni. Swojego białego saaba turbo, którego dostała od rodziców w prezencie po ukończeniu college'u, zostawiała w garażu na Boylston Street i całymi dniami snuła się po centrum miasta i zielonych zakątkach Back Bay w Emerald Necklace, fragmencie kompleksu parkowego rozciągającego się na obszarze kilku kilometrów wokół miasta. Raz nawet doszła aż na tyły Muzeum Sztuki, ale zwykle, jak donosił Trevorowi Frankenstein, widywano ją w parku przecinającym centralną część Commonwealth Avenue i przylegającym do niej ogrodzie miejskim.

To właśnie w tym ogrodzie, powiedziała Trevorowi, spotkała mężczyznę, który jak twierdziła, przyniósł jej w końcu pociechę i ukojenie, czego tak rozpaczliwie szukała przez całe późne lato i wczesną jesień. Mężczyzna ten był od niej starszy o jakieś siedem lub osiem lat, nazywał się Sean Price i także przeżył tragedię. Powiedział Desiree, że jego żona i pięcioletnia córeczka zmarły przed rokiem na skutek zatrucia tlenkiem węgla, który ulatniał się z uszkodzonej klimatyzacji w ich domu w Concorde. Jego w tym czasie nie było w mieście.

Sean Price znalazł ich ciała następnego nocy, gdy wrócił z delegacji do domu, tak powiedziała Trevorowi.

- Minęło sporo czasu - zauważyłem, odrywając się od notatek.

Angie podniosła oczy znad raportów Jaya Beckera.

- Co masz na myśli?

- Zanotowałem, że Desiree powiedziała Trevorowi, iż Sean Price znalazł żonę i dziecko po prawie dwudziestu czterech godzinach od ich śmierci.

Sięgnęła przez stół, wzięła swoje notatki, które leżały pod moim łokciem, i przekartkowała je szybko.

- Rzeczywiście. Tak powiedział Trevor.

- Wydaje mi się, że to długo - powtórzyłem. - Młoda kobieta - żona biznesmena i zapewne kobieta z towarzystwa, bo mieszkali w Concord - i jej pięcioletnia córka nie pokazują się przez dwadzieścia cztery godziny i nikt tego nie zauważa?

- W dzisiejszych czasach sąsiedzi są coraz mniej ze sobą zaprzyjaźnieni i coraz mniej interesują się życiem ludzi mieszkających w ich najbliższym otoczeniu.

Zmarszczyłem brwi.

- No dobrze, może tak jest w centrum miasta lub w dzielnicach ludzi średnio zamożnych. Ale to było w Concord. Okolicy wiktoriańskich domów i Old North Bridge. Main Street i liliowobiała Ameryka wyższej klasy. Córka Seana Price'a miała pięć lat. Nie zatrudniali opiekunki? Nie chodziła do przedszkola, na lekcje tańca lub czegoś takiego? A jego żona nie miała zajęć z aerobiku, nie chodziła do pracy, nie miała spotkania z jakąś inną młodą żoną z wyższej klasy?

- To cię niepokoi.

- Trochę. Coś mi tu nie gra.

Odchyliła się na krześle.

- W naszym zawodzie nazywamy to „przebłyskiem”.

Pochyliłem się nad notatkami z długopisem w ręku.

- To się pisze przez „rz”, prawda?

- Tak, i przez „p”, jak ptasi mózdzek. - Uśmiechnęła się i uderzyła długopisem o plik kartek. - Sprawdzić Seana Price'a - powiedziała, zapisując to na marginesie. - Jak również śmierć przez zatrucie tlenkiem węgla w Concord około tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego lub szóstego roku.

- A także śmierć tego chłopaka. Jak on się nazywał?

Przerzuciła kilka kartek.

- Anthony Lisardo.

- Właśnie.

Skrzywiła się, patrząc na fotografię Desiree.

- Wokół niej ludzie umierają jak muchy.

- Tak.

Podniosła jedno ze zdjęć i jej twarz złagodniała.

- Boże, jest cudowna. To trzyma się kupy, że znalazła ukojenie przy innym człowieku, także doświadczonym tragedią. - Spojrzała na mnie. - Rozumiesz?

Wytrzymałem to spojrzenie, szukając w jej oczach śladu udręczenia i bólu, które mogły się kryć gdzieś w głębi, lęku przed ponownym zaangażowaniem się, które

zwiastowało kolejne cierpienie. Znalazłem jednak tylko wyraz zrozumienia i współczucia towarzyszący oglądaniu zdjęcia Desiree, ten sam wyraz, który pojawił się na jej twarzy, gdy patrzyła w oczy ojca Desiree.

- Tak - powiedziałem. - Rozumiem.

- Ktoś łatwo mógłby na tym żerować - dodała, przyglądając się wnikliwie twarzy Desiree.

- Niby jak?

- Gdybyś chciał dotrzeć do osoby, która znalazła się w stanie niemal katatonicznego smutku, a kierowałyby tobą niezbyt uczciwe zamiary, jak byś to zrobił?

- Gdybym był cynicznym manipulatorem?

- Tak.

- Wytworzylibym więź bazującą na podobnym doświadczeniu straty.

- Udając, że sam w życiu cierpiełeś, na przykład?

Pokiwałem głową.

- Tak byłoby najłatwiej.

- Zdecydowanie uważam, że musimy dowiedzieć się czegoś więcej o Seanie Prisie. Jej oczy zaśniły z podniecenia.

- Co mamy o nim w raportach Jaya?

- Zobaczmy. Nic, czego byśmy już nie wiedzieli. Zaczęła przerzucać kartki i nagle zatrzymała się, spojrzała na mnie, a jej twarz promieniała.

- Co? - zapytałem, czując, że moją twarz także rozświetla uśmiech, jej podniecenie było zaraźliwe.

- To cudowne.

- Co?

Podniosła kartkę i skierowała ją w kierunku rozrzuconych na stole papierów.

- To. To wszystko. Patrick, znowu jesteśmy w akcji.

- Tak, to wspaniałe.

Aż do tego momentu nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo za tym tęskniłem - rozwikływaniem problemów, szukaniem śladów, podejmowaniem pierwszego kroku, aby zdemistyfikować coś, co początkowo wydawało się kompletnie niepojęte i nie do ugryzienia.

Natychmiast jednak poczułem, że mój uśmiech na chwilę zbladł, ponieważ to było to samo podniecenie, to samo uzależnienie od wykrywania spraw, które czasami, być

może, powinny zostać niewyjaśnione, ponieważ nie tak dawno postawiły mnie twarzą w twarz z wyjącą szpetotą i moralną zgnilizną psychiki Gerry'ego Glynnna.

To samo uzależnienie zaowocowało kulą w ciele Angie, bliznami na mojej twarzy i uszkodzeniem nerwu w jednej ręce, a także doprowadziło do tego, że drżąc z przerażenia, trzymałem na swoich rękach umierającego byłego męża Angie, Phila.

- Wszystko będzie w porządku - zapewniałem go.

- Wiem - powiedział.

I umarł.

I właśnie do tego mogło nas znowu doprowadzić całe to poszukiwanie, odkrywanie i ściganie - do gorzkiej wiedzy, że nie wszystko z nami jest w porządku, z nikim z nas. Skrywamy przed światem swoje serca i umysły, ponieważ są bardzo kruche i wrażliwe, ale skrywamy je także dlatego, że to, co się w nich kłębi, bywa tak bardzo przygnębiające i zdeprawowane, że nikt nie zniósłby takiego widoku.

- Hej - odezwała się Angie wciąż z uśmiechem, ale jakby mniej pewnym. - Co się dzieje?

Zawsze podobał mi się jej uśmiech.

- Nic - zapewniłem ją. - Masz rację. To wspaniałe.

- Cholernie się cieszę - powiedziała i uścisnęliśmy sobie ręce nad stołem. - Znow jesteśmy w biznesie. Drzyjcie, przestępcy.

- Już trzęsą portkami - zapewniłem ją.

4

HAMLIN & KOHL WORLDWIDE INVESTIGATIONS
THE JOHN HANCOCK TOWER, 33RD FLOOR
150 CLARENDON STREET
BOSTON, MA 02116

Raport operacyjny

Do: Pan Trevor Stone

Od: Pan Jay Becker, detektyw

Dot.: Zaginięcie panny Desiree Stone

16 lutego, 1997

Pierwszy dzień dochodzenia w sprawie zaginięcia Desiree Stone, widzianej po raz ostatni 12 lutego o godz. 11:00, gdy opuszczała rezydencję przy Oak Bluff Drive 1469 w Marblehead.

Detektyw przesłuchał pana Pietro Leone, parkingowego z garażu przy Boylston Street 500 w Bostonie, w wyniku czego zlokalizowano na poziomie P2 wzmiankowanego garażu białego saaba turbo rocznik 1995 panny Stone. Kwit parkingowy znaleziony w aucie w schowku na rękawiczki wskazuje, że samochód wjechał do garażu 12 lutego o godzinie 11:51. Przeszukanie samochodu i jego najbliższego otoczenia nie ujawniło żadnych śladów przestępstwa. Drzwi były zamknięte, alarm włączony.

Skontaktowano się z Julianem Archersonem (służącym pana Stone'a), który zgodził się odebrać z garażu samochód panny Stone, używając zapasowej pary kluczyków, i przyprowadzić do wzmiankowanej rezydencji w celu dalszych oględzin.

Detektyw zapłacił parkingowemu 124 \$ (USD) za pięć i pół dnia parkowania, a następnie opuścił garaż. (Patrz rachunek dołączony do listy dziennych wydatków).

Detektyw zlustrował tereny parkowe Emerald Necklace, począwszy od Boston Common, przez ogród miejski, Commonwealth Avenue Mall, kończąc na Fens przy Avenue Louis Pasteur. Detektyw pokazał ochronie parku kilka fotografii panny Stone i odnalazł trzy osoby, które twierdziły, że widywały ją od czasu do czasu w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

1. Daniel Mahew, 23 lata, student Berklee College of Music. Widział pannę Stone co najmniej cztery razy, gdy siedziała na ławce w Comm. Ave. Mall pomiędzy Massachusetts Avenue i Charlesgate East. Określenie czasu podano w przybliżeniu, ale ustalono, że widział ją w trzecim tygodniu sierpnia, drugim tygodniu września, drugim tygodniu października i pierwszym tygodniu listopada. Zainteresowanie pana Mahew panną Stone było natury romantycznej, co jednak spotkało się z wyraźnym brakiem zainteresowania ze strony panny Stone. Kiedy pan Mahew próbował nawiązać z nią rozmowę, panna Stone dwa razy odeszła, za trzecim razem zignorowała go, a za czwartym, jak zeznał pan Mahew, prysnęła mu w oczy gazem łzawiącym lub sprayem pieprzowym.

Pan Mahew utrzymywał, że za każdym razem panna Stone była zupełnie sama.

2. Agnes Pascher, 44 lata, przyjezdna. Zeznanie pani Pascher może nie być w pełni wiarygodne, ponieważ detektyw stwierdził fizyczne ślady wpływu alkoholu i narkotyków (heroina) na świadka. Pani Pascher utrzymywała, że widziała pannę Stone dwa razy - we wrześniu (przypuszczalnie) - w Boston Common. Panna Stone, według pani Pascher, siedziała na trawie przy bramie u zbiegu ulic Beacon i Charles i karmiła wiewiórki ziarenkami słonecznika. Pani Pascher, która nie miała osobistego kontaktu z panną Stone, nazwała ją „dziewczyną z wiewiórkami”.

3. Herbert Costanza, 34 lata, inżynier sanitarny z miejskiego Wydziału Parków i Terenów Rekreacyjnych. Pan Costanza obserwował pannę Stone wiele razy w okresie od połowy sierpnia do początków listopada i określił ją jako „smutną piękność” przesiadującą pod drzewem w północno-zachodnim zakątku ogrodu miejskiego. Jego kontakt z panną Stone ograniczał się do „grzecznego pozdrowienia”, na które rzadko odpowiadała. Pan Costanza uważał, że panna Stone była poetką, chociaż nigdy nie

widział, aby cokolwiek pisała.

Warto podkreślić fakt, że ostatni raz widziano tu pannę Stone na początku listopada. Panna Stone właśnie na początku listopada poznała mężczyznę zidentyfikowanego jako Sean Price.

Komputerowe przeszukiwania stanowego spisu telefonów NYNEX pod kątem Sean lub S. Price przyniosło 124 pozycje. Stanowe spisy w systemie DMV ograniczyły liczbę pozycji pasujących do Seana Price'a do 19 mieszczących się kategorii wiekowej 25-35 lat. Mimo że panna Stone podała tylko bardzo ogólny opis mężczyzny, ograniczający się do przybliżonego wieku i białej rasy, liczba pozycji po uwzględnieniu kryterium etnicznego zmniejszyła się do sześciu.

Jutro detektyw rozpocznie nawiązywanie kontaktów i przesłuchiwanie sześciu wyselekcjonowanych Seanów Price'ów.

Z poważaniem

Jay Becker

Detektyw

Do wiadomości: Pan Hamlyn, pan Kohl, pan Keegan, pani Tarnover.

Angie podniosła głowę znad notatek i przetarła oczy. Siedzieliśmy obok siebie i razem czytaliśmy raport.

- Chryste - powiedziała - on jest niesamowity.

- To cały Jay - przyznałem. - Wzór dla nas wszystkich.

Szturchnęła mnie łokciem.

- Powiedz to wreszcie - jest twoim idolem.

- Idolem? - zdziwiłem się. - Jest moim Bogiem. Jay Becker znalazł Hoffę bez najmniejszego wysiłku.

Trzepnęła w kartki raportu.

- Najwyraźniej ma jednak problemy ze znalezieniem Desiree Stone lub Seana Price'a.

- Więcej wiary - powiedziałem i odwróciłem kolejną stronę raportu.

Odszukanie sześciu Seanów Price'ów zajęło Jayowi trzy dni i okazało się wielkim niewypałem. Jeden z nich był jeszcze do niedawna więźniem i do końca grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku przebywał w więzieniu. Drugi był

paraplegikiem i nie opuszczał łóżka. Trzeci był chemikiem, pracował dla Genzyme Corporation i całą jesień prowadził badania na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Sean Edward Price z Charlestown pracował dorywczo jako dekarz, na stałe zaś był rasistą. Kiedy Jay zapytał go, czy był ostatnio w miejskim ogrodzie lub w Boston Common, odpowiedział: „Tam, gdzie pełno pedałów, liberałów i pieprzonych ćpunów zebrzących o datki na odrobinę hery? Powinni ogrodzić płotem całe to centrum i rzucić na nie bombę atomową, stary”.

Sean Robert Price z Braintree, puciołowaty, łysiejący sprzedawca tekstyliów w pewnej firmie, obejrzał zdjęcie Desiree Stone i powiedział: „Gdyby taka kobieta tylko spojrzała w moją stronę, na miejscu dostałbym ataku serca”. Ponieważ rejonem jego handlowego działania było wybrzeże południowe, raczej nie mógł niezauważalnie podróżować do Bostonu. Jego szef zapewnił Jaya, że nie miał przerw w pracy.

Sean Armstrong Price z Dover był konsultantem inwestycyjnym w firmie Shearsona Lehmana. Przez trzy dni unikał Jaya, a codzienne raporty wskazywały na rosnące podniecenie, aż w końcu Jay złapał Price'a, gdy ten werbował klientów w Grill 23. Jay przysunął krzesło do jego stolika i zapytał, dlaczego go unikał. Price, który wziął Jaya przez pomyłkę za pracownika urzędu skarbowego, natychmiast przyznał się do nielegalnego procederu, polegającego na tym, że doradzał swoim klientom kupowanie pakietów akcji podupadających przedsiębiorstw, w które on sam wcześniej inwestował za pośrednictwem jakiejś fikcyjnej firmy. Jay odkrył, że to działało bez zarzutu od lat, a w październiku i na początku listopada Sean Armstrong Price odbył kilka podróży na Kajmany, Małe Antyle i do Zurychu, aby ukryć pieniądze, których nie powinien był posiadać.

Dwa dni później, jak odnotował Jay, jeden z klientów, których zwerbował Price, doniósł na niego do prawdziwego urzędnika skarbowego i Price został zaaresztowany we własnym biurze przy Federal Street. Między wierszami informacji, jakie Jay zdobył na jego temat, można było wyczytać, że uważał Price'a za zbyt głupiego, zbyt nachalnego spryciarza i człowieka za bardzo napalonego na forszę, aby mógł nawiązać kontakt z Desiree.

Poza tym drobnym sukcesem Jay na nic więcej jednak nie trafił i po pięciu dniach w jego raportach dawało się wyczuć frustrację. Po śmierci matki Desiree kilkoro jej bliskich przyjaciół całkowicie straciło z nią kontakt. Ojciec i córka rzadko ze sobą rozmawiali, Desiree nie zwierzała się także Frankensteinowi ani Baniakowi. Poza jednym wyjątkiem, kiedy zaatakowała w parku Daniela Mahew, zdecydowanie starała

się nie rzucać w oczy podczas wędrówek po centrum. Jay zapisał w jednym miejscu, że gdyby nie była tak piękna, chyba nikt nie zwróciłby na nią uwagi.

Od momentu zaginięcia nie używała swoich kart kredytowych ani nie korzystała z czeków; jej fundusz powierniczy, kapitał giełdowy i depozyty pozostały nietknięte. Billing jej osobistego telefonu wykazał, że między lipcem a dniem, w którym zaginęła, do nikogo nie dzwoniła.

„Żadnych telefonów” podkreślił Jay na czerwono w raporcie z dwudziestego lutego.

Jay nigdy niczego nie podkreślał i zrozumiałem, że jego frustracja musiała sięgnąć zenitu, ugodzona została jego duma zawodowa i niebezpiecznie zmierzał w stronę obsesji. „Wydaje się - zapisał dwudziestego drugiego lutego - że ta piękna kobieta nigdy nie istniała”.

Na skutek tej nieprofesjonalnej notatki Trevor Stone skontaktował się z Everettem Hamlynem i dwudziestego trzeciego lutego rano Jay Becker został wezwany na pilne spotkanie z Hamlynem, Kohlem i Trevorem Stone'em w rezydencji tego ostatniego. Trevor załączył do raportów Jaya zapis przeprowadzonej tam rozmowy:

HAMLYN: Musimy porozmawiać o charakterze tego raportu.

BECKER: Byłem zmęczony.

KOHL: Co znaczą takie określenia jak „piękna”? W dokumencie, który jak wiadomo, będzie krążył po całej firmie? Stracił pan głowę, panie Becker?

BECKER: Powtarzam, byłem zmęczony. Bardzo przepraszam, panie Stone.

STONE: Obawiam się, że traci pan zawodowy dystans, panie Becker.

HAMLYN: Z całym szacunkiem, panie Stone, ale w mojej opinii mój pracownik już stracił dystans. KOHL: Bez wątpienia.

BECKER: Odbieracie mi sprawę?

HAMLYN: Jeżeli pan Stone zgodzi się z naszą propozycją.

BECKER: Panie Stone?

STONE: Proszę mnie przekonać, panie Becker, dlaczego nie powinienem tego zrobić. Rozmawiamy o życiu mojej córki.

BECKER: Przyznaję, Panie Stone, że byłem rozbity brakiem jakichkolwiek fizycznych śladów zarówno zniknięcia pana córki, jak i Seana Price'a, którego poznała. Ten stan wywołał pewną dezorientację. A poza tym to, co pan powiedział mi o swojej córce, relacje naocznych świadków, a także jej uroda, wywołały pewne sentymentalne

więzi, które nie powinny były się pojawić w profesjonalnie prowadzonym śledztwie. To wszystko prawda. Ale jestem blisko. Znajdę ją.

STONE: Kiedy?

BECKER: Szybko. Bardzo szybko.

HAMLIN: Panie Stone, nalegamy, aby zgodził się pan na przydzielenie do śledztwa innego detektywa prowadzącego.

STONE: Daję panu jeszcze trzy dni, panie Becker.

KOHL: Panie Stone!

STONE: Trzy dni na dostarczenie mi konkretnych informacji o losie mojej córki.

BECKER: Dziękuję panu. Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

- To wygląda fatalnie - powiedziałem.

- Co?

Angie zapaliła papierosa.

- Zwróć tylko uwagę na ton ostatniej wypowiedzi Jaya. Jest służalczy, niemal czolobitny.

- Dziękuję Stone'owi, że pozwolił mi zachować pracę.

Potrząsnąłem głową.

- To niepodobne do Jaya. On jest zbyt dumny. Gdybyś go uratowała z płonącego samochodu, może rzuciłby ci lakoniczne „dzięki”. To nie jest typ, który wylewnie za wszystko dziękuje. To facet aż za bardzo pewny siebie. A Jay, którego ja znam, kazałby się pocałować w dupę, gdyby tylko ktoś rozważał możliwość odebrania mu sprawy.

- Ale w tym wypadku stracił pewność siebie. Spójrz na te zapiski przed zwołaniem spotkania.

Wstałem i ruszyłem w tę i z powrotem wzdłuż stołu.

- Jay potrafi znaleźć każdego.

- Tak mówiłeś.

- Ale w ciągu tygodnia pracy nad tą sprawą nikogo nie znalazł. Ani Desiree, ani Seana Price'a.

- Może szukał w złych miejscach.

Pochyliłem się nad stołem, odgarnąłem włosy łaskoczące mnie w szyję i spojrzałem na Desiree Stone. Na jednym ze zdjęć siedziała na huśtawce ustawionej na werandzie w Marblehead, śmiała się, a jej jasnozielone oczy patrzyły prosto w obiektyw aparatu. Gęste miodowe włosy były potargane, miała na sobie sprany

sweterek i podarte dżinsy, jej stopy były gołe, a śnieżnobiałe zęby lśniły.

Oczy Desiree przyciągały spojrzenie, bez wątpienia, ale to nie było tylko zwykłe zainteresowanie. Miała w sobie coś, co reżyser organizujący castingi w Hollywood nazwałby pewnie „prezencją”. Nawet na byle jakim zdjęciu promieniowała aurą zdrowia, żywotności, zmysłowości, dziwną mieszaniną wrażliwości i opanowania, pożądania i niewinności.

- Masz rację - powiedziałem.

- W kwestii? - zapytała Angie.

- Jest cudowna.

- Bez kwestii. Chciałabym wyglądać tak wspaniale w starym swetrze i porwanych dżinsach. Chryste, jej włosy sprawiają wrażenie, jakby od tygodnia ich nie czesała, a wciąż wygląda znakomicie.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Wygrałabyś z nią w konkursie piękności, Angie.

- Och, daj spokój. - Zgasiła papierosa i nachyliła się razem ze mną nad fotografią.

- Jestem ładna. Zgoda. Dla niektórych facetów nawet może piękna.

- Cudowna. Powalająca, zniewalająca, ponętna...

- Dobra - powiedziała. - Niech będzie. Dla niektórych facetów. Masz rację. Dla niektórych facetów. Ale nie dla wszystkich. Wielu mogłoby powiedzieć, że nie jestem w ich typie. Jestem za bardzo włoska, za drobna, za bardzo jakaś tam lub za mało jakaś.

- Dla dobra naszej rozmowy - przyznałem - niech ci będzie. Mogę się z tobą zgodzić.

- Ale ona - stuknęła wskazującym palcem w zdjęcie Desiree. - Nie ma na świecie faceta, dla którego nie byłaby atrakcyjna.

- Jest w niej coś - przyznałem.

- Coś? - zdumiała się. - Patrick, ona jest bez skazy.

Dwa dni po alarmującym spotkaniu w domu Trevora Stone'a Jay Becker zrobił coś, co pozornie mogłoby świadczyć, że całkowicie się załamał, gdyby nie fakt, że był to dowód jego geniuszu.

Stał się Desiree Stone.

Przestał się golić, zaniedbał się, przestał jeść. Ubrany w drogi, ale podniszczony garnitur poruszał się śladami Desiree wokół Emerald Necklace. Nie robił tego jednak

jako detektyw; robił to tak jak ona.

Siadywał na tej samej ławce w Commonwealth Avenue Mall, na tym samym kawałku trawnika w Common, pod tym samym drzewem w miejskim ogrodzie. Jak pisał w swoich raportach, początkowo miał nadzieję, że ktoś - może właśnie Sean Price - skontaktuje się z nim, ulegając wrażeniu, że Jay jest bezradny, przybity i zdruzgotany cierpieniem. Kiedy jednak nic takiego się nie zdarzyło, próbował odtworzyć sytuację, w której uczestniczyła Desiree, nim zniknęła. Zatopił się w widokach, które musiała oglądać, wsłuchiwał się w dźwięki, które ona słyszała, czekał i modlił się, co ona też pewnie robiła, o kontakt, o koniec smutku, o spotkanie z jakimś człowiekiem, który doznał straty.

„Smutek - napisał Jay tamtego dnia w swoim raporcie. - Ciągle wracam do jej smutku. Co mogło go ukoić? Jak można było nim manipulować? Co mogło na niego wpłynąć?”.

Przeważnie samotny, walęsając się zimą po parkach, gdy lekki śnieg przesłaniał mu pole widzenia, Jay, od czasu gdy dziewięć dni wcześniej zaczął pracować nad tą sprawą, prawie nie widział, co się działo tuż przed jego nosem i co się rozgrywało w jego podświadomości.

Smutek, o tym myślał cały czas. Smutek.

I nagle zobaczył to z ławki na Commonwealth Avenue. Zobaczył to z trawnika w Common. Zobaczył to spod drzewa w miejskim ogrodzie.

Smutek.

Nie emocje, ale małą złotą plakietkę z napisem.

LECNICA SMUTKU, INC. Tak głosił napis.

Złota plakietka znajdowała się na fasadzie budynku stojącego dokładnie vis-à-vis ławki na Commonwealth Avenue, druga taka sama wisiała na drzwiach Centrum Terapeutycznego Lecznicy Smutku na Beacon Street. Biura LEZNICY SMUTKU, Inc. mieściły się przecnicę dalej, w budynku z czerwonej cegły na Arlington Street.

Lecznicza Smutku, Inc. Kiedy zaświtało mu to w głowie, Jay Becker musiał uśmieć się po pachy.

Dwa dni później Jay napisał w raporcie do Trevora Stone'a oraz Hamlyna i Kohla, iż znalazł dość dowodów świadczących o tym, że Desiree Stone odwiedziła Lecznice Smutku, Inc., co wystarczało, aby bliżej przyjrzeć się tej organizacji, i rozpoczął tajną misję.

Odwiedził biuro Lecznicy Smutku i poprosił o spotkanie z doradcą psychologicznym. Następnie opowiedział doradcy, że pracował w Rwandzie jako członek grupy wsparcia z ramienia ONZ, a potem w Bośni (przyjaciel Adama Kohla w ONZ mógłby w razie czego to potwierdzić), po czym kompletnie załamał się moralnie, psychicznie i emocjonalnie.

Tego samego wieczoru wziął udział w „intensywnym seminarium” dla pacjentów cierpiących na głęboki smutek. W nagranej na taśmę magnetofonową rozmowie przeprowadzonej dwudziestego siódmego lutego rano Jay powiedział Everettowi Hamlynowi, że Lecznica Smutku dzieliła cierpienia swoich klientów na sześć poziomów: poziom pierwszy (apatia); poziom drugi (przygnębienie); poziom trzeci (głęboki smutek połączony z wrogością lub wycofaniem emocjonalnym); poziom czwarty (ostrzy smutek); poziom piąty (przejmujący smutek); poziom szósty (przełomowy).

Jay wyjaśnił, że na poziom „przełomowy” kwalifikowano klienta w takim stanie, że albo mógł się totalnie załamać, albo osiągnąć stan łaski i pogodzenia ze sobą.

Aby ustalić, czy poziom piąty rokował przejście do poziomu szóstego, doradcy z Lecznicy Smutku namawiali klientów z poziomu piątego na wyjazd do Kojącego Ustronia. Szczęśliwy traf sprawił, jak napisał Jay, że najbliższa grupa zakwalifikowana do pobytu w Kojącym Ustroniu wyjeżdżała z Bostonu do Nantucket już następnego dnia, dwudziestego ósmego lutego.

Po telefonie do Trevora Stone'a Hamlyn i Kohl zatwierdzili wydatki na kwotę dwóch tysięcy dolarów i Jay udał się do Kojącego Ustronia.

- Ona tam była - powiedział Jay przez telefon do Everetta Hamlyna. - Desiree. Była w siedzibie Lecznicy Smutku na Comm. Ave.

- Skąd wiesz?

- W sali terapeutycznej mają tablicę informacyjną. Wiszą tam różne zdjęcia, polaroidy, no wiesz, z okazji przyjęcia na Święto Dziękczynienia lub typu czyż - nie - jesteśmy - już - absolutnie - zdrowi, tego rodzaju gówna. Widziałem ją na jednym ze zdjęć, stała z tyłu w grupce ludzi. Znalazłem ją, Everett. Czuję to.

- Bądź ostrożny, Jay - powiedział Everett Hamlyn.

I Jay był. Pierwszego marca wrócił cały i zdrowy z Nantucket. Zatelefonował do Trevora Stone'a i poinformował go, że jest już w Bostonie i w ciągu godziny wpadnie do niego do Marblehead.

- Znalazł ją pan? - zapytał Trevor.

- Ona żyje.

- Jest pan pewien?

- Mówiłem panu, panie Stone - buńczucznie przypomniał mu Jay - że nikt się nie ukryje przed Jayem Beckerem. Nikt.

- Gdzie pan jest? Poślę po pana samochód.

Jay roześmiał się.

- Proszę się tym nie martwić. Dzieli mnie od pana kilkanaście kilometrów. Nie wiem, ile mi tu jeszcze zejdzie.

I gdzieś na odcinku tych kilkunastu kilometrów Jay także zaginął.

5

- Fin de siècle - powiedziała Ginny Regan.

- Fin de siècle - potwierdziłem. - Tak.

- To pana dręczy? - zapytała.

- Oczywiście - przytaknąłem. - A panią nie?

Ginny Regan była recepcjonistką w biurze Lecznicy Smutku, Inc., i wydawała się trochę zmieszana. Nie winiłem jej za to. Moim zdaniem nie widziała różnicy między fin de siècle'em a lodami na patyku, ja zresztą gdybym, nim tu przyszedłem, nie przestudiował encyklopedii, także bym jej nie widział. Tak się złożyło, że musiałem brnąć w to gównu i sam też czułem się zakłopotany. Chico Marx, powtarzałem sobie cały czas w duchu. Chico Marx. Gdzie Chico Marx mógł prowadzić taką rozmowę?

- Cóż - powiedziała Ginny. - Nie jestem pewna.

- Nie jest pani pewna? - Walnąłem dłonią w blat biurka. - Jak pani może nie być pewna? Mówi pani o fin de siècle'u, a to znaczy, że mówi pani o kilku cholernie poważnych sprawach. Koniec wieku, potworny chaos, nuklearny Armagedon, karaluchy wielkości rangę roverów.

Ginny zerkała na mnie nerwowo, a w głębi pokoju, za jej plecami, jakiś mężczyzna w burobrązowym garniturze wciągnął na siebie palto i ruszył w stronę wąskiego przejścia koło jej biurka, oddzielającego poczekalnię od głównego biura.

- Tak - powiedziała Ginny. - Oczywiście. To bardzo poważne sprawy. Ale ja...

- To jest napisane na ścianie, Ginny. Nasze społeczeństwo rozpada się w szwach. Spójrz na dowody: Oklahoma City, bomby pod World Trade Center, David Hasselhoff. Właśnie o to mi chodzi.

- Dobranoc, Ginny - pożegnał się mężczyzna w płaszczu, przechodząc obok niej.

- Dobranoc, Fred - odpowiedziała Ginny.

Fred spojrzał na mnie.

Uśmiechnąłem się.

- Dobranoc, Fred.

- No, tak - mruknął Fred. - Żegnam.

I wyszedł.

Spojrzałem na zegar ścienny nad głową Ginny: 17.22. O ile mogłem się zorientować, wszyscy pracownicy biura już wyszli. Wszyscy oprócz Ginny. Biedna Ginny.

Podrapałem się kilka razy w kark, co było sygnałem dla Angie, że „wszystko w porządku”, i zatopiłem w Ginny swoje łagodne, błogie, dobrotliwe i senne spojrzenie.

- Bardzo trudno zmobilizować się rano do wstania z łóżka - powiedziałem. - Bardzo ciężko.

- Jest pan w depresji! - oświadczyła Ginny z ulgą, jakby w końcu zrozumiała coś, co wydawało się być poza zasięgiem jej percepcji.

- Sparaliżowany smutkiem, Ginny. Sparaliżowany smutkiem.

Kiedy wypowiedziałem jej imię, wzdrygnęła się, a potem uśmiechnęła.

- Sparaliżowany smutkiem z powodu, no, tych fin de sików?

- Fin de siècle - poprawiłem ją. - Tak. Głównie z tego powodu. Chodzi o to, że choć nie zgadzam się z jego metodami, to kto wie, może jednak Ted Kaczynski miał rację.

- Ted - powtórzyła.

- Kaczynski - powiedziałem.

- Kaczynski.

- Unabomber - dodałem.

- Unabomber - powtórzyła powoli.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Och! - zawołała nagle. - Unabomber! - Jej spojrzenie wyostrzyło się i wyglądała na tak zadowoloną, jakby nagle uwolniła się od jakiegoś wielkiego ciężaru. - Rozumiem.

- Czyżby? - pochyliłem się w jej stronę.

Jej oczy ponownie zasły mgłą konsternacji.

- Nie, jednak nie.

- Och.

Cofnąłem się.

W odległym kącie biura, za plecami Ginny leciutko uniosło się okno. Zimno, pomyślałem natychmiast. Poczuję zimny powiew na plecach.

Pochyliłem się nad jej biurkiem.

- W zakłopotanie wprawia mnie nowoczesna, krytyczna reakcja wobec najlepszych osiągnięć kultury masowej, Ginny.

Wzdrygnęła się, a potem znowu uśmiechnęła. To był chyba jej sposób reagowania.

- Rzeczywiście.

- W głębokie zakłopotanie - powiedziałem. I to zakłopotanie wywołuje złość, a złość prowadzi do depresji, depresja zaś... - mówiłem coraz głośniejszym głosem, gdy tymczasem Angie prześlizgnęła się przez okno, a oczy Ginny stały się wielkie jak krążki do frisbee i po chwili jej lewa ręka powędrowała do szuflady biurka - ...kończy się smutkiem! Prawdziwym smutkiem, wcale nie żartuję, z powodu upadku sztuki i postawy krytycznej, schyłku tysiąclecia i towarzyszącemu mu uczuciu fin de siècle'u.

Angie dłonią w rękawiczce zamknęła okno.

- Panie... - zaczęła Ginny.

- Doohan - przedstawiłem się. - Deforest Doohan.

- Panie Doohan - powiedziała. - Tak. Nie jestem pewna, czy smutek to właściwe określenie pańskich problemów.

- I jeszcze Björk - dodałem. - Proszę wyjaśnić Björk.

- No, nie potrafię - przyznała. - Ale jestem pewna, że Manny potrafi.

- Manny? - zdziwiłem się, gdy otworzyły się nagle drzwi za moimi plecami.

- Tak, Manny - powiedziała Ginny z cieniem triumfalnego uśmiechu. - Manny jest jednym z naszych doradców psychologicznych.

- Macie doradcę, który nazywa się Manny?

- Witam pana, panie Doohan - powiedział Manny i stanął przede mną z wyciągniętą ręką.

Manny był olbrzymi, co skonstatowałem, zadzierając wysoko głowę, aby na niego spojrzeć. Manny był monstrualnie wielki. Manny, muszę powiedzieć, nie był osobą. Był obiektem przemysłowym na nogach.

- Witam, Manny - przywitałem się, a moja dłoń znikła w jednej z monstrualnych łap przytwierdzonych do nadgarstków.

- Cześć, panie Doohan. Jakiś problem?

- Smutek - powiedziałem.

- Musimy zatem bliżej się temu przyjrzeć - powiedział Manny.

I uśmiechnął się.

Razem z Mannym szliśmy ostrożnie po oblodzonych chodnikach i ulicach, zmierzając przez ogród miejski do Centrum Terapeutycznego Lecznicy Smutku na Beacon Street. Manny uprzejmie wyjaśnił mi po drodze, że popełniłem łatwą do

wy tłumaczenia i często zdarzającą się pomyłkę, wchodząc do budynku, gdzie mieściły się biura Lecznicy Smutku, chociaż szukałem pomocy o charakterze bardziej terapeutycznym.

- Oczywiście - zgodziłem się.

- A więc, co pana niepokoi, panie Doohan?

Manny miał niezwykle delikatny tembr głosu jak na mężczyznę o takiej posturze. Był to spokojny, miły głos wujka.

- No, tego dokładnie nie wiem, Manny - powiedziałem, gdy czekaliśmy na rogu ulic Beacon i Arlington na przerwę w ruchu ulicznym w godzinach szczytu.

- Ostatnio robię się coraz bardziej smutny, obserwując to, co się dookoła dzieje. Mam na myśli świat, rozumiesz. Amerykę.

Gdy ruch na moment zelżał, Manny wziął mnie za łokieć i przeprowadził przez ulicę. Jego dłoń była pewna, silna, a on poruszał się krokiem mężczyzny, który nie wie, co to wahanie. Gdy dotarliśmy na drugą stronę Beacon Street, uwolnił mój łokieć i ruszyliśmy dalej w przenikliwym wietrze.

- Czym się pan zajmuje?

- Reklamą - powiedziałem.

- Aha - pokiwał głową. - No, tak. Członek świata mass mediów.

- Skoro tak uważasz, Manny.

Gdy zbliżyliśmy się do Centrum Terapeutycznego zauważyłem charakterystyczną grupkę nastolatków w identycznych białych koszulach i doskonale wyprasowanych oliwkowych spodniach. Chłopcy byli porządnie ostrzyżeni, wszyscy mieli na sobie skórzane kurtki lotnicze.

- Czy otrzymaliście już przesłanie? - zapytał jeden z nich starszą parę idącą przed nami.

Chciał wręczyć kobiecie kartkę papieru, ale ona zrobiła unik i jego lewa ręka zawisała w powietrzu.

- Posłańcy - poinformowałem Manny'ego.

- Tak - westchnął Manny. - Z jakiś powodów upodobali sobie to miejsce.

Bostończycy nazywają „posłańcami” młodych, żarliwych nastolatków, którzy jak spod ziemi pojawiali się w tłumie przechodniów i wciskali im do ręki swoje pisemka. Byli to najczęściej chłopcy, rzadziej spotykało się wśród nich dziewczyny, ubrani w biało-oliwkowe stroje, wszyscy krótko ostrzyżeni, a w ich oczach było zwykle coś miłego i niewinnego z ledwo dostrzegalnym cieniem egzaltacji.

Ci członkowie Kościoła Prawdy i Objawienia byli niezwykle uprzejmi. Chcieliby zająć ci jedynie pięć minut, abyś posłuchał ich „przesłania”, które, o ile się nie mylę, miało coś wspólnego z nadchodzącą Apokalipsą i z tym, co się stanie, gdy czterej jeźdźcy spłyną z Nieba i pogalopują wzdłuż Tremont Street, ziemia otworzy się i piekło pochłonie wszystkich grzeszników lub tych, którzy ignorowali „przesłanie”, co według mnie wychodziło na jedno.

Niektóre z tych dzieciaków naprawdę ciężko pracowały, tańcząc wokół ludzi i płacząc się między nogami tłumu przechodniów śpieszących do domów po dniu ciężkiej pracy.

- Nie chce pan przeczytać przesłania, póki jest jeszcze czas? - jeden z nich rozpaczliwie namawiał mężczyznę, który nie zatrzymując się, wziął od niego kartkę, ale zaraz potem rzucił ją na ziemię.

Manny i ja byliśmy jednak dla nich zupełnie niewidoczni. Żaden dzieciak nie podszedł do nas, gdy zbliżaliśmy się do drzwi Centrum Terapeutycznego. Co więcej, jak na komendę odsunęli się nawet od nas.

Spojrzałem na Manny'ego.

- Znasz te dzieciaki?

Potrząsnął swoją masywną głową.

- Nie.

- Ale one zachowują się tak, jakby znały ciebie.

- Pewnie rozpoznają mnie, bo często tu bywam.

- Jasne - powiedziałem.

Kiedy Manny otworzył drzwi i usunął się na bok, abym pierwszy mógł wejść do środka, jeden z chłopców spojrzał na niego. Miał nie więcej jak siedemnaście lat, na policzkach widać było ślady po trądziku, nogi miał pałakowate i był taki chudy, że obawiałem się, czy jakiś mocniejszy podmuch wiatru nie zwieje go z ulicy. Patrzył na Manny'ego nie dłużej niż ułamek sekundy, ale jego spojrzenie było bardzo znaczące.

Ten dzieciak z pewnością znał Manny'ego i bał się go.

6

- Cześć!
- Cześć!
- Cześć!
- Miło cię widzieć!

Gdy wchodziliśmy, w drzwiach minęły nas cztery osoby. Boże, cóż to byli za szczęśliwi ludzie. Trzy kobiety i jeden mężczyzna, twarze wszystkich promieniały radością, oczy były jasne i przejrzyste, a ich ciała, cholera, wręcz przeżyły się z wigorem.

- Personel? - zapytałem.
- Hmmm? - nie dosłyszał Manny.
- Ci czworo - powiedziałem. - Personel?
- I klienci - wyjaśnił Manny.
- To znaczy niektórzy z nich to personel, a niektórzy klienci?
- Tak - potwierdził Manny.

Udaje głupiego ten nasz bydlak, Manny.

- Nie wyglądają na powalonych smutkiem.
- Naszym zadaniem jest leczenie, panie Doohan. Można bypowiedzieć, że pańska ocena to reklama naszych działań, nie sądzi pan?

Przeszliśmy przez foyer i zaczęliśmy wchodzić po paradnych schodach, które zajmowały prawie całą przestrzeń parteru. Na stopniach leżał dywan, a z sufitu zwisał żyrandol wielkości cadillaca. Sporo smutku musieli przerobić, żeby zapłacić za takie miejsce. Nic dziwnego, że wszyscy wydawali się tacy szczęśliwi. Smutek, jak widać, to kwitnący przemysł.

Na piętrze Manny otworzył olbrzymie, dwuskrzydłowe dębowe drzwi i nagle znaleźliśmy się na parkiecie, który jak mi się wydawało, rozciągał się co najmniej kilometr przed nami. Kiedyś była to z pewnością sala balowa. Sufit, znajdujący się na wysokości drugiej kondygnacji, był pomalowany na niebiesko, a na całej jego powierzchni widniały złote figury aniołów i postacie mitologiczne. Przestrzeń dzieliło

z nimi kilka kolejnych żyrandoli wielkości cadillaków. Na ścianach wisiały ciężkie kotary w kolorze burgunda i rzymskie arrasy. Na podłodze, na której niegdyś tańczyli i plotkowali bostońscy wiktorianie, stały kanapy, fotele i kilka biurek.

- Niezły budynek - powiedziałem.

- To prawda - przytaknął Manny, a kilkoro ugodzonych smutkiem radosnych ludzi spojrzęło w naszą stronę ze swoich kanap.

Mogłem się tylko domyślać, że niektórzy z nich byli klientami, a inni doradcami, ale nie miałem pojęcia, jak ich odróżnić, i wydawało mi się, że Manny niewiele by mi w tym pomógł.

- Proszę państwa - zwrócił się do nich Manny, gdy przechodziliśmy przez labirynt kanapek - to jest Deforest.

- Cześć, Deforest - przywitało mnie chórem dwadzieścia głosów.

- Cześć - odpowiedziałem i zacząłem się rozglądać, do czego byli podłączeni.

- Deforest cierpi na apatię końca dwudziestego wieku - powiedział Manny, prowadząc mnie na koniec sali. - To coś, co wszyscy dobrze znamy.

- Tak. O, tak - zawołało kilka głosów, jakbyśmy byli na spotkaniu zielonoświątkowców w duchu odnowy religijnej i śpiewający gospel za chwilę mieli się rzucić na podłogę.

Manny zaprowadził mnie do biurka w samym kącie sali i ruchem dłoni wskazał stojący obok fotel. Fotel był pluszowy i tak miękki, że miałem wrażenie, jakbym się w nim zatopił. Rozsiadłem się wygodnie, a Manny znowu górował nade mną, ponieważ usiadł na twardym krześle za biurkiem.

- No więc, Deforest - powiedział, wyciągając z szuflady pusty notes, który rozłożył na blacie - jak możemy ci pomóc?

- Nie jestem pewien, czy w ogóle możecie.

Przechylił się do tyłu na krześle, otworzył szeroko ramiona i uśmiechnął się.

- Spróbujmy.

Wzruszyłem ramionami.

- Może to był głupi pomysł. Po prostu przechodziłem obok budynku, zobaczyłem napis...

Znowu wzruszyłem ramionami.

- I poczułeś szarpnięcie.

- Co?

- Szarpnięcie. - Nachylił się w moją stronę. - Czujesz się wyobcowany, prawda?

- Trochę - przyznałem, patrząc na swoje buty.

- Może trochę, a może bardzo. Zobaczymy. Ale w każdym razie wyobcowany. Wyszedłeś na spacer, dźwigając na piersi ciężar, który od tak dawna już cię przygniata, że niemal przestałeś zwracać na niego uwagę. I zobaczyłeś ten napis. Lecznica Smutku. Poczuleś, jak cię przyciąga. Bo właśnie tego potrzebowałeś. Wyleczenia. Z zagubienia. Z samotności. Ze swojego wyobcowania. - Uniósł brwi. - Brzmi rozsądnie?

Przełknąłem ślinę, odwróciłem wzrok od wlepionych we mnie jego oczu, jakbym nie mógł tego dłużej znosić.

- Może.

- Żadne „może” - powiedział. - Tak. Jesteś zbolały, Deforest. A my możemy ci pomóc.

- Możesz? - zapytałem, nadając mojemu głosowi lekkie drżenie. - Możesz? - zapytałem jeszcze raz.

- My możemy. Jeżeli - uniósł w górę palec - zaufasz nam.

- Niełatwo jest ufać - powiedziałem.

- Zgadzam się. Jednak podstawą naszej współpracy musi być zaufanie, jeżeli to ma zadziałać. Musisz mi zaufać. - Uderzył się w pierś. - A ja muszę zaufać tobie. W ten sposób uda nam się wypracować między nami związek.

- Jaki związek?

- Ludzki. - Jego głos stał się jeszcze bardziej miękki. - Tylko taki się liczy. Właśnie tego pozbawił cię smutek, tego pozbawił cię ból, Deforest - brakuje ci związku z innymi ludźmi. W przeszłości źle ulokowałeś swoje zaufanie, załamała się twoja wiara w ludzi, to cię zniszczyło. Zostałeś zdradzony. Oszukany. Postanowiłeś więcej nikomu już nie ufać. Zgadzam się, że to cię do pewnego stopnia chroni. Ale zarazem izoluje od reszty ludzkości. Żyjesz bez żadnej więzi, jesteś wyobcowany. A jedyną drogą, abyś ponownie odnalazł swoje miejsce na świecie i poczuł związek z innymi, jest zaufanie.

- I ty chcesz, żebym zaufał tobie.

Pokiwał głową.

- W końcu musisz zaryzykować.

- Ale dlaczego mam zaufać właśnie tobie?

- Udowodnię ci, że możesz mi ufać. Wierz mi. Ale to droga w dwie strony, Deforest.

Zmrużyłem oczy.

- Ja muszę zaufać tobie - powiedział.

- Ale jak mam udowodnić, że jestem godny twojego zaufania, Manny?

Skrzyżował ręce na brzuchu.

- Możesz zacząć od tego, że powiesz mi, dlaczego nosisz spluwę.

Był dobry. Mój pistolet w kaburze przyczepiony był do paska na plecach. Miałem na sobie luźny garnitur skrojony na modłę europejską, na to zarzucony czarny płaszcz, co miało podkreślać mój ekscentryczny wygląd człowieka reklamy, i żaden z tych ciuchów nie ujawniał obecności spluwy. Manny był bardzo dobry.

- Strach - powiedziałem, usiłując przybrać lękliwy wygląd.

- Aha! Rozumiem.

Nachylił się nad blatem i napisał na kartce w linie słowo „strach”. Na marginesie dopisał: „Deforest Doohan”.

- Rozumiesz?

Jego twarz była bez wyrazu, zupełnie pusta.

- Jakiś szczególny strach?

- Nie - powiedziałem. - Po prostu ogólne poczucie, że świat jest bardzo niebezpiecznym miejscem i czasami czuję się w nim zagubiony.

Pokiwał głową.

- Jasne. W naszych czasach to dość powszechne uczucie. Ludzie często miewają wrażenie, że nawet zupełnie mała rzecz wymyka im się spod kontroli w tym olbrzymim współczesnym świecie. Czują się wyalienowani, malutcy, pełni obaw, że zagubią się we wnętrznościach technokracji, w uprzemysłowionym świecie, który już tak bardzo się rozwinął, że nie jest w stanie kontrolować swoich najgroźniejszych impulsów.

- Coś w tym guście - potwierdziłem.

- Jak powiedziałeś, to fin de siècle, zjawisko charakterystyczne dla końca każdego stulecia.

- Tak.

Nie mówiłem o fin de siècle'u w obecności Manny'ego.

A to znaczy, że w biurach mają podsłuch.

Staralem się niczego po sobie nie pokazać, ale Manny chyba dojrzał coś w moich oczach, bo zmarszczył czoło, a między nami dał się wyczuć wzrost temperatury po nagłym rozpoznaniu.

Plan był taki, aby Angie weszła do budynku, zanim zostanie włączony system

alarmowy. Rzecz jasna, mogłaby go uruchomić w czasie drogi powrotnej, ale zanim ktokolwiek przybyłby na miejsce, po niej nie byłoby już śladu. Taka była teoria, ale żadne z nas nie przewidziało wewnętrznego systemu podsłuchu.

Manny wpatrywał się we mnie badawczo, uniósł wysoko ciemne brwi, a brodę oparł na namocie ze złożonych dłoni. Już nie wyglądał na słodkiego, dużego misia, ani na doradcę w kwestii smutku. Wyglądał jak groźny skurczybyk, z którym nie należało zadzierać.

- Kim pan jest, panie Doohan? Naprawdę.

- Jestem kierownikiem w firmie reklamowej, pogrążonym w głębokim smutku z powodu regresu współczesnej kultury.

Usunął ręce spod brody, obejrzał je dokładnie.

- Tak, pańskie ręce nie są zbyt delikatne - zauważył. - A niektóre kostki wyglądają tak, jakby przed laty były połamane. Twarz zaś...

- Moja twarz?

Czułem, że w sali za mną zrobiło się cicho.

Manny spojrzał na coś lub na kogoś za moimi plecami.

- Tak, pańska twarz. W odpowiednim świetle widać blizny na policzkach, pod zarostem. Przypominają blizny po nożu, panie Doohan. A może po brzytwie?

- A kim ty jesteś, Manny? - zapytałem. - Nie wyglądasz jak doradca psychologiczny od smutku.

- Och, ale nie o mnie tu chodzi. - Znowu spojrzał ponad moje ramię i w tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu na jego biurku. Uśmiechnął się i podniósł słuchawkę. - Tak? Jego lewa brew powędrowała do góry, a wzrok spoczął na mnie. - To się trzyma kupy - powiedział do słuchawki. - Zapewne nie działa sam. Ktokolwiek jest w biurze - uśmiechnął się do mnie - przywalcie im porządnie. Upewnijcie się, że pocują.

Manny odłożył słuchawkę i sięgnął do szuflady biurka, ale ja w tym samym momencie pchnąłem nogą biurko tak mocno, że fotel, na którym siedziałem, przewrócił się, a biurko przygwoździło Manny'ego do ściany.

Gość, który za moimi plecami porozumiewał się wzrokiem z Mannym, zaszedł mnie z prawej, ale wyczułem go wcześniej, niż zobaczyłem. Odwróciłem się na pięcie, wyciągnąłem łokieć i przyłożyłem mu w twarz, tak że aż zabołało mnie czułe miejsce w łokciu, a palce na chwilę zdrętwiały.

Manny odepchnął biurko i wstał, ale ja byłem już przy nim i wtykałem mu lufę

pistoletu do ucha.

Manny okazał się niezwykle opanowany jak na faceta, który ma przystawioną do głowy broń automatyczną. Nie wyglądał też na przestraszonego. Wyglądał na kogoś, kto już przedtem był w takich sytuacjach. Wyglądał na znudzonego.

- Chcesz ze mnie zrobić zakładnika, tak? - Zachichotał. - Jestem dość sporym zakładnikiem, nie sądzisz, głupku? Przemyślałeś to?

- Tak, przemyślałem.

Walnąłem go w skroń kolbą pistoletu.

Niektórym facetom absolutnie by to wystarczyło. Jak na filmach, zwałiliby się na podłogę niczym wory i leżeliby tam, ciężko dysząc. Ale nie Manny, zresztą wcale tego po nim nie oczekiwałem.

Kiedy jego głowa wróciła po uderzeniu na swoje miejsce, przyłożyłem mu jeszcze raz w miejsce, gdzie szyja styka się z obojczykiem i jeszcze raz w skroń. Ostatni cios był szczęśliwy, ponieważ Manny właśnie podnosił do góry swoje potężne ramiona i mógłby cisnąć mną przez całą salę jak poduszką, gdyby zamiast tego nie musiał złapać się za głowę. Po chwili chwycił za przewrócone krzesło i roztrzaskał je o podłogę z większym hukiem, niż uczyniłby spadający z sufitu fortepian.

Wywinąłem mu się i wycelowałem pistolet w stronę faceta, któremu przywaliłem łokciem. Był mizernej postury, a czarne włosy z przedziałkiem pośrodku głowy rozchodziły się na boki wokół łysiny na czubku czaszki. Podnosił się niezdarnie z podłogi, a krew kapiała mu z rozbitej twarzy do złożonych dłoni.

- Hej, ty - powiedziałem. - Dupku.

Spojrzał na mnie.

- Połóż ręce na głowie i ruszaj przede mną. Zamrugaj powiekami.

Wyciągnąłem w jego stronę rękę z pistoletem.

- Rób, co ci każę.

Splótł palce dłoni na czubku głowy i ruszył przed siebie, czując mój pistolet między łopatkami. Tłumek promiennych, szczęśliwych ludzi rozstępował się przed nami i nikt z nich nie wyglądał już tak promienie i szczęśliwie. Wyglądali na rozdrażnionych, jak osy, którym ktoś zniszczył gniazdo.

W połowie drogi przez salę balową zauważyłem za biurkiem jakiegoś faceta, który trzymał przy uchu słuchawkę telefonu.

Odbezpieczyłem pistolet i skierowałem lufę w jego stronę. Natychmiast opuścił słuchawkę.

- Odłóż to - poleciłem.

Ręka mu drżała, gdy to robił.

- Odejdź od biurka.

Posłuchał.

- Niech nikt nie dzwoni na policję - zawołał idący przede mną mężczyzna z zakrwawioną twarzą.

- Masz poważne kłopoty - rzucił mi przez ramię.

- Jak masz na imię? - zapytałem i szturchnąłem go lufą plecy.

- Pieprz się - odparł.

- Fajne imię. Czy to szwedzkie?

- Już po tobie.

- Hmmm.

Wyciągnąłem wolną rękę i uderzyłem go lekko palcami po złamanym nosie.

- Och, Boże - szepnęła stojąca nieruchomo z lewej strony kobieta, a pan Pieprz Sie jęknął i zatoczył się, po czym znowu odzyskał równowagę.

Kiedy doszliśmy do podwójnych drzwi, zatrzymałem pana Pieprz Sie, kładąc mu wolną rękę na ramieniu, a muszkę pistoletu przytykając do podbródka. Następnie sięgnąłem do jego tylnej kieszeni i wyciągnąłem z niej portfel, otworzyłem go i przeczytałem imię i nazwisko z prawa jazdy: John Byrne. Wsadziłem portfel do kieszeni swojego płaszcza.

- Johnie Byrne - wyszeptalem mu do ucha - jeżeli po drugiej stronie tych drzwi ktoś stoi, dostaniesz dodatkową kulkę w łeb. Rozumiesz?

Po jego policzku spływała krew i pot prosto na kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli.

- Rozumiem - powiedział.

- Świetnie. Teraz wychodzimy, John.

Odwróciłem się i spojrzałem na szczęśliwych ludzi. Nikt się nie poruszył. Domyśliłem się, że tylko Manny miał w biurku pistolet.

- Jeżeli ktoś z was wyjdzie za nami tymi drzwiami - oświadczyłem lekko zachrypniętym głosem - zginie. Jasne?

W odpowiedzi otrzymałem kilka nerwowych kiwnięć głową, a potem John Byrne otworzył drzwi.

Popchnąłem go, trzymając mocno, i stanęliśmy na szczycie schodów.

Klatka schodowa była pusta.

Odwróciłem Johna Byrne'a wokół osi, tak że stanął twarzą do sali balowej.

- Zamknij drzwi.

Zrobił, o co go prosiłem, więc odwróciłem go z powrotem i zaczęliśmy powoli schodzić po schodach. Naprawdę, niewiele jest miejsc, gdzie człowiek miałby mniej możliwości manewru i ukrycia się niż na paradnych schodach. Nerwowo usiłowałem przetykać ślinę, rozglądając się czujnie na lewo, na prawo, w dół i do tyłu, ale w ustach miałem sucho. W połowie drogi poczułem, że ciało Johna napina się, przyciągnąłem go więc bliżej siebie i szturchnąłem lufą w plecy.

- Zastanawiasz się, czy nie zrzucić mnie ze schodów, John?

- Nie - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Nie.

- Dobrze - pochwaliłem go. - To byłoby naprawdę głupie.

Poczułem, że jego ciało zwiotczało, pchnąłem go więc i spokojnie zeszliśmy na sam dół. Jego krew wymieszana z potem zabrudziła rękaw mojego płaszcza, tworząc wilgotną, rdzawą plamę.

- Zniszczyłeś mój płaszcz, John. Spojrzał przez ramię.

- Zejdzie.

- To krew. Na prawdziwej wełnie, John.

- Dobra pralnia chemiczna, no wie pan...

- Mam nadzieję - powiedziałem. - Bo jeżeli nie zejdzie, mam twój portfel. A to znaczy, że wiem, gdzie mieszkasz. Pomyśl o tym, John.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami prowadzącymi do foyer.

- Myślisz o tym, John?

- Tak.

- Czy ktoś czeka na nas na zewnątrz?

- Nie mam pojęcia. Może gliny.

- Ja nie mam problemów z gliniarzami - powiedziałem. - Z przyjemnością dam się aresztować, John. Rozumiesz?

- Domyślam się.

- Obawiam się tylko, John, stada takich monstrów jak Manny, które może na nas czekać na Beacon Street z większą liczbą spluw, niż ja mam.

- Co ja mam na to powiedzieć? - zapytał. - Nie wiem, co nas czeka na zewnątrz. I tak będę tym, którego dosięgnie pierwsza kula.

Pogładziłem go lufą po podbródku.

- I druga, John. Pamiętaj o tym.

- Kim ty, do cholery, jesteś, człowieku?

- Jestem naprawdę przerażonym facetem z piętnastoma kulami w magazynku. Oto kim jestem. Co się wyrabia w tym miejscu? To jakaś sekta?

- Nic z tego - powiedział. - Możesz mnie zastrzelić, ale nic ze mnie nie wyciągniesz.

- Desiree Stone - powiedziałem. - Znasz ją, John?

- Naciśnij spust, człowieku. Nic nie powiem. Przysunąłem się do niego, spojrzałem na jego profil, w jego lewe oko, miotające się w oczodole.

- Gdzie ona jest? - zapytałem.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Nie miałem czasu, aby dłużej go o to pytać, czy też wydusić z niego odpowiedź. Miałem za to jego portfel i to powinno wystarczyć na drugą randkę w przyszłości.

- Miejmy nadzieję, że to nie jest ostatnia minuta naszego życia, John - powiedziałem i pchnąłem go przed sobą przez foyer.

7

We frontowych drzwiach Lecznicy Smutku, Inc., wykonanych z drewna czarnej brzozy, szklany był tylko wizjer pośrodku. Po prawej stronie drzwi była ceglana ściana, ale po lewej dwa niewielkie prostokąty grubego zielonego szkła, które zaparowało na skutek różnicy temperatur na zewnątrz i w środku.

Pchnąłem Johna Byrne'a na kolana przed szklanymi otworami i przetarłem szkło rękawem. Niewiele to pomogło; efekt przypominał wyglądanie z sauny przez dziesięć warstw plastikowej folii. Beacon Street majaczyła przed moimi oczami niczym impresjonistyczny obraz, niewyraźne sylwetki, w których z trudem rozpoznawałem ludzi, poruszały się w płynnej mgłę, białe światło ulicznych lamp i żółte lamp gazowych pogarszało jeszcze sytuację i miałem wrażenie, że spoglądam na prześwietloną fotografię. Po drugiej stronie ulicy widziałem kępy drzew z ogrodu miejskiego, ale nie mogłem rozróżnić ich sylwetek. Nie widziałem wyraźnie przedmiotów, ale zauważyłem między drzewami kilka małych niebieskich świateł, regularnie pulsujących. Nie byłem w stanie stwierdzić, co dzieje się na zewnątrz, ale i tak nie mogłem dłużej stać przed drzwiami. Z sali balowej dobiegały mnie coraz bardziej donośne głosy, a poza tym w każdej chwili ktoś mógł otworzyć drzwi od zewnątrz.

Wczesnym wieczorem na Beacon Street, tuż po godzinach szczytu, nadal powinno być sporo ludzi. Gdyby nawet przed budynkiem czekało na nas stadko uzbrojonych klonów Manny'ego, nie przypuszczałem, żeby zabili mnie na oczach przechodniów. Ale, niestety, tego też nie byłem pewien. Gdyby się okazali islamskimi ekstremistami, moja śmierć mogłaby przyspieszyć ich spotkanie z Allahem.

- Do diabła z tym - powiedziałem i postawiłem Johna na nogi. - Idziemy.
- Cholera - mruknął.

Wziąłem szybko kilka głębokich oddechów.

- Otwórz drzwi, John.

Jego dłoń na próżno prześliznęła się wokół gałki. Po chwili opuścił ją i wytarł o spodnie.

- Zdejmij drugą rękę z głowy, John. Tylko nie próbuj niczego głupiego.

Opuścił drugą rękę i spojrzał na gałkę. Na górze coś ciężkiego upadło na podłogę.

- Spróbujesz jeszcze, John?

- Tak.

- Na przykład teraz - zaproponowałem.

- Tak.

Znowu wytarł rękę o nogawkę spodni.

Westchnąłem, wyciągnąłem rękę i sam otworzyłem drzwi, pakując pistolet za pasek spodni, gdy już stanęliśmy na schodach.

Tam zderzyliśmy się niemal twarzą w twarz z policjantem.

Biegł wzdłuż budynku, gdy kątem oka zauważył przy wejściu jakiś ruch. Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na nas.

Jego prawa ręka powędrowała do biodra, zatrzymała się tuż nad splotem, a on utkwiał wzrok w zakrwawionej twarzy Johna.

Na rogu Arlington, przed budynkiem, gdzie znajdowały się biura Lecznicy Smutku, stało kilka radiowozów, ich błękitne i białe światła migotały między drzewami w parku i odbijały się od czerwonych cegieł baru Cheers.

Gliniarz omiótł wzrokiem okolice, a potem znowu spojrzał na nas. Był to muskularny byczek z rudymi włosami i perkatym nosem, o wystudiowanym spojrzeniu gliniarza lub punka z sąsiedniej dzielnicy. Z uwagi na sposób, w jaki się poruszał, ktoś mógłby go wziąć za dość powolnego młodziaka i nigdy by się nie dowiedział, jak bardzo się mylił, gdyby chłopak mu tego nie udowodnił. Boleśnie.

- Hej, mają panowie jakiś problem?

Stojący przede mną John skutecznie mnie zasłaniał przed wzrokiem policjanta, mogłem więc poprawić splot za paskiem i zapiąć marynarkę.

- Nie, panie władzo. Muszę zaprowadzić kolegę do szpitala.

- Aha, widzę - powiedział chłopak, wchodząc stopień wyżej na schody. - Co się panu stało w twarz?

- Spadłem ze schodów - wyjaśnił John.

Ciekawe posunięcie, John. Wystarczyło powiedzieć prawdę, aby się mnie pozbyć. Nie zrobiłeś tego jednak.

- I zatrzymał się pan na twarzy, tak?

John zachichotał, a ja zapiąłem płaszcz.

- Niestety - powiedział.

- Mógłby pan wyjść zza pleców kolegi?

- Ja? - zapytałem.

Chłopak pokiwał głową. Stałem z prawej strony Johna.

- Czy mogliby panowie zejść tu do mnie na chodnik?

- Jasne - powiedzieliśmy chórem.

Chłopak nazywał się Largeant, zauważyłem jego nazwisko na identyfikatorze, gdy zbliżyliśmy się na tyle, że mogłem odczytać napis. Kiedyś zostanie sierżantem. Sierżant Largeant. Miałem przecucie, że nie będzie miał z tym trudności. Mógłbym się nawet założyć, że ten chłopak z niczym nie będzie miał trudności.

Wyciągnął zza paska latarkę, poświecił na drzwi Lecznicy Smutku i odczytał napis na złotej plakietce.

- Panowie tu pracują?

- Ja tak - przytaknął John.

- A pan?

Largeant odwrócił się w moją stronę i światło latarki przez chwilę nieprzyjemnie raziło mnie w oczy.

- Jestem przyjacielem Johna - powiedziałem.

- Pan jest John?

Strumień światła znalazł oczy Johna.

- Tak, panie władzo.

- John...?

- Byrne.

Largeant pokiwał głową.

- Trochę mnie boli to zranienie, panie władzo. Zamierzaliśmy właśnie udać się do pobliskiego Mass General, żeby ktoś opatrzył mi twarz.

Largeant ponownie pokiwał głową i spojrzał na swoje buty. Wykorzystałem ten moment, aby wyjąć z kieszeni płaszcza portfel Johna Byrne'a.

- Mógłbym zobaczyć panów dokumenty tożsamości? - zapytał Largeant.

- Dokumenty tożsamości? - powtórzył John.

- Panie władzo - powiedziałem i otoczyłem Johna ramieniem, jakbym chciał go podtrzymać. - Mój przyjaciel może ma wstrząs mózgu.

- Chciałbym zobaczyć jakieś dokumenty - nalegał Largeant i uśmiechnął się, aby zrównoważyć ostrzejszy ton swojego głosu. - Proszę się odsunąć od przyjaciela. I to już.

Wsadziłem portfel za pasek od spodni Johna, odsunąłem rękę i zacząłem grzebać w swoich kieszeniach. John znowu cichutko zachichotał.

Z uśmiechem podał Largeantowi portfel.

- Proszę.

Kiedy Largeant otworzył portfel, rosnący od pewnego czasu tłumek gapiów zdecydowanie się przybliżył. Ludzie gromadzili się w pobliżu w zasadzie cały czas, ale kiedy zaczęło się robić naprawdę interesująco, postanowili podejść bliżej. Byli wśród nich posłańcy, których widzieliśmy wcześniej, wybałuszali oczy i szeptem komentowali dekadenski happening rodem z końca dwudziestego stulecia, który rozgrywał się przed ich nosem. Dwaj mężczyźni zatrzymani na Beacon Street, to kolejny znak zbliżającej się Apokalipsy.

Część gapiów wyglądała na urzędników, którzy skończyli właśnie popijać kawę w oddalonym o pięćdziesiąt jardów punkcie sieci Starbuck, byli wśród nich także okoliczni mieszkańcy spacerujący w pobliżu z psami. Wypatrzyłem też kilku klientów baru Cheers, którzy najwidoczniej uznali, że kolejne piwo mogą wypić trochę później.

Najgorsi byli ci, których wcale nie chciałbym tu widzieć. Elegancko ubrani faceci w szczelnie pozapinanych płaszczach nie spuszczali ze mnie wzroku. Odlani z tej samej formy co Manny. Rozstawieni w różnych miejscach na skraju tłumku, tak że z łatwością mogliby mnie dopaść, niezależnie od tego, czy zdecydowałbym się pójść wzdłuż Arlington, skręcić w Charles, czy przejść na drugą stronę do ogrodu miejskiego. Poważni faceci o wrednym wyglądzie.

Largeant oddał portfel Johnowi, który uśmiechnął się do mnie z satysfakcją i schował go do kieszeni spodni.

- Teraz pan.

Wręczyłem mu swój portfel, a on obejrzał dokumenty, świecąc na nie latarką. John omal nie skręcił sobie szyi, kiedy w możliwie dyskretny sposób chciał też tam zerknąć, ale Largeant za szybko zamknął portfel.

Napotkałem wzrok Johna i też się uśmiechnąłem. Może następnym razem będzie miał więcej szczęścia.

- Proszę podejść, panie Kenzie - powiedział Largeant, a ja poczułem, jak kilka moich wewnętrznych organów spadło mi z hukiem do żołądka.

Oddał mi portfel, a na twarzy Johna Byrne'a zagościł uśmiech wielkości Rhode Island, po czym powtórzył pod nosem „Kenzie” i pokiwał z satysfakcją głową.

O mało nie załkałem.

Spojrzałem na Beacon Street i zobaczyłem coś, co akurat w ciągu ostatnich pięciu minut nie było powodem mojego zmartwienia - wzdłuż ogrodu miejskiego wolno jechała Angie w naszej brązowej crown victorii. Wewnątrz wozu było ciemno, ale widziałem żarzący się ognik jej papierosa, za każdym razem, gdy podnosiła go do ust.

- Panie Kenzie? - usłyszałem ciepły głos.

To był Largeant, który wpatrywał się we mnie jak szczeniak, a ja przeraziłem się jeszcze bardziej, ponieważ doskonale zdawałem sobie sprawę, co będzie dalej.

- Chciałbym tylko uścisnąć panu rękę.

- Nie, nie - zaproponowałem ze słabym uśmiechem.

- Ależ tak - nalegał John. - Uściśnij rękę temu człowiekowi!

- Proszę, panie Kenzie. To byłby dla mnie wielki honor, gdybym mógł uścisnąć dłoń człowiekowi, który przyskrzylnił tych drani Arujo i Glynnę.

Słyszając to, John Byrne uniósł brwi.

Posłusznie uścisnąłem dłoń Largeanta, chociaż miałem ochotę kopnąć tego durnia w tyłek.

- Cała przyjemność po mojej stronie - wydusiłem z siebie. Largeant cały czas się uśmiechał, kłaniał i omal nie rozpadł się na kawałki z radości.

- Wiecie, kto to jest? - zwrócił się do tłumku.

- Nie, proszę nam powiedzieć!

Odwróciłem głowę i zobaczyłem Manny'ego, który stał za mną na schodach i uśmiechał się jeszcze szerzej niż John.

- To jest - wyjaśnił Largeant - Patrick Kenzie, prywatny detektyw, który pomógł schwycić seryjnego mordercę Gerry'ego Glynnę i jego współnika. Bohater, który w listopadzie uratował kobietę i jej dziecko w Dorchester. Pamiętacie?

Kilka osób zaczęło bić brawo. A najgłośniej Manny i John Byrne.

Z trudem opanowałem się, aby nie zakryć twarzy dłońmi i nie rozplakać się w głos.

- Oto moja wizytówka - Largeant wcisnął mi do ręki kartonik. - Gdyby pan miał ochotę pogadać lub potrzebowałby pan pomocy w jakiejś sprawie, proszę dzwonić, panie Kenzie.

Gdybym tylko potrzebował pomocy w jakiejś sprawie. Tak. Dzięki.

Gdy tylko okazało się, że jednak nie dojdzie do strzelaniny, tłum zaczął się rozchodzić. Wszyscy poza facetami o kamiennych twarzach, w szczelnie zapiętych płaszczach - ci usunęli się tylko na bok, aby inni mogli przejść, i cały czas bacznie mi

się przyglądali.

Manny zszedł po schodach na chodnik, stanął obok mnie i pochylił się nad moim uchem.

- Cześć - powiedział.

- No tak, domyślam się, że musi pan już odwiedzić swojego przyjaciela do szpitala, a na mnie też czas, muszę iść tam - powiedział Largeant i wskazał ręką w stronę Arlington Street. Poklepał mnie po ramieniu. - Przyjemnie było pana poznać, panie Kenzie.

- Dziękuję - powiedziałem, a Manny przysunął się krok do mnie.

- Dobranoc.

Largeant odwrócił się i ruszył w stronę przejścia na drugą stronę Beacon Street.

Manny poklepał mnie po ramieniu.

- Przyjemnie było pana poznać, panie Kenzie.

- Chwileczkę, panie władzo - zawołałem za Largeantem, gdy Manny opuścił rękę.

Largeant przystanął i odwrócił się do mnie.

- Proszę zaczekać.

Kiedy ruszyłem przez ulicę, drogę zastąpiło mi dwóch osiłków. Jeden z nich spojrzał gdzieś za moimi plecami, skrzywił się, a potem obaj niechętnie się rozstąpili. Szybko ich wyminąłem.

- Tak, panie Kenzie?

Largeant wyglądał na zaskoczonego.

- Pomyślałem, że pójde z panem, sprawdzę, czy nie ma tam kogoś z moich kolegów.

Gestem głowy wskazałem Arlington Street.

- A co z pana przyjacielem, panie Kenzie?

Spojrzałem na Manny'ego i Johna. Nadstawiali uszu, czekając na odpowiedź.

- Manny - zawołałem. - Poradzisz sobie z nim?

- Ja... - zaczął Manny.

- Samochodem będzie szybciej. Miałaś rację.

- Och - powiedział Largeant. - On ma samochód.

- I to fajny. Mam rację, Manny?

- Jasne - odpowiedział Manny z kwaśnym uśmiechem.

- No tak - powiedział Largeant.

- Tak - przytaknąłem. - Manny, lepiej już jedźcie. Powodzenia, John.

Pomachałem im na pożegnanie.

- No więc, panie Kenzie - zaczął Largeant. - Chciałem zapytać pana o Gerry'ego Glynna. Jak pan...

Za nami pojawiła się crown victoria.

- Mam bryczkę! - zawołałem.

Largeant odwrócił się i spojrzał na samochód.

- Żegnaj pana - powiedziałem. - Proszę kiedyś zadzwonić. Naprawdę będzie mi miło. Powodzenia. - Otworzyłem drzwi od strony pasażera. - Życzę szczęścia w pracy. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Cześć.

Usiadłem i zatrzasnąłem drzwi.

- Jedź - rzuciłem.

- Szybko, szybko - powtarzała Angie.

Zostawiliśmy Largeanta, Manny'ego, Johna i osiłeków, skręciliśmy w Arlington, minęliśmy trzy radiowozy zaparkowane przed biurami Lecznicy Smutku, a pulsujące światła odbijały się w oknach jak zimne płomienie.

Kiedy byliśmy pewni, że nikt za nami nie jedzie, Angie zatrzymała się na tyłach baru w Southie.

- Kochanie - odwróciła się do mnie - jak ci minął dzień?

- No więc...

- Zapytaj, jak mnie minął - przerwała mi. - No, szybko. Pytaj.

- Dobra - zgodziłem się. - Jak ci minął dzień, dziecinko?

- Człowieku - powiedziała. - Zjawili się tam w ciągu pięciu minut.

- Kto? Policja?

- Policja! - Żachnęła się - Nie. Te dziwolągi z rozregulowanymi gruczołami. Podobni do tego, który stał obok ciebie, policjanta i tego z rozbitą twarzą.

- Aha - pokiwałem głową. - Ci.

- Bez żartów, Patrick, myślałam, że już po mnie. Siedzę sobie w biurze na tyłach budynku, kopiuję pliki na dyskietki, a tu nagle bum! Wszędzie z hukiem otwierają się drzwi, wyje alarm i... to nie było fajne, współniku, muszę przyznać.

- Dyskietki? - zapytałem.

Wyciągnęła kilka dyskietek opasanych czerwoną gumką.

- A ty - zapytała - czego dokonałeś, poza tym, że przywaliłeś jakiemuś gościowi w twarz i omal nie zostałeś aresztowany?

Angie dostała się na zaplecze biura na chwilę przed tym, gdy w recepcji pojawił się Manny i zabrał mnie do Centrum Terapeutycznego. Czekala tam, aż Ginny pogasi światła, wyłączy ekspres do kawy, poustawi krzesła równo przy biurkach i skończy śpiewać „Foxy Lady”.

- Hendrixa? - zapytałem.

- Darła się na cały głos - powiedziała Angie. - Potwornie przy tym fałszując.

Aż się wzdrygnąłem.

- Powinnaś dostać odszkodowanie.

- Co ty powiesz.

Kiedy Ginny wreszcie sobie poszła, Angie chciała przejść do głównego biura, ale wtedy zauważyła cieniutkie smużki światła przecinające na przestrzał całe pomieszczenie. Krzyżowały się ze sobą jak druty i wybiegały ze ścian w kilku miejscach, niektóre już na wysokości piętnastu centymetrów nad podłogą, inne dwóch metrów.

- Cholerny system alarmowy - powiedziałem.

- Prawdziwe dzieło sztuki. Byłam zaklinowana na tyłach biura.

Zaczęła od przeszukiwania szaf z dokumentacją, ale znalazła jedynie formularze podatkowe, kwestionariusze osobowe i dokumentację dotyczącą pracowników. Włączyła komputer na biurku, ale nie udało jej się dobrać hasła. Właśnie przeszukiwała papiery, gdy usłyszała jakieś hałasy przy drzwiach wejściowych. Przeczuwając, że jej obecność została odkryta, schwyciła lewarek, którym otworzyła wcześniej okno i wyważyła zamek w szufladzie biurka, na dole po prawej stronie. Z drewna poleciały drzazgi, szuflada wypadła z szyn, a Angie wyrzuciła jej zawartość na podłogę. Były tam dyskietki, których szukała.

- Najbardziej właściwym słowem byłaby tu finezja.

- No wiesz co - parsknęła. - Oni ładowali się przez frontowe drzwi z siłą czołgu. Złapałam, co się dało, i dałam nogę przez okno.

Czekał tam na nią jakiś facet, ale kiedy przyłożyła mu kilka razy lewarkiem w głowę postanowił odpocząć chwilę w krzakach.

Wydostała się na Beacon Street przez małe podwórko obok jakiegoś budynku z brązowej cegły i wmiszała się w tłumek studentów Emerson College, którzy śpieszyli się na wieczorny wykład. Szła razem z nimi aż do Berkeley Street, a potem odszukała nasz samochód, który zostawiliśmy na Marlborough Street, w miejscu, gdzie nie wolno było parkować.

- Aha - przypomniała sobie - dostaliśmy mandat.
- Jasne, to było do przewidzenia - powiedziałem. - To było do przewidzenia.

Richie Colgan tak się ucieszył na nasz widok, że omal nie złamał mi stopy, usiłując zatrzaskać na niej drzwi.

- Odejdźcie - powiedział.
- Fajny szlafrok - zauważyłem. - Możemy wejść?
- Nie.
- Proszę - próbowała Angie.

Za jego plecami widać było zapalone świece w salonie i wysokie kieliszki do połowy napełnione szampanem.

- Puszczasz coś Barry'ego White'a? - zapytałem.
- Patrick.

Zacisnął zęby, a w jego gardle coś zaczęło groźnie bulgotać.

- Tak - powiedziałem. - Słyszę „That's Can't Get Enough of Your Love”, Rich.
- Opuśćcie moje progi - powiedział Rich.
- Tylko nie przesadzaj, Rich - poradziła Angie. - Jeżeli wolisz, żebyśmy wrócili...
- Wpuść ich, Richard - usłyszeliśmy głos Sherilynn, jego żony.
- Cześć, Sheri - pomachała jej Angie przez uchylone drzwi.
- Richard - powtórzyła Sherilynn.

Richie odsunął się i weszliśmy do środka.

- Richard - powiedziałem.
- Pieprz mnie - warknął.
- Nie jestem pewien, czy będzie pasować, Rich.

Spojrzał w dół i zobaczył, że ma rozchylony szlafrok. Zapiął się, a kiedy przechodziłem obok niego, dał mi szturchańca w nerkę.

- Ty kutasie - wyszeptałem i mrugnąłem do niego.

Angie i Sherilynn uścisnęły się w kuchni.

- Przepraszamy - powiedziała Angie.
- Nic się nie stało - zapewniła ją Sherilynn. - Cześć, Patrick. Co słyhać?
- Nie bądź dla nich taka miła, Sheri - rzucił Richie.
- W porządku. Świetnie wyglądasz.

Ukloniła się wdzięcznie w swoim czerwonym kimonie, a ja, jak zwykle, patrzyłem na nią z zachwytem i zaczerwieniłem się jak uczeń. Richie Colgan, niewątpliwie

najlepszy felietonista w mieście, był krępy mężczyzną z twarzą wiecznie pokrytą jednodniowym zarostem, a jego hebanowa skóra przyszarzała od permanentnie zarywanych nocy, nadmiaru kofeiny i nieświeżego powietrza. Za to Sherilynn - miała skórę barwy toffee, mlecznoszare oczy, harmonijnie umięśnione smukłe członki, słodki jak muzyka tembr głosu, niczym żywe wspomnienie zachodów słońca na piaszczystych plażach Jamajki, które oglądała codziennie aż do dziesiątego roku życia - była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałem.

Pocałowała mnie w policzek i poczułem delikatny zapach jej skóry.

- No więc - powiedziała - załatwcie to szybko.

- Cholera - westchnąłem - jestem głodny. - Macie coś w lodówce?

Gdy tylko wyciągnąłem rękę w stronę lodówki, Richie zaatakował mnie jak śnieżny pług i dosłownie zmiotł w stronę salonu.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Powiedz mi, że to ważne. - Jego pięść zawisła tuż nad moją twarzą. - Powiedz to, Patrick.

- No...

Opowiedziałem mu, co robiliśmy wieczorem, o Lecznicy Smutku, o Mannym i jego klonach, o spotkaniu z policjantem Largeantem i włamaniu do biura korporacji.

- Mówisz, że widziałeś przed ich siedzibą posłańców?

- Tak. Co najmniej sześciu.

- Hmmm.

- Rich?

- Daj mi dyskietki.

- Co?

- Przecież po to przyszliście, nie?

- Ja...

- Jesteś komputerowym analfabetą. Angie też.

- Przykro mi. Czy to źle?

Wyciągnął rękę.

- Dyskietki.

- Gdybyś mógł tylko...

- Tak, tak, tak.

Wyrwał mi z ręki dyskietki i przez chwilę uderzał nimi o kolano.

- A więc wyświadczam ci kolejną przysługę?

- Tak, coś w tym rodzaju - przyznałem. Przeszłowałem z nogi na nogę, patrząc w sufit.

- Och, Patrick, przestań udawać, że to cię krępuje. - Dźgnął mnie w pierś dyskietkami. - Pomogę ci, ale chcę mieć to, co na nich jest.

- Co to znaczy?

Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Myślisz, że żartuję, tak?

- Nie, Rich, ja...

- Tylko dlatego, że chodziliśmy razem do college'u i tym podobne gówno, wydaje ci się, że powiem: „Patrick ma problem. Cholera, zrobię, co będę mógł”.

- Rich ja...

Podszedł do mnie bliżej i zasyczał.

- Wiesz, kiedy ostatni raz miałem okazję urządzić sobie taki romantyczny wieczór z moją żoną?

Cofnąłem się o krok.

- Nie.

- No tak, ja też nie pamiętam - powiedział głośno. Zamknął oczy i zacisnął pasek szlafroka. - Ja też nie pamiętam - powtórzył, sycząc.

- No dobra, już mnie nie ma - powiedziałem. Znowu zrobił krok w moją stronę.

- Ani mi się waź, dopóki wszystkiego nie ustalimy.

- Dobra.

- Jeżeli znajdę na tych dyskietkach coś, co będę mógł wykorzystać, wykorzystam to.

- Oczywiście - powiedziałem. - Jak zwykle. Jak tylko...

- Nie - przerwał mi. - Nie „jak tylko”. Mam dość tego gównianego „jak tylko”. Jak tylko tobie będzie wygodnie. Nie. Jak tylko ja będę mógł. Patrick. To nowa zasada. Jeśli coś na nich znajdę, wykorzystam, jak tylko będę miał okazję. Dobra?

Spojrzałem na niego, a on na mnie.

- W porządku - powiedziałem.

- Przepraszam. - Przystawił dłoń do ucha. - Nie słyszałem.

- Dobra, Richie. Pokiwał głową.

- Dobra. Kiedy chcesz to mieć?

- Najpóźniej jutro rano.

Pokiwał głową.

- Zgoda. Uściskałem mu dłoń.
- Jesteś mistrzem, Rich.
- Tak, tak. A teraz wynoś się z mojego domu, żebym mógł pójść do łóżka z własną żoną.
- Jasne.
- Natychmiast - dodał.

8

- A więc wiedzą, kim jesteś - powiedziała Angie, gdy wchodziliśmy do mieszkania.

- Tak.

- A to znaczy, że jest kwestią godzin, by się dowiedzieli, kim ja jestem.

- Można przypuszczać.

- Ale nie chcieli, żeby policja cię zatrzymała.

- Coś tu śmierdzi, prawda?

Rzuciła torebkę w salonie koło materaca na podłodze.

- Co Richie o tym sądzi?

- Był dość wściekły, ale miałem wrażenie, że zaczął strzyc uszami, gdy wspomniałem o posłańcach.

Położyła kurtkę na kanapie, która ostatnimi dniami spełniała też rolę szafy na ubrania. Kurtka wylądowała na stercie świeżo przyniesionych z pralni T-shirtów i swetrów.

- Myślisz, że Lecznica Smutku ma jakieś powiązania z Kościołem Prawdy i Objawienia?

- Nie zdziwiłbym się.

Pokiwała głową.

- Nie byłby to pierwszy przypadek, że jakaś sekta, czy co to jest, ma oficjalnie działające organizacje.

- A to dość potężna sekta - dodałem.

- A my pewnie ich rozjuszyliśmy.

- Chyba jesteśmy w tym dobrzy - włączymy za skórę ludziom, którym tacy słabi i mali jak my nie powinni włączyć zaskórę.

Uśmiechnęła się, zapalając papierosa.

- Każdy potrzebuje poletka doświadczalnego.

Podszedłem do łóżka i nacisnąłem pulsujący guzik na automatycznej sekretarce.

- Hej - rozległ się głos Bubby - nie zapomnijcie o dzisiejszym wieczorze. Declan. Dziewiąta.

Angie zmrużyła oczy.

- Bubba wydaje przyjęcie pożegnalne. Byłabym zapomniała.

- Ja też. Pomyśl, jakie wówczas mielibyśmy kłopoty.

Wzdrygnęła się i skuliła.

Bubba Rogowski był naszym kumplem, czego czasami żalowaliśmy. Ale bywało i tak, że znajomość z nim ratowała nam życie, i to nie raz. Bubba był tak olbrzymi, że Manny mógłby się schować w jego cieniu, i ze sto razy groźniejszy. Dorastaliśmy razem - Angie, Bubba, Phil i ja - ale Bubba nigdy nie był, że tak powiem, normalny. I jeżeli nawet miał jakąkolwiek szansę, aby się takim stać, stracił ją już jako nastolatek, gdy zaciągnął się do piechoty morskiej, aby uniknąć więzienia, i został wysłany do Ambasady Amerykańskiej w Bejrucie w tym samym dniu, gdy zamachowiec samobójca staranował bramę budynku i wysadził w powietrze większą część jego oddziału.

Właśnie w Libanie Bubba nawiązał kontakty, które pozwoliły mu później zająć się w Stanach nielegalnym handlem bronią. W ciągu ostatnich dziesięciu lat rozszerzył działalność na jeszcze bardziej dochodowe fałszowanie dokumentów tożsamości, paszportów, pieniędzy, certyfikatów, kart kredytowych, różnych pozwoleń i licencji. Bubba mógł dostarczyć każdemu dyplom Harvardu cztery lata szybciej niż uczelnia, a sam pysznił się dyplomem doktora z Cornell, wiszącym na ścianie wynajmowanego loftu. Ni mniej, ni więcej, tylko z nauk ścisłych. Nieźle jak na faceta, który zakończył edukację na trzeciej klasie szkoły parafialnej Świętego Bartłomieja.

Chociaż w ostatnich latach ograniczał swoje interesy związane z bronią, właśnie z tego był najbardziej znany (z jego osobą łączono zaginięcie kilku cwanych facetów). Pod koniec zeszłego roku ktoś na niego doniósł i gliny znalazły niezarejestrowanego tokariewa kaliber 9 mm przyklejonego taśmą pod karoserią jego wozu. Niewiele w życiu jest naprawdę pewne, ale w Massachusetts, jeżeli znajdą przy tobie niezarejestrowaną broń, rok więzienia masz jak w banku.

Adwokat Bubby odwlekał jego pójście do więzienia, jak mógł, ale możliwości właśnie się wyczerpały. Jutro do dziewiątej wieczorem Bubba powinien się zgłosić w Plymouth Correctional, aby rozpocząć odsiadkę.

Specjalnie się tym zresztą nie przejmował; miał tam wielu kumpli. Ci nieliczni, którzy pozostawali chwilowo na swobodzie, wieczorem mieli przyjść go pożegnać do Declan.

Declan to bar na rogu Upham, wciśnięty między zabite deskami magazyny i

niecieszące się najlepszą reputacją domy na Stoughton Street, na wprost cmentarza. Pięć minut w linii prostej od mojego mieszkania, ale droga prowadzi przez fragment miasta, który powoli, acz nieubłaganie popada w ruinę i zaniedbanie. Ulice wokół Declan wznoszą się ku Meeting House Hill, ale stojące na nich domy od zawsze sprawiały wrażenie, że ześlizgują się w przeciwną stronę, stłoczone jeden na drugim, osuwają się stromymi uliczkami w dół ku cmentarzowi, jakby śmierć była tu jedynym przeznaczeniem, bez jakiegokolwiek perspektywy na przyszłość.

Znaleźliśmy Bubbę na tyłach baru, gdzie grał w bilard z Nelsonem Ferrare i braćmi Twoomeyami, Dannym i Iggym. Zaiste, nie było to grono tęgich umysłów, można było wręcz odnieść wrażenie, że w ich głowach nie pozostało już zbyt wiele szarych komórek, które skutecznie wypalali mocnym alkoholem.

Nelson bywał współnikiem Bubby i kumplem do wygłupów. Niewysoki facet z czarnymi, kędzierzawymi włosami i twarzą, na której ciągle malował się wyraz złowrogiego zdziwienia. Odzywał się rzadko, a kiedy już przemówił, to zawsze cicho, jakby obawiał się, że usłyszy go niepowołana osoba; był też w jakiś ujmujący sposób nieśmiały w stosunku do kobiet. Trudno jednak mówić o nieśmiałości u faceta, który kiedyś odgryzł drugiemu facetowi nos w bójce barowej. I zabrał ten nos do domu jako zdobycz.

Bracia Twoomeyowie byli drugorzędnymi członkami gangu Winter Hill z Somerville, zapewne dobrze obchodzili się z bronią i umieli szybko odjechać spod banku po napadzie, ale gdyby do ich głów zawitała kiedyś jakaś myśl, szybko zdechłaby zapewne z niedożywienia. Gdy weszliśmy do tylnej salki, Bubba spojrzał na nas i aż się pochylił nad stołem bilardowym.

- Jasna cholera! - zawołał. - Wiedziałem, że wy dwoje mnie nie zawiedziecie.

Angie ucałowała go i wsunęła mu do ręki szklaneczkę wódki.

- Wszystkiego dobrego, tępaku.

Bubba, znacznie bardziej wylewny niż zwykle, uściśnął mnie tak mocno, że wydało mi się, iż któreś zębrowo przebiło mnie na wylot.

- Chodźcie - powiedział. - Wypijcie ze mną kolejkę. Do diabła, wypijcie dwie.

Tak właśnie zapowiadała się cała noc.

Moje wspomnienia z tego wieczoru były nieco niekompletne. To efekt mieszania spirytusu, wódki i piwa. Pamiętam jednak, że stawiałem na Angie, gdy doszło do zakładów, kto wypije więcej kolejek, bo znajdowali się i tacy idioci, którzy skłonni byli

stracić w ten sposób swoje pieniądze. Pamiętam też, że przez chwilę siedziałem z Nelsonem i wylewnie go przeproszałem za to, że cztery miesiące temu złamałem mu żebra w czasie największej hysterii wywołanej sprawą Gerry'ego Glynną.

- Nie ma sprawy - powiedział. - Naprawdę. Spotkałem w szpitalu pewną siostrzyczkę. Chyba się w niej zakochałem.

- A ona co na to?

- Nie jestem pewien. Może jest coś nie tak z jej telefonem albo wyprowadziła się, zapominając mi o tym powiedzieć.

Później, kiedy Nelson i bracia Twoomeyowie pożywiali się w barze podejrzenie wyglądającą pizzą, Angie i ja usiedliśmy z Bubbą pod ścianą i zarzuciliśmy nogi na stół bilardowy.

- Będę tęsknił za ulubionymi programami - powiedział ze smutkiem Bubba.

- Przecież w pudle są telewizory - przypomniałem mu.

- Tak, ale zmonopolizowane przez braci albo przez białych. Masz do wyboru sitcomy na Foxie albo filmy z Chuckiem Norrisem. I jedno, i drugie jest nudne.

- Możemy nagrywać dla ciebie ulubione programy - powiedziałem.

- Tak?

- Jasne - zapewniła go Angie.

- Nie sprawi wam to kłopotu? Nie chciałbym was obciążać.

- Nie ma sprawy - powiedziałem.

- Świetnie - zgodził się, sięgając do kieszeni. - Oto lista. Oboje z Angie spojrzeliśmy na kartkę.

- *Tiny Toons*? - zdziwiłem się. - *Doktor Quinn*?

Pochylił się w moją stronę i jego olbrzymia twarz zatrzymała się tuż przy mojej.

- Jakiś problem?

- Nie - zapewniłem go. - Absolutnie żadnego.

- *Entertainment Tonight* - przeczytała Angie. - Chcesz mieć *Entertainment Tonight* z całego roku?

- Chciałbym wiedzieć, jakie gwiazdy zapraszają - powiedział Bubba i głośno beknął.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się Michelle Pfeiffer - powiedziałem. - Gdybyś oglądała *ET*, wiedziałabyś, co powiedzieć.

Bubba szturchnął Angie, wskazując na mnie palcem.

- Widzisz, Patrick wie. Patrick to rozumie.

- Faceci - powiedziała, potrząsając głową. - Nie, chwileczkę, to nie odnosi się do was dwóch.

Bubba znowu beknął i spojrzał na mnie.

- O co jej chodzi?

W końcu pojawił się rachunek, a ja wyjąłem go z ręki Bubby.

- My płacimy - powiedziałem.

- Nie - zaprotestował. - Od czterech miesięcy nie mieliście roboty.

- Aż do dzisiaj - powiedziała Angie. - Dzisiaj dostaliśmy poważne zlecenie. Poważne pieniądze. Zapłacimy za ciebie, wielki chłopczyku.

Wręczyłem kelnerce swoją kartę kredytową (upewniwszy się wcześniej, że wiedzieli, co to takiego), a ona po kilku minutach wróciła, żeby mi powiedzieć, że karta jest nieważna.

To się spodobało Bubbie.

- Poważna robota - zawołał. - Poważne pieniądze.

- Jesteś pewna? - zapytałem.

Kelnerka była gruba i stara, skórę miała tak twardą jak skórzane kurtki Heli Angels.

- No tak. Może sześć razy pod rząd źle wstukalam numer. Spróbuję jeszcze raz.

Zabrałem jej kartę, a Nelson i bracia Twoomeyowie chichotali już razem z Bubbą.

- Worki ze szmałem - zarechotał jeden z półgłówków Twoomeyów. - Chyba wyczerpałeś limit, kupując tego odrzutowca w zeszłym tygodniu.

- Śmieszne - skwitowałem - Ha-ha - dodałem.

Angie zapłaciła rachunek gotówką, którą dostaliśmy rano od Trevora Stone'a, i wszyscy wytoczyliśmy się z baru.

Na Stoughton Street Bubba i Nelson posprzeczali się, który z klubów ze striptizem najlepiej odpowiada ich wyrafinowanym gustom estetycznym, a bracia Twoomeyowie najpierw usiłowali jeden drugiego wrzucić w zaspę zamrożonego śniegu, a potem zaczęli się okładać pięściami.

- Który bank tym razem wkurzyłeś? - zapytała Angie.

- W tym rzecz - powiedziałem. - Jestem pewien, że mam pokrycie.

- Patrick - powiedziała tonem mojej matki.

Nawet tak samo ściągnęła brwi.

- Nie będziesz mi tu grozić palcem i przemawiać do mnie mentorskim tonem, czy to jasne, Angie?

- Najwidoczniej, nie dostali w porę czeku - powiedziała.
- Hmmm - mruknąłem, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.
- Idziecie z nami? - zapytał Bubba.
- Dokąd? - zapytałem przez grzeczność.
- Mons Honey. Na Saugus.
- Taak - powiedziała Angie. - Jasne, Bubba. Tylko rozmienię pięćdziesiątkę na drobne, żebym miała im co wciskać za stringi.

- Dobra.

Bubba odwrócił się na pięcie.

- Bubba - zawołałem.

Spojrzał na mnie, potem na Angie, potem znowu na mnie.

- Och - powiedział nagle, odrzucając do tyłu głowę. - Żartujecie.

- Ja? - zdziwiła się Angie, dotykając dłonią piersi. Bubba złapał ją w pasie, uniósł w górę i przycisnął do siebie jedną ręką, a jej pięty dyndały na wysokości jego kolan.

- Będę za tobą tęsknił - powiedział.

- Widzimy się jutro - przypomniała mu Angie. - A teraz postaw mnie na ziemi.

- Jutro?

- Umówiliśmy się, że zawieziemy cię do pierdła - przypomniałem mu.

- A, tak. Świetnie.

Postawił Angie na chodniku.

- Może przyda ci się trochę spokoju - zauważyła Angie.

- Chyba tak. - Bubba westchnął. - Ciężko być facetem, który musi myśleć za wszystkich.

Podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem, jak Nelson rzuca się szczupakiem na braci Twoomeyów i wszyscy trzej ześlizgują się po zamarznętej przyźmie śniegu, szturchając się i chichocząc.

Spojrzałem na Bubbę.

- Wszyscy dźwigamy swoje krzyże - powiedziałem.

Nelson zepchnął Iggy'ego Twoomeya z zasy wprost na zaparkowany samochód, w którym uruchomił się alarm. W ciszę nocną wdarł się przeraźliwy elektroniczny dźwięk.

- Och - powiedział Nelson i chwilę później on i bracia ryknęli salwą śmiechu.

- Rozumiesz, co miałem na myśli - powiedział Bubba.

Aby się dowiedzieć, co jest z moją kartą kredytową, musiałem poczekać do rana. Automatyczny serwis, z którym skontaktowałem się po powrocie do domu, poinformował mnie tylko, że została zawieszona. Kiedy poprosiłem, żeby wyjaśnił mi, co znaczy „zawieszona”, zignorował mnie i oznajmił monotonnym, komputerowym głosem, że aby znaleźć więcej opcji, powinienem wcisnąć „jeden”.

- Nie sądzę, żebym miał więcej opcji przy „zawieszeniu” - odpowiedziałem.

Potem przypomniałem sobie, że „on” jest komputerem. Przypomniałem sobie również, że jestem pijany.

Kiedy wróciłem do salonu, Angie już spała. Leżała na plecach. Egzemplarz *Handmaid Tale* zsunął się z jej klatki piersiowej i zatrzymał w zagłębieniu łokcia. Pochyliłem się, aby zabrać książkę, a wtedy Angie westchnęła, odwróciła się na bok, poprawiła poduszkę i wtuliła w nią brodę.

W takiej pozycji znajdowałem ją każdego ranka, gdy wchodziłem do salonu. Ona nie tyle zapadała w sen, co się w niego zakopywała, jej ciało było tak mocno zwinięte w pozycji embrionalnej, że zajmowało zaledwie jedną czwartą łóżka. Schyliłem się jeszcze raz i odgarnąłem z jej twarzy pasmo włosów, a Angie uśmiechnęła się przez sen, po czym głębiej wcisnęła głowę w poduszkę.

Kiedy mieliśmy po szesnaście lat, kochaliśmy się. Jeden raz. Był to dla nas obojga pierwszy raz. Wtedy zapewne żadne z nas nie przewidywało, że przez następne szesnaście lat to się już nie powtórzy, ale więcej razy się nie kochaliśmy. Jak to się mówi, ona poszła swoją drogą, a ja swoją.

Ona przeżyła dwanaście lat w skazanym na niepowodzenie i chybionym małżeństwie z Philem Dimassim. Ja doświadczyłem krótkotrwałego małżeństwa z jej siostrą Renee i całego ciągu przygód łóżkowych z dziewczynami na jedną noc, szybkich związków i patologii tak oczywistej i męskiej, że mógłbym się z tego śmiać, gdybym nie był tak bardzo zajęty praktykowaniem swojego sposobu na życie.

Cztery miesiące temu znowu wróciliśmy do siebie w jej sypialni na Howes Street, i to było piękne, tak niesamowicie piękne, jakby jedynym celem mojego życia było znalezienie się w tym łóżku, z tą kobietą, w tym właśnie czasie. I wtedy Evandro Arujo i Gerry Glynn zabili dwudziestoczteroletniego policjanta pod drzwiami mieszkania Angie, pakując jej przy tym kulę w brzuch.

Mimo to udało jej się powstrzymać Evandro, oddając do niego trzy strzały, a potem zostawiła go klęczącego na podłodze kuchni i usiłującego dotknąć głowy, której już nie miał.

Kiedy Angie leżała na OIOM-ie, Phil, ja i gliniarz imieniem Oscar załatwiliśmy Gerry'ego Glynn. Oscar i ja wyszliśmy z tego bez szwanku. Ale Phil nie. I Gerry Glynn, ale to chyba nie była dla Angie wielka pociecha.

Ludzka psychika jest mniej podatna na leczenie niż ludzkie ciało, taka refleksja naszła mnie, gdy patrzyłem na zmarszczone brwi i rozchylone usta Angie, która leżała wtulona w poduszkę. Tysiące lat badań i doświadczeń medycznych udoskonaliły leczenie ciała, ale jeżeli chodzi o ludzką duszę, nadal jesteśmy w punkcie wyjścia.

Kiedy Phil umarł, jego śmierć głęboko zapadła w umysł Angie i była tam wciąż na nowo i na nowo odtwarzana. Strata, smutek i wszystko to, co było torturą dla Desiree Stone, męczyło także Angie.

I tak jak Trevor odkrył to u swojej córki, tak ja, patrząc na Angie, wiedziałem już, że niewiele mogę jej pomóc, przynajmniej dopóki zasób bólu sam się nie wyczerpie i nie roztopi jak śnieg.

9

Richie Colgan utrzymywał, że jego przodkowie pochodzili z Nigerii, ale nie byłem pewien, czy mogę mu wierzyć. Sądząc po jego mściwej naturze, mógłbym przysiąc, że pochodził z Sycylii.

Obudził mnie o siódmej rano, rzucając w okno śnieżkami tak długo, aż ten dźwięk przedarł się do mojego snu i zostałem brutalnie wyrwany ze spaceru po francuskiej prowincji razem z Emmanuelle Beart i wrzucony do błotnistej lisiej nory, skąd wróg, z niewyjaśnionych przyczyn, rzucał w nas grejpfrutami.

Usiadłem na łóżku i patrzyłem na plamę mokrego śniegu rozpląszczoną na okiennej szybie. W pierwszej chwili ucieszyłem się, że to nie był grejpfrut; potem mój umysł zaczął pracować, podszedłem do okna i zobaczyłem stojącego na dole Richiego.

Żalony drań machał do mnie.

- Lecznica Smutku, Inc. - zaczął Richie, gdy usiadł przy stole - to interesująca organizacja.

- Naprawdę?

- Do tego stopnia interesująca, że dwie godziny temu obudziłem mojego wydawcę, a on zgodził się zwolnić mnie na dwa tygodnie z pisania felietonów, abym mógł przyjrzeć się bliżej tej sprawie, a potem obiecał, że przez pięć dni udostępni mi dolny prawy róg strony tytułowej na serię tekstów, o ile oczywiście znajdę to, czego się spodziewam.

- A co spodziewasz się znaleźć? - zapytała Angie. Patrzyła na niego znad kubka z kawą. Twarz miała jeszcze opuchniętą od snu, włosy zasłaniały jej oczy i wcale nie była zadowolona, że o tej porze musiała witać nowy dzień.

- No... - Pstryknął palcem w otwarty notes leżący na stole. - Zdążyłem tylko pobieżnie przejrzeć dyskiety, które mi zostawiliście, ale, Chryste, ci ludzie są naprawdę groźni. Ta ich cała „terapia” i „poziomy”, to tak na moje oko systematyczne łamanie psychiki, po którym następuje równie szybka odbudowa. To bardzo przypomina metody pracy z żołnierzami w amerykańskiej armii w stylu „najpierw

trzeba ich złamać, aby potem móc ich na nowo ukształtować”. - Stuknął notesem o blat stołu. - Z tymi mutantami to trochę inna historia.

- Przykład - poprosiła Angie.

- Wiecie o tych poziomach - poziom pierwszy, drugi itd.?

Pokiwałem głową.

- Na każdym poziomie mamy więc po kilka stopni. Nazewnictwo tych stopni różni się, w zależności od tego, na którym poziomie się znajdujemy, ale w gruncie rzeczy wszystkie są takie same. Stopnie służą do osiągnięcia „przełomu”.

- Przełom to poziom szósty.

- Słusznie - powiedział. - Przełom to rzekomy cel całej „terapii”. Tak więc, aby osiągnąć ostateczny przełom, najpierw musisz osiągnąć serię małych przełomów. Na przykład, jeżeli jesteś na poziomie drugim - nazywają go przygnębienie - przechodzisz przez cały zestaw terapeutycznych ćwiczeń lub „stopni”, po czym osiągasz „przełom” i już nie jesteś przygnębiony. Te stopnie nazywają się: uczciwość, nagość...

- Nagość? - zdziwiła się Angie.

- Tak. Emocjonalna, nie fizyczna, a zatem to jest dozwolone. Uczciwość, nagość, prezentacja i objawienie.

- Objawienie - powtórzyłem.

- Tak. „Przełom” poziomu drugiego.

- Jak to się nazywa na poziomie trzecim? - zapytała Angie.

Sprawdził swoje notatki.

- Epifania. Widzicie? To znaczy to samo. Na poziomie piątym to jest odsłonięcie. Na piątym zaś apokalipsa. Na szóstym przełom nosi miano prawdy.

- Bardzo biblijnie - zauważyłem.

- Właśnie. Lecznica Smutku sprzedaje religię pod pretekstem pomocy psychologicznej.

- Psychologia - powiedziała Angie. - Która sama w sobie jest religią.

- Prawda. Ale nie jest tak zorganizowana.

- Najwyżsi kapłani psychologii i psychoanalizy robią dokładnie to, o czym mówisz.

Stuknął swoim kubkiem o mój.

- Właśnie.

- Jaki więc jest cel ich działalności? - zapytałem.

- Lecznicy Smutku?

- Nie, Rich - powiedziałem. - Burger Kinga. O czym mówimy?

Wypił łyk kawy.

- Czy to ekstramocna?

- Richie - westchnęła Angie. - Proszę.

- Celem Lecznicy Smutku, moim zdaniem, jest rekrutacja do Kościoła Prawdy i Objawienia.

- Możesz udowodnić te powiązania? - zapytała Angie.

- Jeszcze nie teraz, ale tak, z pewnością leżą razem w jednym łóżku. Kościół Prawdy i Objawienia to zdaje się kościół z Bostonu. Mam rację?

Pokiwaliśmy głowami.

- To dlaczego ich firma menadżerska jest z Chicago? I ich pośrednik od nieruchomości? I firma prawnicza, która aktualnie w ich imieniu ubiega się o zniżki podatkowe z tytułu usług religijnych?

- Ponieważ lubią Chicago? - zaproponowała Angie.

- To samo można powiedzieć o Lecznicy Smutku - powiedział Richie. - Bowiem te same firmy z Chicago prowadzą ich interesy.

- Jak długo zajmie ci ujawnienie w prasie tych związków? - zapytałem.

Rozparł się na krześle, wyciągnął i ziewnął.

- Jak powiedziałem, co najmniej dwa tygodnie. Wszystko jest zagrzebane w fikcyjnych korporacjach i robione pod przykrywką. W tym momencie jestem w stanie wydedukować związek między Lecznicą Smutku a Kościołem Prawdy i Objawienia, ale nie mogę tego udowodnić czarno na białym. Tak czy inaczej, Kościół jest nie do ruszenia.

- A Lecznica Smutku? - zapytała Angie.

Uśmiechnął się.

- Mogę pogrzebać ich żywcem.

- Jak? - dopytywałem się.

- Pamiętasz, co powiedziałem o wszystkich tych stopniach na poszczególnych poziomach, że są w zasadzie takie same? Jeżeli spojrzysz na to przychylnym okiem, uznasz, że znaleźli metodę, która się sprawdza, i wykorzystują ją z subtelnymi modyfikacjami w zależności od poziomu smutku, na jaki cierpi konkretna osoba.

- Ale jeżeli spojrzysz mniej przychylnie?

- Jak każdy dobry dziennikarz...

- Co rozumie się samo przez się...

- Wtedy - powiedział Richie - ci ludzie okażą się kanciarzami pierwszej klasy.

Przyjrzyjmy się jeszcze raz stopniom na poziomie drugim, pamiętając, że wszystkie inne stopnie na pozostałych poziomach służą temu samemu celowi, chociaż określa się je inaczej. Stopień pierwszy to uczciwość. Istota rzeczy jest taka - spowiadasz się swojemu osobistemu doradcy z tego, kim jesteś, dlaczego się tu znalazłeś, co cię naprawdę dręczy. Następnie przechodzisz stopień wyżej, do nagości, gdzie obnażasz całe swoje wewnętrzne ja.

- Przed kim? - zapytała Angie.

- Przed twoim osobistym doradcą. Polega to na tym, że całe wstydlive gównno, które udało ci się ukryć na stopniu pierwszym - że w dzieciństwie zabiłeś kota, że zdradzałeś żonę, zdefraudowałeś jakieś pieniądze, coś w tym guście - powinno wyjść na jaw na stopniu drugim.

- To ma ci rozwiązać język - powiedziałem. - Tak po prostu?

Pstryknąłem palcami.

Pokiwał głową, wstał i dołał sobie kawy.

Doradca używa podstępu, na skutek czego klient rozbiera się, że tak powiem, do naga. Zaczyna się od tego, że przyznajesz się do czegoś oczywistego - dajmy na to, do wartości swojego majątku. Potem mówisz, kiedy ostatni raz skłamałeś. Dalej o czymś, co zrobiłeś w zeszłym tygodniu i co nie daje ci spokoju. I tak dalej, i tak dalej. Przez dwanaście godzin.

Angie też dołała sobie kawy.

- Dwanaście godzin?

Wyjął z lodówki śmietankę.

- Jeżeli trzeba, nawet dłużej. Na tych dyskietkach znajduje się zapis takich „intensywnych sesji”, trwających dziewiętnaście godzin.

- Czy to nie jest niezgodne z prawem? - zapytałem.

- W praktyce policyjnej tak. Pomyśl tylko - usiadł naprzeciwko mnie. - Jeżeli policjant w naszym stanie będzie przesłuchiwał podejrzanego o sekundę dłużej ponad dwanaście godzin, pogwałci tym samym prawa obywatelskie podejrzanego i nic z tego, co podejrzany powiedział - przed i po przekroczeniu granicy dwunastu godzin - nie może być wykorzystane w sądzie. I to jest uzasadnione.

- Ha! - powiedziała Angie.

- Oczywiście, wielu prawnikom to się nie podoba, ale powiedzmy sobie wprost: jeżeli jesteś przesłuchiwany dłużej niż dwanaście godzin - osobiście uważam, że powinno się ten limit ograniczyć do dziesięciu - przestajesz jasno myśleć. Możesz

powiedzieć po prostu wszystko, aby przestali ci wreszcie zadawać pytania. Żeby móc się po prostu przespać.

- A więc w Lecznicy Smutku - powiedziała Angie - piorą mózgi swoim klientom?

- Niektórym tak. O innych zbierają obszerną wiedzę - o ich prywatnych sprawach. Jesteś na przykład facetem żonatym, masz żonę i dwójkę dzieci, ale przyznasz się, że dwa razy w miesiącu chadzasz do gejowskich klubów i korzystasz z ich usług. Wtedy doradca mówi: „Dobrze. To prawdziwa szczerść. Spróbujmy teraz czegoś prostsze. Ja ufam tobie, więc ty musisz zaufać mnie. Jaki jest numer twojego PIN-u?”.

- Chwileczkę, Rich - wtrąciłem. - Twoim zdaniem chodzi przede wszystkim o zdobycie informacji o finansach klienta, aby potem mogli, powiedzmy, sprzeniewierzyć jego pieniądze?

- Nie - powiedział. - To nie jest takie proste. Tworzą dossier każdego klienta, na które składają się pełne informacje o jego kondycji fizycznej, stanie emocjonalnym, psychicznym i sytuacji finansowej. Dowiadują się wszystkiego, czego tylko można się dowiedzieć o danej osobie.

- A potem?

Uśmiechnął się.

- A potem obejmują nad nią władzę, Patrick. Na zawsze.

- Jaki jest tego koniec? - zapytała Angie.

- Zaraz wam powiem. Wróćmy do naszego hipotetycznego klienta z żoną, dziećmi i skrywanymi skłonnościami homoseksualnymi. Przechodzi ze stopnia nagości na stopień prezentacji, w którym w zasadzie chodzi o to, żeby przed innymi klientami i personelem przyznać się do jakichś wstydliwych prawd. Potem z reguły klient jedzie na wypoczynek do posiadłości tej organizacji w Nantucket. Jest odarty do gołego, jest pustą łupiną i przez pięć dni spotyka się z innymi podobnymi łupinami; rozmawiają, rozmawiają, rozmawiają - zawsze „szczerze”, obnażając się coraz bardziej, a wszystko to w otoczeniu kontrolowanym przez personel Lecznicy Smutku. Klienci to zwykle ludzie o dość kruchej psychice, mocno zdołowani, teraz znajdujący się społeczności innych kruchych i zdołowanych ludzi, którzy tak jak oni mają swoje trupy w szafie. Nasz hipotetyczny facet czuje, że pozbył się ciężkiego brzemienia. Czuje się oczyszczony. Nie jest złym człowiekiem: jest w porządku. Znalazł rodzinę. Osiągnął objawienie. Przyszedł tu, ponieważ czuł się opuszczony. Teraz już się tak nie czuje. Sprawa jest zamknięta. Może wrócić do życia. Tak?

- Nie - powiedziałem.

Pokiwał głową.

- Właśnie. Teraz potrzebuje swojej nowej rodziny. Mówią mu, że robi postępy, ale w każdej chwili może się coś zawalić. Są jeszcze inne grupy, do których może należeć, inne stopnie, na które może wejść, inne poziomy, które może osiągnąć. I, och, ktoś pyta go nagle, czy zna „Głos Przesłania”?

- Biblię Kościoła Prawdy i Objawienia - powiedziała Angie.

- Bingo. Zanim nasz hipotetyczny klient zorientuje się, że stał się członkiem sekty i coraz bardziej zadłuża się, płacąc różne składki, wnosząc opłaty za seminaria i wyjazdy do wiejskiego zacisza, jest już za późno. Kiedy zaś próbuje opuścić Lecznice Smutku lub Kościół, okazuje się, że nie może. Mają dostęp do jego konta bankowego, znają jego PIN i wszystkie tajemnice.

- To, co mówisz, to wszystko teoria - powiedziałem. - Nie masz na to żadnego dowodu.

- Jeżeli chodzi o lecznicę, mam. Mam podręcznik terapeutyczny dla doradców psychologicznych, w którym znajdują się rady, jak zdobyć od klientów informację o ich stanie majątkowym. To mi wystarczy, aby ich pogrążyć. Ale Kościół? Nie. Muszę dotrzeć do powiązań między ich członkami.

- To znaczy?

Sięgnął do torby sportowej, która leżała na podłodze, i wyciągnął plik wydruków komputerowych.

- Tu są nazwiska wszystkich, którzy kiedykolwiek korzystali z terapii w Lecznicy Smutku. Jeżeli uda mi się dotrzeć do spisu członków Kościoła i porównać obie listy, jestem na prostej drodze do nagrody Pulitzera.

- Marzenia - powiedziała Angie.

Wzięła do ręki listę i kartkowała ją, aż znalazła odpowiednią stronę. Uśmiechnęła się.

- Jest tam, prawda? - zapytałem.

Pokiwała głową.

- Czarno na białym, kochanie.

Odwróciła kartkę tak, abym mógł zobaczyć imię i nazwisko umieszczone w połowie kolumny.

Desiree Stone.

Richie wyładował z torby plik wydruków i zostawił je na stole, abyśmy mogli je

przejrzeć. Było tam wszystko, co do tej pory udało mu się znaleźć na dyskietkach. Zwrócił nam też dyskietki, które sobie w nocy skopiował.

Podzieliliśmy z Angie między siebie papiery i właśnie zastanawialiśmy się, od czego zacząć, gdy zadzwonił telefon.

- Halo - odezwałem się.
- Chcielibyśmy dostać z powrotem nasze dyskietki - usłyszałem w słuchawce.
- Jestem tego pewien - powiedziałem.

Zasłoniłem brodą słuchawkę i zwróciłem się do Angie.

- Chcą dyskietki.
- Hej, kto znalazł, ten ma, kto zgubił, ten płacze - powiedziała.
- Kto znalazł, ten ma, kto zgubił, ten płacze - powtórzyłem do słuchawki.
- Miał pan ostatnio jakieś kłopoty z płaceniem, panie Kenzie?
- Słucham?

- Może powinien pan zadzwonić do banku - powiedział głos. - Daję panu dziesięć minut. Kiedy zadzwonię ponownie, linia ma być wolna.

Odłożyłem słuchawkę i natychmiast poszedłem do sypialni po portfel.

- Co się stało? - zapytała Angie.

Potrząsnąłem głową i zadzwoniłem do centrum kart kredytowych Visa. Przedarłem się przez automatycznych operatorów, aby na koniec dotrzeć do żywego człowieka. Podałem numer swojej karty kredytowej, datę jej ważności i kod.

- Pan Kenzie? - zapytała pracowniczka biura obsługi.
- Tak.
- Pana karta jest fałszywa.
- Co takiego?
- Jest fałszywa, proszę pana.
- Nie, nie jest. Sami mi ją przysłaliście.

Westchnęła głęboko.

- Nie, nie wysłaliśmy. W wyniku wewnątrzbankowego komputerowego sprawdzania danych wyszło na jaw, że pana karta i numer pochodzą z dokonanej na wielką skalę infiltracji naszych danych bankowych trzy lata temu.

- To niemożliwe - powiedziałem. - Przysłaliście mi ją.
- Jestem pewna, że nie - upierała się tonem osoby, która wie lepiej.
- Co to znaczy, do diabła? - zapytałem.
- Nasi prawnicy skontaktują się z panem, panie Kenzie. A także Biuro Prokuratora

Generalnego, Wydział Fałszerstw Poczтовых i Komputerowych. Miłego dnia.

Odłożyła słuchawkę.

- Patrick? - odezwała się Angie.

Potrząsałem głową i wykręciłem numer swojego banku.

Dorastałem w biedzie. Zawsze się obawiałem, a w zasadzie panicznie się bałem anonimowych urzędników i kontrolerów rachunków bankowych, którzy patrzyli na mnie z góry i szacowali moją wartość na podstawie stanu mojego konta, dawali mi prawo do zarabiania lub je odbierali w zależności od tego, z jaką kwotą mogłem zaczynać. W ciągu ostatnich dziesięciu lat pracowałem jak wół, żeby zarabiać, oszczędzać i rozwijać swoje możliwości. Powtarzałem sobie, że już nigdy nie będę biedny. Nigdy.

- Pana rachunek bankowy został zamrożony - powiedział mi pan Pearl z banku.

- Zamrożony? - zdziwiłem się. - Proszę to wyjaśnić.

- Pieniądze zostały przejęte, panie Kenzie. Przez kontrolę finansową.

- Nakaz sądowy? - zapytałem.

- W drodze - powiedział.

Usłyszałem to w jego głosie - pogardę. To właśnie biedacy słyszą zawsze - od bankierów, wierzycieli, kupców. Pogarda, ponieważ biedacy to druga kategoria ludzi, głupcy i lenie, moralnie i duchowo niezdolni, aby legalnie zdobyć pieniądze i zrobić coś dla społeczeństwa. Już co najmniej od siedmiu lat nie słyszałem tego tonu pogardy, może nawet od dziesięciu, i nie byłem na to przygotowany. W jednej chwili poczułem się malutki.

- W drodze - powtórzyłem.

- To właśnie powiedziałem.

Jego głos był oschły, swobodny, pobrzmiwało w nim poczucie bezpieczeństwa. Mógłby tak rozmawiać ze swoim dzieckiem.

Nie mogę mieć samochodu, tatusiu?

To właśnie powiedziałem.

- Panie Pearl - odezwałem się.

- Słucham?

- Zna pan kancelarię Hartmann & Hale?

- Oczywiście, panie Kenzie.

- Świetnie. Skontaktują się z panem. Wkrótce. I lepiej, abym akaz sądowy był...

- Miłego dnia, panie Kenzie.

Odłożył słuchawkę.

Angie podeszła do stołu, położyła jedną rękę na moich plecach, a drugą na mojej prawej ręce.

- Patrick - powiedziała - jesteś biały jak upiór.
- Jezu - westchnąłem. - Chryste Panie.
- Wszystko będzie dobrze - pocieszała mnie. - Nie mogą tego zrobić.
- Robią to, Angie.

Trzy minuty później zadzwonił telefon, a ja podniosłem słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Jakieś kłopoty z pieniędzmi, panie Kenzie?
- Gdzie i kiedy, Manny?

Zachichotał.

- Oooo, trochę, że tak powiem, spuścił pan z tonu, panie Kenzie.
- Gdzie i kiedy? - zapytałem.
- Prado. Wiesz, gdzie to jest?
- Wiem. Kiedy?
- W południe - powiedział Manny. - W samo południe, ha-ha-ha.

Odłożył słuchawkę.

To już drugi, który odłożył mi dziś słuchawkę. A nie było jeszcze nawet dziewiątej.

10

Cztery lata temu, po wyjątkowo opłacalnej sprawie związanej z defraudacją funduszy i wyłudzeniem pieniędzy przez urzędników, pojechałem na dwa tygodnie do Europy. Uderzyło mnie tam, że wiele małych miejscowości, które wtedy zwiedziłem - w Irlandii, we Włoszech i w Hiszpanii - bardzo przypominało North End w Bostonie.

Na North Endzie wysiadali ze statków emigranci, którzy falami napływali do Ameryki Północnej. Żydzi, potem Irlandczycy, a w końcu także Włosi nazywali to miejsce domem i do dziś nosi ono wyraźnie europejski charakter. Brukowane kocimi łbami uliczki są wąskie, kręte, przecinają się ze sobą i krzyżują na terytorium tak niewielkim, że w innych miastach z trudem zmieściłby się na nim jeden kwartał. Tutaj natomiast tłoczą się jeden przy drugim szeregowo domy z czerwonej i żółtej cegły, dawne czynszówki, obecnie odzyskane i odrestaurowane, a także opuszczony magazyn, gdzie dawniej składowano żeliwne odlewy czy granit i każdy budynek walczy o przestrzeń, wszystkie dziwacznie wyglądają po nadbudowaniu dodatkowych pięter, ponieważ w pewnym momencie okazało się, że możliwa była tylko opcja „w górę”. Z tego, co kiedyś było mansardowymi dachami, wyrastają nagle cegły i deski, pomiędzy schody pożarowe i tarasy z kutego żelaza wciśnięte są pralnie, a „podwórko” jest tu pojęciem jeszcze rzadziej spotykanym niż „miejsce do parkowania”.

W tej właśnie okolicy o najbardziej zwartej zabudowie w najgęściej zabudowanym na świecie mieście znajduje się przepiękna replika włoskiej piazzy, schowana na tyłach Old North Church. Placyk znany jest jako Prado lub bardziej oficjalnie nazywany jest Paul Revere Mall, nie tylko z uwagi na bliskość i kościoła, i domu Revere'a, ale przede wszystkim dlatego, że u wylotu Hanover Street wznosi się konny pomnik Revere'a dłuta Dallina. Pośrodku Prado bije fontanna, a na okalającym ją murku znajdują się brązowe tablice poświęcone pamięci miejscowych bohaterów, takich jak Revere, Dawes, kilku bojowników o niepodległość i paru mniej znanych luminarzy z historii North End.

Kiedy w południe przyjechaliśmy na miejsce od strony Unity Street, temperatura podniosła się już tak, że brudny śnieg topił się w szczelinach między kocimi łbami i

tworzył mokre plamy na ławkach z piaskowca. Zamiast przewidywanych tego dnia opadów śniegu mżył lodowaty deszcz, Prado było więc zupełnie puste, bez turystów i okolicznych mieszkańców szukających miejsca na lunch.

Przy fontannie czekali na nas Manny i John Byrne oraz dwóch innych mężczyzn, których pamiętałem z wczorajszego wieczoru; stali po mojej lewej stronie, kiedy policjant Largeant legitymował mnie i Johna. Chociaż żaden z nich nie był tak potężny jak Manny, nie byli ułomkami.

- To z pewnością urocza pani Gennaro - powiedział Manny. Na nasz widok splótł dłonie. - Mój kumpel ma kilka paskudnych guzów na głowie dzięki pani.

- O rany - powiedziała Angie. - Przykro mi.

Manny uniósł brwi i spojrzał na Johna.

- Ironiczna mała dziwka, nie uważasz?

Kiedy John odwrócił się w naszą stronę, zobaczyłem na jego nosie plastry, a pod oczami sinoczarne, podpuchnięte śliwy.

- Przepraszam - powiedział, wysunął się zza Manny'ego i przyładował mi w twarz.

Zamierzył się tak mocno, że aż się zachwiał na nogach, dzięki czemu udało mi się wykonać unik i przyjąłem na skroń jego cios, który stracił po drodze połowę swojego impetu. Ostatecznie uderzenie było dość niemrawe. Bardziej bolało po ukąszeniu pszczoły.

- Czego jeszcze nauczyła cię mamusia poza boksowaniem, John?

Manny zachichotał, a dwóch osiłków parsknęło.

- Śmieję się, śmieję - powiedział John i zrobił krok w moją stronę. - To ja jestem tym facetem, który ma na ciebie papier, i mogę cię trzymać za mordę do końca życia, Kenzie.

Odepchnąłem go i spojrzałem na Manny'ego.

- A więc to jest twój komputerowy geniusz, tak Manny?

- No, w każdym razie nie jest moim lewym sierpowym, Kenzie.

Nie byłem przygotowany na cios Manny'ego. Coś eksplodowało w środku mojego mózgu, twarz mi nagle zdrętwiała, a ja ocknąłem się po chwili, siedząc na tyłku na brukowanej ulicy.

Kumplom Manny'ego bardzo się to podobało. Przybili piątki, zawyli z radości i zaczęli podskakiwać, jakby zaraz mieli się zlać w gacie.

Przełknąłem pawia, który podszedł mi do gardła, i poczułem, że odrętwienie twarzy mija, a w to miejsce pojawiło się bolesne szczypanie, fala gorąca uderzyła mi

do uszu i wydało mi się, że zamiast mózgu mam w czaszce cegłę. Gorącą cegłę, płonąca cegłę.

Manny wyciągnął rękę, uchwyciłem się jej, a on pomógł mi stanąć na nogi.

- Nie bierz tego do siebie, Kenzie - powiedział. - Ale jeżeli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, zabiję cię.

Stałem na miękkich nogach, nadal czułem bulgoczącego w trzewiach pawia, a szum fontanny słyszałem jakby spod wody.

- Dobrze wiedzieć - mruknąłem.

W tym momencie usłyszałem jakiś hałas i odwróciłem głowę na lewo. Z Unity Street wyjeżdżała śmieciara, tak szeroka, że ledwie mieściła się na wąskiej uliczce i kołami zahaczała o chodnik. Okropnie bolała mnie głowa, prawdopodobnie miałem wstrząs mózgu i na dodatek musiałem słuchać, jak śmieciara z łoskotem i rżeniem silnika zjeżdża w dół Unity Street, waląc po drodze pojemnikami na śmiecie o beton i metal. Po prostu wspaniale.

Manny objął mnie lewą ręką, a Angie prawą i posadził obok siebie przy fontannie. John stał nad nami i patrzył na mnie wzrokiem bazyliuszka, a dwa sterydowe mutanty stały na swoich miejscach, obserwując okolicę.

- Podobało mi się, jak wciskałeś kit temu gliniarzowi wczoraj wieczorem - powiedział Manny. - To było świetne. „Manny, jesteś pewien, że dasz sobie radę?” - zachichotał. - Chryste. Szybko improwizujesz.

- Dzięki, Manny. Twoja pochwała wiele dla mnie znaczy.

Spojrzał na Angie.

- A ty poszłaś po dyskiety tak, jakbyś wiedziała, gdzie są.

- Nie miałam wyboru.

- Jak to?

- Byłam uwięziona na tyłach biura przez laserowy system alarmowy, który włączyliście w głównym biurze.

- Racja. - Pokiwał swoją wielką głową. - Początkowo myślałem, że wynajęła was konkurencja.

- Macie konkurencję? - zdziwiła się Angie. - W terapii smutku?

Uśmiechnął się do niej.

- Ale potem John powiedział mi, że szukacie Desiree Stone i zauważyłem, że nie znasz hasła do komputera, domyśliłem się więc, że masz po prostu cholerne szczęście.

- Cholerne szczęście - powtórzyła Angie.

Poklepał ją po kolanie.

- Kto ma dyskietki?

- Ja - powiedziałem.

Wyciągnął rękę.

Położyłem mu je na dłoni, a on podał je Johnowi. John włożył je do saszetki i starannie zamknął.

- A co z moim rachunkiem bankowym, kartami kredytowymi i całą resztą? - zapytałem.

- No tak - powiedział Manny - miałem ochotę was zabić.

- Ty i tych trzech gości? - zaśmiała się Angie.

Spojrzał na nią.

- To takie śmieszne?

- Uważaj na swoje krocze, Manny - powiedziałem.

Spojrzał w dół i zobaczył pistolet Angie, którego lufa znajdowała się o ułamek centymetra od jego klejnotów.

- To jest śmieszne - wyjaśniła Angie.

Roześmiał się i ona też się roześmiała, unosząc oczy w górę, ale ani na milimetr nie odsunęła spluwy.

- Boże - powiedział. - Podoba mi się pani.

- Boże - odpowiedziała. - To stanowczo nie jest odwzajemnione uczucie.

Odwrócił głowę i spojrzał na brązowe tablice na masywnej ścianie przy fontannie.

- No dobrze, nikt dzisiaj nie zostanie zabity. Jednakże, panie Kenzie, obawiam się, że sprowadził pan na siebie siedem lat nieszczęść. Pana kredyt przepadł. Pana forsa także. I to bezpowrotnie. Ja i kilku moich współpracowników uznaliśmy, że musi pan dostać porządną nauczkę.

- Oczywiście, że dostałem, inaczej nie zwróciłbym wam dyskietek.

- Tak, ale muszę mieć pewność, że zapamięta pan tę lekcję dłużej. Tak więc, panie Kenzie, jest pan w punkcie wyjścia. Obiecuję, że zostawię pana już w spokoju, ale straty muszą być.

Na Unity Street śmieciarze zrzucali na ulicę pojemniki na śmiecie z wysokości ponad czterech stóp, a ze śmieciarki, która posuwała się wolno za nimi, raz po raz rozlegało się przeraźliwe wycie klaksonu, z okna zaś krzyczała na cały głos po włosku jakaś kobieta. Te hałasy nie wpływały dobrze na mój ból głowy.

- A więc to wszystko?

Pomyślałem o dziesięcioletnich oszczędnościach, czterech kartach kredytowych w portfelu, których już nigdy nie będę mógł używać, i setkach zasranych spraw - dużych i małych - nad którymi pracowałem. Wszystko na nic. Znowu byłem biedakiem.

- To wszystko. - Manny wstał. - Uważaj, z kim zadzieras, Kenzie. Nic o nas nie wiesz, a my wiemy o tobie wszystko. To czyni nas niebezpiecznymi, a ciebie przewidywalnym.

- Dzięki za lekcję - powiedziałem.

Stał nad Angie, aż podniosła na niego wzrok. Nadal trzymała w ręku pistolet, skierowany teraz lufą do ziemi.

- Ponieważ pana Kenzie nie będzie już stać, aby zaprosić panią na kolację, może mógłbym przejąć pewne jego powinności. Co pani na to?

- Znajdź sobie w drodze do domu jakiegoś *Penthouse'a*, Manny, i przeproś się ze swoją prawą rączką.

- Jestem leworęczny.

Uśmiechnął się.

- Mnie wszystko jedno - odpowiedziała, a John wybuchnął śmiechem.

Manny wzruszył ramionami i przez chwilę zastanawiał się nad ripostą, ale w końcu odwrócił się na pięcie bez słowa i poszedł w stronę Unity Street. John i dwaj pozostali ruszyli za nim. U wylotu ulicy Manny zatrzymał się, odwrócił w naszym kierunku, a jego masywna postać wyraźnie rysowała się na tle niebieskoszarej śmieciary.

- Do widzenia, dzieciaki.

Pomachał nam.

My też mu pomachaliśmy.

Wtedy zza śmieciary wyszli Bubba, Nelson i bracia Twoomeyowie, wymachując bronią.

John zdążył jedynie otworzyć usta, gdy Nelson zadał mu cios w twarz obciętym kijem hokejowym.

Ze złamanego nosa trysnęła krew, John rzucił się do ucieczki, ale Nelson złapał go i zarzucił sobie na plecy. Bracia Twoomeyowie zbliżali się, trzymając w rękach metalowe pojemniki na śmiecie. Wywinęli nimi młynka nad głowami, a potem opuścili je na łby sterydowych osiłków Manny'ego, którzy momentalnie zwałili się na bruk. Usłyszałem głośne chrupnięcie, gdy jeden z nich roztrzaskał sobie kolano o kamień, a potem obaj zwinęli się na ziemi jak wygrzewające się na słońcu psy.

Manny stał jak zamurowany. Wyciągnął na boki ręce i zdumiony patrzył, jak w ciągu kilku sekund trzech jego ludzie zostali pobici i unieszkodliwieni.

Bubba stał za nim z metalową pokrywką od kosza na śmiecie, którą dzierżył niczym gladiator tarczę. Poklepał Manny'ego po ramieniu, a ten odwrócił się i spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

Kiedy Manny się odwrócił, Bubba chwycił go wolną ręką za tył głowy, mocno przytrzymał, a następnie metalowa pokrywa opadła z impetem cztery razy, wydając przy tym dźwięk rozbryzgującego się arbuza, którego ktoś zrzucił z dachu domu.

- Manny - powiedział Bubba, gdy Manny przygiął się do ziemi.

Bubba złapał Manny'ego za włosy i jego ciało powędrowało w górę, posłuszne i elastyczne.

- Manny - powtórzył Bubba. - Jak się masz, koleś?

Wcisnęli Manny'ego i Johna na tył furgonetki, potem podnieśli goryli i wrzucili ich do komory na śmiecie, na zgniłe pomidory, czarne banany i puste tacki po jedzeniu.

Na chwilę powiało grozą, gdy Nelson położył dłoń na podnośniku hydraulicznym, który leżał w tylnej części ciężarówki.

- Mogę, Bubba? Mogę? - zapytał.

- Lepiej nie - powiedział Bubba. - Może być za dużo hałasu.

Nelson pokiwał głową ze zrozumieniem, ale posmutniał.

Śmieciarkę ukradli rano z podwórka w Brighton, gdzie mieściła się jedna z firm sprzątających miasto. Zostawili ją tam, gdzie stała, i wsiadli do furgonetki. Bubba zlustrował wzrokiem okna wychodzące na ulicę. Nikt nie wyglądał. A nawet gdyby ktoś coś widział, to był przecież North End, matecznik mafii, i wszyscy mieszkający tu ludzie od urodzenia wiedzieli jedno: cokolwiek by widzieli, nigdy niczego nie widzieli, panie władzo.

- Świetna robota - pochwaliłem Bubbę, gdy wsiadł do furgonetki.

- Tak - pokiwała głową Angie. - Dobrze ci w stroju śmieciarza.

- Dla was pracownika służb oczyszczania miasta - powiedział Bubba.

Bubba spacerował po drugim piętrze magazynu, który wynajmował, pociągał wódkę z butelki, uśmiechał się i od czasu do czasu spoglądał na Johna i Manny'ego, którzy wciąż nieprzytomni, przywiązani byli do metalowych krzeseł.

Parter magazynu Bubby był kompletnie zrujnowany, za to drugie piętro świeciło pustkami, bo zlikwidował działającą tam do niedawna hurtownię. Na pierwszym znajdowało się mieszkanie Bubby i tam może byłoby nam wygodniej, ale Bubba przykrył wszystko kocami, przewidując swoją roczną nieobecność, a poza tym pełno tam było materiałów wybuchowych. Tak, pierwsze piętro było dosłownie zaminowane. Nic więcej nie powiem.

- Ten kurdupel dochodzi do siebie - zauważył Iggy Twoomey.

Iggy razem z bratem i Nelsonem siedzieli na starych paletach i podawali sobie flaszkę. Co jakiś czas któryś z nich chichotał bez wyraźnego powodu.

John otworzył oczy, a wtedy Bubba doskoczył do niego i ukucnął tuż przed nim, opierając dłonie na kolanach jak zapaśnik sumo.

Przez chwilę pomyślałem, że John zemdleje.

- Cześć - powiedział Bubba.

- Cześć - zacharzał John.

Bubba pochylił się nad nim.

- Mamy do ciebie sprawę, John. Jesteś John?

- Tak - powiedział John.

- W porządku. No więc, John, moi przyjaciele, Patrick i Angie, chcieliby ci zadać kilka pytań. Rozumiesz?

- Tak. Ale nie wiem...

Bubba położył paluch na jego ustach.

- Psss. Jeszcze nie skończyłem. Jeżeli nie odpowiesz na ich pytania, John, to wtedy zajmą się tobą inni moi przyjaciele. Widzisz ich?

Bubba odsunął się i John spojrzał na trzech ogolonych osiłków, którzy siedzieli w kącie na paletach, popijali gorzałkę i czekali na niego.

- Jeżeli nie odpowiesz, Patrick i Angie pójdą sobie. A wtedy ja i moi kumple zabawimy się z tobą, Mannym i śrubokrętem marki Phillips w naszą ulubioną zabawę.

- Zardzewiałym - zachichotał jeden z braci Twoomeyów.

Johnem wstrząsnęły konwulsje, a mnie się wydawało, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Patrzył na Bubbę, jakby zobaczył na jawie, jak materializuje się koszmar z jego najgorszego snu.

Bubba usiadł okrakiem na kolanach Johna i odgarnął mu włosy z czoła.

- To się dogadaliśmy, John. Prawda?

- Tak - powiedział John i kilka razy pokiwał głową.

- Świetnie - powiedział Bubba i zadowolony też kiwnął głową.

Poklepał Johna po policzku i zszedł z jego kolan. Podszedł do Manny'ego i wlał mu do ust trochę wódki.

Manny ocknął się z charkotem, szarpnął sznury i wypluł wódkę.

- Co? - wyrzęził.

- Cześć, Manny.

Manny spojrzał na Bubbę i przez chwilę starał się nie okazywać lęku, jak prawdziwy twardziel. Bubba jednak uśmiechnął się, a wtedy Manny westchnął, a potem spuścił wzrok na ziemię.

- Manny! - zawołał Bubba. - Świetnie, że możesz do nas dołączyć. Mamy interes, Manny. John powie Patrickowi i Angie to, czego chcą się dowiedzieć. Jeżeli uznam, że kłamie albo jeżeli mu przerwiesz, podpale cię.

- Mnie? - zapytał Manny.

- Ciebie.

- Dlaczego nie jego? To znaczy, jeżeli on będzie kłamał?

- Bo ciebie jest więcej do spalenia, Manny.

Manny zagryzł górną wargę, a w jego oczach zalśniły łzy.

- Powiedz im prawdę, John.

- Odpierdol się, Manny.

- Powiedz im!

- Powiem im! - zawołał John. - Ale nie ze względu na ciebie. Dlaczego nie spalić jego? - przedrzeźniał Manny'ego. - To ci kumpel. Jeżeli stąd wyjdziemy, powiem wszystkim, że mazałeś się jak baba.

- Nieprawda.

- Prawda.

- John - odezwała się Angie - kto załatwił konto i karty kredytowe Patricka?

Patrzył w ziemię.

- Ja.

- W jaki sposób? - zapytał.

- Pracuję w kontroli skarbowej - przyznał.

- To znaczy, że wszystko odkręcisz? - zapytała Angie.

- No, ale dużo łatwiej jest coś skasować, niż odtworzyć.

- John - powiedziałem. - Spójrz na mnie.

Spojrzał.

- Odkręcisz to.

- Ja...

- Do rana.

- Do rana? Nie dam rady. To mi zajmie...

Stałem przy nim.

- John, udało ci się sprawić, że moje pieniądze znikły, i to bardzo smutna sprawa.

Ale ja mogę sprawić, że ty znikniesz, i to będzie trochę smutniejsze, nie sądzisz?

Przełknął ślinę, a jego jabłko Adama podskoczyło na grdyce.

- Jutro, John. Rano.

- Tak - zgodził się. - Dobrze.

- Czy innym ludziom też czyściłeś konta? - zapytałem.

- Ja...

- Odpowiadaj - nakazał Bubba, patrząc na jego buty.

- Tak.

- Ludziom, którzy chcieli opuścić Kościół Prawdy i Objawienia? - zapytała Angie.

- Hej, wstrzymaj się trochę - włączył się Manny.

- Kto ma zapalki? - rzucił Bubba.

- Już jestem cicho - przestraszył się Manny. - Już jestem cicho.

- Wiemy wszystko o Lecznicy Smutku i Kościele - powiedziała Angie. - Jednym ze sposobów na nieposłusznych członków jest przejmowanie ich pieniędzy. Zgadza się?

- Czasami - przyznał John, a jego dolna warga wystawała jak u chłopczyka, którego przyłapano na przyglądaniu się w szkole dziewczęcym ciuchom.

- Macie swoich ludzi wszędzie gdzie trzeba, prawda, John - w kontroli skarbowej, w policji, w bankach, mediach, gdzie jeszcze? - zapytałem.

Wzruszył ramionami, chociaż utrudniały to krępujące go sznury.

- Wymieniłeś wszystko.

- Miło - powiedziałem.

Parsknął.

- Nie zauważyłem, aby ktoś się skarżył, że w tych samych instytucjach pracują katolicy. Albo Żydzi.

- Albo adwentyści dnia siódmego - dodał Bubba.

Spojrzałem na niego.

- Och. - Podniósł rękę. - Przepraszam.

Nachyliłem się nad Johnem, oparłem łokcie na jego kolanach i spojrzałem mu w

twarz.

- Dobra, John. Teraz ważne pytanie. I nawet nie myśl o tym, żeby mnie oszukać.

- To byłoby nierozsądne - dodał Bubba.

John spojrzał nerwowo na Bubbę, a potem znowu na mnie.

- John - zapytałem - co się stało z Desiree Stone?

11

- Desiree Stone - powtórzyła Angie. - No, John. Wiemy, że była na kuracji w Lecznicy Smutku.

John zwilżył wargi językiem i zamrugał. Milczał chwilę i Bubba już zaczął tracić cierpliwość.

- John - powiedziałem.

- Gdzieś tu miałem zapalniczkę.

Bubba zastanawiał się przez chwilę. Poklepał się po kieszeniach spodni i nagle strzelił palcami.

- Została na dole. Już wiem. Zaraz wracam.

John i Manny patrzyli, jak szedł w stronę schodów na końcu loftu, a łomot jego wojskowych buciorów odbijał się echem w belkach stropu.

- No to się doigraliście - powiedziałem, gdy Bubba zniknął na dole.

John i Manny spojrzeli po sobie.

- Jak się tak zachowuje - wyjaśniła Angie - to nigdy niewiadomo, co zrobi. Stara się być, no wiecie, twórczy.

Oczy Johna zrobiły się wielkie jak spodki.

- Nie pozwólcie mu mnie skrzywdzić.

- Niewiele będziemy mogli zrobić, jeżeli nie opowiesz namo Desiree.

- Nic nie wiem o Desiree.

- Z pewnością wiesz - powiedziałem.

- Nie tyle co Manny. Był jej pierwszym doradcą.

Oboje z Angie powoli się odwróciliśmy i spojrzeliśmy na Manny'ego.

Potrząsnął głową.

Angie uśmiechnęła się i podeszła do niego.

- Oj, Manny, Manny - powiedziała. - Masz przed nami tajemnice.

Uniosła jego podbródek, aż spojrział jej w oczy.

- Przyznaj się, mięśniaku.

- Muszę znieść to gówno od tamtego psychola, ale nie będę znosił od żadnej

pierdolonej dziwki.

Splunął na nią i Angie odsunęła się.

- Proszę - powiedziała. - Nie uważasz, że Manny spędza za dużo czasu na siłowni? Tak jest, Manny? Podnosząc małe ciężarki, spychając słabszych koleśki ze StairMastera i opowiadając wszystkim sterydowym kumplom o dupencji, którą przeleciałeś poprzedniej nocy? To ty, Manny. Cały ty.

- Pieprz się.

- Nie, Manny. To ty się pieprz - powiedziała. - Pieprz się i zdychaj.

Bubba wszedł do loftu, wałąc buciorami i wymachując palnikiem acetylenowym.

- Suukces! Suukces! - wołał.

Manny krzyknął i szarpnął się na krześle.

- To będzie dobre - powiedział jeden z braci Twoomeyów.

- Nie! - zawył Manny. - Nie! Nie! Nie! Desiree Stone przyszła do Centrum Terapeutycznego dziewiętnastego listopada. Była, była w depresji, ponieważ, ponieważ...

- Wolniej, Manny - powiedziała Angie. - Wolniej. Manny zamknął oczy i wziął głęboki oddech, po twarzy spływał mu pot.

Bubba usiadł na podłodze i gładził palnik.

- Dobra, Manny - powiedziała Angie. - Od początku. Postawiła przed nim na podłodze magnetofon i włączyła go.

- Desiree była w depresji, ponieważ jej ojciec miał raka, matka właśnie zmarła, a chłopak, którego poznała w college'u, utopił się.

- To wiemy - powiedziałem.

- Przyszła więc do nas i...

- Jak się u was znalazła? - zapytała Angie. - Przyszła tak po prostu z ulicy?

- Tak.

Manny zamrugał oczami. Angie spojrzała na Bubbę.

- On kłamie.

Bubba potrząsnął głową i włączył palnik.

- No dobrze - powiedział Manny. - Dobrze. Została zwerbowana.

- Jeżeli znowu go włączę, Angie, to już go użyję. Czy ci się to podoba, czy nie - zapowiedział Bubba.

Pokiwała głową.

- Jeff Price - powiedział Manny. - On ją zwerbował.

- Jeff? - zdziwiłem się. - Myślałem, że ma na imię Sean.

Manny potrząsnął głową.

- To jego drugie imię. Czasami go używał.

- Opowiedz nam o nim.

- Był szefem do spraw terapii w Lecznicy Smutku i członkiem Rady Kościoła.

- Co to jest?

- Rada Kościoła to coś w rodzaju zarządu. Składa się z ludzi, którzy byli w Kościele jeszcze gdy działał w Chicago.

- No więc, gdzie jest teraz ten Jeff Price? - zapytała Angie.

- Zniknął - powiedział John.

Spojrzelśmy na niego. Nawet Bubba się zainteresował. Może starał się wszystko zapamiętać, na wypadek gdyby chciał otworzyć swój własny kościół. Świątynię Czubków.

- Jeff Price ukradł z Kościoła dwa miliony dolarów i zniknął bez śladu.

- Kiedy? - spytałem.

- Niecałe sześć tygodni temu - powiedział Manny.

- Wtedy też znikła Desiree Stone.

Manny pokiwał głową.

- Byli kochankami.

- Myślicie więc, że jest razem z nim? - zapytała Angie.

Manny spojrzał na Johna. John patrzył w podłogę.

- Co? - drążyła Angie.

- Moim zdaniem ona nie żyje - powiedział Manny. - Jeff, musicie to wiedzieć, on...

- To drań pierwszej klasy - powiedział John. - Najgorszy chuj, jakiego nosi ziemia.

Manny pokiwał głową.

- Mógłby sprzedać matkę aligatorom za parę butów, jeżeli rozumiecie, co chcę powiedzieć.

- Jednak Desiree mogła być z nim - powiedziała Angie.

- Tak sądzę. Ale Jeff musi być niewidzialny. Rozumiecie? Wie, że go szukamy. I wie, że dziewczyna z takim wyglądem jak Desiree wyróżnia się z tłumu. Nie mówię, że nie opuściła z nim Massachusetts, ale w pewnym momencie mógł chcieć się od niej uwolnić. Pewnie wtedy, gdy dowiedziała się o forsie, którą ukradł. I mówiąc, że chciał się od niej uwolnić, wcale nie miałem na myśli tego, że po prostu zostawił ją gdzieś po drodze. Mógł ukryć ją znacznie lepiej.

Spuścił oczy, a jego ciało natężyło się, napinając sznury.

- Lubieś ją - powiedziała Angie.

Spojrzał w górę i to było widać w jego oczach.

- Tak - powiedział miękko. - Posłuchajcie, sędziacie, że kantuje ludzi? Tak. Zgoda. Robię to. Ale czy większość z nich to nie są dupki? Przychodzą do nas, pieprząc o apatii czy oznakach chronicznego zmęczenia, jakby nigdy nie mogli otrząsnąć się z traumy po tym, że w dzieciństwie złazi się w łóżko. Pierdolę ich. Najwyraźniej mają za dużo czasu i za dużo forsy, a jeżeli część ich pieniędzy może się przydać Kościołowi, to tylko dobrze.

Patrzył na Angie z chłodną determinacją, ale w jego oczach powoli pojawiała się coś ciepłego i subtelniejszego.

- Desiree Stone była inna. Przyszła do nas naprawdę po pomoc. W ciągu dwóch tygodni cały jej pieprzony świat się zawalił, a ona była na krawędzi załamania. Wierzcie lub nie, ale Kościół mógłby jej pomóc. Naprawdę tak uważam.

Angie powoli potrząsnęła głową i odwróciła się do niego plecami.

- Manny, oszczędzaj nasz czas. Powiedz, co wiesz o zatruciu się rodziny Jeffa Price'a dwutlenkiem węgla.

- Bzdura.

- Ostatnio ktoś starał się przeniknąć do Lecznicy Smutku - powiedziałem. - Ktoś taki jak my. Wiesz, o kim mówię?

Był szczerze zdziwiony.

- Nie.

- A ty, John?

John pokręcił głową.

- Jakieś informacje na temat miejsca pobytu Price'a? - zapytała Angie.

- Co macie na myśli?

- Daj spokój, Manny - powiedziałem. - Jeżeli potraficie w jedną noc, w czasie dwunastu godzin wyczyścić moje konto bankowe, to zapewne niełatwo się przed wami ukryć.

- Ale to była specjalność Price'a. Opracował nawet teorię kontroperacji.

- Kontroperacji - powtórzyłem.

- Tak. Trzeba mieć w garści swoich przeciwników, zanim oni dobiorą się do ciebie. Krecia robota. Robić to, co robi CIA. Zbieranie informacji, sesje, numery PIN-ów, to wszystko były pomysły Price'a. Zaczął to już w Chicago. Jeżeli ktoś potrafi się przed

nami ukryć, to właśnie on.

- Tak jak wtedy w Tampie - powiedział John. Manny spojrzał na niego.

- Nie chcę dać się spalić - powiedział John. - Nie chcę.

- Co było w Tampie? - zapytałem.

- Użył swojej karty kredytowej. Swojej własnej. Musiał być chyba pijany - powiedział John. - To jego słaba strona. Jest alkoholikiem. Mamy faceta, który całymi dniami siedzi przy komputerze podłączonym do baz danych wszystkich banków, w których Price ma rachunki, i firm, które wydały mu karty kredytowe. Trzy tygodnie temu ten facet znalazł coś w komputerze. Price użył swojej karty kredytowej w motelu w Tampie, Courtyard Marriott.

- I?

- I - kontynuował Manny - w ciągu czterech godzin znaleźli się tam nasi ludzie. Ale po nim nie było nawet śladu. Nawet nie wiemy, czy to był on. Facet z recepcji powiedział, że kartą płaciła jakaś dziewczyna.

- Może Desiree - zauważyłem.

- Nie. Blondynka z widoczną blizną na szyi. Recepcjonista twierdził, że to dziwka. Powiedziała, że karta należała do jej ojca. Moim zdaniem Price mógł sprzedać swoje karty kredytowe lub wyrzucić przez okno, aby znalazł je jakiś menel. Chciał nas wprowadzić w błąd.

- Czy jeszcze ktoś ich używał? - zapytała Angie.

- Nie - odpowiedział John.

- Teoria nie trzyma się kupy, Manny.

- Ona nie żyje, panie Kenzie - powiedział Manny. - Nie życzę jej tego, wierzcie mi, ale ona nie żyje.

Przyciskaliśmy ich jeszcze przez następne trzydzieści minut, ale niczego nowego się nie dowiedzieliśmy. Desiree Stone spotkała Jeffa Price'a, dała mu się omotać i zakochała się w nim. Price ukradł dwa miliony trzysta tysięcy dolarów, czego nie można było zgłosić na policję, bo pochodziły z nielegalnych funduszy, które Lecznica Smutku i Kościół wycisnęli od swoich członków. Dwunastego lutego o dziesiątej rano Price zdobył kod bankowy rachunku na Wielkich Kajmanach, przerzucił forszę na swoje prywatne konto w Commonwealth Bank i podjął wszystko tego samego ranka o jedenastej trzydzieści. Wyszedł z banku i ślad po nim zaginął.

Dwadzieścia jeden minut później Desiree Stone zaparkowała swój samochód na Boylston Street 500, dziewięć przecznic od banku Price'a. I ją także wtedy widziano

po raz ostatni.

- A przy okazji - zapytałem, myśląc o Richiem Colganie - kto rządzi Kościołem?
Kto trzyma finanse?

- Tego nie wie nikt - powiedział Manny.

- Proszę?

Spojrzał na Bubbę.

- Naprawdę. Mówię poważnie. Może wiedzą to członkowie Kościoła, ale nie tacy goście jak my.

Popatrzyłem na Johna. Pokiwał głową.

- Na czele Kościoła stoi niejaki wielebny Kett, ale przez ostatnie piętnaście lat nikt nie widział go żywego.

- Może nawet przez dwadzieścia - dodał Manny. - Niemniej dobrze nam płacą, panie Kenzie. Naprawdę dobrze. Nie narzekamy więc i nie zadajemy pytań.

Spojrzałem na Angie. Wzruszyła ramionami.

- Potrzebne nam zdjęcie Price'a - powiedziała.

- Jest na dyskietce - powiedział Manny. - W pliku PFCGR - to informacje osobowe ludzi związanych z Kościołem i Lecznicą Smutku.

- Możecie nam jeszcze coś powiedzieć o Desiree Stone? Potrząsnął głową, a kiedy się odezwał, jego głos był pełen współczucia.

- Nieczęsto spotykam dobrych ludzi. Naprawdę dobrych. Nikt w tym pomieszczeniu nie jest dobrym człowiekiem. - Potoczył dookoła wzrokiem. - A Desiree była. Była dobrem tego świata. A teraz pewnie leży gdzieś pod ziemią.

Bubba ogłuszył Manny'ego i Johna, a potem Nelson razem z braćmi Twoomeyami zawieźli ich na peryferia miasta pod Mystic River Bridge w Charlestown. Poczekali, aż się ockną, zakneblowani i związani. Potem wyrzucili ich z furgonetki, wywalili kilka serii tuż przy ich głowach, aż John zaskomlał z przerażenia, a Manny się popłakał. No i odjechali.

- Ludzie potrafią cię czasami zaskoczyć - zauważył Bubba.

Siedzieliśmy na bagażniku crown victorii zaparkowanej naprzeciwko więzienia Plymouth. Widać było stamtąd wypielegnowane ogródki i szklarnie, zza muru dobiegały pokrzykiwania mężczyzn grających na rześkim chłodzie w koszykówkę. Ale jedno spojrzenie na wysoki mur, złowrogi i opleciony na szczycie drutem kolczastym,

na sylwetkę strażnika z bronią na wieżyczce starczyło, by nikt nie miał żadnych wątpliwości - to miejsce, gdzie więziono ludzi. Cokolwiek by się myślało o przestępstwach i karach za nie, więzienie zawsze było więzieniem. I to było nieprzyjemne.

- Może ona jeszcze żyje - powiedział Bubba.

- Może - przytaknąłem.

- Poważnie. Jak powiedziałem, ludzie potrafią cię zaskoczyć. Zanim te dwa wory główna ocknęły się u mnie w domu, powiedzieliście, że kiedyś potraktowała gazem jakiegoś faceta.

- I co z tego? - zapytała Angie.

- Ona jest silna. Kapujecie? Siada obok ciebie jakiś chłopak, a ty go częstujesz gazem łzawiącym po oczach? Wiecie, jak silnie to działa? To dziewczyna z charakterem. Może udało jej się nawiązać od tego gościa, tego łajzy Price'a.

- Ale wtedy zadzwoniłaby do ojca. Starałaby się jakoś nawiązać z nim kontakt.

Wzruszył ramionami.

- Może. Nie wiem. To wy jesteście detektywami, a ja durniem, który idzie do pudła za głównianą sprawę.

Rozłożył się na samochodzie i spojrzał na mur z drutem kolczastym i ciemniejące niebo.

- Pora iść - powiedział.

Angie uścisnęła go i pocałowała w policzek. Ja uścisnąłem mu rękę.

- Chcesz, żebyśmy odprowadzili cię do bramy?

- Nie. Czuję się tak, jakbyście byli moimi rodzicami, odprowadzającymi mnie pierwszego dnia do szkoły.

- Pierwszego dnia szkoły - przypomniałem sobie - zbiłeś na kwaśne jabłko Eddiego Rourke.

- Bo gadał głupoty o moich rodzicach, którzy odprowadzili mnie pod same drzwi.

- Puścił oko. - Widzimy się za rok.

- Wcześniej - powiedziała Angie. - Zapomniałeś o odwiedzinach.

Wzruszył ramionami.

- Pamiętajcie, co wam powiedziałem. Ludzie mogą was zaskoczyć.

Patrzyliśmy, jak szedł po zwirowanej drodze, ramiona miał uniesione, ręce w kieszeniach, a silny wiatr wiejący znad zamrzniętych pól mierzwił mu włosy.

Wszedł przez bramę, nie oglądając się.

12

- A więc moja córka jest w Tampie - powiedział Trevor Stone.

- Panie Stone - odezwała się Angie. - Czy pan słyszał, co mówiliśmy?

Mocniej otulił szyję kołnierzem bonzurki i spojrzał na Angie zaczerwienionymi oczami.

- Tak. Dwóch facetów uważa, że ona nie żyje.

- Właśnie - powiedziałem.

- Pan też w to wierzy?

- Niekoniecznie - powiedziałem. - Ale z tego, co się dowiedzieliśmy, ten Jeff Price nie wygląda na typa, który jeździłby z kobietą tak wyróżniającą się z tłumu jak pańska córka w sytuacji, gdy postanowił zapaść się pod ziemię. Zatem Tampa prowadzi...

Stone otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Oczy miał zamknięte i wydawało się, że zmagał się z czymś trudnym do przełknięcia. Twarz miał wilgotną od potu i bledszą niż wypalona na słońcu kość. Wczoraj rano przygotował się na spotkanie z nami, używał laski, elegancko się ubrał i wyglądał jak osłabiony chorobą, ale dumny i zadziorny wojownik.

Dzisiaj wieczorem nie miał czasu, aby się przygotować. Siedział na wózku, na którym, jak poinformował nas Julian, spędzał teraz trzy czwarte czasu, a jego umysł i ciało osłabione było rakiem i chemioterapią, która miała go zwalczyć. Włosy sterczały mu na głowie w rozwichrzonych kępkach, a głos przypominał cichutki, stłumiony szept.

- To jakiś ślad - powiedział, nadal nie otwierając oczu, i przycisnął do ust drżącą pięść. - Może pan Becker także tam zniknął. Hmmm?

- Może - powiedziałem.

- Jak prędko możecie wyjechać?

- Słucham? - zdziwiła się Angie. Otworzył oczy.

- Do Tampy. Czy możecie wyruszyć jutro rano?

- Musimy zarezerwować bilety lotnicze - powiedziałem.

Skrzywił się.

- Nie musicie niczego rezerwować. Julian przyjedzie po wasz rana i zawiezie do mojego samolotu.

- Pana samolotu - powtórzyła Angie.

- Znajdźcie moją córkę, pana Beckera lub Price'a.

- Panie Stone - powiedziała Angie. - To ryzykowna hipoteza.

- Dobrze. - Zakasłał w zwiniętą pięść i znowu na chwilę zamknął oczy. - Jeżeli ona żyje, chcę ją odnaleźć. Jeżeli nie żyje, chcę to wiedzieć. A jeżeli ten Price odpowiada za jej śmierć, możecie coś dla mnie zrobić?

- Co? - zapytałem.

- Będziecie na tyle uprzejmi, żeby go dla mnie zabić?

Powietrze w pokoju nagle stało się lodowate.

- Nie - powiedziałem.

- Zabijaliście już ludzi - powiedział.

- Nigdy więcej - powiedziałem, gdy odwrócił głowę w stronę okna. - Panie Stone.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Nigdy więcej - powtórzyłem. - Czy to jasne?

Zamknął oczy, oparł głowę o zagłówek wózka i wskazał nam gestem, żebyśmy wyszli.

- Widzicie człowieka, który bardziej jest już prochem niż ciałem - powiedział Julian, podając Angie płaszcz w marmurowym holu.

Angie wyciągnęła rękę po płaszcz, ale Julian przygotował się, aby pomóc jej go włożyć. Skrzywiła się, ale odwróciła się tyłem i Julian wsunął rękawy na jej ręce i nałożył płaszcz na ramiona.

- Widzę człowieka - powiedziałem, gdy sięgnął do szafy po moją kurtkę - który rządzi innymi ludźmi, który rządzi przemysłem i finansami, a także każdym ze światów, w którym postawi swoją stopę. Człowieka, którego kroki wywołują drżenie. I szacunek. Nieomal szacunek.

Wyjął moją kurtkę, a ja pozwoliłem ją na siebie włożyć, wdychając przy tym mocny, chłodny zapach jego wody kolońskiej. Nie rozpoznałem marki, ale nie miałem wątpliwości, że nie była to jedna z tych, których używałem.

- Jak długo dla niego pracujesz, Julianie?

- Trzydzieści pięć lat, panie Kenzie.

- A Baniak? - zapytała Angie.

Julian uśmiechnął się do niej niewyraźnie.

- Pewnie chodzi o pana Cliftona?

- Tak.

- Pracuje z nami od dwudziestu lat. Był lokajem pana Stone'a i jego osobistym sekretarzem. Teraz razem ze mną dba i zarządza posiadłością, uczestniczy też w sprawach biznesowych pana Stone'a, gdy ten jest zbyt zmęczony.

Odwróciłem się do niego.

- Jak myślisz, co się stało z Desiree?

- Nie wiem, proszę pana. Mam tylko nadzieję, że nic straszego. To cudowne dziecko.

- A z panem Beckerem? - zapytała Angie.

- Co pani ma na myśli?

- Tej nocy, kiedy zniknął, był w drodze do tego domu. Rozmawialiśmy z policjantem, panem Archersonem. Tamtej nocy nie odnotowano żadnych wypadków ani dziwnych incydentów na drodze 1A. Żadnych kłask samochodowych, żadnych porzuconych pojazdów. W tym czasie żadna firma taksówkowa nie wysyłała taksówki pod ten adres. Jay Becker nie wynajął tamtego dnia samochodu, a jego własne auto nadal stoi na parkingu w condominium, gdzie mieszka.

- I do jakich wniosków to pana prowadzi? - zapytał Julian.

- Nie mamy jeszcze żadnych wniosków. - powiedziałem. - Jedynie przeczucia, Julianie.

- Aha. - Otworzył przed nami drzwi i hol napełnił się natychmiast arktycznym powietrzem. - I co mówią wam te przeczucia?

- Mówią nam, że ktoś tu kłamie - powiedziała Angie. - Może nawet wiele osób.

- Pokarm dla myśli. Tak. - Julian poklepał się po głowie. - Dobranoc państwu. Proszę jechać ostrożnie.

- Góra jest na dole - powiedziała Angie, gdy przejeżdżaliśmy przez Tobin Bridge i pojawiły się przed nami światła miasta.

- Co? - zapytałem.

- Góra jest na dole. Czarne jest białe. Północ jest na południu.

- Dobra - powiedziałem powoli. - Chcesz się zatrzymać i oddać mi kierownicę?

Rzuciła mi groźne spojrzenie.

- To ta sprawa - powiedziała. - Zaczynam odnosić wrażenie, że wszyscy kłamią i każdy ma coś do ukrycia.

- Co zamierzasz więc zrobić?
- Zamierzam przestać brać wszystko za dobrą monetę. Zamierzam powątpiewać we wszystko i nikomu nie ufać.
- Jasne.
- I chcę się włamać do mieszkania Jaya Beckera.
- Teraz? - zapytałem.
- Natychmiast - powiedziała.

Jay Becker mieszkał w Whittier Place, na wzniesieniu, z którego widać Charles River lub Fleet Center, w zależności od lokalizacji apartamentów w condominium.

Whittier Place jest częścią Charles River Apartments, okropnego kompleksu budynków mieszkalnych w typie nowoczesnej architektury luksusowej, wybudowanego w latach siedemdziesiątych razem z ratuszem, Hurley Center, Lindemann Center i JFK Building, aby zastąpić starą zabudowę West Endu, którą kilku miejskich geniuszy urbanistów postanowiło wyburzyć, upodabniając tym samym Boston lat siedemdziesiątych do Londynu z *Mechanicznej pomarańczy*.

West End przypominał kiedyś North End, był tylko trochę bardziej zakurzony i bardziej obskurny z uwagi na bliską obecność okolic z czerwonymi latarniami, Scollay Square i North Station. Teraz miejsca z czerwonymi latarniami znikły, podobnie jak West End i większość przechodniów w tej okolicy po godzinie siedemnastej. Miejscy urbaniści i architekci postawili tu betonowy kompleks przysadzistych budynków dla władz miasta, zero funkcji, maksimum formy, która zresztą była paskudna, oraz osiedla wysokich apartamentowców, które najbardziej przypominały wypalony, anonimowy krajobraz piekielny.

JEŻELI TU MIESZKASZ, JESTEŚ JUŻ W DOMU - głosił inteligentnie sformułowany napis, który minęliśmy, jadąc Storrow Drive w kierunku wjazdu do Whittier Place.

- Gdybym mieszkała w tym samochodzie - powiedziała Angie - on także byłby moim domem?
- Lub pod mostem.
- Lub w rzece.
- Lub w śmietniku.

Bawiliśmy się tak, dopóki nie znaleźliśmy parkingu, kolejnego miejsca, które moglibyśmy nazwać domem, gdybyśmy tam mieszkali.

- Naprawdę nienawidzisz nowoczesności? - zapytała Angie, kiedy szliśmy w stronę Whittier Place, a na mojej twarzy cały czas malował się wyraz niesmaku.

Wzruszyłem ramionami.

- Lubię nowoczesną muzykę. Kilka programów telewizyjnych jest teraz lepszych niż wszystkie wcześniejsze. Ale myślę, że to wszystko.

- Jest jakaś nowoczesna architektura, która ci się podoba?

- Kiedy patrzę na Hancock Tower lub Heritage, to nie mam ochoty spuścić na nie bomby atomowej. Ale Frank Lloyd Wright i I. M. Pei nigdy nie zaprojektowali domu czy budynku, który mógłby konkurować nawet z najbardziej konwencjonalną architekturą wiktoriańską.

- Jesteś zdecydowanie chłopakiem z Bostonu, Patrick. Nic się nie zmieniasz.

Pokiwałem głową, kiedy dochodziliśmy już do drzwi Whittier Place.

- Chcę tylko, żeby zostawili mój Boston w spokoju, Angie. Jak zamierzają budować takie gówna jak to, nich idą do Hartford. Albo do Los Angeles. Gdziekolwiek. Byle tylko daleko stąd.

Ucisnęła mi rękę, a kiedy spojrzałem na nią, uśmiechnęła się.

Weszliśmy przez szklane drzwi do holu dla gości i stanęliśmy twarzą w twarz z kolejnymi szklanymi drzwiami, które były zamknięte. Po prawej stronie wisiały kolumny tabliczek z nazwiskami. Obok każdej tabliczki był trzycyfrowy numer, a z lewej strony spisu lokatorów wisiał telefon. Tego właśnie się obawiałem. Nie można było użyć starego triku i przycisnąć dziesięć dzwoneczków na raz, licząc na to, że ktoś cię wpuści. Jeżeli używa się telefonu, osoba, która podnosi słuchawkę, widzi cię przez kamerę.

To wszystko wina tych cholernych przestępców, że prywatni detektywi mają utrudnione warunki pracy.

- Fajnie było cię obserwować, jak się wygłupiałeś przed chwilą - powiedziała Angie.

Otworzyła torebkę, podniosła ją do góry i wyrzuciła całą zawartość na posadzkę.

- Tak?

Ukląknęłam obok niej i zaczęliśmy wkładać wszystko po kolei do torebki.

- Tak. Już dawno nie śmiałeś się tak po prostu, z niczego.

- Ty też - powiedziałem.

- Spojrzeliśmy na siebie i pytanie, jakie zobaczyłem w jej oczach, zapewne widać było także w moich.

Kim dzisiaj jesteśmy? Co zostało z nas po tych wszystkich doświadczeniach z Gerrym Glynnem? Czy będziemy jeszcze kiedyś znowu szczęśliwi?

- Ile błyszczaków może mieć jedna kobieta? - zapytałem, gdy znowu zabrałem się za zbieranie rozsypanych rzeczy.

- Dziesięć to norma - powiedziała. - Pięć, jeżeli bardzo się spieszę.

Po drugiej stronie szklanych drzwi pojawiła się jakaś para. Mężczyzna wyglądał na adwokata, miał starannie ułożoną, szpakowatą fryzurę, a pod szyją czerwono-żółty krawat od Gucciego. Kobieta wyglądała jak żona adwokata, spięta i podejrzliwa.

- Twoja kolej - rzuciłem do Angie.

Mężczyzna otworzył drzwi, a Angie przesunęła w bok swoje kolano, tarasując nim drogę. Wówczas zza jej ucha wysunął się długi kosmyk włosów, który zasłonił policzek i oparł się o rzęsy.

- Przepraszam - powiedziała z uroczym uśmiechem, patrząc prosto w oczy mężczyzny. - Jak zawsze jestem niezdarna.

Spojrzał na nią i jego bezlitosne spojrzenie rodem z sali sądowej poddało się jej urokowi.

- Ja też nie umiem przejść po prostej drodze, żeby się nie potknąć.

- Och - ucieszyła się Angie. - Bratnia dusza.

Mężczyzna uśmiechał się jak nieśmiały dziesięciolatek.

- Drzyjcie, wszyscy pozbierani - powiedział.

Angie roześmiała się głośno, jakby zaskoczyło ją to nietypowe poczucie humoru. Potrząsnęła kluczami.

- Znalazłam.

Wstaliśmy oboje z klęczek, gdy mijala nas jego żona, a mężczyzna przytrzymał nam otwarte drzwi.

- Następnym razem proszę być ostrożniejszą - powiedział z drwiącą powagą.

- Postaram się.

Mówiąc to, Angie pochyliła się nieco.

- Długo tu państwo mieszkają?

- Walter, idziemy - przywołała go do porządku żona.

- Sześć miesięcy.

- Idziemy, Walterze - powtórzyła kobieta.

Walter po raz ostatni spojrzał Angie w oczy i poszedł.

- Służyć, Walter. Daj łapę, Walter - powiedziałem, gdy zamknęły się za nami

drzwi.

- Biedny Walter - westchnęła Angie, kiedy szliśmy do windy.

- Biedny Walter. Proszę. A przy okazji, nie mogłaś z nim rozmawiać bardziej namiętnie?

- Namiętnie?

- „Seks miesięcy” - przedrzeźniałem ją głosem Marilyn Monroe, najlepszym, jaki mogłem z siebie wydobyć.

- Nie powiedziałam „seks”. Powiedziałam „sześć”. I to wcale nie było namiętne.

- Jak chcesz, Normo Jean.

Dała mi kuksańca w bok, drzwi windy otworzyły się i pojechaliśmy na dwunaste piętro.

- Masz prezent od Bubby? - zapytała Angie pod drzwiami Jaya.

Prezenterem od Bubby był dekodery alarmu. Dał mi go na ostatnie Boże Narodzenie, ale jak do tej pory nie miałem jeszcze okazji, aby go wypróbować. Odczytywał zapis dźwiękowy syreny alarmowej i w ciągu kilku sekund go dekodował. Gdy na małym diodowym ekranie pojawiło się czerwone światełko, należało skierować dekodery w stronę urządzenia alarmowego, nacisnąć guzik znajdujący się w samym środku obudowy i syrena przestawała wyć.

Tak to w każdym razie wyglądało w teorii.

Już wcześniej korzystałem z różnych urządzeń, które dostałem od Bubby, i zwykle wszystko dobrze działało, chyba że określał je jako „szemrane”. W języku Bubby „szemrane” znaczyło, że mogło mieć jakąś usterkę lub nie było jeszcze testowane. Wręczając mi dekodery, nie użył tego określenia, ale nie mogłem być pewien, czy zadziała, dopóki nie weszliśmy do mieszkania Jaya.

Bywałem wcześniej w jego mieszkaniu i wiedziałem, że był tam jeszcze jeden, cichy alarm podłączony do Porter and Larousse Consultants, firmy ochroniarskiej w centrum miasta. Po wejściu do mieszkania miało się jakieś trzydzieści sekund, aby połączyć się z ochroną i podać im hasło, bo w przeciwnym razie ekipa interwencyjna wyruszała w drogę.

Kiedy wspomniałem o tym Angie, machnęła tylko ręką.

- Ja się tym zajmę. Nie przejmuj się.

Wybrała z kluczy na kółku dwa i kiedy ja obserwowałem korytarz, otworzyła drzwi i szybko weszliśmy do środka. Zamknąłem za sobą drzwi i wtedy włączył się pierwszy alarm.

Był tylko odrobinę głośniejszy od syreny przeciwlotniczej. Przystawiłem dekoder Bubby do migającej skrzyneczki przy wejściu do kuchni i nacisnąłem czarny guzik. Czekałem. Raz - Missisipi, dwa - Missisipi, trzy - Missisipi, proszę, proszę, proszę... Bubba był blisko utraty szansy na powrót naszym samochodem z więzienia, gdy nagle na ekraniku pojawiło się czerwone światełko, jeszcze raz nacisnąłem czarny guzik i syrena przeciwlotnicza ucichła.

Spojrzałem na małe pudełeczko, które trzymałem w dłoni.

- No, no, no - powiedziałem z podziwem.

Angie podniosła słuchawkę telefonu w salonie, nacisnęła jedną cyfrę na aparacie, odczekała chwilę i powiedziała: Shreveport.

Wszedłem za nią do salonu.

- Ja też życzę miłego wieczoru - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

- Shreveport?

- Tam urodził się Jay.

- To wiem. Ale skąd ty to wiesz?

Wzruszyła ramionami i rozejrzała się po salonie.

- Musiał kiedyś o tym wspomnieć przy drinku lub innej okazji.

Jeszcze raz wzruszyła ramionami.

- Przy drinku? - zdziwiłem się.

- Uhuu.

Minęła mnie i poszła do sypialni.

W salonie panował nieskazitelny porządek. Jedną trzecią pokoju zajmowała skórzana kanapa w kształcie litery T, a przed nią stał biały stolik do kawy z blatem z dymnego szkła. Na stoliku leżały równiutko ułożone w trzy stosiki egzemplarze pisma GQ i cztery piloty. Jeden do pięćdziesięciocalowego telewizora, drugi do magnetowidu, trzeci do najnowszego odtwarzacza płyt kompaktowych i czwarty do stereofonicznego systemu audio.

- Jay - zawołałem - ma najnowsze piloty, które reagują na głos.

W biblioteczkę stało parę podręczników technicznych, parę powieści Le Carré i kilka pozycji z literatury iberoamerykańskiej, którą Jay uwielbiał - Borges, Garcia Márquez, Vargas Llosa i Cortazar.

Przeszukałem książki, a potem poduszki na kanapie, a ponieważ nic nie znalazłem, przeszedłem do sypialni.

Dobrzy prywatni detektywi są niepoprawnymi minimalistami. Doskonale wiedzą,

że najdrobniejszy zapisek na karteluszkach czy skrycie prowadzony pamiętnik mogą być ważnym śladem, tak więc sami bardzo rzadko narażają się na takie wpadki. Niejedna osoba mówiła mi, że moje mieszkanie bardziej przypomina hotelowy apartament niż dom. I mieszkanie Jaya, chociaż urządzone dużo bardziej wytwornie niż moje, także sprawiało wrażenie kompletnie odpersonalizowanego.

Stałem w drzwiach sypialni i patrzyłem, jak Angie podnosi materac na stylowym łożu i zagląda pod narzutę leżącą obok dębowej komody. Salon był lodowato nowoczesny, tylko czerń, biel, dymne szkło i kobaltowo-błękitne, postmodernistyczne obrazy na ścianach. Sypialnia natomiast urządzona była w stylu bardziej naturalnym. Lśniący podłoga z jasnych, lakierowanych desek, w których odbijał się niewielki stylowy żyrandol, jasna, ręcznie szyta pościel i mały stolik w kącie, do kompletu z komodą i biurkiem.

Angie podeszła do biurka.

- A więc kiedy piliście te drinki z Jayem? - nie dawałem zawygraną.

- Spałem z nim, Patrick. Starczy. Dajmy temu spokój.

- Kiedy?

Znowu wzruszyła ramionami, a ja podszedłem do biurka.

- Zeszłej wiosny lub lata. Jakoś tak.

Każde z nas otworzyło jedną szufladę.

- W okresie „spuszczenia ze smyczy”? - zapytałem.

Uśmiechnęła się.

- Tak.

Angie nazywała „spuszczeniem ze smyczy” okres, kiedy odeszła od Phila - charakteryzowały go krótkotrwałe związki bez zobowiązań, w których dominował przypadkowy seks, jednakże z uwzględnieniem zagrożenia AIDS. Znudziło ją to szybciej niż mnie. Jej „spuszczenie ze smyczy” trwało może sześć miesięcy, moje około dziewięciu lat.

- I jaki był?

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad czymś, co znalazła w szufladzie.

- Był dobry. Ale zrzędził. Nie znoszę facetów, którzy głośno zrzędzają.

- Ja też - powiedziałem.

Zaśmiała się.

- Znalazłeś coś?

Zasunąłem ostatnią szufladę.

- Papier listowy, długopisy, ubezpieczenie na samochód, słowem, nic.
- Ja też nic.

Sprawdziliśmy jeszcze sypialnię dla gości, w której również nic nie znaleźliśmy, i wróciliśmy do salonu.

- Czego właściwie szukamy? - zapytałem.
- Śladu.
- Jakiego śladu?
- Dużego.
- Aha.

Sprawdziłem za obrazami. Zdjąłem tylną ściankę telewizora. Zajrzałem do odtwarzacza CD i do magnetofonu. Nigdzie żadnego śladu.

- Hej! - zawołała Angie, wychodząc z kuchni.
- Znalazłaś duży ślad?
- Nie wiem czy duży.
- Dzisiaj zbieramy tylko duże.

Wręczyła mi wycinek z gazety.

- To było na drzwiach lodówki.

Wycinek był mały, pochodził z tylnej strony gazety i był datowany na dwudziestego dziewiątego sierpnia zeszłego roku.

UTONIĘCIE SYNA GANGSTERA

Anthony Lisardo, dwudziestotrzyletni syn znanego lichwiarza z Lynn, Michaela „Szalonego Daveya” Lisardo, utopił się, prawdopodobnie na skutek nieszczęśliwego wypadku, w zbiorniku wodnym w Stoneham, we wtorek w nocy lub w środę nad ranem. Młody Lisardo, który jak przypuszcza policja, był pod wpływem narkotyków, dostał się tam nielegalnie przez dziurę w płocie. Zbiornik w Stoneham jest dość popularnym, chociaż nielegalnym, miejscem kąpieli miejscowej młodzieży; jego okolice patroluje dwóch strażników ze stanowej służby terenów zielonych, jednakże ani strażnik Edward Brickman, ani strażnik Francis Merriam nie widzieli w czasie swojego trzydziestominutowego patrolu, jak Anthony Lisardo wchodził na teren przy zbiorniku ani jak w nim pływał. Ponieważ z zebranego materiału wynika, że pan Lisardo był w czymś towarzystwie, policja pozostawiła sprawę otwartą do czasu zidentyfikowania tej osoby, chociaż kapitan Emmett Groning z policji w Stoneham

oświadczył: „Wyklucza się w tej sprawie jakiegokolwiek działania przestępcze. Z całą pewnością”.

- Powiedziałbym, że to jest ślad - oświadczyłem.
 - Duży czy mały?
 - To zależy, czy mierzysz szerokość, czy długość.
- Oberwałem za to klapsa w drodze do drzwi.

13

- Powiedzieliście, że dla kogo pracujecie? - zapytał kapitan Groning.

- Nie powiedzieliśmy - przyznała Angie.

Odsunął się od komputera.

- Aha. Więc mam wam pomóc tylko dlatego, że jesteście przyjaciółmi Devina Amronklina i Oscara Lee z Wydziału Zabójstw?

- Mieliśmy taką nadzieję - powiedziałem.

- No więc jeżeli Devin do mnie nie zadzwoni, to mam zamiar wrócić do domu, do mojej staruszki, faciu.

Od paru dobrych dziesiątek lat nikt nie powiedział do mnie „faciu”. Nie bardzo wiedziałem, jak na to zareagować.

Kapitan Emmett Groning miał chyba niecałe sto siedemdziesiąt wzrostu, a ważył jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów. Jego obwisłe policzki były dłuższe i bardziej mięsiste niż u jakiegokolwiek buldoga, którego w życiu widziałem, a drugi i trzeci podbródek zwisały z pierwszego niczym gałki lodów. Nie miałem pojęcia, jakie były wymagania sprawnościowe dla policji w Stoneham, ale mogłem się założyć, że Groning przez co najmniej dziesięć lat siedział za biurkiem. I to na wzmocnionym krześle.

Przeżuwał slim jima, nie jadł go, tylko przesuwiał z jednej strony ust na drugą, co jakiś czas wyjmował, aby podziwiać odciski swoich zębów i resztki lepkiej śliny. Przynajmniej tak mi się wydawało, że to był slim jim. Nie byłem pewien, ponieważ przegapiłem moment, gdy go wyjął z ust - w tej samej bowiem chwili usłyszałem słowo „facio”.

- Nie chcielibyśmy zatrzymać pana... z dała od staruszki - powiedziałem - ale czas bardzo się dla nas liczy.

Przesunął slim jima pod dolną wargą i jakoś udało mu się jednocześnie ssać go i mówić.

- Devin powiedział, że to wy dwoje daliście wycisk Gerry'emu Glynnowi.

- Zgadza się - przytaknąłem. - Dostał od nas wycisk. Angie kopnęła mnie w

kostkę.

- Dobra. - Kapitan Groning spojrział na nas zza komputera. - U nas nie ma takich przypadków.

- Jakich przypadków?

- Waszych psychopatycznych morderców, pokręconych dewiantów, transwestytów i gwałcicieli dzieci. Nie, proszę państwa. Zostawiamy to wszystko wam, tam, w Wielkim Mieście.

Wielkie Miasto znajdowało się jakieś kilkanaście kilometrów od Stoneham. Ten gość myślał chyba, że dzieli go od niego ocean albo nawet dwa.

- Świetnie - powiedziała Angie. - Dlatego właśnie zawsze marzyłam, żeby tu osiąść na emeryturze.

Teraz ja ją kopnąłem.

Groning uniósł brew i pochylił się do przodu, jakby chciał zobaczyć, co robimy po drugiej stronie jego biurka.

- Tak, no właśnie, zawsze powtarzam, moja panno, że to miasto można zmienić tylko na gorsze, nie na lepsze.

No i slogan miejski gotowy, pomyślałem.

- Och, absolutnie - powiedziała Angie.

Odchylił się na krześle, a ja czekałem tylko, aż się przewróci i wpadnie przez ścianę do sąsiedniego pomieszczenia. Wyciągnął slim jima, przyjrzał mu się i włożył go z powrotem do ust. Potem spojrział na monitor komputera.

- Anthony Lisardo z Lynn - powiedział. - Lynn, Lynn, Miasto Grzechu. Słyszeliście kiedyś, że tak je nazywają?

- Słyszemy po raz pierwszy.

Angie uśmiechnęła się promiennie.

- No, tak - powiedział Groning. - To piekielne miejsce, to całe Lynn. Nie trzymałbym tam nawet psa.

Pewnie byś go zjadł, pomyślałem.

Ugryzłem się w język, pamiętając, że obiecałem sobie w tym roku popracować nad swoją dojrzałością.

- Nie trzymałbym tam nawet psa - powtórzył. - Tak. Anthony Lisardo dostał zawału serca.

- Myśleliśmy, że się utopił.

- Tak, utopił się, faciu. Z całą pewnością. Ale wcześniej dostał zawału serca. Nasza

lekarka uważa, że zawał nie był tak silny, aby go zabić, był przecież młodym człowiekiem, ale kiedy to mu się przytrafiło, znajdował się pięć stóp pod wodą, a to wystarczyło, tak napisała. Tak napisała - powtórzył z tym samym muzycznym zaśpiewem, który towarzyszył frazie „nie trzymałbym tam nawet psa”.

- Czy ktoś wie, co wywołało zawał serca?

- Jasne, faciu. Jasne, że ktoś wie. A tym kimś jest kapitan Emmett T. Groning ze Stoneham.

Znowu przechylił się na krześle, uniósł lewą brew i kiwał głową, przesuwając slim jima pod dolną wargą.

Gdybym tu mieszkał, nigdy nie popełniłbym żadnego przestępstwa. Bo mógłbym się wtedy spotkać w jednym pokoju z tym facetem, a po pięciu minutach spędzonych z kapitanem Emmettem T. Groningiem ze Stoneham przyznałbym się do wszystkiego, począwszy od zabicia dziecka Lindbergha aż po odpowiedzialność za zniknięcie Jimmy'ego Hoffy, tylko dlatego, aby dać się zamknąć w więzieniu federalnym możliwie najdalej stąd.

- Kapitanie Groning - odezwała się Angie tym samym seksownym głosem, którym rozmawiała z Biednym Walterem - byłabym bardzo zobowiązana, gdyby zechciał nam pan powiedzieć, co spowodowało zawał serca u Anthony'ego Lisardo.

Bardzo zobowiązana. Angela „Daisy Mae” Gennaro.

- Kokaina - powiedział. - Albo yeh-yo, jak ją niektórzy nazywają.

Siedziałem w Stoneham z tłustym facetem udającym Tony'ego Montanę w wykonaniu Al Pacina. Życie naprawdę bywa zabawne.

- Wciągnął kokainę, dostał zawału i utopił się? - zapytałem.

- Nie wciągnął. Palił ją, faciu.

- A więc może to był crack? - zapytała Angie.

Potrząsnął swoją małą główką, a zwisające policzki wydały odgłos głośnego plaśnięcia.

- Normalna kokaina - powiedział. - Wymieszana z tytoniem. Tak zwane ekwadorskie papierosy.

- Po tytoniu idzie walnięcie koka, potem znowu tytoń, potem koka, tytoń, koka - wyjaśniłem.

Wyglądał tak, jakby zrobiło to na nim wrażenie.

- Znasz się na tym.

Znało się na tym wielu ludzi, którzy chodzili do college'ów w pierwszej połowie lat

osiemdziesiątych, ale tego mu nie powiedziałem. Robił wrażenie człowieka, który uzależnia swój głos w wyborach prezydenckich od tego, czy kandydat „brał”, czy nie.

- Coś niecoś się słyszało - powiedziałem.

- No więc, to właśnie palił młody Lisardo. Dało mu to niezłego kopa, stary, ale potem spadł z góry na dół w naprawdę hajowy sposób.

- A co ze świadkiem? - Angie uśmiechnęła się słodko do kapitana Groninga. - W gazecie napisali, że Lisardo był z kimś.

Groning znów wbił wzrok w monitor komputera.

- Chłopak nazywa się Donald Yeager, dwadzieścia dwa lata. W panice uciekł z miejsca wypadku, ale zatrzymaliśmy go godzinę później. Zostawił marynarkę z dokumentami, po którychdo niego trafiliśmy, trochę go potrzymaliśmy na dołku, ale niczemu nie był winien. Po prostu wybrał się nad zbiornik ze swoim kumplem, wypili trochę piwa, wypalili trawkę i poszli się kąpać.

- Czy też brał kokę?

- Nie. Jak twierdził, nie miał pojęcia, że Lisardo ją palił. Powiedział: „Tony nienawidził koki” - Groning mlasnął językiem. - A ja mu powiedziałem: „A koka nienawidziła Tony'ego, faciu”.

- Kapitalna riposta - pochwaliłem go.

Pokiwał głową.

- Czasami, gdy z chłopakami rozkręcimy się podczas przesłuchania, nie ma na nas mocnych.

Kapitan Groning z Chłopakami. Założę się, że urządzają wspólnie barbecue i razem chodzą do kościoła, śpiewają piosenki Hanka Williamsa Jr. i podobają im się gumowe węże.

- Jak zareagował ojciec Anthony'ego na jego śmierć? - zapytała Angie.

- Szalony Davey? Wiecie, że w gazecie nazwali go „gangsterem”?

- Tak.

- Doprawdy, każda skorumpowana świnia na północ od Quincy okazuje się nagle „gangsterem”.

- A ta konkretna świnia? - zapytała Angie, zaciskając dłonie w pięści.

- Drugorzędna persona. Gazety piszą „lichwiarz”, co częściowo jest prawdą, ale w zasadzie to on zajmuje się kradzionymi brykami na Lynnway.

Boston to jedno z najbezpieczniejszych dużych miast w kraju. Liczba morderstw, napaści czy gwałtów jest tu naprawdę znikoma w porównaniu z Los Angeles, Miami

czy Nowym Jorkiem, ale bijemy na głowę wszystkie te miasta w dziedzinie kradzieży samochodów. Z niejasnych powodów bostońscy kryminaliści uwielbiają kraść auta. Nie mam pojęcia, skąd to się bierze, bo nasz transport publiczny funkcjonuje prawidłowo, ale tak właśnie jest.

Większość tych samochodów ląduje na przedłużeniu drogi 1A, czyli Lynnway, która kończy się nad Mystic River, na całej długości ulicy stoją tam garaże, gdzie odbywa się handel samochodami. Większość garaży i punktów sprzedaży jest legalna, ale nie wszystkie. Dlatego bostończycy, którym ukradziono samochód, nawet się nie fatygują, aby sprawdzić system naprowadzania satelitarnego - z całą pewnością odezwie się z głębin Mystic River, tuż obok Lynnway. System, ma się rozumieć, a nie samochód. Samochód już dawno został rozłożony na części, a części w pół godziny po kradzieży powędrowały do piętnastu różnych miejsc.

- Szalony Davey nie jest wściekły z powodu śmierci syna? - zapytałem.

- Z pewnością jest - powiedział kapitan Groning. - Ale niewiele może w tej sprawie zrobić. Rzecz jasna, wcisnął nam obowiązkowe gówno w stylu „Mój syn nie brał koki”, ale co więcej mógł powiedzieć? Na szczęście w tutejszej mafii panuje obecnie chaos i bałagan, a Szalony Davey nie ubiega się o żadne stanowisko, więc nie obchodzi mnie, co myśli.

- Więc Szalony Davey to płotka? - zapytałem.

- Wręcz gupik - powiedział kapitan Groning.

- Wręcz gupik - zwróciłem się do Angie.

I dostałem kolejnego kopniaka w kostkę.

14

Biura Hamlyn & Kohl Worldwide Investigations zajmowały całe trzydzieste drugie piętro w John Hancock Tower, drapaczu chmur z metalicznego, błękitnego szkła zaprojektowanym przez I. M. Peia. Fasada wykonana została z tafli szkła lustrzanego, każda o wysokości sześciu metrów i długości osiemnastu. Pei zaprojektował je w taki sposób, że w szklanej powierzchni z niezwykłą wyrazistością odbijały się sąsiednie budynki i kiedy podchodziło się do wieżowca, widać było schwyte w dymny błękit i bezlitosne szkło jasne granity i czerwony piaskowiec Trinity Church oraz imponujący wapień Copley Plaza Hotel. Trzeba przyznać, że widok był atrakcyjny, a przynajmniej nie odpadały tu szklane tafle, co się zdarzało gdzie indziej.

Okna gabinetu Everetta Hamlyna wychodziły na Trinity Church i w taki chłodny, rześki wieczór jak ten, kiedy odwiedziliśmy kancelarię, widać było nawet Cambridge. Właściwie widać było też Medford, ale nie znam nikogo, kto patrzyłby aż tak daleko.

Popijaliśmy brandy z najwyższej półki Everetta Hamlyna i obserwowaliśmy go, gdy stał przed szklaną taflą ściany i przyglądał się miastu rozścielającemu się u jego stóp niczym dywan świateł.

Everett prezentował się cholernie dobrze. Był prosty jak trzcina, a skóra tak ściśle opinała mięśnie i kości, że czasami zastanawiałem się, czy nie eksploduje przy najbliższym choćby nacięciu. Metalicznie siwe włosy przylegały do czaszki, a na jego policzkach nigdy nie widziałem nawet cienia zarostu.

Etyka pracy tego człowieka była wprost legendarna - pierwszy zapalał rano światła w firmie i ostatni gasił je wieczorem. Nieraz słyszałem, jak powtarzał, że nie należy ufać nikomu, kto potrzebuje więcej niż cztery godziny snu, ponieważ zdrada rodzi się z lenistwa i z zamiłowania do luksusu, a sen dłuższy niż cztery godziny jest luksusem. W czasie drugiej wojny światowej pracował w amerykańskim wywiadzie, był wtedy jeszcze bardzo młody, a teraz, po pięćdziesięciu latach, nadal wyglądał lepiej niż większość mężczyzn o połowę od niego młodszych.

Mówiono o nim, że umrze w dniu, kiedy odejdzie na emeryturę.

- Wiecie, że nie mogę o tym rozmawiać - powiedział, patrząc na nasze odbicia w szklanej tafli.

Spojrzałem mu w oczy tą samą drogą.

- Porozmawiajmy więc poufnie. Everett, proszę.

Uśmiechnął się lekko i uniósł szklankę, z której pociągnął maleńki łyk.

- Wiedziałeś, że będę sam, Patrick. Prawda?

- Tak podejrzewałem. Jeżeli ktoś wie, w który szklany kwadrat spojrzeć, to z ulicy widać, czy pali się u ciebie światło.

- Jestem bez partnera, który chroniłby mnie, gdybyście zdecydowali się zaatakować zespołowo, przydusić starego człowieka do ziemi.

Angie zachichotała.

- Ależ, Everett - powiedziała - proszę.

Odwrócił się od okna z błyskiem w oczach.

- Jesteś zachwycająca, Angie, jak zwykle.

- Komplementy nie osłabiają wagi naszych pytań - zastrzegła, ale na jej policzkach pojawił się przelotny rumieniec.

- Dalej, stary wazeliniarzu - zawołałem. - Powiedz mi, jak świetnie wyglądam.

- Wyglądasz okropnie, drogi chłopcze. Widzę, że wciąż sam sobie obcinasz włosy.

Zaśmiałem się. Zawsze lubiłem Everetta Hamlyna. Wszyscy go lubili. Czego nie można było powiedzieć o jego partnerze, Adamie Kohlu. Everett miał niezwykłą łatwość w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, co stało w sprzeczności z jego wojskową przeszłością, sztywnymi manierami i bezkompromisowym pojmowaniem tego, co słuszne i niesłuszne.

- Ale moje są przynajmniej prawdziwe, Everett.

Dotknął sztywnych włosów na czubku swojej głowy.

- Myślisz, że zapłaciłbym za coś takiego?

- Everett - odezwała się Angie - jeżeli będziesz na tyle miły, aby nam powiedzieć, dlaczego kancelaria Hamlyn & Kohl zrezygnowała z prowadzenia sprawy swojego klienta Trevora Stone'a, przestaniemy rozmawiać o tym, jak mało włosów ci zostało. Obiecuję.

Wykonał niemal niezauważalny gest głową, który dobrze znałem z wcześniejszych z nim kontaktów i wiedziałem, że oznacza przeczenie.

- Potrzebujemy w tej sprawie pomocy - powiedziałem. - Próbujemy odnaleźć dwoje ludzi - Desiree Stone i Jaya.

Podszedł do swojego krzesła i zanim usiadł, przez chwilę mu się przyglądał. Potem odwrócił je tak, aby mieć nas przed sobą, i oparł łokcie na biurku.

- Patrick - powiedział cichym i niemal ojcowskim głosem - czy wiesz, dlaczego Hamlyn i Kohl zaproponowali wam pracę po tym, jak siedem lat wcześniej odrzuciłeś naszą pierwszą ofertę?

- Zazdrość o naszych klientów?

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się. - Prawdę powiedziawszy, Adam początkowo bardzo się temu sprzeciwiał.

- Nie jestem zaskoczony. Ja też go nie kocham.

- Jestem tego pewien. - Odchylił się na krześle, ogrzewając brandy w dłoni. - Przekonałem Adama, że jesteście wytrawnymi detektywami z doskonałą - można by nawet powiedzieć, zaskakująco dobrą - reputacją. Ale nie chodziło jedynie o to; Angelo, nie traktuj, proszę, tego, co teraz powiem, jako zarzutu, bo nie takie są moje intencje.

- Z pewnością nie potraktuję, Everett.

Pochylił się do przodu i spojrzał mi prosto w oczy.

- Szczególnie zależało mi na tobie, Patrick. Na tobie, chłopcze, ponieważ przypominałeś mi Jaya, a Jay przypominał mi mnie, gdy byłem w twoim wieku. Obaj byliście piekielnie inteligentni, obaj tryskaliście energią, ale było coś jeszcze. Obaj mieliście coś, co jest bardzo rzadkie w dzisiejszych czasach, pasję. Byliście jak mali chłopcy. Mogliście się podjąć każdego zadania, nawet najbliższego, i traktowaliście je jak największe wyzwanie. Rozumiesz, kochałeś pracę, nie tylko zawód. Kochałeś wszystko, co się z nią łączyło, i przez te trzy miesiące, kiedy razem pracowaliście, z radością tu przychodziłem. Wasz entuzjazm wypełniał całe biuro - wasze nieparlamentarne dowcipy, wasze uczniowskie wygłupy, wasze poczucie humoru i wasza absolutna determinacja, aby rozwiązać każdą sprawę. - Oparł się na krześle i wziął głęboki oddech. - To było jak balsam.

- Everett - odezwałem się, ale zamilkłem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

Podniósł rękę.

- Proszę. Ja też kiedyś taki byłem, rozumiesz. Jeżeli więc powiem ci, że Jay był mi tak bliski jak syn, uwierzysz mi?

- Tak - powiedziałem.

- I gdyby na świecie było więcej takich ludzi jak on, jak ja i nawet jak ty, Patrick, to myślę, że ten świat byłby dużo lepszy. Rozdęte ego pełnego pychy człowieka, wiem

o tym, ale jestem już stary, więc mam do tego prawo.

- Nie jesteś, Everett - powiedziała Angie.

- Kochane z ciebie dziecko.

Uśmiechnął się do niej, potem pokiwał w zamyśleniu głową i spojrzał na swój kieliszek z koniakiem. Wstał z krzesła, znowu podszedł do okna i stał tam chwilę, patrząc na miasto.

- Wierzę w honor - powiedział. - Żadna inna ludzka cnota nie zasługuje na taką pochwałę jak honor. Całe życie starałem się być człowiekiem honoru. Ale to trudne. Dlatego, że większość ludzi nie ma honoru. Dla większości honor to, w najlepszym wypadku, tylko jakieś staroświeckie pojęcie, a w najgorszym - szkodliwa naiwność.

Odwrócił głowę, uśmiechnął się do nas, ale to był uśmiech zmęczonego człowieka.

- Honor, moim zdaniem, zanika. Jestem pewien, że umrze razem z naszym stuleciem.

- Everett - powiedziałem - gdybyś tylko mógł...

Pokręcił głową.

- Nie mogę rozmawiać z tobą o żadnych aspektach sprawy Trevora Stone'a ani zniknięcia Jaya Beckera, Patrick. Po prostu nie mogę. Mogę tylko prosić, abyś zapamiętał to, co powiedziałem o honorze i ludziach pozbawionych honoru. I radźcie sobie sami z tą wiedzą.

Wrócił do swojego krzesła, usiadł i odwrócił się w stronę okna.

- Dobranoc - powiedział.

Spojrzałem na Angie, ona spojrzała na mnie, a potem oboje spojrzeliśmy na tył głowy Everetta. Widziałem jego oczy, które odbijały się w szybie, ale tym razem nie patrzyły na moje odbicie, tylko na własne. Wpatrywał się w swój widmowy wizerunek zamknięty w szkłe i rozplywający się w odbiciach światła innych budynków i innych żyć.

Zostawiliśmy go tak, siedział nadal na krześle, patrząc jednocześnie na miasto i na siebie, zatopiony w ciemnym błękitcie wieczornego nieba.

Już przy drzwiach zatrzymał nas jego głos, w którym zabrzmiał ton, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Nadal był to głos człowieka doświadczonego i mądrego, przesiąknięty ekskluzywną i drogą brandy, ale teraz wyczuwało się w nim cień lęku.

- Bądźcie ostrożni na Florydzie - powiedział Everett Hamlyn.

- Nie mówiliśmy, że jedziemy na Florydę - zdziwiła się Angie.

- Bądźcie ostrożni - powtórzył i oparł się o krzesło, pociągając łyk brandy. -

Proszę.

Część druga

Granica od południa

15

Nigdy przedtem nie byłem na pokładzie prywatnego odrzutowca, nie miałem więc żadnej skali porównawczej. Nie mogłem nawet posłużyć się jakimś innym, podobnym doświadczeniem i porównać to z pobytem na prywatnym jachcie czy prywatnej wyspie, ponieważ nigdy nie byłem w takich sytuacjach. Jediną „prywatną” rzeczą, jaką miałem, był mój samochód, podrasowany porsche rocznik 63. Tak więc... przebywanie w prywatnym odrzutowcu bardzo przypominało mi przebywanie w moim samochodzie. Tylko że odrzutowiec był większy. I szybszy. I był w nim barek. I latał.

Frankenstein i Baniak zabrali nas z mieszkania błękitną limuzyną, która także była dużo większa od mojego samochodu. W zasadzie była też większa od mojego mieszkania.

Spod domu skierowaliśmy się na Columbia Road, mijając po drodze kilku gapiów, którzy zastanawiali się zapewne, któż to wychodzi za mąż albo jaka szkoła urządza bal maturalny w połowie marca o dziewiątej rano. Wlekliśmy się potem w porannym korku aż do Ted Williams Tunnel, który prowadzi na lotnisko.

Potem, zamiast dołączyć do samochodów jadących w kierunku głównych terminali, zrobiliśmy rundę i pojechaliśmy w stronę południowego krańca lotniska, mijając po drodze kilka towarowych terminali, magazynów z żywnością, hotel pamiętający czasy wyborów, o którego istnieniu nie miałem zielonego pojęcia, i zatrzymaliśmy się przed główną siedzibą portu lotniczego. Frankenstein udał się do budynku, podczas gdy Angie i ja myszkowaliśmy w barku w poszukiwaniu soku pomarańczowego i orzeszków ziemnych, zastanawiając się przy tym, czy nie gwizdnąć dwóch kieliszków do szampana.

Frankenstein wrócił po chwili, a za nim pojawił się niski facet, który pobiegł w stronę brązowo-żółtej furgonetki z napisem Precision Aviation na boku.

- Chcę limuzynę - powiedziałem do Angie.
- Limuzyna zaparkowana przed twoim domem wywołałaby burzę plotek.
- Nie będę już potrzebował swojego domu. - Pochyliłem się w stronę Baniaka. -

Czy są tu szafy?

- Jest bagażnik.

Wzruszył ramionami.

Odwróciłem się do Angie.

- Jest bagażnik.

Podjechaliśmy do furgonetki i ruszyliśmy za nią w stronę stanowiska kontroli. Frankenstein i kierowca furgonetki wysiedli, pokazali strażnikowi prawa jazdy, a on zapisał numery i wręczył Frankensteinowi przepustkę, którą ten umieścił na desce rozdzielczej limuzyny. Przed furgonetką podniosło się pomarańczowe ramię szlabanu i wjechaliśmy na płytę lotniska.

Furgonetka podjechała do niewielkiego budynku, tuż za nią nasza limuzyna i powolutku przemierzaliśmy drogę między dwoma pasami startowymi, których w pobliżu było więcej, wszystkie oświetlone rzędami świateł błyszczącymi w porannej mgle. Dostrzegłem samoloty transportowe, obłe odrzutowce i małe białe ślizgacze, cysterny z paliwem i dwa stojące bezczynnie ambulanse, samochód straży pożarnej i jeszcze trzy inne limuzyny. Poczulem się nagle tak, jakbyśmy wkroczyli do zamkniętego przed nami do tej pory świata, który cuchnął władzą, wpływami i ludźmi tak potężnymi, że nie zawracali sobie głowy zwykłymi środkami transportu i czymś tak banalnym jak rozkłady jazdy układane przez innych. Znaleźliśmy się w świecie, w którym fotel pierwszej klasy w samolocie rejsowym traktowany był jak druga klasa, a przed nami rozciągały się prawdziwe korytarze władzy obramowane światłami lądowania.

Domyśliłem się, który odrzutowiec należy do Trevora Stones, jeszcze zanim się przed nim zatrzymaliśmy. Wyróżniał się nawet w towarzystwie cessen i learów. Był to biały gulfstream ze smukłym, opuszczonym dziobem jak concorde, kadłubem opływowym jak pocisk, skrzydłami złożonymi blisko kadłuba i ogonem w kształcie rybniej płetwy. Imponująca maszyna, biały jastrząb szykujący się do lotu.

Wyjęliśmy bagaże z limuzyny, a kolejny pracownik Precision Aviation zabrał je od nas i włożył do luku bagażowego przy ogonie.

- Ile kosztuje taki odrzutowiec? Jakież siedem milionów? - zapytałem Frankensteina.

Zachichotał.

- Rozśmieszyło go to - poinformowałem Angie.

- Skreści się ze śmiechu - powiedziała.

- Moim zdaniem pan Stone zapłacił za tego gulfstreama dwadzieścia sześć milionów.

Powiedział „tego” gulfstreama, jakby w garażu w Marblehead stało jeszcze kilka innych.

- Dwadzieścia sześć. - Szturchnąłem Angie. - Założę się, że sprzedawca chciał dwadzieścia osiem, ale trochę utargowali.

Na pokładzie spotkaliśmy kapitana Jimmy'ego McCanna i drugiego pilota, Herba. Stanowili wesołą parę, uśmiechnięci od ucha do ucha, z krzaczastymi brwiami ukrytymi za lustrzanymi okularami. Zapewnili nas, że jesteśmy w dobrych rękach, mamy się nie bać, bo katastrofy zdarzają się tylko raz na miesiąc, ha, ha, ha. Typowy humor pilotów. W najlepszym wydaniu. Oby jak najwięcej.

Zostawiliśmy ich ze wszystkimi wskaźnikami i momentami obrotowymi, aby mogli pomyśleć, w jaki to zabawny sposób przyprawić nas o utratę kontroli nad waszymi wnętrzościami, a sami udaliśmy się do głównej kabiny.

Ona też wydała mi się większa od mojego mieszkania, ale może byłem po prostu pod wrażeniem.

Znajdował się w niej bar, pianino i trzy łóżka w tylnej części. W łazience był prysznic. Na podłodze pluszowy dywan w kolorze lawendy. Po lewej i prawej stronie stało sześć skórzanych foteli, a przed dwoma z nich przytwierdzone były do podłogi stoliki z czereśniowego drewna. Każde siedzenie wygodnie rozłożone.

Pięć było pustych. Na szóstym siedział Graham Clifton, czyli Baniak. Nie zauważyłem, żeby opuszczał limuzynę. Siedział przodem do nas, na kolanach trzymał skórzany notes, na wierzchu którego leżało wieczne pióro.

- Nie wiedziałem, że leci pan z nami, panie Clifton - odezwałem się.

- Pan Stone pomyślał, że może przyda się tam dodatkowa para rąk. Doskonale znam wybrzeże Florydy.

- Zawsze pracujemy sami - powiedziała Angie i usiadła naprzeciw niego.

Wzruszył ramionami.

- Pan Stone nalegał.

Podniosłem słuchawkę telefonu przymocowanego obok mojego fotela.

- No to zobaczymy, czy uda nam się skłonić pana Stone'a, by zmienił zdanie.

Położył rękę na mojej dłoni i odłożył słuchawkę na miejsce. Jak na niewielkiego mężczyznę był bardzo silny.

- Pan Stone nigdy nie zmienia zdania - powiedział.

Spojrzałem w jego małe, ciemne oczka i zobaczyłem w nich tylko swoje odbicie.

O pierwszej wylądowaliśmy na lotnisku Tampa International, a ja poczułem lepki żar w powietrzu, jeszcze zanim koła naszego samolotu gładko dotknęły płyty lotniska. Kapitan Jimmy i drugi pilot Herb sprawiali wrażenie przygłupich tępaków i może rzeczywiście tacy byli w innych dziedzinach życia, ale z tego, jak wystartowali, wylądowali i prowadzili samolot podczas turbulencji nad Wirginią, wywnioskowałem, że usiedliby DC-10 na czubku ołówka w samym oku cyklonu.

Pominąwszy upał, na Florydzie uderzyła mnie wszechobecna zieleń. Lotnisko Tampa International wyglądało, jakby zbudowano je w samym środku lasu mangrowego, i wszędzie, jak okiem sięgnąć, widziałem najróżniejsze odcienie zieleni - ciemną zieleń mangrowych liści, wilgotną, szarawą zieleń ich pni, niewielkie trawiaste pagórki na granicy lotniska, jaskrawe niebieskawozielone wagoniki, które jeździły między terminalami - pojazdy rodem z *Łowcy androidów*, gdyby wyreżyserował go Walt Disney.

Kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem taki błękit, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie widziałem, tak nasycony i jaskrawy na tle białych, koralowych łuków autostrad, że mógłbym przysiąc, iż został namalowany. Pastele, pomyślałem, mrużąc oczy przed światłem atakującym nas przez okna wagoniku - tak wielu napastliwych odcieni pasteli nie widziałem od czasu wizyt w nocnych klubach w połowie lat osiemdziesiątych.

I jeszcze ta wilgoć. Jezu. Poczułem jej przedsmak, gdy tylko wysiadłem z odrzutowca, miałem wrażenie, jakby ktoś wywalił gorącą gąbką dziurę w moich piersiach i wpakował mi ją prosto w płuca. Kiedy wylatywaliśmy, temperatura w Bostonie była dodatnia, ale niewiele przekraczała zero i po tak długiej zimie wydawało się, że było gorąco. Tutaj sięgała zapewne trzydziestu stopni, a mokry, puszysty dywan wilgoci jeszcze ją podwyższał.

- Muszę rzucić palenie - powiedziała Angie, gdy dojechaliśmy do terminalu.
- Albo oddychanie - zauważyłem. - Jedno z dwojga.

Trevor, rzecz jasna, wysłał po nas samochód. Tym razem był to beżowy, czterodrzwiowy lexus z tablicą rejestracyjną z Georgii i sobowtórem Frankensteinia w roli szofera. Facet był wysoki, szczupły, w wieku między pięćdziesiąt a dziewięćdziesiąt lat. Nazywał się pan Cushing i wyglądał tak, jakby przez całe życie

nikt nigdy nie zwracał się do niego po imieniu. Chyba nawet rodzice zwracali się do niego per panie Cushing. Mimo tropikalnego upału miał na sobie czarny garnitur i czapkę szofera, a kiedy otwierał przed nami drzwi samochodu, zauważyłem, że jego skóra była suchsza niż talk.

- Dzień dobry państwu. Witam w Tampa.

- Dobry.

Zamknął za nami drzwi, a kiedy rozsiedliśmy się w klimatyzowanym wnętrzu, obszedł wóz dookoła i otworzył przednie drzwi dla Baniaka, który usiadł przy kierowcy. Pan Cushing zajął miejsce za kierownicą i wręczył Baniakowi trzy koperty, a ten jedną zatrzymał sobie, a dwie podał nam.

- Wasze klucze hotelowe - poinformował nas pan Cushing, ruszając spod krawężnika. - Dla pani jest zarezerwowany apartament numer sześćset jednaście, a dla pana, panie Kenzie, sześćset dwanaście. W kopercie znajdzie pan także kluczyki do samochodu, który wynajął dla państwa pan Stone. Stoi na hotelowym parkingu. Numer miejsca parkingowego znajdzie pan na kopercie.

Baniak otworzył laptopa wielkości niewielkiej książki i nacisnął kilka klawiszy.

- Zatrzymamy się w Harbor Island Hotel - poinformował nas. - Może udamy się tam najpierw, weźmiemy prysznic, a potem pojedziemy do Courtyard Marriott, gdzie prawdopodobnie mieszkał Jeff Price?

Spojrzałem na Angie.

- Brzmi dobrze.

Baniak pokiwał głową, a jego laptop cichutko zapiszczał. Pochyliłem się i zobaczyłem na ekranie plan Tampy. Przepływał w postaci siatki krzyżujących się linii, które układały się coraz ściślej, aż pulsujący punkt, który zapewne oznaczał Courtyard Marriott, znalazł się w samym centrum monitora, a wtedy linie wokół niego wypełniły się nazwami ulic.

Lada moment spodziewałem się usłyszeć nagrany na taśmę głos, który powie mi, jakie zadanie mam tu do spełnienia.

- Taśma zniszczy się sama w ciągu trzech sekund - powiedziałem.

- Co? - zapytała Angie.

- Nic takiego.

16

Harbor Island wyglądała na sztuczną i stosunkowo nową wyspę. Wylaniała się ze starej części śródmieścia, a dostaliśmy się na nią przez biały mostek długości niewielkiego autobusu. Było na niej kilka restauracji i eleganckich butików, a także zatoczka dla jachtów połyskująca w słońcu złotem. Wszędzie pełno było karaibskich motywów z koralowcem, dużo wypłowiałych na słońcu budynków w kolorze bieli i kości słoniowej oraz ścieżek spacerowych utwardzanych tłuczonymi muszlami.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed hotelem, w stronę przedniej szyby samochodu poszybował pelikan, na widok którego oboje z Angie daliśmy nura pod siedzenie, ale cudacznie wyglądające ptaszysko złapało nagle wiatr w skrzydła i łagodnym łukiem wylądowało na przybrzeżnych palach.

- Ten cholerny stwór był ogromny - powiedziała Angie.
- I okropnie brązowy.
- I wyglądał bardzo prehistorycznie.
- Ja też go nie lubię.
- To dobrze - powiedziała Angie. - Nie chciałabym czuć się głupio.

Pan Cushing wysadził nas przed wejściem do hotelu, gdzie boje hotelowi w mig chwycili nasze bagaże.

- Tędy, proszę, panie Kenzie i pani Gennaro - powiedział jeden z nich, chociaż się nie przedstawiliśmy.

- Przyjdę o trzeciej - powiedział Baniak.
- Nie wątpię - skwitowałem.

Zostawiliśmy go razem z panem Cushingiem i podążyliśmy za niesamowicie opalonym bojem do windy, a potem do naszych pokoi.

Apartamenty były gigantyczne, okna wychodziły na zatokę Tampa i trzy mosty, które ją przecinały. Mlecznozielona woda połyskiwała w promieniach słońca, a wszystko było takie ładne, czyste i spokojne, że pomyślałem, jak długo będę mógł to znosić, zanim się porzygam.

Angie przyszła do mnie przez drzwi łączące oba apartamenty i wyszliśmy na taras,

zamykając za sobą szklane przesuwane drzwi.

Przebrała się z czarnych, miejskich ciuchów w jasne džinsy i biały, siatkowy top, a ja usiłowałem trzymać swoje myśli i oczy z dala od jej górnej połowy ciała, aby móc rozmawiać o interesach.

- Kiedy chcemy pozbyć się Baniaka? - zapytałem.

- Już jest za późno.

Oparła się o balustradkę i zaciągnęła się lekko papierosem.

- Nie ufam temu pokojowi - powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

- Ani wynajętemu samochodowi.

Słońce przedarło się przez jej czarne włosy i wydobyło kasztanowe odcienie ukryte od ostatniego lata pod ciemniejszą warstwą. Upał ożywił jej policzki.

Może to miejsce nie było jednak takie złe.

- Dlaczego Trevor nagle tak naciska?

- Masz na myśli Weeble'a?

- I Cushinga. - Machnąłem ręką do tyłu. I całe to gównno.

Wzruszyła ramionami.

- Szaleje w związku z Desiree.

- Może.

Odwróciła się, oparta plecami o balustradę, za którą rozciągała się zatoka, i skierowała twarz ku słońcu.

- Poza tym, wiesz, jak to jest z bogatymi facetami.

- Nie - przyznałem. - Nie wiem.

- No, to tak, jakbyś poszedł z którymś na randkę...

- Poczekaj, aż wezmę długopis.

Strząsnęła na mnie popiół z papierosa.

- Zawsze starają się zrobić na tobie wrażenie, pokazać, że na ich skinienie cały świat leży im u nóg, a każda zachcianka, o którą cię posądzają, staje się przewidywalna i zrealizowana. Kiedy więc wysiadasz z samochodu, służący otwiera przed tobą drzwi, odźwierny otwiera następne drzwi, kelner podsuwa ci krzeselko, a bogaty facet zamawia dla ciebie dania. Wszystko po to, żebyś się dobrze czuł, ale ty czujesz się zniewolony, jakbyś nie miał własnego rozumu. Albo - dodała - wyboru. Trevor prawdopodobnie chce, abyśmy mieli poczucie, że wszystkie jego środki są do naszej dyspozycji.

- Ale jednak nie ufasz apartamentowi i wynajętemu samochodowi.

Pokręciła głową.

- Przywykł do władzy. Poza tym pewnie niezbyt wierzy, że inni zrobią to, co sam by zrobił, gdyby był zdrowy. A kiedy Jay zniknął...

- On chce znać każdy nasz ruch.

- Właśnie.

- Lubię faceta i w ogóle... - powiedziałem.

- Ale to źle rokuje - przyznała.

Kiedy zatrzymaliśmy się, aby wyjrzeć przez okna na półpiętrze, pan Cushing stał przed hotelem obok swojego lexusa. Wychodząc, rzuciłem też okiem na parking i zobaczyłem, że można z niego wyjechać po drugiej stronie hotelu wprost na małą uliczkę z butikami. Z miejsca, w którym stał Cushing, nie było widać ani wyjazdu z parkingu, ani małego mostu łączącego wysepkę z lądem.

Nasz samochód okazał się błękitnym dodgem stealth, a wynajęto go w Prestige Imports na Dale Mabry Boulevard. Wyjechaliśmy z parkingu, a za chwilę też z Harbor Island.

Angie wskazywała drogę, posługując się mapą, którą trzymała na kolanach. Skręciliśmy w Kennedy Boulevard, po chwili znaleźliśmy Dale Mabry i pojechaliśmy dalej na północ.

- Mnóstwo lombardów - zauważyła Angie, wyglądając przez szybę.

- I lokali ze striptizem - powiedziałem. - Połowa zamkniętych, połowa nowych.

- Czemu po prostu nie otwierają na nowo tych zamkniętych, zamiast inwestować w nowe?

- To tajemnica - powiedziałem.

Miałem wrażenie, że Floryda, którą widzieliśmy do tej pory, była tylko pocztówką z Florydy - koralowce i mangrowce, połyskująca woda i pelikany. Kiedy tak jechaliśmy Dale Mabry kilkanaście kilometrów po najbardziej płaskim terenie, jaki w życiu widziałem, a osiem pasów ruchu płynęło szeroką rzeką w nieskończoność przez fale lepkiego upału lejącego się z przewróconej miski błękitnego nieba, zastanawiałem się, czy to właśnie nie jest prawdziwa Floryda.

Angie miała rację z lombardami, a ja z lokalami ze striptizem. Na każdym rogu był przynajmniej jeden. Były też bary o subtelnych i finezyjnych nazwach, takich jak Cycki, Melony czy Dupcie, między którymi znajdowały się punkty z fast foodem dla

kierowców, a nawet sklepy monopolowe, w których można było sobie kupić drinka na drogę. Krajobraz urozmaicały parkingi dla ciężarówek i więcej komisów z używanymi samochodami, niż widziałem na Lynnway.

Angie pociągnęła za pasek swoich spodni.

- Jezu, dzinsy się do mnie lepią z tego upału.

- To je zdejmij.

Włączyła klimatyzację i przycisnęła guzik na konsolce między naszymi siedzeniami, a za chwilę szyby zasunęły się automatycznie.

- Jak teraz? - zapytała.

- Nadal uważam, że moja propozycja była lepsza.

- Nie podoba się państwu stealth?

Eddie, agent wynajmujący samochody, wydawał się zakłopotany.

- Wszyscy są zadowoleni z tej marki.

- Nie wątpię - powiedziała Angie. - Ale my szukamy czegoś mniej rzucającego się w oczy.

- No proszę! - zawołał Eddie, gdy zza szklanych, rozsuwanych drzwi za nim wyłonił się drugi agent. - Hej, Don, im się nie podoba stealth.

Don skrzywił opaloną twarz i spojrzał na nas, jakbyśmy przylecieli z Marsa.

- Nie podoba im się stealth? Wszystkim się podoba.

- Już to słyszeliśmy - powiedziałem. - Ale nie spełnia naszych oczekiwań.

- Więc czego szukacie, edsela? - zapytał Don.

Eddiemu bardzo się to spodobało. Uderzył dłonią o ladę i obaj z Donem wydali z siebie dźwięki, które mógłbym określić jako porykiwanie osła.

- Szukamy czegoś takiego - wyjaśniła Angie - jak ta zielona celika, która stoi tu na parkingu.

- Kabriolet? - zapytał Eddie.

- Jasne, głupku - powiedziała Angie.

Wzięliśmy samochód w takim stanie, w jakim był, chociaż przydałoby mu się mycie i tankowanie. Wyjaśniliśmy Donowi i Eddiemu, że mamy bardzo mało czasu, co zdziwiło ich jeszcze bardziej niż fakt, że nie podobał nam się stealth.

- Macie mało czasu? - nie mógł zrozumieć Don, kiedy wpisywał dane z mojego prawa jazdy do umowy o wypożyczenie auta, którą wcześniej sporządził z panem

Cushingiem.

- Tak - powiedziałem. - To się zdarza, jeśli szybko musisz wpaść tu i tam.

O dziwo, nie zapytał, co znaczy „szybko”. Wzruszył tylko ramionami i podał mi kluczyki.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w restauracji Chatka Kraba, żeby przyjrzeć się mapie okolicy i sporządzić plan działania.

- Te krewetki są niesamowite - powiedziała Angie.

- Kraby też - zauważyłem. - Spróbuj.

- Zamieńmy się.

Zrobiliśmy to i muszę przyznać, że krewetki rzeczywiście były boskie.

- I tanie - dodała Angie.

Miejsce naprawdę przypominało chatkę zbudowaną z desek i starego, łuszczącego się drewna, stoły były podziurawione i chropawe, jedzenie podawano na papierowych talerzach, a piwo w plastikowych kubkach. Jednakże jedzenie, lepsze niż większość owoców morza, które jadłem w Bostonie, kosztowało jedną czwartą tego, co tam płaciłem.

Siedzieliśmy w zacienionym patio na tyle knajpki, z którego rozciągał się widok na falującą morską trawę i beżową wodę, która kończyła się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej na tyłach, a jakżeby inaczej, lokalu ze striptizem. Białe ptaszysko z nogami tak długimi jak nogi Angie i równie imponującą szyją usiadło na balustradzie otaczającej patio i utkwilo wzrok w naszym jedzeniu.

- Jezu - wyszeptała Angie. - Co to jest, do diabła?

- To biała czapla - powiedziałem. - Nieszkodliwa.

- Skąd wiesz, jak się nazywa?

- *National Geographic*.

- Och. Jesteś pewien, że nieszkodliwa?

- Angie - westchnąłem.

Wzruszyła ramionami.

- Nie jestem dziewczyną, która kocha naturę. I co mi zrobisz?

Czapla zeskoczyła z balustrady i wylądowała przy moim łokciu, a jej mała główka znalazła się na wysokości moich ramion.

- Chryste - powiedziała Angie.

Wziąłem z talerza nogę kraba i wyrzuciłem ją poza balustradę, a czapla pacnęła mnie skrzydłem, poderwała się do lotu i zanurkowała w wodę.

- Świetnie - powiedziała Angie. - Teraz ją zachęciłeś.

Wziąłem talerz i kubek.

- Chodźmy.

Weszliśmy do środka i zajęliśmy się studiowaniem mapy, a czapla po chwili wróciła i wpatrywała się w nas przez szklaną szybę. Kiedy podjęliśmy decyzję, dokąd jechać, złożyliśmy mapę i dokończyliśmy jedzenie.

- Myślisz, że ona żyje? - zapytała Angie.

- Nie mam pojęcia.

- A Jay? - pytała dalej. - Myślisz, że przyjechał tu za nią?

- Nie wiem.

- Ja też. Nie wiemy zbyt wiele, prawda?

Obserwowałem białą czaplę, która wyciągała długą szyję, aby dojrzeć mnie przez szybę.

- Prawda - zgodziłem się. - Ale za to szybko zdobywamy informacje.

17

Nikt, z kim rozmawialiśmy w Courtyard Marriott, nie rozpoznał na pokazywanych przez nas zdjęciach Jeffa Price'a ani Desiree Stone. Byli tego zupełnie pewni, ponieważ pół godziny wcześniej te same fotografie pokazywali im Baniak i pan Cushing. Baniak, mały, obleśny drań, zostawił nawet dla nas w Marriocie list, w którym domagał się spotkania z nami w barze Harbor Hotel o ósmej.

Sprawdziliśmy jeszcze kilka hoteli w okolicy, nie zyskując niczego poza zdziwionymi spojrzeniami, i wróciliśmy na Harbor Island.

- To nie jest nasze miasto - powiedziała Angie, gdy zjeżdżaliśmy z naszego piętra windą do baru.

- Nie.

- I to doprowadza mnie do szału. Tracimy tu tylko czas. Nie wiemy, z kim rozmawiać, nie mamy żadnych kontaktów, ani nawet przyjaciół. Możemy jedynie łązić w kółko jak idioci i pokazywać każdemu te głupie fotki. Uff.

- Uff? - powiedziałem.

- Uff - powtórzyła.

- Och - powiedziałem. - Uff. Rozumiem. Przez chwilę myślałem, że powiedziałaś po prostu uff.

- Zamknij się, Patrick.

Wyszła z windy, a ja poszedłem za nią do baru.

Miała rację. Traciliśmy tu czas. Ślad był bezwartościowy. To kretyński pomysł lecieć ponad dwa tysiące kilometrów tylko dlatego, że dwa tygodnie temu ktoś użył w tym hotelu karty kredytowej Jeffa Price'a.

Baniak był jednak innego zdania. Znaleźliśmy go w barze, gdzie siedział przy oknie wychodzącym na zatokę, a przed nim stała szklanka daiquiri z nienaturalnie błękitną miksturą. Różowe, plastikowe mieszadełko w jego szklance zakończone było flamingiem. Stolik stał między dwoma plastikowymi palmami. Kelnerki nosiły białe koszulki podwinięte tuż pod biustem i czarne spodenki z lycry, tak obcisłe, że nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do obecności (lub braku) majteczek pod spodem.

Ach, istny raj. Brakowało jedynie Julio Iglesiasa. A ja czułem, że już jest w drodze.

- To nie jest bezowocne - powiedział Baniak.

- Mówi pan o drinku czy o podróży? - zapytała Angie.

- O jednym i o drugim.

Przysunął nos do flaminga i pociągnął spory haust ze szklanki, a potem wytarł usta w serwetkę, zostawiając na niej błękitny odcisk wąsów.

- Jutro rozdzielimy się i sprawdzimy wszystkie hotele i motele w Tampie.

- A jak skończymy?

Sięgnął do stojącej przed nim miseczki z orzeszkami macadamia.

- Spróbujemy tego samego w St. Petersburgu.

I tak właśnie było.

Przez trzy dni przeczesywaliśmy Tampę, potem St. Petersburg. I odkryliśmy, że niektóre fragmenty tych miejsc nie były wcale tak piękne, jak można było wnioskować po Harbor Island, ani tak paskudne jak to, co widzieliśmy w Dale Mabry. Okolice Hyde Parku w Tampie i Old Northest w St. Pete wyglądały całkiem atrakcyjnie, z uliczkami brukowanymi kocimi łbami i starymi, południowymi domami okolonymi gankami i sękatymi, starymi drzewami figowca, rzucającymi głęboki cień. Plaże w St. Pete też były cudowne, o ile nie zwracało się uwagi na zrędliwych rowerzystów ze spoconymi karkami.

Tak więc w końcu znaleźliśmy coś, co nam się podobało.

Ale nie znaleźliśmy Jeffa Price'a ani Desiree Stone, ani Jaya Beckera.

Odczuwaliśmy poza tym męczące skutki paranoi, jeżeli tak można było określić ten stan, w jakim cały czas żyliśmy. Każdego wieczoru parkowaliśmy celikę w innym miejscu i każdego ranka dokładnie sprawdzaliśmy, czy nie było w niej jakiegoś urządzenia naprowadzającego, oczywiście nic nigdy nie znajdując. Pluskwami się nie zajmowaliśmy, ponieważ był to kabriolet i nasze rozmowy ginęły w szumie wiatru, dźwiękach z radia lub jednym i drugim naraz.

Niemniej czuliśmy się dość dziwnie, bo cały czas mieliśmy wrażenie, że śledzą nas czyjeś oczy i uszy, jakbyśmy znaleźli się w filmie, który oglądają wszyscy oprócz nas.

Trzeciego dnia Angie zeszła do hotelowego basenu, aby w spokoju przeczytać wszystko, co zebraliśmy w naszej teczce, a ja wyniosłem aparat telefoniczny na taras, sprawdziłem, czy nie ma w nim pluskwy, i zadzwoniłem do Richiego Colgana do „Boston Tribune”.

Odebrał telefon, rozpoznał mój głos i zawiesił połączenie. Co za palant, naprawdę. Sześć piętér niżej Angie stała przy leżaku i zdejmowała szare szorty i biały T-shirt, spod których ukazało się czarne bikini.

Staralem się nie patrzeć. Naprawdę. Ale jestem słabeuszem. I facetem.

- Co robisz? - zapytał po chwili w słuchawce Richie.

- Nie uwierzysz, jak ci powiem.

- Dawaj.

- Obserwuję, jak moja współpracownica rozsmarowuje sobie na nogach krem do opalania.

- Bzdura.

- Chciałbym.

- Wie, że się na nią gapisz?

- Żartujesz?

W tej chwili Angie odwróciła głowę i spojrzała na mój taras.

- Zostałem nakryty - powiedziałem.

- Już po tobie.

Jednak nawet z tak dużej odległości widziałem, że się uśmiechnęła. Przez chwilę patrzyła w moją stronę, potem potrząsnęła lekko głową i wróciła do smarowania łydek.

- Chryste - powiedziałem - w tym stanie jest stanowczo za gorąco.

- Gdzie jesteście?

Powiedziałem mu.

- No tak, mam dla was kilka wiadomości - pochwalił się.

- Gadaj.

- Lecznica Smutku wniosła sprawę przeciwko „Tribune”.

Mocniej oparłem się na krześle.

- Opublikowałeś już swój tekst?

- Nie - powiedział. - I właśnie o to chodzi. Moje śledztwo odbywało się bardzo dyskretnie. Nie było sposobu, żeby się zorientowali, że weszę wokół nich.

- Ale się dowiedzieli.

- Tak. I nie tracili czasu. Wnieśli sprawę do sądu federalnego, oskarżając nas o pogwałcenie prywatności i kradzież międzystanową...

- Międzystanową? - zdziwiłem się.

- Jasne. Wielu ich klientów mieszka poza Massachusetts. Na tych dyskieciekach

były dane o klientach z północy i środkowego zachodu. Angie ukradła informacje, które przekraczają granice stanów.

- To sprytna linia - zauważyłem.

- Oczywiście. Muszą jeszcze udowodnić, że ja mam te dyskietki i całą resztę tego gówna, ale chyba mają w kieszeni sędziego, ponieważ dziś o dziesiątej rano mój wydawca otrzymał sądowy zakaz publikowania jakichkolwiek tekstów na temat Lecznicy Smutku, które miałyby bezpośredni związek z informacjami znajdującymi się na tych dyskietkach.

- Świetnie, to masz ich w garści - powiedziałem.

- Niby dlaczego?

- Nie są w stanie udowodnić, co było na dyskietkach, jeżeli ich nie mają. A nawet jeżeli mają wszystko zapisane na twardym dysku, nie mogą udowodnić, że to, co jest na twardym dysku, było także na dyskietkach. Racja?

- Owszem. Ale tu zaczyna się jazda z zakazem. My nie możemy udowodnić, że to, co chcemy opublikować, nie pochodzi z tych dyskietek. Chyba że bylibyśmy na tyle głupi, aby je pokazać, dzięki czemu, oczywiście, także stałyby się bezużyteczne.

- Paragraf dwadzieścia dwa.

- Bingo.

- Niemniej - powiedziałem - to mi wygląda na zasłonę dymną, Rich. Jeżeli nie są w stanie udowodnić, że masz te dyskietki lub przynajmniej wiesz coś o nich, wcześniej czy później jakiś sędzia musi przyznać, że nie mają żadnej prawnej podstawy, aby wnosić swoje żądania.

- Tylko musimy znaleźć takiego sędziego - powiedział Richie. - A to oznacza procesy, może nawet sąd najwyższy. To pochłonie dużo czasu. A ja muszę teraz krążyć dookoła i wykorzystywać inne źródła niż dyskietki. Oni grają na czas, Patrick. Tak właśnie. I są górą.

- Dlaczego?

- Nie wiem. I nie wiem też, dlaczego tak szybko na mnie wpadli. Mówiłeś komuś?

- Nikomu.

- Gówno prawda.

- Ależ Richie, nie powiedziałem nawet naszemu klientowi.

- A przy okazji, kim jest wasz klient?

- Daj spokój, Richie.

Na linii zapadła długa grobowa cisza. Kiedy odezwał się ponownie, szeptał.

- Wiesz, co trzeba mieć, żeby kupić sędziego federalnego?

- Kupę forsy.

- Kupę forsy - powtórzył. - I wielką władzę, Patrick. Przyjrzałem się nieco głowie Kościoła Prawdy i Objawienia, facetowi, który się nazywa P. F. Nicholson Kett.

- Nie żartujesz? To jego pełne nazwisko?

- Tak, a co?

- Nic - powiedziałem. - Tylko takie śmieszne.

- Tak, więc P. F. Nicholson Kett jest kimś w rodzaju boga, guru i najwyższego kapłana w jednej osobie. I przez ostatnie dwadzieścia lat nikt go nie widział. Swoje przesłania przekazuje przez podwładnych, zapewne ze swojego jachtu, który pływa gdzieś w okolicach Florydy. I...

- Florydy - powtórzyłem.

- Właśnie. Posłuchaj, moim zdaniem to jakaś mistyfikacja. Myślę, że facet już dawno temu umarł i pewnie nigdy nie miał żadnej władzy. To tylko taka maska, którą ktoś nałożył na Kościół.

- A kto jest za tą maską?

- Tego nie wiem - powiedział. - Ale to nie jest P. F. Nicholson Kett. Ten facet był zwykłym przygłupem. Pracował jako redaktor w dziale ogłoszeń w Madison, Wisconsin, i żeby przeżyć, pisywał pod przybranym nazwiskiem dialogi do pornosów. Z trudem literował własne nazwisko. Widziałem jednak filmy i muszę przyznać, że miał charyzmę. Poza tym miał w oczach ten wyraz, który mają wszyscy fanatycy, na poły gorliwego wyznawcy, na poły człowieka otępiałego. Ktoś wziął tego faceta z dobrym wyglądem i charyzmą i popchnął go za tyłek wyżej, robiąc z niego maleńkiego bożka. I to jest ten sam ktoś, jestem pewien, kto teraz ciągnie do sądu mój tyłek.

Usłyszałem w słuchawce niecierpliwe dzwonki kilku telefonów.

- Zadzwoń do mnie później. Muszę kończyć.

- Cześć - pożegnałem się, ale już się wyłączył.

Kiedy wyszedłem z hotelu na alejkę, która wiła się wśród drzew palmowych i sosen australijskich, ujrzałem Angie siedzącą na leżaku. Osłaniała dłonią oczy przed słońcem i patrzyła na chłopaka w pomarańczowych slipkach Speedo, tak kusych, że porównanie ich z przepaską byłoby pewnie obrazą dla przepaski.

Drugi facet w niebieskich Speedo siedział po przeciwnej stronie basenu i obserwował ich, a po wyrazie jego twarzy domyśliłem się, że Pomarańczowy Speedo

był jego kumplem.

Pomarańczowy Speedo opierał o opalone biodro opróżnioną do połowy butelkę piwa Corona, a cząsteczka cytryny kołysała się na pianie. Podchodząc, usłyszałem jego słowa.

- Potrafisz być miła, prawda?
- Potrafię - powiedziała Angie. - Ale teraz nie jestem w nastroju.
- No to zmień nastrój. Jesteś w krainie zabawy i słońca, kochanie.

Kochanie. Duży błąd.

Angie poruszyła się na leżaku i położyła na ziemi teczkę, którą przed chwilą jeszcze studiowała.

- Kraina zabawy i słońca?
- Tak! - Młodzieniec pociągnął łyk corony. - Hej, powinnaś nosić okulary przeciwsłoneczne.
- Dlaczego?
- Żeby chronić swoje piękne oczy.
- Podobają ci się moje oczy - powiedziała tonem, który dobrze znałem.

Uciekaj, chciałem krzyknąć do faceta. Uciekaj, uciekaj, uciekaj. Oparł znowu butelkę na biodrze.

- Tak. Są takie kocie.
- Kocie?
- Jak u kocicy - powiedział i nachylił się nad nią.
- Lubisz koty?
- Kocham je.

Uśmiechnął się.

- Powinieneś więc pójść do sklepu zoologicznego i kupić sobie jakiegoś - powiedziała. - Mam bowiem wrażenie, że to jedyne futerko, jakie będzie dla ciebie dostępne dzisiejszego wieczoru. - Podniosła teczkę i położyła ją sobie z powrotem na kolanach. - Rozumiesz, co mam na myśli?

Wyszedłem zza drzew i stanąłem nad basenem w chwili, gdy Pomarańczowy Speedo cofnął się o krok, opuścił głowę i zacisnął dłoń na szyjce butelki tak mocno, że kostki mu szczerwieniały.

- Trudno znaleźć właściwą ripostę, co?

Uśmiechałem się promiennie.

- Cześć, współniku! - zawołała Angie na mój widok. - Mimo słońca przyszedłeś do

mnie. Jestem pod wrażeniem. Włożyłeś nawet szorty.

- Przegryzałaś się przez tę sprawę?

Ukucnąłem przy jej leżaku.

- Nie. Ale jestem blisko. Czuję to.

- Bzdura.

- No dobrze. Masz rację.

Pokazała mi język.

- Wiesz,co...

Podniosłem wzrok. To był Pomarańczowy Speedo, który trząsał się z wściekłości i pokazywał palcem na Angie.

- Jeszcze tu jesteś? - zdziwiłem się.

- Wiesz, co - powtórzył.

- Co? - spytała Angie.

Jego napięte mięśnie na klatce piersiowej pulsowały i drżały, a butelkę piwa uniósł na wysokość ramion.

- Gdybyś nie była kobietą...

- Już byłbyś na ostrym dyżurze - powiedziałem. - Ale i tak przeciągasz strunę, bracie.

Angie uniosła się na leżaku i spojrzała na niego.

Wciąż oddychał ciężko, ale nagle odwrócił się na pięcie i wrócił do swojego kumpla. Chwilę poszeptali, a potem obaj utkwili w nas wzrok.

- Nie sądzisz, że mój temperament nie jest odpowiedni do tego miejsca? - zapytała Angie.

Pojechaliśmy na lunch do Chatki Kraba. Jeszcze raz. W ciągu trzech dni stała się naszym drugim domem. Rita, kelnerka po czterdziestce, która nosiła wypłowiały kowbojski kapelusz, kabaretki pod obciętymi džinsami i paliła cygara, stała się naszą pierwszą znajomą w tej okolicy. Gene, jej szef i główny kucharz w Chatce Kraba, szybko został drugim. I biała czapla, którą spotkaliśmy pierwszego dnia - miała na imię Sandra i zachowywała się przyzwoicie, dopóki ktoś nie dał się jej napić piwa.

Usiedliśmy w ogródku nad wodą i obserwowaliśmy po raz kolejny popołudniowe niebo, które stopniowo nabierało pomarańczowej barwy, wdychaliśmy zapach soli z pobliskiej zatoki, a także, niestety, benzyny, a ciepła bryza mierzwiła nasze włosy i wprawiała w ruch dzwoneczki zawieszane na słupach, a także groziła zmieceniem

naszej teczki do mlecznej wody.

W drugim końcu ogródka siedziało czworo Kanadyjczyków o różowej skórze, ubranych w ohydne, kwieciste koszule. Grzebali w talerzach z jedzeniem i głośno rozmawiali o tym, jaki niebezpieczny stan sobie wybrali do parkowania swoich wakacyjnych samochodów.

- Najpierw narkotyki na plaży - mówił jeden z nich. - A teraz ta biedna dziewczyna.

Od dwóch dni lokalna prasa rozpisywała się o „narkotykach na plaży” i „biednej dziewczynie”.

- O, tak. O, tak - jęczała kobieta. - Mogliśmy przecież pojechać do Miami, to prawda, och.

Następnego ranka po naszym przyjeździe kilku metodystów z grupy wsparcia dla wdów, którzy przyjechali tu na wakacje z Michigan, spacerowało po plaży w Dunedin i znaleźli nad wodą kilka plastikowych torebek. Torebki były małe i wypchane, jak się później okazało, heroiną. Około południa morze wyrzuciło jeszcze kilka na plażach w Clearwater i St. Petersburgu, a według niepotwierdzonych informacji kolejne znaleziono daleko na północy, w Homosassa, i na południu, w Marco Island. Straż przybrzeżna oświadczyła, że sztorm, który nawiedził Meksyk, Kubę i Wyspy Bahama, zatopił, być może, statek wiozący heroinę, ale jak do tej pory, nie pojawiły się jeszcze żadne informacje o znalezieniu wraku.

Wczoraj natomiast wypłynęła sprawa „biednej dziewczyny”.

W motelu w Clearwater zastrzelono niezidentyfikowaną kobietę. Strzelano do niej prawdopodobnie z dubeltówki, z bardzo bliskiej odległości i prosto w twarz, co uniemożliwiało identyfikację zwłok. Rzecznik prasowy policji powiedział także, że ciało kobiety zostało okaleczone, ale odmówił podania szczegółów. Wiek ofiary oceniano w przedziale osiemnaście-trzydzieści lat, a lokalna policja usiłowała zidentyfikować ją na podstawie uzębienia.

W pierwszej chwili pomyślałem, cholera, Desiree. Jednak zasięgnąwszy języka w Clearwater, gdzie znaleziono ciało, i wysłuchawszy ostatnich wiadomości o szóstej po południu, nabraliśmy przekonania, że ofiara była prawdopodobnie prostytutką.

- Oczywiście - powiedział jeden z Kanadyjczyków - tutaj jest zupełnie jak na Dzikim Zachodzie. To nie ulega kwestii.

- Masz rację, Bob - przyznała jego żona i wsadziła gruby paluch do miseczki z sosem tatarskim.

To był rzeczywiście dziwny stan, sam to już zauważyłem, ale nawet go polubiłem. To znaczy, konkretnie polubiłem Chatkę Kraba. Polubiłem Sandrę, Ritę i Gene'a oraz dwie informacje za barem, które głosiły: „Jeżeli aż tak bardzo podoba ci się sposób, w jaki to robią w Nowym Jorku, jedź 1-95 na północ” i „Kiedy się zestarzeję, przeprowadzę się do Kanady i będę jeździł naprawdę wolno”.

Miałem na sobie koszulkę bez rękawów i szorty, a moja śnieżnobiała zwykle skóra zmieniła szczęśliwie kolor na delikatny odcień beżu. Angie włożyła tego dnia górę od czarnego bikini i kolorowy sarong, jej ciemne włosy skręcały się w loki, a orzechowe pasemka były już niemal koloru blond.

Słońce dobrze mi zrobiło, ale dla niej trzy ostatnie dni były po prostu darem niebios. Kiedy przestawała się denerwować sprawą, dla której tu przyjechaliśmy, albo kiedy dobiegał końca kolejny bezowocnie spędzony dzień, odprężała się, rozkwitała i poddawała się działaniu słońca, wszechobecnej roślinności, głębokiego błękitu nieba i słonego powietrza. Chodziła na bosaka, chyba że szukaliśmy śladów Desiree i Jeffa Price'a, a w nocy jeździliśmy na plażę i siedząc na bagażniku samochodu, wsłuchiwalismy się w szum fal; zamieniła też łóżko w apartamencie hotelowym na hamak na tarasie.

Spojrzałem jej w oczy, a ona posłała mi uśmiech, w którym odnalazłem smutną pewność i głęboką ciekawość.

Siedzieliśmy tak dłuższą chwilę, uśmiechy stopniowo ulatywały, oczy patrzyły na siebie, szukając w twarzach odpowiedzi na pytania, które nigdy nie zostały zadane.

- To przez Phila - powiedziała i wyciągnęła rękę, aby dotknąć mojej dłoni. - Czuję, jakby to było z naszej strony świętokradztwo, rozumiesz...

Pokiwałem głową.

Jej zapiaszczona stopa dotknęła mojej.

- Przepraszam, jeśli z tego powodu cierpisz.

- Nie cierpię - powiedziałem.

Uniosła brew.

- To nie jest cierpienie - wyjaśniłem. - To raczej boli. Teraz i przedtem. Martwię się.

Uniosła moją rękę do policzka i zamknęła oczy.

- Myślałam, że jesteście współnikami, a nie zakochaną parą - usłyszeliśmy nad głowami.

- To z pewnością Rita - powiedziała Angie, nie otwierając oczu.

I to była Rita. Dziś w kowbojskim kapeluszu i czerwonych kabaretkach, przyniosła nam talerze z krewetkami i krabami. Ricie bardzo się podobało, że jesteśmy detektywami. Chciała wiedzieć, ile razy strzelaliśmy, w ilu pościgach samochodowych braliśmy udział, ilu złych facetów zabiliśmy.

Postawiła talerze na stole i zdjęła dzbanek piwa z naszej teczki, aby zrobić miejsce na plastikowe sztucce, a wtedy powiał ciepły wiatr i zmiotł na ziemię widelce i nasze materiały operacyjne.

- O, rany! - zawołała.

Wstałem, żeby jej pomóc, ale była szybsza. Błyskawicznie zebrała wszystkie rozsypane materiały i zamknęła teczkę, ale jedno ze zdjęć, które wiatr zwał aż za balustradę, trzymała między kciukiem a palcem wskazującym. Odwróciła się do nas z uśmiechem, a jej lewa noga nadal była skrzycona w półpięcie w miejscu, skąd sięgała po uciekającą fotografię.

- Minęłaś się z powołaniem - powiedziała Angie. - Strata punktu dla jankesów.

- Miałam jankesa - powiedziała, patrząc na fotografię, którą złapała. - Nie warto sobie zawracać głowy tym ciągłym mówieniem o...

- Dalej, Rita - zachęcałem ją. - Nie wstydź się.

- Hej! - zawołała, ciągle wpatrując się w fotografię. - Hej! - powtórzyła.

- Co?

Wręczyła mi teczkę i zdjęcie, po czym pobiegła do środka.

Spojrzałem na fotografię, którą mi oddała.

- O co chodzi? - zapytała Angie.

Podąłem jej zdjęcie.

Rita wpadła do ogródka z gazetą w ręku. Był to egzemplarz „St. Petersburg Times” z tego dnia, otworzony na siódmej stronie.

- Spójrz - powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

Wskazała notatkę na dole strony.

Nagłówek głosił: **MĘŻCZYŻNA ZATRZYMANY W ZWIĄZKU Z ZABÓJSTWEM W BRADENTON.**

Mężczyzna nazywał się David Fischer i był przesłuchiwany w sprawie zaszytowania niezidentyfikowanego osobnika, którego ciało znaleziono w motelu w Bradenton. Nie podano zbyt wielu szczegółów, ale nie o to chodziło. Jedno spojrzenie na zdjęcie Davida Fischera wyjaśniło, dlaczego Rita przyniosła mi gazetę.

- Jezu - powiedziała Angie, patrząc na fotografię w gazecie. - To Jay Becker.

18

Aby dotrzeć do Bradenton, pojechaliśmy drogą 275 na południe przez St. Petersburg, a następnie przemierzyliśmy monstrualny most zwany Sunshine Skyway, który rozciąga się nad fragmentem Zatoki Meksykańskiej i łączy okolice Tamy i St. Petersburga z terenami Sarasoti i Bradenton.

Nad mostem wznoszą się dwie ażurowe konstrukcje zaprojektowane na wzór, jak się wydaje, rybich płetw grzbietowych. Z daleka, kiedy słońce schodziło do morza, a niebo płonęło purpurą, płetwy wyglądały jak pomalowane przydymionym złotem, ale już na moście zobaczyliśmy, że każda płetwa składa się z żółtych stalowych lin, zbiegających się w coraz mniejsze trójkąty ku podstawie mostu. Na samym dole zamontowano światła, które razem z poświatą zachodzącego słońca nadawały płetwom złoty odcień.

Chryste, jak oni tu kochają te swoje kolory.

- ...niezidentyfikowany mężczyzna - Angie czytała na głos notatkę w gazecie - lat nieco ponad trzydzieści, leżał twarzą do podłogi w swoim pokoju w Isle of Palms Motel z nożem w brzuchu. Podejrzany, David Fischer, czterdzieści jeden lat, został aresztowany w swoim pokoju, który przylegał do pokoju ofiary. Policja odmawia informacji o motywach zbrodni, nie udziela też wyjaśnień, na jakiej podstawie zaarrestowano pana Fischera.

Z tej samej gazety dowiedzieliśmy się, że Jay przebywał w więzieniu w Bradenton i oczekiwał na przesłuchanie, które miało się odbyć dzisiaj.

- Co się dzieje, do diabła? - zapytała Angie, gdy zjeżdżaliśmy z mostu, a purpura na niebie nabierała coraz głębszego odcienia.

- Zapytajmy Jaya.

Wyglądał okropnie.

Jego ciemnokasztanowe włosy poprzetykane były siwymi pasmami, których wcześniej nie widzieliśmy, a worki pod oczami były tak napuchnięte, że nie uwierzyłbym nikomu, kto by twierdził, że w tym tygodniu choć chwilę się zdrzemnął.

- Proszę, proszę, czy siedzi przede mną Patrick Kenzie, czy to może Jimmy Buffett?

Uśmiechnął się do mnie słabo, wchodząc do sali wizyt, i wziął do ręki słuchawkę po drugiej stronie szyby z pleksi.

- Ledwo mnie poznajesz, co?

- Jesteś niemal opalony. Nie wiedziałem, że to możliwe u potomków Celtów.

- W gruncie rzeczy - powiedziałem - to makijaż.

- Kaucja w gotówce za zwolnienie wynosi sto patyków - powiedział i usiadł naprzeciwko mnie w swoim boksie, przytrzymał słuchawkę między podbródkiem a ramieniem i zapalił papierosa. - Albo milion w formie zastawu. Facet od mojej kaucji nazywa się Sidney Merriam.

- Kiedy zacząłeś palić?

- Ostatnio.

- Większość ludzi w twoim wieku raczej rzuca palenie.

Zamrugnął.

- Nie jestem niewolnikiem mody.

- Sto patyków - powtórzyłem.

Pokiwał głową i ziewnął.

- Pięć, piętnaście, siedem.

- Co? - zapytałem.

- Schowek numer dwanaście.

- Gdzie? - zapytałem.

- Bob Dylan w St. Pete - powiedział.

- Co?

- Rozszyfruj zagadkę, Patrick. Wtedy znajdziesz.

- Bob Dylan w St. Pete - powiedziałem.

- Piosenki - dodał. - Nie albumy.

- Rozumiem - pokiwałem głową, chociaż nie rozumiałem.

Ale ufałem mu.

- A więc przysłali cię - powiedział ze smutnym uśmiechem.

- Kto? - zapytałem.

- Tak. To ma sens.

Oparł się na krzesło, a jaskrawe światło jarzeniówki na suficie uświadomiło mi, jak bardzo stracił na wadze od czasu, kiedy widziałem go ostatnio, jakieś dwa miesiące

temu. Jego twarz przypominała czaszkę.

Pochylił się w moją stronę.

- Wydostań mnie stąd, bracie.

- Jasne.

- Dziś wieczór. Jutro pójdziemy na wyścigi psów.

- Tak?

- Tak. Postawiłem pięćdziesiąt baksów na fantastycznego charta. Rozumiesz?

Czułem, że minę znów mam nietęgą.

- Jasne - powiedziałem jednak.

Uśmiechnął się, jego wargi były popękane od słońca.

- Liczę na to. Pamiętasz te przyjemne odbitki Matisa, które kiedyś widzieliśmy w Waszyngtonie? One nie są wieczne.

Przez trzydzieści sekund patrzyłem na jego twarz, zanim zrozumiałem, co powiedział.

- Do zobaczenia - pożegnałem się.

- Dziś wieczór, Patrick.

Kiedy po raz kolejny przeprawialiśmy się przez most, Angie prowadziła, a ja analizowałem mapę St. Petersburga, którą kupiliśmy na stacji benzynowej.

- A więc on sądzi, że jego odciski palców nie będą wiarygodne? - zapytała Angie.

- Tak. Powiedział mi kiedyś, że gdy pracował jeszcze w FBI, wyrobił sobie fałszywą tożsamość. Domyślałam się, że to właśnie David Fischer. Miał kumpla w tajnych liniach papilarnych w Quantico, więc jego odciski palców są faktycznie w dwóch teczkach.

- Dwóch?

- Tak. Ale to nie jest rozwiązanie, tylko tymczasowy ratunek. Lokalna policja wyśle jego odciski do Quantico, a tam jego kumpel wybierze w programie komputerowym tożsamość Fischera. Ale to może działać tylko kilka dni. Potem ten kumpel, aby nie stracić pracy, będzie musiał zadzwonić tutaj i powiedzieć: „Komputer znalazł coś dziwnego. Te odciski palców pasują także do Jaya Beckera, który kiedyś dla nas pracował”. Rozumiesz, Jay wie, że jeżeli wpakuje się w jakiś pasztet, zawsze może zapłacić kaucję i zniknąć.

- A więc my mu pomagamy i bierzemy udział w ucieczce za kaucją.

- Dopiero jak nam to potrafią udowodnić w sądzie - powiedziałem.

- Jest tego wart? - zapytała.

Spojrzałem na nią.

- Tak.

Skręciliśmy do St. Petersburga.

- Wymień jakieś tytuły piosenek Dylana. Spojrzała na rozłożoną na moich kolanach mapę.

- „Znowu na autostradzie sześćdziesiąt jeden”.

- Nie.

- „Toczek z leopardziej skóry”.

Skrzywiłem się.

- Co?

Nachmurzyła się.

- Dobra. „Po prostu Czwarta Ulica”.

Spojrzałem na mapę.

- Jesteś cudowna - powiedziałem.

Podsunęła mi wymaginowany magnetofon.

- Możesz to powiedzieć do mikrofonu?

Czwarta Ulica w St. Petersburgu biegła z jednego końca miasta na drugi. Miała co najmniej trzydzieści kilometrów długości. I całą masę schowków. Ale tylko jeden dworzec greyhoundów. O nim myślał Jay, mówiąc, że postawił na charta.

Zatrzymaliśmy się na parkingu, Angie została w samochodzie, a ja wszedłem do środka, znalazłem schowek numer dwanaście i ustawiłem kombinację cyfr. Otworzył się od razu, a ja wyciągnąłem z niego skórzaną torbę sportową. Zważyłem ją w rękę, nie była bardzo ciężka. Mogły być w niej ciuchy, ale postanowiłem zajrzeć do środka dopiero w samochodzie. Zamknąłem schowek, wyszedłem z dworca i wsiadłem do auta.

Angie skręciła w Czwartą Ulicę i wjechaliśmy w dzielnicę, która przypominała slumsy, na werandach ludzie wygrzewali się w słońcu, leniwie odpędzali od siebie muchy, na rogach ulic bawiły się dzieciaki, połowa świateł ulicznych nie działała.

Położyłem torbę na kolanach i odsunąłem suwak. Przez minutę gapilem się na to, co znalazłem w środku.

- Jedźmy trochę szybciej - powiedziałem do Angie.

- Dlaczego?

Pokazałem jej zawartość torby.

- Ponieważ mamy tu co najmniej dwieście tysięcy dolarów.
Nacisnęła na gaz.

19

- Jezu, Angie - powiedział Jay - kiedy widziałem cię ostatnim razem, wyglądałaś jak Chrissie Hynde w ciuchach wyrzuconych przez Morticię Addams, a teraz wyglądasz jak dziewczyna z wyspy.

Więzienny urzędnik podsunął Jayowi jakiś formularz.

- Zawsze wiesz, jak sprawić dziewczynie przyjemność - powiedziała Angie.

Jay podpisał formularz i oddał go urzędnikowi.

- Ale bez jaj. Nie wiedziałem, że skóra białej kobiety może być aż tak ciemna.

- Rzeczy osobiste - powiedział urzędnik i wytrząsnął na kontuar zawartość koperty.

- Ostrożnie - oburzył się Jay, gdy jego zegarek uderzył o blat. - To piaget.

Urzędnik parsknął.

- Jeden zegarek. Pi-a-dzaj. Jedna skuwka do banknotów, złota. Sześćset siedemdziesiąt pięć dolarów w gotówce. Jeden zestaw kluczy. Trzydzieści osiem centów w monetach...

Kiedy urzędnik sprawdzał pozostałe przedmioty i przesuwał je na drugą stronę kontuaru, Jay stał oparty o ścianę i ziewał. Jego oczy przesunęły się z twarzy Angie na jej nogi, potem powędrowały w górę do obciętych wysoko dżinsów i podartego pulovera z rękawami zawiniętymi do łokci.

- Mam się odwrócić, żebyś mógł obejrzeć tył? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Byłem w więzieniu, madame, proszę mi wybaczyć.

Potrząsnęła głową i spojrzała na podłogę, ukrywając uśmiech pod włosami, które opadły jej na twarz.

Czułem się dziwnie, obserwując ich razem, teraz, kiedy wiedziałem, co łączyło ich w przeszłości. Jay zawsze przybierał żarłoczny wyraz twarzy na widok pięknej kobiety, ale kobiety zwykle nie znajdowały w tym nic obraźliwego, większość z nich traktowała to spojrzenie pobłaźliwie, a nawet uważała je za czarujące, chociażby dlatego, że Jay miał prawdziwy tupet połączony z chłopcym wdziękiem. Tego wieczoru w jego

spojrzeniu znalazłem jednak coś jeszcze. Była to melancholia, której nigdy przedtem u niego nie zauważyłem, patrzył na moją współniczkę z wyrazem głębokiego zmęczenia i rezygnacji.

Ona najwyraźniej także to zauważyła i na jej wargach pojawił grymas zdziwienia.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Jay oderwał się od ściany.

- Ja? Świetnie.

- Panie Merriam - odezwał się urzędnik do poręczyciela - proszę podpisać tu i tu.

Merriam, mężczyzna w średnim wieku, miał na sobie trzyczęściowy, biały garnitur, który miał mu nadać wygląd nobliwego dżentelmena z południa, chociaż od razu wyczułem jego akcent z New Jersey.

- Z przyjemnością - powiedział Merriam, a Jay zmrużył oczy.

Podpisali dokumenty, a Jay zgarnął swój sygnet i pognieciony jedwabny krawat, sygnet schował do kieszeni, a krawat zawiązał niedbale pod kołnierzem białej koszuli.

Wyszliśmy z posterunku na parking, gdzie czekaliśmy, aż jakiś gliniarz przyprowadzi jego samochód.

- Pozwolili ci tu przyjechać własnym autem? - zdziwiła się Angie.

Jay wdychał wilgotne nocne powietrze.

- W tej okolicy wszyscy są bardzo uprzejmi. Jak tylko przesłuchali mnie w motelu, starszy, bardzo grzeczny policjant zapytał mnie, czy zechciałbym pojechać za nim na posterunek, aby odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań. Powiedział nawet: „Bylibyśmy wdzięczni, gdyby znalazł pan na to czas”, chociaż tak naprawdę wcale mnie nie prosił, rozumiesz?

Merriam wręczył Jayowi swoją wizytówkę.

- Gdyby pan potrzebował jeszcze kiedyś mojej pomocy, proszę...

- Oczywiście.

Jay niemal wyszarpnął mu wizytówkę i utkwiał wzrok w miękkich, błękitnych kręgach, które pulsowały wokół żółtych świateł latarni na obrzeżach parkingu.

Merriam uściśnął mi rękę, następnie rękę Angie, a potem oddalił się na sztywnych nogach człowieka cierpiącego na zaparcia lub praktykującego alkoholika do swojego kabrioletu karmann ghia z wgniecionymi drzwiami od strony pasażera. Samochód powoli ruszył do bramy wyjazdowej z parkingu i wyjechał na główną drogę, a Merriam siedział przy kierownicy z opuszczoną głową, jakby był już martwy.

- Gdybyście się tu nie pojawili, musiałbym posłać tego faceta na dworzec

greyhoundów. Możecie to sobie wyobrazić? - powiedział Jay.

- Jeżeli znikniesz mimo kaucji - zapytała Angie - czy ten biedak nie popadnie w ruinę finansową?

Zapalił papierosa i spojrzał na nią.

- Nie martw się, Ange, wszystko obmyśliłem.

- Dlatego wyciągamy cię z pudła, Jay.

Spojrzał na nią znowu, potem na mnie i roześmiał się. To był krótki, głośny dźwięk, przypominający szczeknięcie.

- Jezus, Patrick, czy ona zawsze gada takie bzdury?

- Okropnie wyglądasz, Jay. Nie widziałem cię nigdy w takim stanie.

Wyprostował ramiona i przeciągnął się.

- Tak. Muszę wziąć prysznic i dobrze się wyspać. Potem będę jak nowy.

- Musimy gdzieś usiąść i pogadać - powiedziałem.

Pokiwał głową.

- Nie przejechaliście dwóch tysięcy kilometrów tylko po to, żeby złapać trochę opalenizny, nawet takiej wspaniałej. Bo jest wspaniała. - Odwrócił się i bezczelnie zlustrował wzrokiem Angie, unosząc przy tym brwi. - Boże, Angie, muszę ci jeszcze raz powiedzieć, że twoja skóra ma kolor kawy w Dunkin' Donuts, słowo daję. Miałbym ochotę...

- Jay - przerwała mu - możesz dać sobie spokój? Odpieprz się, dobra?

Zamrugnął powiekami i zachwiał się na obcasach.

- W porządku - powiedział zadziwiająco chłodnym tonem. - Jak masz rację, to masz rację. A masz rację, Angela. Masz rację.

Spojrzała na mnie, a ja wzruszyłem ramionami.

- Co racja, to racja - powiedział. - Racja zawsze jest racją.

W tym momencie podjechało do nas czarne mitsubishi 3000 GT z dwoma gliniarzami w środku. Śmiali się głośno, a opony śmierdziały, jakby paliła się na nich guma.

- Fajna bryczka - powiedział policjant, który prowadził, wysiadł i stanął obok Jaya.

- Podoba ci się? - zapytał Jay. - Dobrze się ją prowadzi?

Gliniarz zachichotał i spojrzał na kolegę.

- Bardzo dobrze, stary.

- Świetnie. Kierownica dobrze pracowała, jak robiliście ósemki?

- Daj spokój - hamowała go Angie. - Wsiadaj.

- Kierownica była w porządku - powiedział gliniarz.

Jego towarzysz stał przy otwartych drzwiach samochodu od strony pasażera.

- Chociaż osie trochę się chwieją, Bo.

- To prawda - powiedział Bo, nadal zagradzając Jayowi wejście do samochodu. -

Kazałbym mechanikowi sprawdzić zawieszenie.

- Dobra rada - powiedział Jay.

Gliniarz uśmiechnął się i zrobił Jayowi przejście.

- Proszę prowadzić ostrożnie, panie Fischer.

- Niech pan pamięta - rzucił jego towarzysz - samochód to nie zabawka.

Roześmieli się i weszli po schodach do budynku komendy.

Nie podobało mi się spojrzenie Jaya i w ogóle jego zachowanie od chwili, gdy został zwolniony. Wydawał się jakby zagubiony i jednocześnie zdeterminowany, rozkojarzony i zarazem skupiony, ale to skupienie było groźne, jakby mściwe.

Wskoczyłem na fotel obok kierowcy.

- Pojadę z tobą.

Pochylił się nade mną.

- Wolałbym jednak nie.

- Dlaczego? - zapytałem. - Jedziemy w to samo miejsce. Tak, Jay? Żeby pogadać?

Wydał usta i głośno wypuścił przez nos powietrze, patrząc na mnie wypalonym wzrokiem.

- Tak - powiedział w końcu. - Jasne. Czemu nie.

Wsiadł, zapalił silnik, a Angie wsiadła do celiki.

- Zapnij pasy - polecił.

Zapiąłem, a on wrzucił pierwszy bieg i dodał gazu, wrzucił drugi, a ułamek sekundy później płynnie przeszedł na trzeci. Przemknęliśmy po niewielkiej rampie wyjazdowej z parkingu, a Jay wrzucił czwórkę, gdy koła były jeszcze w powietrzu.

Przyjechaliśmy do czynnej całą noc knajpy w centrum Bradenton. Okolica była wyludniona, wręcz pozbawiona cienia wspomnień o ludzkim życiu, jakby przed naszym przybyciem wybuchła w tym miejscu bomba atomowa. Z góry gapiły się na nas puste, czarne kwadraty okien w kilku pobliskich wieżowcach i budynkach administracji miejskiej.

W knajpie było zaledwie kilka osób, z wyglądu nocne ćmy - przy barze trzech

kierowców ciężarówek flirtowało z kelnerką; samotny ochroniarz, z naszywką firmy Palmetto Optics na ramieniu, czytał gazetę nad dzbankiem z kawą i najwyraźniej czekał na jakieś towarzystwo; dwa stoliki dalej dwie pielęgniarzki w pogniecionych fartuchach rozmawiały zmęczonymi głosami.

Zamówiliśmy dwie kawy, a Jay piwo. Przez chwilę wszyscy studiowaliśmy menu. Kiedy kelnerka wróciła z napojami, zamówiliśmy kanapki, chociaż żadne z nas nie było z tego zamówienia zadowolone.

Jay włożył do ust niezapalonego papierosa i patrzył przez okno. Usłyszeliśmy grzmot i po chwili zaczęło padać. To nie był mały deszcz, ani taki, który stopniowo narasta. Chwilę wcześniej ulica była sucha i jasnopomarańczowa w świetle sodowych latarni, a zaraz potem znikła za ścianą wody. W ciągu kilku sekund pojawiły się olbrzymie kałuże, które wylewały się na chodnik, a krople deszczu tak głośno bębniły o dach knajpy, jakby ktoś w niebie zrzucił na dół kilka ton monet.

- Kogo Trevor przysłał tu z wami? - zapytał Jay.

- Grahama Cliftona - powiedziałem. - Jest jeszcze jeden facet, Cushing.

- Wiedzą, że pojechaliście wyciągnąć mnie z więzienia?

Potrząsnąłem głową.

- Pozbyliśmy się ich opieki od razu po przyjeździe.

- Dlaczego?

- Nie podobali mi się.

Pokiwał głową.

- Czy w gazetach podano tożsamość faceta, którego miałem zabić?

- My nic na ten temat nie znaleźliśmy.

Angie pochyliła się nad stołem i zapaliła mu papierosa.

- Kto to był?

Wydmuchał dym, nie wyjmując papierosa z ust.

- Jeff Price.

Spojrzał na swoje odbicie w oknie. Spływający potokami po szybach deszcz zamienił rysy jego twarzy w gumę, rozmazując kości policzkowe.

- Jeff Price - powtórzyłem. - Dawny doradca do spraw terapii w Lecznicy Smutku. Ten Jeff Price?

Wyjął z ust papierosa i strząsnął popiół do plastikowej popielniczki.

- Odrobiłeś pracę domową, D'Artagnan.

- Zabiłeś go? - zapytała Angie.

Pociągnął łyk piwa i spojrzał na nas znad stołu, przechylił głowę na prawą stronę i przez chwilę przenosił wzrok ze mnie na Angie i z powrotem. Zaciągnął się papierosem i jego wzrok znowu się od nas oddalił, powędrował za dymem, który uniósł się i płynął nad ramieniem Angie.

- Tak, zabiłem go.

- Dlaczego? - zapytałem.

- To był zły człowiek - powiedział. - Bardzo zły człowiek.

- Na świecie jest wielu złych ludzi - powiedziała Angie. - Mężczyzn i kobiet.

- Prawda - przyznał. - Święta prawda. Dlaczego Jeff Price? Ten kutas zasłużył na dużo powolniejszą śmierć, niż ja mu zadałem. Wierście mi. - Pociągnął potężny łyk piwa. - Musiał zapłacić. Musiał.

- Za co? - zapytała Angie.

Uniósł butelkę do ust, a jego wargi wyraźnie drżały, gdy pił. Kiedy stawiał butelkę na stole, jego dłonie drżały tak samo jak wargi.

- Zapłacić za co, Jay? - powtórzyła Angie.

Jay znowu spojrzał w okno, deszcz cały czas dudnił o dach i pluskał w kałużach. Ciemne kręgi pod jego oczami poczerwieniały.

- Jeff Price zabił Desiree Stone - powiedział i pojedyncza łza popłynęła z jego oka i potoczyła się po policzku.

Przez chwilę czułem okropny ból, który zrodził się gdzieś w środku piersi i przesuwał się powoli do żołądka.

- Kiedy? - zapytałem.

- Dwa dni temu.

Wytarł policzek wierzchem dłoni.

- Poczekaj - powiedziała Angie. - Była z Price'em przez cały ten czas, a on zdecydował się ją zabić dopiero dwa dni temu?

Potrząsnął głową.

- Nie była z Price'em przez cały czas. Zostawiła go trzy tygodnie temu. Ostatnie dwa tygodnie - powiedział cicho - była ze mną.

- Z tobą?

Jay pokiwał głową i wciągnął głęboko powietrze, mrugając przy tym gwałtownie, aby zapanować nad łzami.

Kelnerka przyniosła nam jedzenie, ale nawet nie spojrzeliśmy na nie.

- Z tobą? - zapytała Angie. - Razem...Jay uśmiechnął się do niej gorzko.

- Tak. Ze mną. Razem. Desiree i ja zakochaliśmy się w sobie, tak myślę. - Zaśmiał się, ale tylko część dźwięku opuściła jego usta; reszta utkwiała gdzieś w gardle. - Zabawne, co? Przyjechałem tutaj z poleceniem zabicia jej, a zakochałem się w niej jak szczeniak.

- Och - jęknąłem. - Wynajęto cię, żebyś ją zabił?

Pokiwał głową.

- Kto cię wynajął?

Spojrzał na mnie, jakbym był debilem.

- A jak myślisz?

- Nie mam pojęcia, Jay. Dlatego pytam.

- A was kto wynajął? - zapytał.

- Trevor Stone.

Patrzył na nas, aż zrozumieliśmy.

- Chryste Panie! - wykrzyknęła Angie i walnęła pięścią w stół tak mocno, że trzech kierowców ciężarówek odwróciło się i spojrzało z zainteresowaniem w naszą stronę.

- Cieszę się, że udało mi się was rozruszać - powiedział Jay.

20

Przez następne kilka minut wszyscy milczeliśmy. Siedzieliśmy przy stoliku, krople deszczu waliły w szyby, wiatr wyginał szpaler królewskich palm wzdłuż bulwaru, a my jedliśmy kanapki.

Nic, pomyślałem, żując kanapkę, której smaku nie czułem, nie jest już takie samo jak jeszcze piętnaście minut temu. Angie miała rację tamtej nocy - czarne jest białe, góra jest na dole.

Desiree nie żyje. Jeff Price nie żyje. Trevor Stone wynajął Jaya nie po to, aby odnalazł jego córkę, ale aby ją zabił.

Trevor Stone. Chryste Panie.

Podjęliśmy się tej sprawy z dwóch powodów - z chciwości i ze współczucia. Pierwszy motyw nie zaliczał się do szlachetnych. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów to jednak kupa forsy, zwłaszcza jeżeli nie pracowało się od kilku miesięcy, a w zawodzie, jaki się wybrało, nie przewidziano zasiłków dla bezrobotnych.

Niemniej chciwość to chciwość. A jeżeli przyjmujesz robotę z chciwości, to przecież nie możesz się wściekać, gdy twój zleceniodawca okaże się kłamcą. Przyganiał kociół garnkowi i tak dalej...

Ale chciwość nie była naszą jedyną motywacją. Przyjęliśmy tę sprawę, ponieważ Angie poczuła nagle powinowactwo dusz z Trevorem Stone'em - powinowactwo, jakie rodzi się, gdy jeden cierpiący człowiek spotyka drugiego. Szczerze przejęła się jego cierpieniem. Ja zresztą też. A wszelkie tłące się we mnie wątpliwości uleciały, kiedy Trevor Stone pokazał nam świątynię, jaką zbudował dla zaginionej córki.

Tyle że to nie była świątynia.

Nie otoczył się fotografiami Desiree, ponieważ pragnął wierzyć, że ona żyje. Zappełnił dom wizerunkami twarzy córki, aby miała się czym karmić jego nienawiść.

Po raz kolejny spojrzałem na wcześniejsze wydarzenia z nowej perspektywy, która całkowicie się zmieniła i ukazała mi je w zupełnie nowym świetle, a ja poczułem się idiotycznie, bo do tej pory zawsze ufałem swoim instynktom.

Ostatni raz, przysięgam.

- Anthony Lisardo - rzuciłem Jayowi.

Przeżuwał kanapkę.

- Co z nim?

- Co się z nim stało?

- Trevor go załatwił.

- W jaki sposób?

- Spreparował paczkę papierosów z kokainą, dał ją kumplowi Lisardo - jak on się nazywał, Donald Yeager - i Yeager zostawił ją w samochodzie Lisardo tamtej nocy, kiedy poszli się kąpać do zbiornika.

- Naszpikowana została dodatkowo strychniną czy co? - zapytała Angie.

Jay pokręcił głową.

- Lisardo był uczulony na kokainę. Na jakimś przyjęciu, na którym był z Desiree, dostał po niej zapaści. Wtedy po raz pierwszy miał kłopoty z sercem po kokainie. Pierwszy i ostatni, kiedy był na tyle głupi, aby wziąć kokę. Trevor wiedział o tym, przygotował papierosy, i dalej już znacie całą historię.

- Dlaczego?

- Dlaczego Trevor zabił Lisardo?

- Tak.

Wzruszył ramionami.

- Faceci mają problemy z dzieleniem się swoją córką z innymi facetami, wiecie, o co chodzi.

- A potem wynajął ciebie, abyś zabił ją? - zapytała Angie.

- Tak.

- I znowu - pytała dalej Angie. - Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

Patrzył na blat stołu.

- Nie wiesz? - zdziwiła się Angie.

Jego oczy rozszerzyły się.

- Nie wiem. No i co...

- Nie powiedziała ci, Jay? Przecież byliście razem przezostatnie tygodnie. Nie podejrzewała, dlaczego ojciec pragnął, no wiesz, jej śmierci?

Jego głos zabrzmiał twardo i donośnie.

- Jeżeli nawet wiedziała, Angie, nie chciała o tym mówić, a teraz już nic nam nie powie.

- Przykro mi z tego powodu - powiedziała Angie. - Ale jednak chciałabym znaleźć jakiś sens, jakieś motywy, które kierowały Trevorem, gdy pragnął śmierci córki.

- Skąd, kurwa, mam to wiedzieć - syknął Jay. - Ponieważ jest szalony. Jest wyniszczony chorobą, a rak przeżarł mu mózg. Nie mam pojęcia. Ale chciał jej śmierci. - Rozkruszył nowego papierosa w dłoni. - A teraz ona nie żyje. Czy z jego ręki, czy z innej, ale odeszła. A on musi za to zapłacić.

- Jay - powiedziałem cicho - cofnijmy się. Do początku. Pojechałeś na terapię z Lecznicy Smutku do Nantucket, a potem zniknąłeś. Co stało się wtedy?

Przez kilka sekund wpatrywał się w Angie, a potem zrezygnował. Spojrzał na mnie.

Kilkakrotnie poruszyłem brwiami.

Roześmiał się i to zabrzmiało jak jego dawny śmiech, przez krótką chwilę był znowu sobą. Rozejrzał się po knajpie, uśmiechnął się głupawo do jednej z kelnerek, a potem ponownie spojrzął na nas.

- Posłuchajcie, dzieci. - Strząsnął resztki tytoniu z dłoni i rozparł się na krześle. - Dawno, dawno temu, w dalekiej galaktyce...

21

Lecznica Smutku urządziła dla uczestników poziomu piątego terapeutyczne pobyty w stylowym domu z epoki Tudorów wyposażonym w dziewięć sypialni, który stał na malowniczej skarpie, skąd rozciągał się widok na Nantucket Sound. Pierwszego dnia wszystkich z poziomu piątego zachęcano do wzięcia udziału w grupowej sesji „oczyszczającej”, w trakcie której mieli zrzucić z siebie pokłady negatywnej aury (lub spuścić „zatrutą krew”, jak nazywano to w Lecznicy Smutku) przez głębokie zwierzenia o sobie i analizowanie powodów, dla których się tam znaleźli.

Podczas tej sesji Jay, występujący tam jako David Fischer, błyskawicznie rozszyfrował pierwszą „oczyszczającą się” osobę jako podstawioną oszustkę. Lila Cahn była ładną kobietą w wieku nieco ponad trzydziestu lat, o zgrabnym ciele wytrenowanym na aerobiku. Przedstawiła się jako dziewczyna drugorzędneho handlarza narkotyków z meksykańskiego miasteczka Catize na południe od Guadalajary. Jej chłopak oszukał lokalnych mafiosów kontrolujących rynek narkotyków, którzy w akcie zemsty porwali ją i jego w biały dzień wprost z ulicy. Oboje byli więzieni przez pięciu mężczyzn w piwnicy pod winiarnią, gdzie jej chłopaka zabito strzałem w tył głowy. Następnie pięciu facetów gwałciło ją przez sześć godzin, co opisała całej grupie, nie szczędząc barwnych szczegółów. Pozwolono jej żyć, bo miała być ostrzeżeniem dla wszystkich gringas, którzy mieliby ochotę przyjechać do Catize i zadawać się z niewłaściwymi ludźmi.

Kiedy Lila skończyła swoją opowieść, opiekun grupy objął ją i pochwalił za odwagę wyrzucenia z siebie tak strasznej historii.

- Jedyne problem w tej sprawie - powiedział nam Jay w knajpie - był taki, że wszystko to było wysrane z palca.

W końcu lat osiemdziesiątych Jay brał udział we wspólnym zadaniu operacyjnym FBI i DEA i z tego tytułu pojechał do Meksyku, aby odnaleźć morderców Kiki Camareny, agentki DEA. Pod pretekstem zbierania informacji Jay i kilku towarzyszących mu agentów mieli, tak naprawdę, dać winnym nauczkę, poznać nazwiska członków mafii i sprawić, aby meksykańscy królowie narkotyków

następnym razem raczej ukatrupili kogoś ze swoich, niż zabawili się w zabijanie agenta federalnego.

- Mieszkałem w Catize przez trzy tygodnie - opowiadał Jay. - W całym miasteczku nie ma piwnic. Ziemia jest na to za miękka, ponieważ miasteczko zbudowano na bagnach. Chłopak zabity strzałem w tył głowy? Niemożliwe. Tak działa mafia amerykańska, a nie meksykańska. Jeżeli tam okradniesz jakiegoś króla narkotyków, giniesz tylko i wyłącznie w jeden sposób - zakładają ci kolumbijski krawat. Przecinają gardło i przez dziurę wyciągają język, a potem wyrzucają ciało z pędzącego samochodu na placu w centrum miasteczka. Poza tym żaden meksykański gangster nie będzie gwałcił amerykańskiej kobiety przez sześć godzin, aby ją potem puścić żywą, jako przestrożę dla innych gringas. Przestrożę przed czym? Gdyby naprawdę chcieli wysłać ostrzeżenie, mogliby ją pociąć na kawałki i nadać pocztą lotniczą do Stanów.

Wyłapując podobne kłamstwa i niekonsekwencje, Jay zidentyfikował jeszcze czworo uczestników poziomu piątego, których opowieści kompletnie nie trzymały się kupy. Jak się później okazało, była to typowa taktyka w Lecznicy Smutku: do grupy, w której byli naprawdę cierpiący ludzie, wprowadzano fałszywych uczestników, ponieważ przeprowadzone przez specjalistów wewnętrzne badania wykazały, że pacjent był dużo bardziej skłonny do wyznań, gdy wcześniej wysłuchał zwierzeń innych.

Jaya najbardziej wkurzało słuchanie tych wszystkich bredni w kontekście prawdziwych tragedii: matki, która straciła w pożarze bliźnięta, a sama uszła z życiem; dwudziestopięcioletniego mężczyzny z nieoperacyjnym nowotworem mózgu; kobiety, którą mąż porzucił dla swojej dziewiętnastoletniej sekretarki dwadzieścia lat po ślubie i sześć dni po tym, jak żona straciła pierś w wyniku mastektomii.

- To były ludzkie wraki - mówił Jay - poszukujące sensu życia, nadziei. A ci dranie z Lecznicy Smutku kiwali głowami, użalali się i starali się wyciągnąć z nich każdy najskrytszy sekret i każdą najdrobniejszą informację o ich stanie finansowym tylko po to, aby móc ich później szantażować i związać z Kościołem.

Jay zwykle uspokajał się po ataku wściekłości.

Pod koniec pierwszego seansu grupowego zauważył, że Lila uważnie mu się przygląda, posyłając nieśmiałe uśmiechy. Następnego wieczoru przyszedł do jej pokoju. Lila, zupełnie nieoczekiwanie jak na kobietę, która niecały rok przedtem miała zostać zgwałcona przez kilku bandziorów, zachowywała się całkowicie

swobodnie i była obdarzona sporą inwencją w łóżku.

- Znasz analogię z piłeczką golfową przeciskaną przez ogrodowego węża? - zapytał mnie Jay.

- Jay - upomniała go Angie.

- Och - zmitygował się. - Przepraszam.

Jay i Lila kochali się w jej pokoju przez pięć namiętnych godzin. Podczas przerw między kolejnymi rundami próbowała wyciągnąć z niego informacje o jego przeszłości, stanie majątkowym i planach na przyszłość.

- Lila - wyszeptał jej do ucha pod koniec nocnych szaleństw - w Catize nie ma piwnic.

Przez następne dwie godziny zadawał jej pytania i przekonywał, że jest byłym płatnym mordercą z nowojorskiej rodziny Gambino, który postanowił się na jakiś czas przyczaić i rozpracować zasady działania Lecznicy Smutku, by później na siłę roztoczyć opiekę nad szwindlami, jakie tu odchodziły.

Lila, którą zgodnie z przypuszczeniami Jaya kręcili twardziele i ryzykanci, nie była usatysfakcjonowana swoją pozycją w Lecznicy Smutku i w Kościele. Opowiedziała mu historię swojego byłego kochanka, Jeffa Price'a, który zrabował ponad dwa miliony dolarów ze szkatułek Lecznicy Smutku. Najpierw obiecał, że ją ze sobą zabierze, a potem wystawił ją do wiatru i uciekł z tą „suką Desiree”, jak ją określiła Lila.

- Ale ty z pewnością wiesz, dokąd pojechał Jeff - powiedział Jay. - Nieprawdaż?

Wiedziała, ale nie chciała powiedzieć.

Jay zapewnił ją, że jeżeli nie zdradzi mu miejsca pobytu Jeffa, to już on się postara, aby jej znajomi posłańcy dowiedzieli się, że była w zмовie z Price'em.

- Nie zrobisz tego - przestraszyła się.

- Chcesz się założyć?

- Co będę z tego miała, jeżeli ci powiem?

Nadała się.

- Piętnaście procent tego, co uda mi się odebrać Jeffowi.

- Skąd mam mieć pewność, że mi zapłacisz?

- Ponieważ w przeciwnym razie wsypiesz mnie - powiedział.

Przemyślała to i w końcu podjęła decyzję.

- Clearwater.

Było to rodzinne miasto Jeffa, gdzie planował pomnożyć swoje dwa miliony do dziesięciu, wchodząc w handel narkotykami ze swoimi starymi kumplami, którzy

mieli dobre kontakty z dostawcami heroiny z Tajlandii.

Jay tego samego ranka opuścił wyspę, ale przed wyjazdem dał jeszcze Lili radę.

- Trzymaj język za zębami, dopóki nie wrócę, a dostanie ci się niezły kasek. Ale posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli spróbujesz uprzedzić Jeffa, że go szukam, potraktuję cię sto razy gorzej niż tych pięciu Meksykanów.

- Przyjechałem więc z Nantucket i zatelefonowałem do Trevora.

Trevor, wbrew temu, co powiedział nam, Hamlynowi i Kohlowi, posłał po Jaya samochód, a Baniak przywiózł go do posiadłości w Marblehead.

Pochwalił Jaya za sumiennie wykonaną pracę, poczęstował go doskonałą whisky i zapytał, co sądzi o zamiarze Hamlyna i Kohla, którzy chcieli odebrać mu tę sprawę.

- To musi być straszny cios dla pana ambicji, człowieka z takimi umiejętnościami.

I Jay przyznał, że tak właśnie jest. Postanowił, że jak tylko znajdzie Desiree i bezpiecznie odstawi ją do domu, usamodzielnii się i założy własną firmę.

- Jak pan zamierza to zrobić? - zapytał Trevor. - Jest pan bankrutem.

Jay pokręcił głową.

- Myli się pan.

- Czyżby? - zapytał Trevor.

I powiedział Jayowi, co Adam Kohl zrobił z jego lokatami i akcjami giełdowymi, które Jay nieopatrznie mu powierzył.

- Kohl bardzo intensywnie je inwestował, na marginesie muszę dodać, że w akcje przedsiębiorstw, które sam mu ostatnio rekomendowałem. Niestety, wbrew oczekiwaniom, te akcje nie zyskały na wartości. Poza tym Kohl jest hazardzistą, i to, jak się okazało, pechowym, na co są niezbite dowody.

Jay siedział kompletnie osłupiały, gdy Trevor Stone opowiadał mu ze szczegółami długą historię ryzykownych inwestycji i strat na giełdzie, jakie poniósł Adam Kohl, a także o tym, jak zaprzepaścił dywidendy pracowników kancelarii Hamlyn & Kohl.

- W gruncie rzeczy - powiedział Trevor - nie musi pan rozważać odejścia od Hamlyna i Kohla, ponieważ w ciągu sześciu tygodni i tak ogłoszą upadłość.

- Zrujnował ich pan - oburzył się Jay.

- Ja? - Trevor podjechał na wózku do krzesła Jaya. - Z całą pewnością nie. Wasz drogi pan Kohl po prostu zaryzykował, jak czynił to od lat. Tylko że tym razem włożył za wiele jajek do jednego koszyka - koszyka, który mu wskazałem, to prawda, ale bez złego zamiaru.

Położył dłoń na ramieniu Jaya.

- Kilka tych inwestycji zostało poczynionych w pana imieniu, panie Becker. Dokładnie wartość siedemdziesięciu pięciu tysięcy, sześciuset czterdziestu czterech dolarów i dwunastu centów.

Trevor poklepał Jaya po karku.

- Chyba możemy teraz porozmawiać szczerze?

- Miał mnie w garści - opowiadał Jay. - I nie chodziło jedynie o długi. Byłem zdruzgotany, kiedy dotarło do mnie, że Adam, a może także Everett, po prostu mnie zdradzili.

- Rozmawiałeś z nimi? - zapytała Angie.

Pokiwał głową.

- Zadzwoiłem do Everetta, a on wszystko potwierdził. Powiedział, że nic o tym nie wiedział. To znaczy, miał świadomość, że Kohl jest hazardzistą, ale nigdy nie podejrzewał, że byłby zdolny w siedem tygodni zniweczyć kapitał firmy działającej od pięćdziesięciu trzech lat. Kohl, za namową Trevora Stone'a, ograbił nawet fundusz emerytalny. Everett był kompletnie załamany. Znasz jego poczucie honoru, Patrick.

Pokiwałem głową i przypomniałem sobie, co Everett mówił mi i Angie o zanikającym poczuciu honoru, o tym, jak trudno być człowiekiem honoru wśród ludzi, którzy są go pozbawieni. Jak patrzył na panoramę za oknem, jakby oglądał ją po raz ostatni.

- Tak więc - kontynuował Jay - powiedziałem Stone'owi, że zrobię, co zechce. A on dał mi dwieście trzydzieści tysięcy dolarów za zabicie Jeffa Price'a i Desiree.

- Jestem potężniejszy, niż możesz to sobie wyobrazić - powiedział Jayowi Trevor Stone tamtej nocy. - Należą do mnie korporacje handlowe, firmy przewozowe, więcej nieruchomości, niż dałoby się zliczyć w jeden dzień. Mam w kieszeni sędziów, policjantów, polityków, w niektórych krajach nawet całe rządy, a teraz mam też ciebie. - Jego dłoń zacisnęła się na karku Jaya. - A jeżeli mnie zdradzisz, nie ochronią cię przede mną żadne oceany, wyrwę ci tętnicę szyjną i przeciągnę ją przez otwór w twoim penisie.

I Jay pojechał na Florydę.

Nie miał pojęcia, co zrobi, gdy znajdzie Desiree i Jeffa Price'a, wiedział tylko, że nie jest w stanie zabić nikogo z zimną krwią. Zrobił to kiedyś w Meksyku, gdy

pracował dla federalnych, i wspomnienie tego, co zobaczył w oczach króla narkotyków chwilę przedtem, nim wpakował w jego serce kulę przez jedwabną koszulę, tak bardzo nie dawało mu spokoju, że miesiąc później rzucił pracę dla rządu.

Lila powiedziała mu o hotelu Ambassador w centrum Clearwater, w którym Price chętnie się zatrzymywał z uwagi na wibrujące łóżka i olbrzymi wybór filmów pornograficznych dostępnych w telewizji satelitarnej.

Jay przypuszczał, że prędko go nie namierzy, ale okazało się, że Price był głupszy, niż można się było spodziewać, bo wyszedł frontowymi drzwiami hotelu już po dwóch godzinach, odkąd Jay zaczął obserwować to miejsce. Jay chodził za nim cały dzień, widział, jak spotykał się z kumplami, którzy mieli tajlandzkie powiązania, upił się w barze w Largo, a następnie wrócił do hotelu z prostytutką.

Następnego dnia, kiedy Price znów wyszedł na miasto, Jay włamał się do jego pokoju, ale nie znalazł ani pieniędzy, ani Desiree.

Pewnego ranka, gdy Price znowu opuścił hotel, już miał wyjść z auta i po raz kolejny przeszukać jego pokój, gdy nagle poczuł, że jest obserwowany.

Odwrócił się na siedzeniu w samochodzie, przyłożył do oczu lornetkę i tak długo przeczesywał ulicę, aż napotkał drugą lornetkę, przez którą ktoś obserwował go z samochodu zaparkowanego dwie przecznice dalej.

- I tak spotkałem Desiree - powiedział Jay. - Oboje obserwowaliśmy się nawzajem przez lornetki.

Aż do tej chwili zastanawiał się, czy ona tak naprawdę w ogóle istnieje. Bez przerwy o niej marzył, godzinami wpatrywał się w jej fotografie, wydawało mu się nawet, że wie, jak pachnie jej ciało, jaki dźwięk ma jej śmiech, jakie to uczucie, kiedy jej nagie nogi przesuwały się po jego nogach. Im bardziej ją sobie wyobrażał, tym bardziej stawała się kimś mitycznym - cierpiącą, poetycką, tragiczną piękną, która siadywała w bostońskich parkach w jesiennej mgle i deszczu, oczekując zbawienia.

I nagle pewnego dnia pojawiła się przed nim.

Nie odjechała, gdy wysiadł z samochodu i ruszył w jej stronę. Nie udawała, że zaszło jakieś nieporozumienie. Ze spokojem czekała, gdy się zbliżał, patrzyła na niego śmiało, a kiedy podszedł do jej auta, otworzyła drzwi i wysiadła.

- Jest pan z policji? - zapytała.

Potrząsnął głową, niezdolny do wydobywania głosu.

Miała na sobie sprany T-shirt i dżinsy, które wyglądały, jakby w nich spała. Była na bosaka, sandały leżały na macie w samochodzie, a on poczuł, że się martwi, czy nie

zrani sobie stóp o szkło lub kamienie na ulicy.

- Może jest pan prywatnym detektywem?

Pokiwał głową.

- Prywatnym detektywem niemową? - uśmiechnęła się.

Roześmiał się.

22

- Mój ojciec - powiedziała Jayowi dwa dni później Desiree, kiedy zaczęli już sobie nawzajem ufać - kupuje ludzi. To dla niego stanowi cel w życiu. Kupuje przedsiębiorstwa, domy, samochody i wszystko, czego można tylko zapragnąć, ale tak naprawdę interesuje go przede wszystkim kupowanie ludzi.

- Powoli zaczynam dochodzić do podobnego wniosku - powiedział Jay.

- Kupił moją matkę. Dosłownie. Pochodziła z Gwatemali. Przyjechał tam w latach pięćdziesiątych doglądać budowy tamy, którą finansowała jego firma, i kupił ją od rodziców za mniej niż sto amerykańskich dolarów. Miała wtedy czternaście lat.

- Fajnie - powiedział Jay. - Naprawdę cholernie fajnie.

Desiree ukryła się w starej rybackiej chacie na Longboat Key, którą wynajęła za niebotyczną sumę i gdzie chciała się zastanowić nad swoją sytuacją. Jay sypiał tam na kanapce i pewnej nocy obudziły go krzyki Desiree, którą męczyły koszmary senne i o trzeciej w nocy, mimo chłodu, wyszli na plażę, bo oboje byli zbyt roztrzęsieni, aby zasnąć.

Miała na sobie tylko jego T-shirt, wypłowiały niebieski trykot pamiętający jeszcze czasy licealne, z trzema białymi literami LSU z przodu, które przez lata wykruszyły się i częściowo podpadały. Została kompletnie bez pieniędzy, co już wcześniej zauważył, bała się bowiem użyć swoich kart kredytowych, bo ojciec mógłby się o tym dowiedzieć i wysłać kogoś, aby ją zabił. Jay usiadł obok niej na zimnym, białym piasku. Z ciemności przed nimi wyłaniały się białe grzbiety fal, a on przyłapał się na tym, że nie mógł oderwać oczu od jej dłoni wciśniętych pod uda, od miejsca, w którym palce jej stóp ginęły pod białym piaskiem i księżycowej poświaty igrającej w puklach jej włosów.

Po raz pierwszy w życiu Jay Becker zakochał się.

Desiree odwróciła głowę i ich oczy spotkały się.

- Nie zabijesz mnie? - zapytała.

- Nie. W żadnym wypadku.

- I nie chcesz moich pieniędzy?
- Nie masz ani grosza - powiedział Jay i oboje się roześmieli.
- Każdy, na kim mi zależy, umiera - powiedziała.
- Wiem - przyznał. - Przynosisz pecha.

Roześmiała się, ale to był gorzki śmiech, podszyty strachem.

- I nie zdradzisz mnie jak Jeff Price.

Dotknął jej uda tuż poniżej brzegu T-shirtu. Czekał, aż odsunie jego dłoń. A kiedy tego nie zrobiła, czekał, aż położy swoją dłoń na jego. Czekał na nadpływającą falę, aby jej coś powiedzieć, bo nagle wiedział dokładnie, co chciał powiedzieć.

- Nie umrę - powiedział i przełknął ślinę. I nie zdradzę cię. Bo gdybym cię zdradził - i był tego pewien tak jak niczego na świecie - z pewnością bym umarł.

Uśmiechnęła się do niego, a jej zęby zaśniły w nocy białą kości słoniowej.

Zdjęła T-shirt i przysunęła się do niego, brązowa i piękna, drżąca ze strachu.

- Kiedy miałam czternaście lat - powiedziała Jayowi tamtej nocy, leżąc koło niego - wyglądałam tak samo jak moja matka. I ojciec to zauważył.

- Czy w związku z tym coś ci zrobił? - zapytał Jay.

- A jak myślisz?

- Czy Trevor palnął wam mowę o cierpieniu? - zapytał Jay, kiedy kelnerka przyniosła nam jeszcze dwie kawy i piwo. - O tym, że cierpienie jest drapieżne?

- Tak - powiedziała Angie.

Jay pokiwał głową.

- Mnie też to mówił, kiedy wynajmował mnie do pracy.

Położył dłonie na blacie stołu i uważnie się im przyglądał, z wierzchu i od spodu.

- Cierpienie nie jest drapieżne - powiedział. - Cierpienie to moje dłonie.

- Twoje dłonie - powtórzyła Angie.

- Czuję na nich jej ciało - powiedział. - Nadal. I zapach? - Dotknął nosa. - Słodki Jezu. Zapach piasku na jej skórze, czy raczej słonego powietrza przedostającego się przez ściany tamtej chaty rybackiej? Cierpienie, przysięgam na Boga, nie żyje w sercu. Żyje w zmysłach. I czasami mam ochotę odciąć sobie nos, abym nie musiał już jej czuć, odrąbać sobie palce.

Spojrzał na nas, jakby nagle zdał sobie sprawę, że tam jesteśmy.

- Ty sukinsynu - powiedziała Angie i głos jej się załamał, a na policzkach pojawiły się łzy.

- Cholera - zreflektował się Jay. - Zapomniałem. Phil. Angie, wybacz.

Odepchnęła jego rękę i wytarła twarz serwetką.

- Angie, naprawdę...

Potrząsnęła głową.

- Czasami słyszę jego głos, i to tak wyraźnie, że mogłabym przysiąc, iż siedzi obok mnie. I przez cały dzień słyszę tylko to. Nic więcej.

Bałem się sięgnąć po jej rękę, ale nagle, ku mojemu zaskoczeniu, ona sama sięgnęła po moją.

Zacisnąłem na niej palce, a Angie pochyliła się w moją stronę.

A więc to właśnie czułeś w stosunku do Desiree, chciałem powiedzieć Jayowi.

To Jay wpadł na pomysł, aby ukraść Jeffowi Price'owi pieniądze, które on zrabował Lecznicy Smutku.

Trevor Stone potrafi spełniać swoje pogroźki, Jay w to nie wątpił, ale wiedział także, że Trevor długo już nie pożyje. Z dwustu tysiącami dolarów Jay i Desiree nie byłiby w stanie ukryć się tak głęboko, aby przez sześć miesięcy uniknąć karzącej ręki Trevora.

Ale mając dwa miliony dolarów, mogliby się ukrywać przed nim nawet przez sześć lat.

Desiree nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Price, powiedziała Jayowi, usiłował ją zabić, kiedy się dowiedziała o ukradzionych przez niego pieniądzach. Przeżyła tylko dlatego, że zdzieliła go gaśnicą przeciwpożarową i uciekła z pokoju w hotelu Ambassador w takim popłochu, że zostawiła w nim wszystkie swoje rzeczy.

- Ale kiedy się spotkaliśmy, obserwowałaś ten hotel, kochanie - powiedział Jay.

- Byłam zrozpaczona. I samotna. Teraz już nie jestem zrozpaczona. I nie jestem samotna. A ty masz dwieście tysięcy dolarów. Możemy z nimi uciec.

- Ale jak daleko? - zapytał Jay. - Znajdzie nas. Zresztą nie chodzi tylko o ucieczkę. Możemy uciec do Gujany. Możemy nawet uciec do państw wschodniego bloku, ale nie mamy wystarczająco dużo pieniędzy, aby przekupić ludzi, którzy dawaliby właściwe odpowiedzi ludziom, których Trevor za nami pośle.

- Jay - powiedziała - on umiera. Ilu ludzi jeszcze może wysłać? Znalezienie mnie zajęło ci ponad trzy tygodnie, a ja zostawiałam ślady, ponieważ nie wiedziałam, że ktoś będzie mnie szukał.

- Ja też zostawiłem ślad - powiedział Jay. - Ktoś, kto będzie szukał mnie i ciebie,

będzie miał dużo łatwiejsze zadanie niż ja, kiedy szukałem tylko ciebie. Zostawiłem raporty, a poza tym twój ojciec wie, że jestem na Florydzie.

- To wszystko przez te pieniądze - powiedziała cicho, unikając jego wzroku. - Pieprzone pieniądze, jakby na tym świecie tylko one się liczyły. Jakby nie liczyło się nic więcej tylko forsa.

- To jest coś więcej niż forsa - powiedział Jay. - To władza. A władza wprawia wszystko w ruch, wszystko ukrywa i stwarza możliwości. I jeśli my nie oskubiemy tego łajdaka, Price'a, zrobi to ktoś inny, ponieważ on jest głupi.

- I niebezpieczny - dodała Desiree. - On jest niebezpieczny. Nie rozumiesz? On zabija ludzi. Jestem tego pewna.

- Ja też to potrafię - powiedział Jay. - Ja też.

Nie przekonał jej jednak.

- Miała dwadzieścia trzy lata - mówił. - Rozumiecie? Była jeszcze dzieckiem. Zapominałem o tym, ale ona patrzyła na świat po dziecinnemu, nawet po tylu koszmarnych doświadczeniach, jakie na nią spadły. Nadal uważała, że wszystko jakoś się ułoży, samo z siebie. Świat, wierzyła w to, da jej kiedyś szczęśliwy finał. I nie chciała mieć nic wspólnego z pieniędzmi, z których powstało całe to gówno.

Jay zaczął więc znów śledzić Price'a. Ale Price nigdy nie zbliżył się do pieniędzy. Odbywał spotkania z przyjaciółmi handlującymi narkotykami, a kiedy Jay założył w jego pokoju podsłuch, upewnił się, że wszyscy oni mieli coś wspólnego ze statkiem, który zaginął na morzu w pobliżu wybrzeży Bahama.

- Statek, który zatonął kilka dni wcześniej? - zapytała Angie. - Ten, z którego wypłynęła heroina i morze wyrzuciło ją na plażę?

Jay pokiwał głową.

Price był z tego powodu wściekły, ale Jay nie zauważył, aby zbliżył się do pieniędzy.

Kiedy Jay śledził Price'a, Desiree czytała. Zauważył, że tropiki rozbudziły w niej apetyt na surrealistów i sensualistów, których on sam też bardzo cenił, i kiedy wracał do domu, zastawał ją zatopioną w książkach Toni Morrison, Borgesa, Márqueza, Isabelle Allende czy poezji Nerudy. W rybackiej chacie gotowali rybę na sposób cajun i skorupiaki, powietrze w niewielkim wnętrzu pachniało solą i pieprzem cayenne, a potem kochali się. Później wychodzili na plażę i siadali na brzegu oceanu, gdzie ona

opowiadała o tym, co przeczytała w ciągu dnia, a Jay czuł się tak, jakby czytał na nowo te wszystkie książki, jakby to ona była pisarką i siedząc obok niego snuła w mroku fantastyczne opowieści. A potem znowu się kochali.

Aż do dnia, kiedy Jay obudził się i zorientował, że budzik nie zadzwonił, a Desiree nie ma obok niego w łóżku. Znalazł jej list:

Jay,

Myślę, że wiem, gdzie są pieniądze. To jest dla ciebie ważne, więc chyba ważne także dla mnie. Pojechałam je zabrać. Boję się, ale cię kocham i myślę, że masz rację. Bez nich nie moglibyśmy się długo ukrywać, prawda? Jeżeli nie wrócę do dziesiątej rano, przyjeźdź po mnie.

Kocham cię. Bez reszty.

Desiree

Kiedy Jay przyjechał do hotelu Ambassador, okazało się, że Price już się wymeldował.

Stał na parkingu i patrzył na taras w kształcie litery U, który obiegał ścianę na pierwszym piętrze, gdy nagle usłyszał krzyki pokojówki z Jamajki.

Wbiegł na górę i zobaczył w drzwiach pokoju Price'a krzyczącą kobietę. Minął ją i zajrzał do środka.

Ciało Desiree znajdowało się w pozycji siedzącej między telewizorem i minilodówką. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, były obcięte palce u dłoni i stóp kobiety.

Z tego, co było kiedyś jej twarzą, sączyła się krew na koszulkę z napisem LSU.

Twarz Desiree była krwawą wyrwą, rozszarpaną przez strzał z dubeltówki oddany z odległości mniejszej niż dziesięć stóp. Jej miodowe włosy, które Jay mył poprzedniej nocy, były pozlepiane krwią i umazane substancją mózgową.

Z daleka, z bardzo daleka, jak mu się wydawało, dobiegał go czyjś krzyk. I odgłos szumiących klimatyzatorów, jakby w tym tanim hoteliku pracowało tysiące klimatyzatorów, które próbowały wpompować chłodne powietrze do piekielnego skwaru panującego w pokojach wielkości celi zbudowanych z pustaków, a dźwięk ten brzęczał mu w uszach jak rój pszczół.

23

- Znalazłem Price'a w motelu odległym o ulicę stąd. - Jay przetarł oczy pięściami.
- Wynająłem sąsiedni pokój. Cienkie ściany. Cały dzień przesiedziałem z głową przyłożoną do ściany i słuchałem, co robi u siebie. Myślałem, że dobiegną mnie odgłosy żalu, szloch, wściekłość, cokolwiek. Ale on po prostu oglądał telewizję i przez cały dzień pił. Później zadzwonił po prostytutkę. Niecałe czterdzieści osiem godzin po tym, jak wypalił Desiree w twarz i odciął jej palce, ten kutas zamawia sobie kobietę, jak żarcie do pokoju.

Jay zapalił kolejnego papierosa i przez chwilę wpatrywał się w dym.

- Kiedy prostytutka sobie poszła, wszedłem do jego pokoju. Doszło do awantury, zaczęliśmy się szarpać. Miałem nadzieję, że wyciągnie broń. I jak myślicie? Zrobił to. Sześciocalowy nóż sprężynowy. Pieprzoną kosę alfonsa. W sumie dobrze, że tak się stało. Dzięki temu to, co zrobiłem potem, wyglądało na samoobronę. Coś w tym stylu.

Jay odwrócił zmęczoną twarz do okna i patrzył na deszcz, który trochę osłabł. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos był matowy i beznamiętny.

- Rozciąłem mu brzuch od biodra do biodra, trzymałem go mocno za podbródek i kazałem patrzeć sobie w oczy, gdy jego wnętrzności wypływały na podłogę.

Wzruszył ramionami.

- Uważam, że pamięć o Desiree zasługiwała na to.

Na zewnątrz było chyba powyżej dwudziestu stopni, ale powietrze w knajpie wydawało się chłodniejsze niż w kostnicy.

- Co zamierzasz teraz zrobić, Jay? - zapytała Angie.

Uśmiechnął się jakimś upiornym uśmiechem.

- Wrócić do Bostonu i zaszlachtować też Trevora.

- I co, spędzisz resztę życia w więzieniu?

Spojrzał na mnie.

- Mam to gdzieś. Jeżeli tak zadecyduje los, to w porządku. Patrick, tylko raz w życiu trafia ci się miłość, i to jeżeli masz szczęście. Ja miałem ogromne szczęście. W wieku czterdziestu jeden lat przez dwa tygodnie kochałem tę kobietę o połowę od

siebie młodszą. I ona umarła. W porządku, świat jest okrutny. Zdobywasz coś dobrego i prędzej czy później spotyka cię coś złego, żeby była równowaga. - Zaczął bębnić palcami o blat. - W porządku. Zgadzam się na to. Nie podoba mi się to, ale się zgadzam. Dla mnie szalki wagi już się wyrównały. Teraz chcę, żeby wyrównały się także dla Trevora.

- Jay - powiedziała Angie. - To misja samobójcza.

Wzruszył ramionami.

- Mam to w dupie. On umiera. A poza tym, czy myślicie, że nie wydał już na mnie wyroku? Kiedy zerwałem z nim codzienne kontakty, podpisałem na sobie wyrok śmierci. Jak sądzicie, dlaczego posłał z wami Cliftona i Cushinga? - Zamknął oczy i głośno westchnął. - Nie. Inaczej być nie może. Ten skurwiol musi za to zapłacić.

- On i tak umrze za pięć miesięcy.

Znowu wzruszył ramionami.

- Jak dla mnie, za późno.

- A droga prawna? Mógłbyś przecież zeznać, że zapłacił ci za zabicie córki.

- Świetny pomysł, Angie. Proces mógłby się rozpocząć jakieś sześć czy siedem miesięcy po jego śmierci. - Rzucił na blat kilka banknotów. - Zabiję tego bydlaka. W tym tygodniu. Powoli i tak, żeby bolało. - Uśmiechnął się. - Są jeszcze jakieś pytania?

Większość rzeczy Jaya nadal znajdowała się w umeblowanej kawalerce, którą wynajął, kiedy pierwszy raz przyjechał do Ukumbak. To osiedle w centrum St. Petersburga. Miał zamiar się tam wślizgnąć, zabrać rzeczy i wyruszyć w drogę samochodem, uważał bowiem, że w samolocie trudno byłoby się ukryć, a na lotnisku też łatwo zostać zauważonym. Bez snu i żadnych przygotowań miał zamiar dojechać w ciągu dwudziestu czterech godzin na wschodnie wybrzeże i być w Marblehead o trzeciej trzydziści nad ranem. Zamierzał włamać się do domu Trevora Stone'a i zabić tego starego człowieka, nie oszczędzając mu przy tym cierpienia.

- Wspaniały plan - powiedziałem, gdy bieглиśmy w deszczu w stronę samochodów.

- Podoba ci się? Tak właśnie wymyśliłem.

Oboje z Angie postanowiliśmy, że ponieważ nic tu po nas, wrócimy z Jayem do Massachusetts. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się jeszcze z nim porozmawiać w trakcie krótkich przerw w podróży i na stacjach benzynowych, odwieść Jaya od tego planu lub znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Celikę, którą wynajęliśmy z Elite Motors - tego samego źródła, w którym Jay wynajął swojego 3000 GT - moglibyśmy odesłać w

Amtrak, prosząc, aby przesłali rachunek Trevorowi. Żywy czy martwy, będzie go mógł uregulować.

Prędzej czy później Baniak odkryje, że się ulotniliśmy, i wróci do domu ze swoim laptopem i małymi oczkami, wymyślając po drodze jakąś wymówkę dla Trevora, dlaczego nas zgubił. Cushing, miałem wrażenie, wpełźnie z powrotem do swojej trumny, gdzie będzie czekał na następne wezwanie.

- On jest szalony - powiedziała Angie, kiedy jechaliśmy autostradą za Jayem.

- Jay?

Pokiwała głową.

- Wydaje mu się, że w ciągu dwóch tygodni zakochał się w Desiree, ale to kompletna bzdura.

- Dlaczego? - spytałem.

- Ilu znasz ludzi - dorosłych ludzi - którzy zakochali się w ciągu dwóch tygodni? - odpowiedziała pytaniem.

- To nie znaczy, że takie rzeczy się nie zdarzają.

- Może. Ale ja myślę, że on zakochał się w Desiree, jeszcze zanim ją spotkał. Piękna dziewczyna, która przesiaduje samotnie w parkach, czekając na wybawiciela. O tym marzą wszyscy faceci.

- Piękna dziewczyna, która samotnie przesiaduje w parkach?

Pokiwała głową.

- Czekając na wybawienie.

Jay skręcił na wjazd prowadzący na autostradę 275 w kierunku północnym, małe tylne światelka jego wozu rozmazywały się w deszczu.

- Może to i prawda - zauważyłem. - Może. Ale niezależnie od tego, gdybyś była z kimś związana nawet krótko, ale bardzo silnie, a potem ta osoba zginęłaby od strzałów w twarz, też pewnie uległaby obsesji.

- Z pewnością.

Zwolniła, gdy celika wpadła w kałużę wielkości Peru, a tylne koła na chwilę odrzuciło na lewą stronę. Angie wprowadziła wóz w kontrolowany poślizg i samochód sam się wyprostował, kiedy tylko przejechaliśmy kałużę. Wrzuciła czwarty bieg, potem szybko piąty, nacisnęła na gaz i zaczęliśmy gonić Jaya.

- Z pewnością - powtórzyła. - Ale on zamierza zamordować kalekę, Patrick.

- Złego kalekę - powiedziałem.

- Skąd możemy to wiedzieć?

- Ponieważ Jay nam to powiedział, a Desiree potwierdziła.

- Nie - powiedziała Angie, kiedy jakieś dziesięć mil przed nami zarysowały się na nocnym niebie żółte płetwy Skyway Bridge. - Desiree niczego nie potwierdziła. To Jay powiedział, że potwierdziła. Wszystkie informacje pochodzą od Jaya. Nie możemy potwierdzić tej wersji u Desiree. Ona nie żyje. Nie możemy też potwierdzić u Trevora, bo tak czy inaczej zaprzeczy.

- Everett Hamlyn - powiedziałem.

Pokiwała głową.

- Zadzwońmy do niego, jak tylko dojedziemy do mieszkania Jaya. Z budki telefonicznej, żeby nie wiedział. Chcę usłyszeć od Everetta, że było tak, jak mówił Jay.

O brezentowy dach celiki waliły krople deszczu, które wydawały się kostkami lodu.

- Ufam Jayowi - powiedziałem.

- A ja nie. - Przez moment patrzyła na mnie. - Nie z przyczyn osobistych. On jest wrakiem. Teraz nie ufam nikomu.

- Nikomu - powtórzyłem.

- Poza tobą - powiedziała. - To oczywiste. Wszyscy inni są podejrzeni.

Oparłem się o fotel i zamknąłem oczy.

Wszyscy są podejrzeni.

Nawet Jay.

Co za zwariowany świat, na którym ojcowie zlecają zamordowanie swoich córek, ośrodki terapeutyczne nie oferują terapii, a człowiek, któremu ufałem przez całe życie, nagle też staje się podejrzany.

Może Everett Hamlyn miał rację. Może pojęcie honoru zanikało. Może tak było zawsze. Lub jeszcze gorzej, może zawsze było to tylko iluzją.

Nikomu nie można ufać. Nikomu nie można ufać.

To stało się moją mantrą.

24

Droga zakreśliła, zostawiliśmy za sobą ziemię niczyją z asfaltu i trawy i zbliżyliśmy się do zatoki Tampa, a woda i ląd zlewały się ze sobą za ciemną ścianą deszczu i trudno było powiedzieć, gdzie kończyło się jedno, a zaczynało drugie. Od czasu do czasu po obu stronach drogi pojawiały się niewielkie białe budynki, niektóre miały na dachach jakieś napisy, ale ja i tak nie byłem w stanie nic odczytać w rozmazanej ciemności, i wyglądały jakby były pozbawione fundamentów i swobodnie pływały w deszczowej otchłani. Przez jakąś minutę żółte płetwy Skyway ani się nie przybliżyły, ani nie oddalały; wisiały rozpięte nad smaganą wiatrem ciemną równiną, odcinając się ostro na fioletowo-purpurowym niebie.

Kiedy przemierzaliśmy kilkukilometrowej długości podjazd prowadzący do głównej konstrukcji mostu, po przeciwnej stronie autostrady wyłonił się ze ściany deszczu samochód zjeżdżający z mostu; zalane wodą światła reflektorów rozmazywały się w ciemności, a on przepłynął obok nas, zmierzając na południe. Spojrzałem w tylne lustro i zobaczyłem jeszcze tylne światła mrugające do nas jakiś kilometr z tyłu. Druga po północy, ściana deszczu, ciemność zamykająca się wokół nas ze wszystkich stron, jednym słowem noc, w którą człowiek nie miałby sumienia wyrzucić nawet największych grzeszników - a my byliśmy coraz bliżej kolosalnych żółtych płetw.

Ziewnąłem, a moje ciało jęknęło w środku na myśl, że przez dwadzieścia cztery godziny będzie skulone w małej celice. Włączyłem radio i zacząłem szukać muzyki, ale znalazłem tylko stacje nadające klasycznego rocka typu „hej, stary”, jakąś muzykę taneczną i kilka groteskowych propozycji „soft rocka”. Soft rock - czyli ni to, ni owo, doskonała muzyka dla ludzi, którzy nie dostrzegają różnicy.

Gdy asfaltowa droga stawała się coraz bardziej stroma, a przy samych płetwach grzbietowych mostu nagle się urywała, wyłączyłem radio. Tylne światła samochodu Jaya gapiły się na mnie przez deszcz jak czerwone oczy, po prawej stronie zatoka była coraz szersza, a betonowe barierki równomiernie przepływały obok nas.

- Ten most jest olbrzymi - powiedziałem.

- Poza tym przynosi pecha - powiedziała Angie. - To replika mostu. Oryginalny Skyway - a w każdym razie to, co z niego zostało - znajduje się po naszej lewej stronie.

Zapaliła papierosa od zapalniczki na desce rozdzielczej, a ja spojrzałem w lewo, ale przez strugi deszczu nic nie było widać.

- Na początku lat osiemdziesiątych - mówiła dalej - w tamten most uderzył statek transportowy. Główne przęsło spadło do morza, a wraz z nim kilka samochodów.

- Skąd to wiesz?

- Kiedy wejdiesz między wrony... - Uchyliła szybę ze swojej strony, aby wypuścić dym. - Wczoraj przeczytałam książkę o tej okolicy. W twojej walizce też jest. W dniu, w którym otworzyli ten nowy most, facet jadący na uroczystości inauguracyjne dostał zawału serca na podjeździe od strony St. Pete. Jego samochód spadł do wody, a on utonął.

Spojrzałem przez okno i zobaczyłem, jak zatoka opada coraz niżej, jak podłoga w szybie windy.

- Kłamiesz - powiedziałem nerwowo.

Podniosła w górę prawą rękę.

- Słowo harcerza.

- Trzymaj kierownicę obiema rękami - poprosiłem.

Zbliżyliśmy się do środkowego przęsła i lampy zamontowane na żółtej płetwie oświetliły prawą stronę naszego samochodu, a sztuczne światło wlało się do środka.

Nagle przez uchyloną szybę od strony Angie dobiegł nas dźwięk rozpryskiwanej przez opony wody. Spojrzałem w lewo.

- Co, do cholery? - zapytała Angie.

Skręciła kierownicę, a tuż obok nas przemknął złoty lexus, który z prędkością co najmniej stu kilometrów na godzinę wpakował się na nasz pas. Koła celiki od mojej strony uderzyły o krawężnik między jezdnią a barierką, a rama nadwozia trzęsła się i chwiała, gdy Angie trzymała kierownicę wyprostowanymi w łokciach rękami.

Lexus minął nas, a my wróciliśmy na swój pas. Jechał bez zapalonych tylnych świateł. Był tuż przed nami i zajmował oba pasy; w świetle lamp na płetwach dojrzałem małą, sztywno osadzoną głowę kierowcy.

- To Cushing - powiedziałem.

- Cholera.

Angie przycisnęła piskliwy klakson celiki, a ja wyjąłem ze schowka na desce rozdzielczej oba nasze pistolety. Spluwę Angie zaczepiłem na konsolce przy hamulcu

bezpieczeństwa, a do swojej załadowałem naboje.

Przed nami Jay wyprostował głowę i spojrział we wsteczne lusterko. Angie nie zdejmowała ręki z klaksonu, ale wątle piski, jakie z siebie wydawał, przestały być słyszalne, gdy przód lexusa pana Cushinga uderzył w tył 3000 GT Jaya.

Prawe koła małego sportowego wozu wjechały na krawężnik, a z karoserii od strony pasażera, która uderzyła o barierkę, poleciały iskry. Jay skręcił ostro w lewo i znów wjechał na jezdnię. Prawe boczne lusterko urwało się, a ja uchyliłem głowę, gdy poszybowało przez deszcz i uderzyło w naszą przednią szybę, na której, na wprost mojej twarzy, pojawiła się pajęczyna pęknięć.

Angie uderzyła w tył lexusa, gdy przednia część samochodu Jaya ześlizgnęła się na lewą stronę, a tylne prawe koło znowu podskoczyło na krawężniku. Pan Cushing prowadził lexusa pewnie, wgniatając go w wóz Jaya. Srebrny dekiel oderwał się od koła, uderzył w naszą chłodnicę i natychmiast zniknął pod kołami. 3000 GT, mały i lekki, nie miał żadnych szans w konfrontacji z lexusem i w każdej chwili mógł zostać odrzucony na bok, a lexus bez przeszkód zepchnąłby go z mostu.

Widziałem, jak głowa Jaya skacze do przodu i do tyłu, gdy on walczył z kierownicą, a lexus coraz mocniej napierał na przód samochodu od strony kierowcy.

- Trzymaj mocno kierownicę - zawołałem do Angie i opuściłem szybę od swojej strony.

Wychyliłem się niemal do połowy na zacinający deszcz i wyjący wiatr i wycelowałem w tylną szybę lexusa. Wystrzeliłem trzy razy, chociaż krople deszczu wpadały mi do oczu. Kule eksplodowały w powietrzu jak błyskawice, a tylna szyba lexusa posypała się na bagażnik. Pan Cushing nacisnął na hamulec, a ja wsunąłem się do samochodu, w chwili gdy Angie staranowała lexusa i samochód Jaya wyrwał się do przodu.

Jay zjechał jednak za ostro z krawężnika i prawe koła 3000 GT uderzyły o ziemię, a następnie odbiły się w górę. Angie krzyknęła, gdy z lexusa padły strzały.

Przednia szyba celiki eksplodowała. Razem z deszczem i wiatrem do wnętrza wozu wpadły okruchy szkła, które posypały się na nasze włosy, szyje i policzki. Angie skręciła w prawo i opony celiki znowu wjechały na krawężnik, a dekle zazgrzytały o beton. Przez moment wydawało się, że toyota uderzy w barierkę, ale jakimś cudem zdołała z powrotem wjechać na jezdnię.

W tej samej chwili samochód Jaya wywrócił się.

Upadł na stronę kierowcy, potem przeokoziółkował na dach, lexus przyspieszył i

najechał na niego z taką siłą, że rzuciło nim o barierkę.

- Zabiję tych drani - krzyknąłem, wstałem z fotela i wysunąłem się ponad deskę rozdzielczą.

Wychyliłem się tak daleko, że oparłem dłonie na karoserii za stłuczoną szybą. Starąłem się trzymać mocno pistolet, chociaż w nadgarstki i w twarz wbiły mi się okruchy szyby, i jeszcze raz wystrzeliłem trzykrotnie w stronę lexusa.

Musiałem kogoś trafić, bo lexusa odbiło od samochodu Jaya i odrzuciło przez całą szerokość lewego pasa. Uderzył w barierkę pod ostatnią z żółtych płetw z takim impetem, że zakołysało nim na boki, a potem do tyłu i ciężka złota masa ruszyła pędem prosto na nas.

- Wejdz do środka - krzyknęła do mnie Angie, skręcając gwałtownie w prawo, aby wyminąć bagażnik lexusa, który był coraz bliżej.

Złoty pojazd zbliżał się do nas w ciemnościach. Angie wykręciła kierownicę obiema rękami, a ja starałem się wrócić na fotel.

Nie udało mi się, Angie też nie.

Kiedy zderzyliśmy się z lexusem, wyleciałem w powietrze jak z katapulty. Przeleciałem nad karoserią celiki i niczym morświn wylądowałem na bagażniku lexusa, a moja pierś, nie tracąc zbyt szybko prędkości, ślizgała się po deszczu i okruchach potłuczonego szkła. Usłyszałem, jak z prawej strony coś trzasnęło, a beton pękł z takim hukiem, jakby nocne niebo rozdarło się nad nami na pół.

Upadłem jednym ramieniem na asfalt i poczułem, jak coś chrupnęło mi w obojczyku. Potoczyłem się. Przekoziółkowałem. I znowu się potoczyłem. W prawej ręce cały czas mocno ścisnąłem pistolet, który wypalił dwa razy, gdy niebo obróciło się, a most zakołysał się i opadł.

Zatrzymałem się na zakrwawionym, piekącym z bólu biodrze. Lewego ramienia prawie nie czułem, zwisało bezwładnie, a całe ciało miałem oblepione krwią.

Mogłem jednak poruszać ręką z pistoletem i chociaż biodro, na którym wylądowałem, bolało mnie, jakbym miał w środku ostre kamienie, obie nogi wydawały się sprawne. Odwróciłem się i spojrzałem na lexusa, w którym otworzyły się drzwi od strony pasażera. Samochód stał parę metrów ode mnie, jego bagażnik był szczipiony ze zmiażdżonym przodem celiki. Stałem niepewnie na nogach, po twarzy spływała mi woda z krwią, niczym sos pomidorowy, gdy z celiki wytrysnął strumień syczącej wody.

Na pasie w przeciwnym kierunku, który miałem teraz z prawej strony, zatrzymał

się gwałtownie czarny jeep, kierowca coś do mnie krzyczał, ale jego słowa ginęły w deszczu i wietrze.

Zignorowałem go i skupiłem się na lexusie.

Z samochodu wypadł na kolana Baniak, jego biała koszula nasączona była czerwienią, a w miejscu, gdzie powinien mieć prawą brew, ziała otwarta rana. Zataczając się, ruszyłem w jego stronę, a on usiłował wstać, podpierając się lufą pistoletu. Złapał się otwartych drzwi auta i patrzył na mnie, a ja mógłbym przysiąc po ruchu jego grdyki, że z trudem powstrzymywał wymioty. Niepewnie spojrział na trzymany w ręku pistolet, a potem na mnie.

- Nie - powiedziałem.

Spojrzał na swoją pierś, na krew, która z niej ciekła, i zacisnął palce na broni.

- Nie - powtórzyłem znowu.

Proszę, nie, pomyślałem.

On podniósł jednak pistolet i patrzył na mnie przez strugi deszczu, a jego małe ciało kołysało się, jakby był pijany.

Zanim zdążył unieść rękę z pistoletem na wysokość biodra, strzeliłem do niego dwa razy w sam środek piersi. Runął na samochód, a jego usta ułożyły się w zdziwiony owal, jakby chciał zadać mi jakieś pytanie. Złapał się otwartych drzwi, ale jego ręka ześlizgnęła się po framudze. Ciało zaczęło opadać na prawą stronę, ale łokieć zaklinował się między drzwiami a karoserią i Baniak tak właśnie umarł - częściowo wisząc nad ziemią, wczepiony w samochód, z niezadanyim pytaniem w oczach.

Usłyszałem metaliczny dźwięk, spojrzałem na dach samochodu i zobaczyłem pana Cushinga, który celował we mnie z pistoletu. Patrzył na mnie jednym okiem, całkowicie beznamiętnie, a kościsty biały palec zaciskał na cynglu. Uśmiechał się.

Nagle z jego gardła wystrzelił czerwony obłoczek i spłynął na kołnierz koszuli.

Zmarszczył brwi. Uniósł rękę do gardła, ale zanim tam dotarła, runął twarzą na dach samochodu. Pistolet ześlizgnął się po tylnej szybie i spoczął na bagażniku. Długie, chude ciało pana Cushinga przechyliło się w prawo i znikło po drugiej stronie bagażnika, uderzając głucho o ziemię.

Za nim z ciemności wyłoniła się Angie, wciąż trzymała w wyciągniętej ręce pistolet, a nad lufą unosiła się para wodna. W jej ciemnych włosach migotały okruchy szkła. Na czole i u nasady nosa widać było kilka zadrapań, ale poza tym wyszła ze zderzenia w dużo lepszym stanie niż Baniak i ja.

Uśmiechnąłem się do niej, a ona odpowiedziała mi słabym uśmiechem.

Potem spojrzała na coś za moimi plecami.

- Chryste Panie, Patrick. Jezu.

Odwróciłem się i wtedy zrozumiałem, skąd pochodził ogłuszający huk, który słyszałem, gdy wypadłem z celiki.

Paręnaście metrów przed nami leżał na dachu 3000 GT Jaya. Większa część samochodu przebiła się przez barierkę i widząc to, zdumiałem się, że jednak nie spadł z mostu. Tylna część auta nadziała się na fragment mostu. Przednia wisiała w powietrzu, samochód trzymał się dosłownie na kawałku betonu i dwóch wygiętych stalowych kotwach. Kiedy na niego patrzyłem, przód odrobinę się obniżył, a tył uniósł się minimalnie nad betonową podstawą. Stalowe kotwy zazgrzytały.

Podbiegłem do barierki, ukląknęłam i spojrzałem na Jaya. Wisiał głową w dół, przymocowany do fotela pasami, kolana miał na wysokości brody, a głową niemal dotykał sufitu.

- Nie ruszaj się - krzyknąłem.

Popatrzył na mnie.

- Nie martw się. Nie będę.

Spojrzałem na barierkę. Mokra od deszczu, znowu niebezpiecznie zachręściła. Z jednej strony dostrzegłem maleńki fragment betonowej podstawy, tak mały, że nikt powyżej czterech lat nie postawiłby na nim nogi, ale nie miałem czasu, aby czekać, aż urośnie. Pod tym skrawkiem betonu nie było nic, tylko czarna otchłań, a setki metrów poniżej woda.

Angie podeszła do mnie, a wiatr mocniej powiał od strony zatoki. Samochód przechylił się odrobinę w prawo, a potem znów nieznacznie się obniżył.

- Och, nie - powiedział Jay. Zaśmiał się słabo. - Nie, nie, nie.

- Jay - powiedziała Angie. - Schodzę do ciebie.

- Schodzisz? - zapytałem. - Nie. Ja mam dłuższą rękę.

Wspięła się na barierkę.

- I większe stopy, a twoja ręka wygląda fatalnie. Możesz nią w ogóle ruszać?

Nie czekała na odpowiedź. Uchwyciła się nienaruszonej części barierki i ruszyła w stronę samochodu. Szedłem obok niej, trzymając prawą rękę tuż przy jej ramieniu.

Poczułem podmuch wiatru z deszczem i miałem wrażenie, że cały most się zakolysał.

Angie dotarła do samochodu, a gdy ukucnęła w niepewnej pozycji, z całych sił schwyciłem ją obiema rękami za prawe ramię.

Kiedy wychyliła się poza barierkę i wyciągnęła lewą rękę, usłyszałem zbliżające się z oddali syreny.

- Jay - powiedziała.

- Tak?

- Nie sięgam.

Wychyliła się tak mocno, że trzymając ją, czułem pulsujące pod jej skórą ścięgna, ale palce nie sięgały klamki przy drzwiach samochodu.

- Musisz mi pomóc, Jay.

- Jak?

- Możesz otworzyć drzwi?

Wyciągnął głowę, usiłując zlokalizować klamkę.

- Nigdy przedtem nie wisiałem w samochodzie głową w dół. Rozumiesz?

- Ja też nigdy nie zwiślałam z mostu sto metrów nad wodą - powiedziała Angie. - Jesteśmy kwita.

- Mam klamkę - powiedział Jay.

- Musisz otworzyć drzwi i podać mi rękę - powiedziała Angie, a jej ciało zachwiało się na wietrze.

Jay zamrugał, gdy wiatr nawiał mu przez okno do oczu krople deszczu, nadął policzki i wypuścił powietrze.

- Czuję, że się obniżyłem o parę centymetrów, to zaraz spadnie.

- Musimy spróbować, Jay.

Jej dłoń ześlizgiwała się po moim ramieniu. Wzmocniłem uchwyt, a jej palce znowu wbiły się w moje ciało.

- Tak - powiedział Jay. - Powiem ci jednak, że...

Samochodem szarpnęło, a most groźnie zatrzeszczał, wydał z siebie wysoki, dramatyczny jak krzyk odgłos, a poszarpany beton, na którym trzymał się samochód, pokruszył się jeszcze bardziej.

- Nie, nie, nie, nie, nie - zawołał Jay.

I samochód runął z mostu.

Angie krzyknęła i odskoczyła, a stalowy pręt wbił się w jej ramię. Trzymałem ją mocno za rękę i pociągnąłem do siebie, w chwili gdy jej stopy zawisły w powietrzu.

Staliśmy obok siebie, jej twarz wtulona była w moją, jej ręka zaciskała się wokół mojej szyi, słyszałem na piersi bicie jej serca, a moje waliło mi w uszach jak dzwon i patrzyliśmy w dół, w miejsce, gdzie przed chwilą w strugach deszczu spadł samochód

Jaya i zniknął w ciemności.

25

- Co z nim?

Inspektor Jefferson zadał to pytanie pielęgniarzowi z pogotowia, który opatrywał moje ramię.

- Scapula jest pęknięta. Może nawet złamana. Trzeba zrobić prześwietlenie.

- Co takiego? - zapytałem.

- Łopatka - wyjaśnił pielęgniarz. - Z całą pewnością pęknięta.

Jefferson spojrział na niego sennymi oczami i powoli pokręcił głową.

- Nic mu nie będzie. Niedługo zbada go nasz lekarz.

- Cholera - powiedział pielęgniarz i też pokręcił głową.

Ciasno zawinął bandaż, prowadząc go pod moją pachą, przez ramię, potem w dół po obojczyku, przez plecy i pierś, i z powrotem pod ramię.

Inspektor Carnell Jefferson sennym wzrokiem obserwował, jak pielęgniarz mnie bandażuje. Nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat, był szczupły, ciemnoskóry, przeciętnego wzrostu i budowy ciała, o miękko zarysowanej szczęce i przyklejonym do ust uśmiechu, który błąkał się leniwie w kącikach. Miał na sobie niebieski płaszcz od deszczu, pod spodem jasnobrązowy garnitur i białą koszulę, jedwabny krawat z wzorzystym deseniem w różowe i niebieskie kwiaty, który lekko przekrzywiony, zwisał pod rozpiętym kołnierzykiem. Bardzo krótko ostrzyżone włosy w zasadzie odsłaniały czaszkę i zastanawiałem się nawet, czemu się nie ogolił. Ani razu nie mrugnął okiem, gdy deszcz spływał po jego gładkiej skórze w dół twarzy.

Wyglądał na miłego faceta, z którym można pozartować sobie na siłowni, może nawet pójść po pracy na piwo. Na faceta, który kocha swoje dzieci, a fantazje seksualne miewa tylko na temat własnej żony.

Spotykałem jednak już nieraz podobnych do niego gliniarzy i dobrze wiedziałem, że z kimś takim nie można czuć się zbyt pewnie. W pokoju przesłuchań, w trakcie procesu czy podczas przyjmowania zeznań od świadka ten miły facet w mgnieniu oka zamieniał się w prawdziwego rekina. Był inspektorem w wydziale zabójstw w południowym stanie, młodym i w dodatku czarnym; nie siedziałby na takiej posadzie,

gdyby był miły dla podejrzanych.

- No więc, pan Kenzie, nieprawdaż?

- Tak.

- Jest pan prywatnym detektywem z Bostonu. Zgadza się?

- Tak właśnie panu powiedziałem.

- Uh-huh. Miłe miasto?

- Boston?

- Tak. Miłe miasto?

- Mnie się podoba.

- Słyszałem, że jest tam ładnie jesienią. - Wydał usta i pokiwał głową. - Słyszałem też, że niezbyt lubią tam czarnuchów.

- Gnojki są wszędzie - powiedziałem.

- No jasne. Jasne.

Potał głowę dłonią, przez chwilę patrzył na padający deszcz, a potem zamrugał, strząsając krople wody z rzęs.

- Gnojki są wszędzie - powtórzył. - To miło, że stoimy tak sobie na deszczu i uprzejmie gawędzimy o kwestiach rasowych i gnojkach oraz tym podobnych sprawach, ale może powie mi pan coś o tych dwóch martwych gnojkach, którzy blokują ruch na moim moście?

Jego leniwe oczy spojrzały na mnie i dostrzegłem w nich cień rekina, który niemal natychmiast zniknął.

- Strzeliłem temu mniejszemu dwa razy w pierś.

Uniósł brwi.

- Zauważyłem to. Tak.

- Moja współpracowniczka zastrzeliła tego drugiego, kiedy mierzył do mnie z pistoletu.

Odwrócił się i spojrzał na Angie. Siedziała w ambulansie zaparkowanym na wprost naszego, a pielęgniarz przemywał wodą utlenioną zranienia na jej twarzy, nogach i szyi, podczas gdy towarzysząca Jeffersona, śledcza Lyle Vandemaker, prowadziła przesłuchanie.

- Człowieku - powiedział Jefferson i gwizdnął - ona wygląda na pierwszej klasy ślicznotkę, a potrafi przestrzelić gardło gnojka z odległości dziesięciu metrów, i to w deszczu? To niezwykła kobieta.

- Tak - potwierdziłem. - Jest niezwykła.

Podrapał się w brodę i pokiwał głową.

- Powiem panu, panie Kenzie, na czym polega mój problem. Chodzi o to, kto jest naprawdę gnojkiem. Rozumie pan, o czym mówię? Powiada pan, że tamci dwaj, martwi, to gnojki. I chciałbym panu wierzyć. Chciałbym. Cholera, chciałbym po prostu powiedzieć, „w porządku”, uścisnąć panu dłoń i pozwolić wrócić do Bostonu. Naprawdę. Ale jeżeli, założmy przez chwilę, pan kłamie, i to wy dwoje jesteście gnojkami, byłbym idiotą, gdybym pozwolił wam odjechać. A ponieważ nie mamy na razie żadnych świadków, wszystko, czym dysponujemy, to wasze słowa przeciw słowom tych dwóch facetów, którzy tak naprawdę nie mogą nam już nic powiedzieć, ponieważ, tak, strzeliliście do nich kilka razy i nie żyją. Kapuje pan?

- Słabo - przyznałem.

Samochody na moście poruszały się wolniej niż zazwyczaj o trzeciej nad ranem, gdyż policja zablokowała dwa pasy jezdni w kierunku północnym i ruch w obie strony odbywał się teraz tylko na dwóch pasach południowych. Każdy przejeżdżający samochód zwalniał w tym miejscu, bo kierowcy chcieli zobaczyć, co się stało.

Na pasie zamkniętym dla ruchu stał czarny džip z włączonymi światłami awaryjnymi, na dachu miał przymocowane dwie jaskrawozielone deski surfingowe. W kierowcy rozpoznałem faceta, który coś do mnie krzyczał chwilę przed tym, zanim strzeliłem do Baniaka.

Był to szczupły, opalony chłopak, blondyn z wypłowiałymi od słońca włosami i bez koszuli. Stał z tyłu dzipa i prowadził ożywioną rozmowę z dwoma policjantami. Kilka razy wskazał palcem w moją stronę.

Jego towarzyszka, tak samo szczupła i opalona, opierała się o bagażnik dzipa. Kiedy spojrzeliśmy na siebie, radośnie do mnie pomachała, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

Chciałem być uprzejmy i też do niej pomachałem, zresztą dość niemrawo, i zacząłem się rozglądać dookoła.

Nasza strona mostu była zablokowana przez lexusa i celikę, sześć lub siedem zielono-białych radiowozów, kilka nieoznakowanych samochodów, dwa wozy strażackie, trzy ambulanse i czarną furgonetkę z żółtym napisem NADMORSKA STRAŻ OKRĘGU PINELLAS. Przed kilkoma minutami do zatoki od strony St. Pete wskoczyło czterech płetwonurków, którzy szuкали teraz w wodzie Jaya.

Jefferson popatrzył na dziurę w moście wybitą przez samochód Jaya. Skąpana w czerwonych światłach wozów strażackich, wyglądała jak otwarta rana.

- Zdrowo rozjebaliście mój most, co, panie Kenzie?

- To nie ja - powiedziałem. - To te dwa martwe gnojki.

- To pan tak twierdzi - powiedział. - Pan tak twierdzi. Pielęgniarz musiał użyć pesety, żeby usunąć z mojej twarzy drobny żwir i okruchy szkła. Mrugając oczami, patrzyłem przez pulsujące światła i mżawkę na tłum gromadzący się po drugiej stronie zatarasowanego przejazdu. Byli gotowi przyjść w deszcz o trzeciej w nocy na most, aby na własne oczy zobaczyć wypadek. Nie wystarczała im, jak widać, telewizja. Nie wystarczało im ich własne życie. Niczego nie mieli dość.

Pielęgniarz wyciągnął z mojego czoła dość duży odłamek czegoś i z rany natychmiast pociekła krew, spłynęła mi po nosie i wpadła do oczu. Zamrugałem kilka razy, zanim wytarł mi twarz gazą, i kiedy tak trzepotałem rzęsami, a światła wszystkich wozów policyjnych i strażackich pulsowały niby lampy stroboskopowe, uchwyciłem kątem oka w tłumie gapiów czyjeś miodowe włosy i opaloną skórę.

Wystawiłem głowę na deszcz, pochyliłem się w tamtą stronę, aby lepiej się przyjrzeć, i wtedy przez ułamek sekundy znowu ją widziałem, ale natychmiast stwierdziłem, że upadek z samochodu spowodował zaburzenia wzroku, ponieważ to nie było możliwe.

A może jednak było.

Przez sekundę, poprzez deszcz, światła i krew w moich oczach, widziałem Desiree Stone.

A potem znikła.

26

Most łączy dwa okręgi: na południu Manatee, obejmujące Bradenton, Palmetto, Longboat Key i Anna Maria Island, na północy Pinellas z St. Petersburgiem, St. Petersburg Beach, Gulfport i Pinellas Park. Na miejsce wypadku pierwsza przyjechała policja z St. Petersburga wraz z nurkami i wozami straży pożarnej, więc po krótkiej wymianie zdań z policją z Bradenton zostaliśmy zabrani przez gliniarzy z St. Pete, którzy pojechali z nami na północ.

Kiedy zjeżdżaliśmy z mostu - Angie zamknięta na tylnym siedzeniu jednego radiowozu, ja z tyłu drugiego - czterech nurków ubranych od stóp do głów w czarne gumowe kombinezony, wyciągnąwszy z wód zatoki zwłoki Jaya, niosło je na trawiaste nabrzeże.

Odwróciłem się jeszcze i spojrzałem przez tylną szybę. Położyli jego mokre ciało na trawie. Było białe jak podbrzusze ryby. Mokre włosy oblepiały twarz, oczy miał zamknięte, a czoło wklęsnięte.

Gdyby nie to wklęsnięcie, można by pomyśleć, że spał. Twarz miał spokojną. Wyglądał, jakby miał czternaście lat.

- No więc - powiedział Jefferson po powrocie do pokoju przesłuchań - mamy dla pana kilka złych wiadomości, panie Kenzie.

W głowie mi dudniło, jakby zaległa się tam grupa cymbalistów, a wewnątrz moich ust miało smak spalonej na słońcu skóry. Nie mogłem ruszać lewą ręką, nawet gdyby pozwalały mi na to bandaże, a rany na mojej twarzy i głowie zasklepiały się i swędziały.

- To znaczy? - udało mi się wykrztusić.

Jefferson rzucił na stół ładnie wydany folder, zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła, po czym usiadł.

- Ten Graham Clifton - jak go nazywaliście tam na moście - Baniak?

Pokiwałem głową.

Uśmiechnął się.

- Podoba mi się. No więc, Baniak miał w ciele trzy kule. Wszystkie wystrzelone z pańskiego pistoletu. Pierwsza przebiła plecy i wyszła przez prawe płuco.

- Mówiłem panu, że wystrzeliłem w stronę samochodu, kiedy jeszcze jechał. Miałem wrażenie, że w coś trafiłem - powiedziałem.

- I trafił pan - potwierdził. - Potem strzelił pan w niego jeszcze dwukrotnie, kiedy już wysiadł z samochodu, tak, tak. Ale to jeszcze nie jest ta zła wiadomość. Zła wiadomość jest taka, że pana zdaniem ten Baniak pracował dla Trevora Stone'a z Marblehead, Massachusetts?

Pokiwałem głową.

Popatrzył na mnie i powoli pokręcił swoją.

- Chwileczkę - powiedziałem.

- Pan Clifton był zatrudniony przez Bullock Industries, doradcą firmę deweloperską z Buckhead.

- Buckhead? - zdziwiłem się.

Pokiwał głową.

- Atlanta. Georgia. Pan Clifton, o ile nam wiadomo, nigdy nie postawił nogi w Bostonie.

- Bzdura - powiedziałem.

- Obawiam się, że nie. Rozmawiałem z właścicielem mieszkania, które wynajmował, z jego szefem i z sąsiadami.

- Sąsiadami - powtórzyłem.

- Tak. Wie pan, co znaczy słowo „sąsiedzi”, prawda? Ludzie, którzy mieszkają obok. Widzą się każdego dnia, mówią sobie dzień dobry. No więc w Buckhead jest cała masa takich sąsiadów, którzy są gotowi przysiąc, że przez ostatnie dziesięć lat niemal każdego dnia widywali pana Cliftona w Atlancie.

- I pana Cushinga? - zapytałem, a cymbaliści w mojej głowie coraz mocniej walili w cymbały.

- Też pracował dla Bullock Industries. I także mieszkał w Atlancie. Dlatego tablice rejestracyjne lexusa są z Georgii. A co do pana Stone'a, to był bardzo zdziwiony, kiedy do niego zatelefonowałem. To emerytowany biznesmen, umierający na raka, który wynajął pana, aby odnalazł pan jego córkę. Nie miał pojęcia, co pan robi na Florydzie. Powiedział, że ostatni raz rozmawiał z panem pięć dni temu. Prawdę powiedziawszy, myślał, że ulotnił się pan z pieniędzmi, które panu wypłacił. A co do Cliftona i Cushinga, pan Stone nigdy w życiu o nich nie słyszał.

- Inspektorze Jefferson - powiedziałem. - Sprawdził pan, kto jest właścicielem Bullock Industries?

- A jak pan myśli, panie Kenzie?

- Oczywiście, że pan sprawdził.

Pokiwał głową i spojrzał na folder.

- Oczywiście, że sprawdziłem. Właścicielem Bullock Industries jest Moore & Wessner Limited, firma brytyjska.

- A kto jest właścicielem tej firmy?

Spojrzał w notatki.

- Sir Alfred Llewyn, angielski hrabia, prawdopodobnie spokrewniony z rodziną królewską Windsorów, grywa w bilard z księciem Karolem, a z królową w karty. To tyle.

- Nie Trevor Stone - powiedziałem.

Pokręcił głową.

- Chyba żeby był zarazem angielskim hrabią. A nie jest, prawda? Jak pan doskonale wie.

- A Jay Becker? - zapytałem. - Co pan Stone powiedział o nim?

- To samo co o panu. Pan Becker zniknął z pieniędzmi pana Stone'a.

Zamknąłem oczy, bo raziło mnie światło jarzeniówki na suficie i usiłowałem siłą woli powstrzymać dudnienie w głowie. Bez skutku.

- Inspektorze - odezwałem się po chwili.

- Hmmm?

- Jak pan myśli, co się stało w nocy na moście?

Oparł się wygodniej na krześle.

- Cieszę się, że pan mnie o to zapytał, panie Kenzie. Bardzo się cieszę.

Wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę gumy do żucia i poczęstował mnie. Kiedy pokręciłem głową, wzruszył ramionami, wyjął jeden kawałek, włożył do ust i przez jakieś trzydzieści sekund powoli go żuł.

- Pan i pana współpracownik znaleźliście jakoś Jaya Beckera i nikomu o tym nie powiedzieliście. Postanowił pan uciec z pieniędzmi Trevora Stone'a, ale nie wystarczyło panu te dwieście tysięcy dolarów, które panu dał.

- Dwieście tysięcy dolarów - powiedziałem. - Powiedział, że tyle nam zapłacił?

Pokiwał głową.

- Znaleźliście więc Jaya Beckera, ale on nabrał jakichś podejrzeń i usiłował wam

uciec. Ścigaliście go aż na Skyway i tam zaczęliście się przepychać, aż na waszej drodze pojawiło się tych dwóch Bogu ducha winnych biznesmenów. Pada deszcz, jest ciemno, a wasz plan zaczyna się sypać. Wszystkie trzy samochody zderzają się. Samochód Beckera wypada z mostu. Tożaden problem, ale trzeba się zająć dwoma świadkami, którzy wszystko widzieli. Zabijacie ich, podkładacie im pistolety, strzelacie w tylną szybę ich samochodu, aby wyglądało na to, że ktoś strzelał ze środka, i tyle. Sprawa załatwiona.

- Chyba pan nie wierzy w tę teorię? - zapytałem.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ to najgłupsza teoria, jaką w życiu słyszałem. A pan nie jest głupi.

- O, proszę mnie jeszcze komplementować, panie Kenzie. Proszę.

- Chcieliśmy pieniędzy Beckera, tak?

- Sto tysięcy, które znaleźliśmy w bagażniku celiki z jego odciskami palców, to właśnie te pieniądze, o których mówiłem.

- Ale wpłaciliśmy sto tysięcy jako kaucję za niego, aby go wyciągnąć z więzienia - powiedziałem. - Po co niby mielibyśmy to robić? Zamieniliśmy jedno sto tysięcy dolarów na drugie?

Patrzył na mnie tym swoim wzrokiem rekina i milczał.

- Jeżeli podrzuciliśmy Cushingowi i Cliftonowi pistolety, to skąd na palcach Cliftona ślady prochu? Miał je, prawda?

Cisza. Patrzył na mnie i czekał.

- Jeżeli zepchnęliśmy samochód Jaya Beckera z mostu, skąd na jego wozie ślady po uderzeniach lexusa?

- Proszę dalej - powiedział.

- Wie pan, jakie jest moje honorarium za odnalezienie zaginionej osoby?

Pokręcił głową.

Powiedziałem mu.

- Czy to nie jest dużo mniej niż dwieście tysięcy dolarów?

- Jest.

- Dlaczego Trevor Stone miałby wydać czterysta tysięcy dolarów, co najmniej tyle, zlecając dwóm prywatnym detektywom poszukiwanie swojej córki?

- Jest zrozpaczony. On umiera. Chce, aby córka wróciła do domu.

- Więc poświęca na to prawie pół miliona dolarów? To bardzo dużo.

Wyciągnął w moją stronę prawą rękę dłonią do góry.

- Proszę mówić dalej - powiedział.

- Pierdolę to.

Przednie nogi krzesła, na którym siedział, opadły na podłogę.

- Słucham?

- Słyszał pan. Pierdolę to, pierdolę pana. Pana teoria to jedno wielkie gówno. Obaj to wiemy. I wiemy, że nigdy nie obroniłaby się w sądzie. Ława przysięgłych nieźle by się uśmieła.

- I co z tego?

- Właśnie to.

Spojrzałem na niego, a następnie do tyłu, na weneckie lustro za moimi plecami, aby jego zwierzchnicy, czy ci, którzy tam stali, widzieli moje oczy.

- Macie trzech zabitych, zniszczony most i nagłówki na pierwszej stronie w jutrzejszych gazetach, jak sądzę. A jedyne wyjaśnienia, które trzymają się kupy, to te, które od dwunastu godzin ja i moja współpracowniczka staramy się wam przekazać. Ale wy nie chcecie ich potwierdzić. - Nasze oczy spotkały się. - A przynajmniej pan tak mówi.

- Ja tak mówię? Co to znaczy, panie Kenzie? Niech się pan nie kępuje.

- Po drugiej stronie mostu stał facet. Wyglądał na surferowca. Widziałem, że policjanci go przesłuchiwali. Widział, co się stało. A przynajmniej jakąś część zajścia.

Uśmiechnął się. Szeroko. Pokazując komplet uzębienia.

- Przesłuchiwany dżentelmen - powiedział, patrząc w swoje notatki - był siedmiokrotnie karany, między innymi za jazdę pod wpływem alkoholu, posiadanie marihuany, posiadanie kokainy, posiadanie ecstasy, posiadanie...

- Chce mi pan powiedzieć, inspektorze, że miał różne rzeczy. Rozumiem. Co to ma za związek z tym, co widział na moście?

- Mama nie nauczyła pana, że niegrzecznie jest przerywać innym? - Pogroził mi palcem. - Dżentelmen, o którym mówimy, prowadził samochód z nieważnym prawem jazdy, odmówił dmuchania w alkomat i miał przy sobie marihuanę. Pana „świadek”, jeżeli za takiego go pan uważa, panie Kenzie, był pod wpływem co najmniej dwóch środków odurzających. Został zaarrestowany w kilka minut po tym, jak opuściliśmy most. - Pochylił się w moją stronę. - No więc, proszę mi powiedzieć, co się stało na moście?

Ja też pochyliłem się do przodu. Między dwa promienie jego wystudiowanego spojrzenia. A nie było to łatwe, naprawdę.

- Nie ma pan nic poza tym, że zastał pan mnie i moją współpracowniczkę z dymiącymi

pistoletami w dłoniach i poza świadkiem, któremu nie chce pan wierzyć. Więc nie pozwoli nam pan odejść. Prawda, inspektorze?

- Ma pan rację - powiedział. - Proszę mi więc opowiedzieć jeszcze raz wszystko od początku.

- Nie.

Skrzyżował ręce na piersiach i uśmiechnął się.

- Nie? Powiedział pan „nie”?

- Tak właśnie powiedziałem.

Wstał i podniósł krzesło, a potem ustawił je obok mojego. Usiadł na nim i jego usta dotknęły mojego ucha, gdy wyszeptał:

- Mam cię, Kenzie. Rozumiesz? A ty jesteś chojrakiem, białym pierdolonym Irlandczykiem, a to znaczy, że cię nienawidzę. I powiedz mi teraz, co zrobisz?

- Żądam kontaktu z moim prawnikiem - powiedziałem.

- Nic nie słyszałem - wyszeptał.

Zignorowałem go i uderzyłem pięścią w stół.

- Żądam kontaktu z moim prawnikiem - zawołałem do ludzi za weneckim lustrem.

Mój prawnik, Cheswick Hartman, wsiadł do samolotu w Bostonie o szóstej rano, w godzinę po tym, jak do niego zadzwoniłem.

Kiedy w południe dotarł do Komendy Głównej Policji w St. Petersburgu na First Avenue North, wszyscy udawali głupków. Ponieważ wypadek zdarzył się na moście, na ziemi niczyjej między hrabstwami Pinellas i Manatee, odesłali go do hrabstwa Manatee, do policji w Bradenton, udając, że nie mają pojęcia, gdzie zostaliśmy zatrzymani.

Kiedy w Bradenton zobaczyli garnitur Cheswicka za dwa tysiące dolarów, a w ręku teczkę firmy Louis of Boston, także zaczęli się z nim bawić w kotka i myszkę. Gdy wrócił do St. Petersburga, była trzecia po południu. Powietrze wrzało od gorąca i Cheswick też się gotował.

Znam trzech ludzi, z którymi nigdy, ale to nigdy, nie powinno się zadzierać. Jednym z nich jest Bubba, z oczywistych powodów. Drugim Devin Amronklin, gliniarz z bostońskiego Wydziału Zabójstw. A trzecim Cheswick Hartman, który mógł być nawet groźniejszy niż Bubba i Devin razem wzięci, ponieważ miał do dyspozycji dużo większy arsenał broni.

Jeden z najlepszych prawników od spraw kryminalnych nie tylko w Bostonie, ale w całym kraju, brał jakieś osiemset dolarów za godzinę pracy i zawsze miał klientów. Miał domy w Beacon Hill i w Outer Banks of North Carolina, a także letnią willę na Majorce. Miał także siostrę, Elise, którą kilka lat temu wyciągnąłem z poważnej opresji. Od tamtej pory Cheswick nie brał ode mnie pieniędzy i gotów był w ciągu godziny ruszyć w podróż, aby przemierzyć parę tysięcy kilometrów.

Wiele go to jednak kosztowało i kiedy później gburowaci gliniarze o złych manierach marnowali jeszcze jego czas, teczka i wieczne pióro marki Montblanc zamieniały się w broń nuklearną i zapalnik.

Przez brudną szybę w pokoju przesłuchań widziałem jeszcze bardziej brudne żaluzje w pokoju gliniarzy. Dwadzieścia minut po tym, jak Jefferson zostawił mnie wreszcie samego, usłyszałem jakieś hałasy i zobaczyłem Cheswicka, który pędził jak

burza między rozstawionymi biurkami, a za nim gnał cały legion mundurowych gliniarzy.

Gliniarze krzyczeli na Cheswicka i do siebie, słyszałem powtarzane kilkakrotnie nazwisko Jeffersona oraz jakiegoś porucznika Grimesa i w chwili gdy Cheswick wtargnął do pokoju przesłuchań, Jefferson też był już na miejscu.

Cheswick spojrzał na mnie tylko i powiedział:

- Proszę podać mojemu klientowi wody. I to już.

Jeden z gliniarzy wrócił do pokoju policjantów, a cała reszta weszła za Cheswikiem do pokoju przesłuchań. Cheswick pochylił się nade mną i obejrzał moją twarz.

- Proszę bardzo. - Spojrzał przez ramię na spoconego, siwego mężczyznę w mundurze kapitana. - Co najmniej trzy z tychzranień na twarzy są zainfekowane. Domyślam się, że może mieć złamaną łopatkę, ale widzę tu tylko bandaże.

- To... - odezwał się kapitan.

- Jak długo tu jesteś? - zapytał mnie.

- Od trzeciej czterdzieści sześć rano - powiedziałem.

Spojrzał na zegarek.

- Jest czwarta po południu. - Przeniósł wzrok na spoconego kapitana. - Pana ludzie pogwałcili prawa obywatelskie mojego klienta, a to jest przestępstwo federalne.

- Bzdura - odezwał się Jefferson.

Kiedy na stole w pokoju przesłuchań pojawił się dzbanek z wodą i szklanka, Cheswick wyjął chusteczkę z kieszeni na piersi. Uniósł dzbanek i odwrócił się w stronę grupy policjantów. Nalał trochę wody na chusteczkę i strząsnął jej nadmiar na buty Jeffersona.

- Patrolowy Jefferson, słyszał pan o Rodneyu Kingu?

- Jestem inspektor Jefferson.

Popatrzył na swoje mokre buty.

- Nie dla mnie.

Cheswick odwrócił się do mnie i przyłożył chusteczkę do mojej poranionej twarzy.

- Powiem wprost - zwrócił się do grupy gliniarzy. - Spierdoliliście sprawę, panowie. Nie wiem, jak wy tu pracujecie, i nic mnie to nie odchodzi, ale trzymaliście mojego klienta przez ponad dwanaście godzin w pozbawionym wentylacji pomieszczeniu, a więc nic z tego, co wam powiedział, nie będzie honorowane w sądzie. Nic.

- Tu jest wentylacja - zaprotestował jakiś gliniarz z błyskiem w oku.

- Proszę więc włączyć klimatyzację - zażądał Cheswick.

Gliniarz zrobił pół kroku w stronę drzwi, ale nagle zatrzymał się, potrząsając głową nad własną głupotą. Kiedy się odwrócił, Cheswick uśmiechnął się do niego szeroko.

- A więc specjalnie wyłączyliście w tym pomieszczeniu klimatyzację. W budynku z pustaków, kiedy temperatura osiągała trzydzieści stopni. Tylko tak dalej, panowie, ponieważ już szykuje się sprawa na sześciocyfrową sumę. I ona ciągle rośnie.

Zdjął z mojego czoła chusteczkę i podał mi szklanekę wody.

- Jeszcze jakieś zażalenia, Patrick?

Wypiłem zawartość szklanki w trzy sekundy.

- Zwracali się do mnie w ordynarny sposób.

Uśmiechnął się do mnie cierpko i klepnął po ramieniu tak mocno, że aż mnie zabolalo.

- Pozwól mi mówić - powiedział.

Jefferson podszedł do Cheswicka.

- Pana klient strzelił trzy razy do człowieka. Jego współniczka przestrzeliła gardło drugiemu. Trzeci facet spadł razem z samochodem z mostu i zginął w zatoce.

- Wiem - powiedział Cheswick. - Widziałem taśmę.

- Taśmę? - zdziwił się Jefferson.

- Taśmę? - zapytał spocony kapitan.

- Taśmę? - zdumiałem się.

Cheswick sięgnął do teczki i rzucił na stół kasetę.

- To jest kopia - powiedział. - Oryginał mają policjanci z okręgu Meegan, Ellenburg i Feibel, w Clearwater. Taśmę przysłano do nich kurierem dziś o dziewiątej rano.

Jefferson wziął do ręki kasetę, a z jego czoła spadła kropelka potu.

- Proszę ją sobie obejrzeć - zachęcał Cheswick. - Materiał nagrała osoba, która jechała przez Skyway na południe w tymczasie, gdy zdarzył się wypadek.

- Kto? - zapytał Jefferson.

- Kobieta, niejaka Elizabeth Waterman. Wiem, że zeszłej nocy zaaresztowaliście na moście jej chłopaka, Petera Moore'a, za brak ważnego prawa jazdy i parę innych rzeczy. Wiem, że w trakcie składania zeznań poinformował pana ludzi o tym, że nagrali ten wypadek na taśmę, ale pan zdecydował się pominąć ten dowód, ponieważ

świadek odmówił dmuchania w alkomat.

- To bzdura - oświadczył Jefferson i spojrział na swoich kolegów, szukając wsparcia.

Kiedy go nie otrzymał, ścisnął w rękę taśmę tak mocno, że myślałem, iż ją zgniecie.

- Nagranie jest trochę niewyraźne z powodu deszczu i zdenerwowania osoby filmującej - powiedział Cheswick - ale przebieg wypadku można odczytać.

- Chyba chcesz mnie rozbawić - powiedziałem i roześmiaem się.

- Czyż nie jestem absolutnie poważny? - zapytał Cheswick.

O dziewiątej wieczorem byliśmy wolni.

Przedtem jeszcze zbadał mnie lekarz w szpitalu Bayhore, a dwóch gliniarzy cały czas stało w odległości trzech metrów ode mnie. Lekarz zdezynfekował zranienia i podał mi antybiotyk, co miało zapobiec ewentualnej infekcji. Prześwietlenie ujawniło wyraźne pęknięcia łopatki, ale na szczęście uniknąłem pełnego złamania. Na koniec lekarz zmienił mi bandaż, założył temblak i zakazał grać w piłkę nożną przynajmniej przez trzy miesiące.

Kiedy go zapytałem, jaki wpływ może mieć pęknięcie łopatki na moją uszkodzoną rok temu podczas walki z Gerrym Glynnem lewą rękę, jeszcze raz dokładnie ją obejrzał.

- Drętwieje?
- Całkowicie - potwierdziłem.
- Nerw został uszkodzony.
- Tak - powiedziałem.

Pokiwał głową.

- Amputacja panu nie grozi.
- Miło mi to słyszeć.

Spojrzał na mnie przez małe okularki.

- Ujął sobie pan wiele lat życia, panie Kenzie.
- Zaczynam sobie zdawać z tego sprawę.
- Planuje pan mieć dzieci?
- Tak - powiedziałem.
- Niech pan zacznie już teraz - poradził. - Może dożyje pan do ich matury.

Kiedy schodziliśmy ze schodów komendy policji, Cheswick powiedział:

- Zadarliście z niewłaściwym facetem.
- Nie żartuj - powiedziała Angie.
- Nie chodzi tylko o to, że nie ma żadnych dowodów, aby sądzić, iż Cushing i

Clifton pracowali dla niego, ale jest jeszcze sprawa odrzutowca, którym tu przylecieliście. Jedyne prywatne odrzutowce, jakie opuścił lotnisko Logan między dziewiątą rano a południem tamtego dnia to była cessna, nie gulfstream, i poleciała do Dayton w Ohio.

- Jak można kazać milczeć całemu lotnisku? - zapytała Angie.

- I to nie było jakimś - powiedział Cheswick. - Logan ma najlepszy, najbardziej rekomendowany system bezpieczeństwa w całym kraju. A Trevor Stone ma wystarczające wpływy, aby go obejść.

- Cholera - zakląłem.

Zatrzymaliśmy się przed wynajętą przez Cheswicka limuzyną. Szofer otworzył drzwi, ale Cheswick kazał mu czekać i odwrócił się do nas.

- Wracacie ze mną?

Pokręciłem głową i natychmiast tego pożałowałem. Cymbaliści nadal w niej ćwiczyli.

- Mamy tu jeszcze kilka niezakończonych wątków - powiedziała Angie. - Zanim zdecydujemy się wracać, musimy się jeszcze zastanowić, co zrobić z Trevorem.

- Chcecie mojej rady?

Cheswick wrzucił teczkę na tylne siedzenie limuzyny.

- Jasne.

- Trzymajcie się od niego z daleka. Zostańcie tu, dopóki nie umrze. Może wtedy zostawi was w spokoju.

- Nie możemy - powiedziała Angie.

- Tak myślałem - westchnął Cheswick. - Słyszałem jedną opowieść o Trevorze Stone. Taką plotkę. Pogłoskę. W latach siedemdziesiątych pewien związkowiec robił problemy w Salwadorze, zagrażając interesom Trevora na plantacjach bananów, ananasów i kawy. I pewnego dnia robotnicy w jego zakładzie, w którym przerabiano ziarno kawowe, znaleźli w kadzi z ziarnami stopę. A potem rękę. A potem głowę.

- Związkowca - powiedziała Angie.

- Nie - pokręcił głową Cheswick. - Sześcioletniej córki związkowca.

- Chryste - wyszeptałem.

Cheswick bębnił palcami o dach limuzyny, patrząc na żółtawą ulicę.

- Związkowca i jego żony nigdy nie znaleziono. Uznano ich za „zaginionych”. I w zakładach należących do Trevora Stone’a nikt już nigdy nie wspomniął o żadnym strajku.

Uściskał nam ręce i wszedł do limuzyny.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedział, zanim szofer zamknął drzwi.

Pochyliliśmy się.

- Przedostatniej nocy ktoś włamał się do biura Hamlyna i Kohla. Ukradli całe wyposażenie biura. Słyszałem, że podobno faksy i kopiarki były dużo warte.

- Zapewne - powiedziała Angie.

- Mam taką nadzieję. Bo złodzieje musieli zastrzelić Everetta Hamlyna, aby wziąć to, co chcieli.

Milczeliśmy, a tymczasem limuzyna ruszyła, skręciła w prawo i pojechała w stronę autostrady. Angie wzięła mnie za rękę.

- Bardzo mi przykro - wyszeptała. - Z powodu Everetta i z powodu Jaya.

Zamrugalem oczami, bo coś mi do nich wpadło. Angie mocniej ścisnęła moją rękę.

Spojrzałem w niebo, głęboki odcień błękitu nadawał mu całkowicie sztuczny wygląd. Przyszło mi wtedy do głowy coś jeszcze: ten stan - taki bujny, dorodny i barwny - wydawał się zdecydowanie nieprawdziwy w porównaniu ze swoimi brzydszymi odpowiednikami na północy.

W nieskazitelnosci było coś brzydkiego.

- To byli dobrzy ludzie - cicho powiedziała Angie.

Pokiwałem głową.

- I piękni.

29

Ruszyliśmy w stronę Central Avenue i skręciliśmy na północ, w kierunku postoju taksówek, o którym poinformował nas dość opryskliwie dyżurny policjant.

- Cheswick przewiduje, że postawią nam zarzuty o posiadanie broni, użycie broni w mieście i tym podobne gówna.

- Ale nic z tego nie wyniknie - powiedziała Angie.

- Pewnie nie.

Znaleźliśmy postój taksówek, ale był pusty. Central Avenue, a przynajmniej ta część, w której byliśmy, nie wyglądała zachęcająco. Na zaśmieconym parkingu rzęsiście oświetlonego sklepu monopolowego trzech pijaczków kłóciło się o flaszkę lub fajki, a po drugiej stronie ulicy na ławce przed Burger Kingiem siedziało kilku odstręczających małych dzieci; wypatrując potencjalnej ofiary, podawali sobie dżojnta i mierzyli wzrokiem Angie. Byłem pewien, że z uwagi na bandaż wokół ramienia i temblak na rękę wyglądam dość nieszkodliwie, ale kiedy znowu się nami zainteresowali, wlepiłem zmęczone oczy w jednego z nich, dopóki nie odwrócił głowy i nie zajął się czymś innym.

Oparliśmy się o ściankę z pleksiglasu na postoju i chwilę staliśmy w milczeniu na oblepiającym nasze ciała upale.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała Angie.

Spojrzałem na jej poharataną twarz, siniak pod prawym okiem, rozcięcie na lewej łydce.

- Ty natomiast wyglądasz...

Obrzuciła mnie omdlewającym spojrzeniem i znowu zamilkliśmy.

- Patrick.

- Tak? - powiedziałem z zamkniętymi oczami.

- Kiedy wyszłam na moście z ambulansu i szłam do radiowozu, wiesz...

Otworzyłem oczy i spojrzałem na nią.

- Co?

- Wydaje mi się, że widziałam coś dziwnego. Tylko się nie śmieję.

- Widziałaś Desiree Stone.

Wyprostowała się i uderzyła mnie wierzchem dłoni w brzuch.

- Spadaj! Ty też ją widziałeś?

Rozmasowałem sobie brzuch.

- Też ją widziałem.

- Myślisz, że jest duchem?

- Nie jest duchem - powiedziałem.

Po powrocie do hotelu okazało się, że nasze pokoje zostały gruntownie przeszukane. W pierwszej chwili pomyślałem, że zrobili to ludzie Trevora, może nawet Baniak i Cushing, zanim pojechali za nami, ale potem znalazłem na poduszce wizytówkę.

INSPEKTOR CARNELL JEFFERSON, przeczytałem.

Poskładałem rzeczy i zapakowałem je do walizki, przysunąłem łóżko do ściany i pozamykałem wszystkie szuflady.

- Powoli zaczyna mnie ogarniać nienawiść do tego miasta.

Angie przysłała do mojego pokoju z dwiema butelkami piwa Dos Equis. Wyszliśmy na taras, zostawiając szeroko otwarte szklane drzwi. Jeżeli w pokoju założono podsłuch na polecenie Trevora, to i tak byliśmy pierwsi na liście jego wrogów; cokolwiek byśmy powiedzieli, nic nie zmieniłoby jego zamiaru załatwienia nas w taki sposób, w jaki załatwił Jaya i Everetta Hamlyna oraz zamierzał załatwić swoją córkę, która nie miała na tyle przyzwoitości, aby dać się szybko zabić. A jeżeli podsłuch w pokoju założyli gliniarze, to i tak nic z tego, o czym zamierzaliśmy rozmawiać, nie zmieniłoby istoty naszych wcześniejszych zeznań, ponieważ niczego przed nimi nie ukrywaliśmy.

- Dlaczego Trevor tak bardzo pragnie śmierci swojej córki? - zastanawiała się Angie.

- I dlaczego ona ciągle żyje?

- Zajmijmy się tym po kolei.

- Dobrze. - Oparłem łokcie na balustradzie tarasu i pociągnąłem łyk piwa. - Trevor chce zabić córkę, ponieważ w jakiś sposób dowiedziała się, że to on zabił Lisardo.

- Ale dlaczego zabił Lisardo?

Spojrzałem na nią.

- Ponieważ...

Zapaliła papierosa.

- Tak?

- Nie mam pojęcia.

Zaciągnąłem się jej papierosem, aby dać ujście adrenalinie, która wzbierała w mojej krwi od czasu, gdy dwanaście godzin temu strzelałem z samochodu.

Wzięła ode mnie papierosa i utkwiała w nim wzrok.

- Ale nawet jeżeli to on zabił Lisardo, a ona to odkryła - jeżeli tak rzeczywiście było - dlaczego miałby zabić ją? I tak umarłby przed procesem, a jego prawnicy nie dopuściliby do tego, aby wcześniej trafił za kratki. O co więc to całe zamieszanie?

- Właśnie.

- I jeszcze cała ta sprawa z umieraniem...

- Co?

- Przed śmiercią ludzie starają się pogodzić z Bogiem, rodziną, generalnie ze wszystkim na ziemi.

- Ale nie Trevor.

- No właśnie. Jeżeli naprawdę umiera, to jego nienawiść do Desiree musi być tak głęboka, że ludzki umysł nie jest w stanie jej zmierzyć.

- Jeżeli umiera - powiedziałem.

Pokiwała głową i zgasiła papierosa.

- Zastanówmy się nad tym chwilę. Skąd możemy wiedzieć, że naprawdę jest umierający?

- Wystarczy na niego spojrzeć.

Otworzyła usta, jakby chciała zaprzeczyć, ale zaraz je zamknęła i opuściła głowę. Po chwili jednak ją podniosła, odgarnęła włosy z twarzy i oparła się wygodniej na krześle.

- Masz rację - powiedziała. - Głupi pomysł. Ten facet zdecydowanie stoi jedną nogą w grobie.

- No dobrze - przyznałem. - Wracamy do początku. Co może wywołać w człowieku aż taką nienawiść, zwłaszcza do własnej córki, aby poświęcić swoje ostatnie dni na polowanie na nią?

- Jay sugerował kazirodztwo - przypomniała Angie.

- No dobra. Tatuś trochę za bardzo kocha swoją małą córeczkę. Żyją jak mąż z żoną i nagle coś się psuje.

- Anthony Lisardo. Znowu do niego wracamy.

Pokiwałem głową.

- Więc tatuś postanawia go wyeliminować.

- I to wkrótce po tym, jak zginęła jej matka. Więc Desiree wpada w depresję, spotyka Price'a, który wykorzystuje jej przygnębienie i angażuje ją w kradzież dwóch milionów.

Odwróciłem się i spojrzałem na Angie.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego Price ją w to wplątał? Nie chodzi mi o to, że miał ochotę na jej towarzystwo po drodze, ale dlaczego ujawnił jej swój plan?

Uderzyła się lekko butelką o udo.

- Masz rację. Nie musiał. - Podniosła butelkę i pociągnęła łyk piwa. - O rany, jestem skołowana.

Siedzieliśmy w milczeniu i zastanawialiśmy się nad tym wszystkim, a księżyc oświetlał zatokę perłową poświatą, delikatne plamy różu na purpurowym niebie coraz bardziej bladły, aż zupełnie znikły. Poszedłem do pokoju i przyniosłem dwa następne piwa.

- Czarne jest białe - powiedziałem.

- Co?

- Sama to powiedziałaś. Czarne jest białe. W tej sprawie góra jest na dole.

- Racja. Święta racja.

- Widziałaś *Rashomona*?

- Brzmi jak film o obuwiu sportowym.

Spojrzałem na nią z wyrzutem.

- Przepraszam - powiedziała beztrosko. - Nie, Patrick, nigdy nie oglądałam *Rash* - o - coś - tam.

- To film japoński - wyjaśniłem. - Pokazuje cztery razy to samo zdarzenie.

- Dlaczego?

- Toczy się proces o gwałt i morderstwo. Cztery osoby, które przy tym były, opowiadają cztery zupełnie różne wersje tego, co się stało. Oglądasz te wersje po kolei i musisz zdecydować, kto mówi prawdę.

- Widziałam kiedyś podobny odcinek *Star Treka*.

- Nie powinnaś oglądać tyle *Star Treka* - powiedziałem.

- No wiesz, przynajmniej łatwiej się wymawia. Nie jakiś *Rashaweed*.

- *Rashomon*. - Ścisnąłem palcami czubek nosa i zamknąłem oczy. - Tak czy owak, rozumiesz, o co mi chodzi.

- To znaczy?

- Może niewłaściwie patrzymy na całą tę sprawę. Może już na początku niesłusznie uznaliśmy pewne rzeczy za prawdę.

- Na przykład, że Trevor jest przyzwoitym facetem, a nie zbrodniczym, kazirodczym szaleńcem.

- Coś w tym guście - przyznałem.

- No to co jeszcze uznaliśmy za prawdę, dlatego że przyjęliśmy niewłaściwy punkt widzenia?

- Desiree - powiedziałem.

- Co konkretnie?

- Wszystko.

Oparłem łokcie na kolanach, pochyliłem się do przodu i spojrzałem przez balustradę na rozciągającą się w dole zatokę, na trzy mosty przecinające spokojną wodę, z których każdy rozpraszał księżycowe światło.

- Co wiemy o Desiree?

- Jest piękna.

- Prawda. Ale skąd to wiemy?

- O rany. - Chcesz mnie znowu zamienić w jezuitę, co?

- To byłoby zabawne. Skąd wiemy, że Desiree jest piękna?

- Ze zdjęć. Nawet z tego, co przez chwilę widzieliśmy ostatniej nocy na moście.

- Racja. Nasza wiedza, potwierdzona przez nasze oczy, bazuje na naszym osobistym doświadczeniu i kontakcie z tą osobą w tym jednym tylko aspekcie. I o to właśnie chodzi.

- Możesz jaśniej?

- Jest piękną kobietą. Tylko to o niej wiemy, ponieważ tylko to sami stwierdziliśmy. Wszystko inne na jej temat znamy z relacji ludzi. Jej ojciec powiedział nam coś o niej, ale on zupełnie inaczej rozumuje. Nieprawdaż?

- Tak.

- Czy więc powiedział nam prawdę?

- Chodzi ci o jej depresję?

- O wszystko. Frankenstein mówił, że jest piękną, cudowną osobą. Ale Frankenstein pracuje dla Trevora, więc możemy całą pewnością przyjąć, że jest

draniem.

Oczy Angie rozbłysły. Przysunęła się do mnie.

- A Jay, Jay mylił się przecież, mówiąc nam, że ona nie żyje.

- Właśnie.

- Więc wszystkie inne jego opinie o niej też mogą być błędne.

- Mógł być zaślepiony przez miłość lub zadurzenie.

- Hej - powiedziała.

- Co?

- Jeżeli Desiree żyje, to czyje ciało widział Jay w swoim T-shircie i z roztrzaskaną twarzą?

Zerwałem się, przyniosłem na taras telefon z pokoju i zadzwoniłem do Devina Amronkлина.

- Znasz jakiegoś gliniarza w Clearwater? - zapytałem go.

- Mogę znać kogoś, kto kogoś zna.

- Możesz się dowiedzieć, czy zidentyfikowali już kobietę zastrzeloną cztery dni temu w hotelu Ambassador?

- Podaj mi swój numer.

Podąłem mu, a potem oboje z Angie ustawiliśmy nasze fotele naprzeciw siebie.

- Załóżmy, że Desiree wcale nie jest taka słodka i niewinna - powiedziałem.

- Załóżmy nawet coś więcej - zaproponowała Angie. - Załóżmy, że jest córeczką swojego tatusia, a jabłko nie pada daleko od jabłoni. Może to ona namówiła Price'a do kradzieży?

- Skąd mogła wiedzieć, gdzie są pieniądze?

- Nie wiem. Potem się nad tym zastanowimy. A więc namówiła Price'a do kradzieży...

- Ale Price szybko ją rozgryzł. „To złe nasienie. Załatwi mnie, jak tylko nadarzy się ku temu okazja”, więc ją wyrolował.

- I zabrał forszę. A ona chciała ją odzyskać.

- Ale nie wiedziała, gdzie ją ukrył.

- I wtedy pojawił się Jay.

- Doskonała okazja, aby wyrzucić presję na Price'a.

- Desiree zorientowała się wreszcie, gdzie jest forsa. Ale miała problem. Gdyby ją ukradła, szukałby jej już nie tylko ojciec, ale także Price i Jay.

- Musiała więc umrzeć - powiedziałem.

- Wiedziała, że Jay załatwi Price'a.
- I pewnie trafi za to do więzienia.
- Czy jest aż tak demoniczna? - zapytała Angie.

Wzruszyłem ramionami.

- Czemu nie?

- A więc nie żyje - powiedziała Angie. - Price także. I Jay. To dlaczego nam się pokazała?

Nie musiałem odpowiadać na to pytanie.

Angie też nie.

Zrobiła to Desiree.

Stała na progu tarasu z pistoletem w ręku.

- Ponieważ potrzebuję waszej pomocy.

30

- Niezła spluwa - powiedziałem. - Wybrałaś ją, bo pasuje ci do stroju, czy odwrotnie, wybrałaś strój do spluwy?

Weszła na taras, pistolet, wycelowany gdzieś między nosem Angie i moimi ustami, drżał leciutko w jej ręku.

- Posłuchajcie - powiedziała Desiree. - Może jeszcze tego nie wiecie, ale jestem zdenerwowana, nie wiem, komu mogę ufać, potrzebuję waszej pomocy, ale nie jestem was pewna.

- Jaki ojciec, taka córka - skwitowała Angie.

Trąciłem ją w kolano.

- Wyjęłaś mi to z ust.

- Co? - spytała Desiree.

Angie wypła łyk piwa, nie spuszczać z niej wzroku.

- Pani ojciec, panno Stone, porwał nas, aby z nami porozmawiać. Teraz pani, najwyraźniej z tego samego powodu, celujew nas z pistoletu.

- Przykro mi, ale...

- Nie lubimy pistoletów - powiedziałem. - Baniak mógłbyto potwierdzić, gdyby żył.

- Kto?

Desiree ostrożnie przeszła z tyłu mojego krzesła.

- Graham Clifton - wyjaśniła Angie. - Nazywaliśmy go Baniak.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

Odwróciłem głowę, obserwując Desiree, która przesuwała się wzdłuż balustrady tarasu i zatrzymała się jakieś dwa metry od naszych krzesel, cały czas mierząc w nas z pistoletu.

Dobry Boże, naprawdę była piękna. Kilka razy w życiu spotkałem naprawdę piękne kobiety. Kobiety, które budowały swoją wartość na zewnętrznej doskonałości, ponieważ świat oceniał je według takich właśnie standardów. Gibkie lub o bujnych

kształtach, wysokie lub malutkie, były tak atrakcyjne, że faceci zapominali przy nich języka w gębie.

Żadna jednak nie emanowała takim blaskiem jak Desiree. Jej fizyczna doskonałość była oczywista. Skóra cudownie opinała ciało, kości delikatne, ale kształtne. Piersi, nieskrępowane biustonoszem, odciskały się na cienkiej tkaninie sukienki z każdym pośpiesznym i płytkim oddechem, a sama sukienka, zwykła bawełniana sukienka w pomarańczowym kolorze, wygodna i luźna, nie była w stanie skryć mocno zarysowanych mięśni jej brzucha i cudownie ukształtowanych, silnych ud.

Jadeitowe oczy lśniły i wydawały się dwa razy jaśniejsze, ponieważ jarzyły się z nerwowego podniecenia i wyraźnie odcinały się od jej błyszczącej, opalonej skóry.

Niewątpliwie była świadoma wrażenia, jakie wywierała. W czasie rozmowy, gdy mówiła coś do Angie, cały czas mierzyła ją wzrokiem i wpatrywała się w jej twarz. Kiedy zaś zwracała się do mnie, jej oczy niemal przewiercały mnie na wylot i pochylała się nieznacznie w moją stronę.

- Panno Stone - powiedziałem - proszę odłożyć pistolet.
- Nie mogę. Nie... to znaczy, nie jestem pewna...
- Odłóż go albo nas zastrzel - powiedziała Angie. - Masz pięć sekund.
- Ja...
- Raz - zaczęła odliczać Angie.

W oczach Desiree pojawiły się łzy.

- Chcę tylko być pewna...
- Dwa.

Desiree spojrzała na mnie, ale nie doczekała się wsparcia.

- Trzy.
- Posłuchajcie...
- Cztery.

Angie odsunęła krzesło i metal zazgrzytał o balustradę.

- Nie ruszaj się - powiedziała Desiree i pomachała pistoletem w jej kierunku.
- Pięć.

Angie wstała.

Desiree drżącą ręką skierowała pistolet w jej stronę, ale ja w tej samej chwili podbiłem jej dłoń.

Pistolet uderzył o poręcz balustrady, ale udało mi się go złapać w powietrzu,

zanim spadł do ogrodu sześć pięter niżej. Dzięki Bogu, ponieważ gdy się wychyliłem, zobaczyłem kilkoro dzieci w wieku szkolnym, które bawiły się na dole tuż przy ogrodzie.

Mamo, zobacz, co znalazłem. Bum.

Desiree na moment zakryła twarz dłońmi, a Angie popatrzyła na mnie.

Wzruszyłem ramionami.

Spojrzałem na pistolet, ruger automat, kaliber 22. Nierdzewna stal. Wydawał się lekki, gdy trzymałem go w dłoni, ale to mylne odczucie. Pistolety nigdy nie są lekkie.

Był nieodbezpieczony, wytrząsałem magazynek do temblaka, potem wyjąłem go, włożyłem pistolet do lewej kieszeni, a magazynek do prawej.

Gdy Desiree podniosła głowę, miała zaczerwienione oczy.

- Nie mogę już tego więcej robić - powiedziała.

- Czego?

Angie przysunęła trzecie krzesło.

- Usiądź.

Desiree usiadła.

- Tego. Pistolety i umieranie, i...Chryste Panie, nie mogę tego robić.

- Czy to ty obrabowałaś Kościół Prawdy i Objawienia?

Pokiwała głową.

- To był twój pomysł - upewniała się Angie.

- Nie Price'a.

- Pomysł był jego. Ale kiedy mi o nim powiedział, namówiłam go do tego.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - zapytała i dwie łzy spłynęły jej po twarzy, stoczyły się z policzków i spadły na kolana tuż przy rąbku sukienki. - Dlaczego? Musicie... - Złapała raptownie powietrze i wycierając oczy, spojrzała w niebo. - Mój ojciec zabił moją matkę.

Nie spodziewałem się tego. Spojrzałem na Angie. Ona także była zaskoczona.

- W wypadku samochodowym, w którym sam omal nie zginął? - zapytała Angie. - Mówisz poważnie?

Desiree kilkakrotnie pokiwała głową.

- Spróbuję to jakoś pozbierać do kupy - powiedziałem. - Twój ojciec zainscenizował porwanie samochodu. To chcesz powiedzieć?

- Tak.

- I zapłacił trzem facetom, aby trzykrotnie go postrzelili?

- Tego nie było w planie - powiedziała.

- No, mam nadzieję - rzuciła Angie.

Desiree spojrzała na nią i zamrugła. Potem przeniosła wzrok na mnie, oczy miała szeroko otwarte.

- On wcześniej zapłacił tym ludziom. Kiedy wszystko poszło nie tak i samochód się przewrócił - tego też nie było w planie - wpadli w panikę i po zabiciu mojej matki zaczęli strzelać także do niego.

- Bzdura - stwierdziła Angie wprost.

Oczy Desiree zrobiły się jeszcze większe i odwróciła głowę. Spojrzała w neutralny punkt między nami i przez chwilę nie odrywała wzroku od betonowej posadzki.

- Desiree - powiedziałem - w tej historii jest tyle dziur, że mogłoby przez nie przejechać kilka wozów opancerzonych.

- Na przykład - odezwała się Angie - dlaczego ci faceci, kiedy zostali aresztowani i osądzeni, nie powiedzieli wszystkiego policji?

- Ponieważ oni nie wiedzieli, że to mój ojciec ich wynajął - powiedziała. - Pewnego dnia ktoś się z nimi skontaktował i dał zlecenie na zabicie kobiety. Powiedział, że będzie z nią jej mąż, ale on nie jest celem. Tylko ona.

Przez chwilę zastanawialiśmy się nad tym.

Desiree obserwowała nas bacznie.

- To był cały łańcuch pośredników. Kiedy zlecenie trafiło wreszcie do właściwych zabójców, nie wiadomo już było, kto je wydał.

- Więc, jeszcze raz, dlaczego strzelali do twojego ojca?

- Mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałam - wpadli w panikę. Czytaliście materiały dotyczące tej sprawy?

- Nie - powiedziałem.

- No właśnie, gdybyście je czytali, zorientowałibyście się, że ci trzej zabójcy nie byli orłami intelektu. To głupie dzieciaki, nie wynajęto ich dla ich umysłów. Wynajęto ich, ponieważ zabicie człowieka to dla nich bułka z masłem.

Spojrzałem na Angie. To było dość dziwaczne rozumowanie, ale w pewien pokrętny sposób mogło mieć sens.

- Dlaczego ojciec chciał zabić twoją matkę?

- Miała zamiar się z nim rozwieść. I chciała połowę majątku. Mógłby wygrać z nią w sądzie, ale wtedy wyciągnęłaby na jaw wszystkie obrzydliwe szczegóły ich wspólnego życia. To, że ją kupił, że mnie zgwałcił, kiedy miałam czternaście lat, że

przez całe lata mnie napastował i jeszcze tysiąc innych sekretów, które znała.

Spojrzała na swoje ręce, odwróciła dłoń do góry, a potem znowu w dół.

- Mógł także ją zabić. Już to robił z innymi ludźmi.

- I teraz chce zabić ciebie, ponieważ ty o tym wiesz - powiedziała Angie.

- Tak - wysyczała szeptem.

- Skąd to wiesz? - zapytałem.

- Po jej śmierci, kiedy wrócił ze szpitala do domu, słyszałam, jak rozmawiał z Julianem i Grahamem. Był wściekły, że policja złapała tych trzech zabójców, że nie rozprawiono się nimi na miejscu. Ci trzej chłopcy mieli w gruncie rzeczy dużo szczęścia, że złapano ich z bronią w rękę i że się przyznali. Gdyby było inaczej, mój ojciec wynająłby najlepszego prawnika, aby ich wyciągnął z więzienia, przekupiłby sędziego lub nawet dwóch, a gdy znaleźliby się na wolności, zabiłby ich od razu w okrutny sposób.

Przez chwilę ssała dolną wargę.

- Mój ojciec to najgroźniejszy z żyjących ludzi.

- Powoli sami zaczynamy dochodzić do podobnego wniosku - powiedziałem.

- Kogo zabito w hotelu Ambassador? - zapytała Angie.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Potrząsnęła głową, podciągnęła kolana pod brodę, oparła stopy na krawędzi siedzenia krzesła i mocno zacisnęła nogi.

- Nie masz wyboru - powiedziała Angie.

- Och, Boże.

Oparła głowę na kolanach i zamknęła na chwilę oczy.

- Może spróbujmy inaczej - powiedziałem po minucie. - Dlaczego poszłaś do hotelu? Skąd nagle wydało ci się, że wiesz, gdzie są pieniądze?

- Jay mnie naprowadził.

Oczy miała nadal zamknięte, szeptała.

- W jaki sposób?

- Powiedział, że w pokoju Price'a było pełno wiader z wodą.

- Z wodą?

Uniosła głowę.

- Wiaderka do lodu, wypełnione częściowo roztopionym lodem. Przypomniałam sobie, że widziałam to samo w jednym z moteli, w którym zatrzymaliśmy się z Price'em w drodze tutaj. Ciągłe chodził do maszyny z lodem. Za każdym razem

przynosił tylko trochę lodu, nigdy nie było go w wiaderku pełno. Mówił, że lubi mieć w drinku możliwie najzimniejszy lód. Prosto z maszyny. I że lód na samej górze jest najlepszy, ponieważ obsługa hotelowa nigdy nie zmienia brudnego lodu i wody na samym dole maszyny. Pamiętam, że wydawało mi się to kompletną bzdurą, ale wtedy byłam zbyt zmęczona, aby się nad tym zastanawiać. Poza tym bałam się go. Już drugiej nocy zabrał mi pieniądze i nie powiedział, co z nimi zrobił. W każdym razie, kiedy Jay wspomniał o tych kubelkach, przypomniało mi się tamto.

Spojrzała na mnie roziskrzonymi, zielonymi oczami.

- Była pod lodem.

- Forsa? - zapytała Angie.

Pokiwała głową.

- W worku na śmieci, leżała płasko pod lodem w maszynie na piątym piętrze, na wprost drzwi do jego pokoju.

- Genialne - przyznałem.

- Ale nie było łatwo się tam dostać - powiedziała Desiree. - Trzeba było wybrać cały lód, wciskając ręce przez mały otwór w maszynie. Przy tym właśnie zastał mnie Price, kiedy wrócił od swoich przyjaciół.

- Był sam?

Pokręciła głową.

- Była z nim dziewczyna. Wyglądała na prostytutkę. Już ją wcześniej z nim widziałam.

- Twojego wzrostu, twojej budowy, ten sam kolor włosów? - zapytałem.

Pokiwała głową.

- Była nieznacznie niższa, ale tego nie dało się zauważyć, jeśli nie stałyśmy obok siebie. Była Kubanką, tak mi się wydaje, i miała zupełnie inną twarz. Ale...

Wzruszyła ramionami.

- Mów dalej - poprosiła Angie.

- Wepchnęli mnie do pokoju. Price był z jakiegoś powodu wściekły. Rzucił się, wrzeszczał. Oni...

Odwróciła się na krześle, spojrzała na wodę i dokończyła szeptem.

- Pieprzyli mnie.

- Oboje?

Nie odrywała oczu od wody.

- A co myślicie?

Teraz jej głos był pełen złości, donośny.

- Potem ta kobieta założyła moje rzeczy. Chciała się ze mnie ponabijać, tak myślę. Narzucili na mnie szlafrok i zawieźli mnie do College Hill, to dzielnica Tamy. Znacie to miejsce?

Pokręciliśmy głowami.

- To taki południowy Bronx w Tampie. Ściągnęli ze mnie szlafrok, wyrzucili z samochodu i śmiejąc się, odjechali.

Podniosła do ust drżącą rękę.

- Udało mi się... jakoś wrócić. Ukradłam komuś ciuchy ze sznurka, pojechałam stopem do hotelu Ambassador, ale tam wszędzie już była policja. W pokoju Price'a leżało ciało kobiety w moim przebraniu.

- Dlaczego Price ją zabił?

Wzruszyła ramionami, a w jej zaczerwienionych oczach pojawiły się łzy.

- Może dlatego, że zaczęła się zastanawiać, co takiego chciałam wyciągnąć z maszyny do lodu. Dodała dwa do dwóch i Price stracił do niej zaufanie. Nie wiem tego na pewno. To był chory facet.

- Czemu nie skontaktowałaś się z Jayem? - zapytałem.

- Zniknął. Szukał Price'a. Siedziałam w naszej chatce na plaży i czekałam na niego, potem dowiedziałam się, że jest w więzieniu i wtedy go zdradziłam.

Zacisnęła szczęki i z oczu popłynęły jej łzy.

- Zdradziłaś go? - zapytałem. - Jak?

- Nie poszłam do więzienia. Pomyślałam, Jezu, ludzie pewnie mnie widzieli z Price'em, może nawet z tą zabitą dziewczyną. Co by to dało, gdybym poszła odwiedzić Jaya w więzieniu? Mogłoby się to dla mnie tylko źle skończyć. Załamalam się. Przez dzień lub dwa w ogóle nie wiedziałam, co się ze mną działo. Potem pomyślałam, że co ma być, to będzie, ale muszę go stamtąd wydostać, gdyby mi powiedział, gdzie są pieniądze, mogłabym go wykupić za kaucję.

- Ale?

- Ale wtedy już wyszedł z wami. Zanim was znalazłam...

Wyjęła z torebki paczkę dunhillów, zapaliła jednego złotą zapalniczką, wciągnęła w płuca powietrze i wypuściła dym, patrząc w niebo.

- Zanim was znalazłam, Jay, pan Cushing i Graham Clifton już nie żyli. Nie mogłam nic zrobić, tylko stałam tam i patrzyłam. - Potrząsnęła ze smutkiem głową. - Jak jakiś głupi dupek.

- Nawet gdybyś nas znalazła wcześniej - powiedziała Angie - i tak nie mogłabyś zmienić biegu wypadków.

- Może i tak, ale tego już nigdy się nie dowiemy - powiedziała Desiree ze smutnym uśmiechem.

Angie też się do niej smutno uśmiechnęła.

- Tak, nie dowiemy się.

Nie miała dokąd pójść i nie miała pieniędzy. Cokolwiek Price zrobił z dwoma milionami po tym, jak zabił tamtą kobietę i uciekł z Ambassadors, zabrał tę tajemnicę ze sobą do grobu.

Nasze przesłuchanie bardzo ją zmęczyło i Angie zaproponowała, aby została na noc w jej pokoju.

- Potrzebuję tylko krótkiej drzemki, zaraz do siebie dojdę - powiedziała Desiree.

Kiedy jednak pięć minut później przechodziliśmy przez pokój Angie, Desiree leżała w ubraniu na brzuchu, na nierozesłanym łóżku, i spała jak suseł.

Wróciliśmy do mnie, zamknęliśmy drzwi od pokoju Desiree i wtedy zadzwonił telefon. To był Devin.

- Nadal chcecie znać personalia tej zabitej dziewczyny?

- Tak.

- Illiana Carmen Rios. prostytutka. Ostatnie znane miejsce zamieszkania, Seventeenth Street Northest 111, St. Petersburg.

- Karana?

- Z dziesięć razy za prostytutkę. Teraz przynajmniej nie musi się martwić, że znowu ją to spotka.

- Nie wiem - powiedziała Angie, kiedy staliśmy w łazience, w której lała się woda z prysznicza.

Jeżeli w pokoju był podsłuch, to teraz nie chcieliśmy, aby ktokolwiek słyszał, o czym rozmawiamy.

- Czego nie wiesz? - zapytałem, a para robiła się coraz gęściejsza.

Oparta się o umywalkę.

- Chodzi mi o nią. Wszystkie te opowieści są nieco fantastyczne, nie uważasz?

Pokiwałem głową.

- Ale z drugiej strony nie odbiegają od tego, co już w tej sprawie słyszeliśmy.

- I to właśnie mnie niepokoi. Historia za historią, odsłona po odsłonięciu, w całości czy w częściach, od samego początku to jedno wielkie gówno. I czego ona od nas może chcieć?

- Ochrony?

Westchnęła.

- Nie wiem. Ufasz jej?

- Nie.

- Czemu nie?

- Ponieważ nie ufam nikomu prócz ciebie.

- Hej, to moja kwestia.

- Tak. - Uśmiechnąłem się. - Przepraszam.

Machnęła ręką.

- Co mi tam. Weź ją sobie. Co moje, to i twoje.

- Naprawdę?

- Tak - powiedziała i odwróciła się do mnie twarzą. - Naprawdę - powtórzyła cicho.

- Czuję podobnie - powiedziałem.

Jej dłoń na chwilę znikła w kłębach pary, a potem poczułem ją na szyi.

- Jak twoje ramię? - zapytała.

- Czuję je. Biodro też.

- Będę o tym pamiętać - powiedziała.

A potem uklękła na jedno kolano i podciągnęła mi koszulę. Kiedy całowała moją skórę wokół bandaża na biodrze, jej język parzył mnie jak prąd.

Pochyliłem się i objąłem ją w talii zdrowym ramieniem. Uniosłem nad podłogę, posadziłem na umywalce i całowałem, a jej nogi owinęły się wokół moich bioder, sandały spadły na ziemię. Przez jakieś pięć minut nie mogliśmy złapać oddechu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy byłem głodny jej języka, ust, jej smaku - a teraz po prostu osłabłem i oszalałem z pragnienia.

- Mimo że jesteśmy bardzo zmęczeni - powiedziała, gdy mój język znalazł się na jej szyi - tym razem nie przestaniemy, dopóki oboje nie padniemy.

- Zgoda - mruknąłem.

Padliśmy gdzieś około czwartej nad ranem.

Zasnęła, zwinięta w kłębek na mojej piersi, w chwili gdy tylko opadały mi powieki.

Zanim całkiem zapadłem w sen, zastanawiałem się jeszcze, jak mogłem choć przez sekundę pomyśleć, że Desiree była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

Spojrzałem na Angie śpiącą nago na mojej piersi, na zadrapania i opuchnięcia na jej twarzy, i dotarło do mnie, że dopiero teraz, właśnie w tej chwili, po raz pierwszy w życiu, zrozumiałem, czym naprawdę jest piękno.

31

- Cześć.

Otworzyłem jedno oko i spojrzałem w twarz Desiree Stone.

- Cześć - powtórzyła szeptem.

- Cześć - powiedziałem.

- Chcesz kawy?

- Jasne.

- Szszsz.

Położyła palec na ustach.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Angie nadal śpi głębokim snem.

- Jest w sąsiednim pokoju - powiedziała Desiree i wyszła.

Usiadłem na łóżku i wziąłem zegarek z komody. Dziesiąta rano. Spałem sześć godzin, a miałem wrażenie, że nie dłużej niż sześć minut. Ostatnio udało mi się złapać trochę snu jakieś czterdzieści godzin temu. No, ale przecież nie mogłem spać cały dzień.

Tylko Angie najwyraźniej nie dbała o to.

Spała, zwinięta w pozycji embrionalnej, do czego już zdążyłem się przyzwyczaić w czasie jej kilkumiesięcznego nocowania na podłodze w moim salonie. Okrywające ją prześcieradło było podciągnięte aż do pasa, pochyliłem się więc i wcisnąłem je pod materac, otulając jej nogi.

Nie poruszyła się nawet, tylko cichutko zamruczała, kiedy wychodziłem z łóżka. Szybko wciągnąłem dzinsy i T-shirt z długimi rękawami, a potem ruszyłem w stronę drzwi łączących oba pokoje, ale w połowie drogi się zatrzymałem. Podeszedłem jeszcze raz do łóżka od strony Angie, ukląknąłem przy niej, dotknąłem dłonią jej ciepłutkiej twarzy i delikatnie pocałowałem ją w usta, wdychając jej zapach.

W ciągu ostatnich trzydziestu dwóch godzin strzelałem z pistoletu, wypadłem z pędzącego samochodu, uszkodziłem sobie łopatkę, w moje ciało wbiła się niezliczona ilość okruchów szkła, zabiłem człowieka, straciłem jakieś pół litra krwi i przez dwanaście godzin byłem przesłuchiwany w nieprzyjemny sposób w

nieklimatyzowanym pomieszczeniu z pustaków. Kiedy jednak dotknąłem twarzy Angie, poczułem się lepiej niż kiedykolwiek dotąd w życiu.

W łazience na podłodze znalazłem temblak, włożyłem w niego unieruchomione ramię i wszedłem do sąsiedniego pokoju.

Okno było zasłonięte grubą kotarą blokującą dostęp słońca, paliła się tylko mała lampka na nocnej szafce. Obok na fotelu siedziała, sącząc kawę, Desiree i wydawała mi się zupełnie naga.

- Panno Stone?

- Daj spokój. Mów mi Desiree.

Kiedy wstała, mimo woli odwróciłem wzrok i dopiero po chwili zobaczyłem, że ma na sobie bardzo skąpe bikini w miodowym kolorze, tylko odrobinę ciemniejsze od barwy jej skóry. Włosy ściągnęła gładko z tyłu głowy. Podeszła do mnie z kubkiem kawy w ręce.

- Nie wiem, jaką pijasz - powiedziała. - Na blacie stoi cukier i śmietanka.

Zapaliłem jeszcze jedną lampkę, podszedłem do maleńkiego kuchennego blatu i obok ekspresu do kawy znalazłem śmietankę i cukier.

- Kapałaś się? - zapytałem, podchodząc do niej.

- To mi rozjaśnia w głowie. Lepiej niż kawa.

Może jej rzeczywiście rozjaśniło się w głowie, ale ja poczułem w swojej zawroty.

Usiadła z powrotem na fotelu, gdzie, co dopiero teraz zauważyłem, leżał szlafrok, który wcześniej zsunęła z siebie, a który chronił tapicerkę przed wilgocią jej skóry i kostiumu kąpielowego.

- Mam go włożyć? - zapytała.

- Jak ci wygodnie. - Usiadłem na brzegu łóżka. - Co się stało?

- Hmm?

Spojrzała na szlafrok, ale go nie narzuciła. Zgięła kolana i oparła bosc stopy na brzegu łóżka.

- Co się stało? Domyślam się, że miałaś jakiś powód, by mnie obudzić.

- Wyjeżdżam za dwie godziny.

- Dokąd? - zapytałem.

- Do Bostonu.

- Moim zdaniem to nie ma sensu.

- Wiem. - Otarła pot znad górnej wargi. - Ale jutro wieczorem ojciec wychodzi z domu, a ja muszę się tam dostać.

- Po co?

Pochyliła się do przodu, opierając piersi na kolanach.

- Mam tam swoje rzeczy.

- Warto za nie zginąć?

Popijałem kawę małymi łykami, tak jakby wnętrze kubka stanowiło niezwykle atrakcyjną alternatywę dla moich oczu.

- Rzeczy, które dała mi matka. Sentymentalne drobiazgi.

- Kiedy on umrze - powiedziałem - z pewnością nadal tam będą. Wtedy je weźmiesz.

Potrząsnęła głową.

- Kiedy on umrze, tego, co chcę zabrać, może już tam nie być. Jeden szybki nalot na dom w wieczór, kiedy jego nie będzie, i jestem wolna.

- Skąd wiesz, że go nie będzie?

- Jutro wieczór jest doroczne spotkanie udziałowców jego największego przedsiębiorstwa, Consolidated Petroleum. Urządzają je co roku w Harvard Club Room na One Federal. Ta sama godzina, ten sam dzień, bez względu na pogodę.

- Po co miałby tam iść? Prawdopodobnie za rok i tak już nie będzie mógł w nim uczestniczyć.

- Oparta się o fotel i odstawiła kubek z kawą na szafkę.

- Jeszcze nie zrozumiałeś, do czego zmierza mój ojciec?

- Nie, panno Stone, chyba nie.

Pokiwała głową i wskazującym palcem wytarła kroplę wody spływającą po łydce.

- Mój ojciec w gruncie rzeczy nie wierzy w to, że umiera. Gdyby jednak miało się to stać, zamierza wykorzystać wszystkie posiadane zasoby, aby kupić sobie nieśmiertelność. Jest głównym udziałowcem w ponad dwudziestu korporacjach. Wydruk jego zróżnicowanego portfela udziałów w samych tylko amerykańskich przedsiębiorstwach jest grubszy niż książka telefoniczna Mexico City.

- To rzeczywiście opasła księga.

Przez moment coś zalśniło w jej jaszczurzych oczach, coś nieprzyjemnego. I równie szybko znikło.

- Tak - powiedziała, uśmiechając się. - Właśnie tak. Swoje ostatnie miesiące życia chce poświęcić na to, aby mieć pewność, że każde z jego przedsiębiorstw ulokuje fundusze w czymś, co będzie nosiło jego imię - to może być biblioteka, laboratorium badawcze, park miejski, co tylko chcesz.

- Jeżeli jednak umrze, jaką ma gwarancję, że wszystkie te dotacje zostaną w jego imieniu zrealizowane?

- Danny - powiedziała.

- Danny?

Jej usta rozchyliły się i sięgnęła po kubek z kawą.

- Daniel Griffin, osobisty prawnik ojca.

- Aha - powiedziałem. - Wydaje mi się, że nawet o nim słyszałem.

- To chyba jedyny prawnik, który może więcej niż twój, Patrick.

Po raz pierwszy wypowiedziała moje imię. Wywarło to na mnie niepokojąco słodkie wrażenie, jakby ktoś przyłożył mi ciepłą dłoń do serca.

- Skąd wiesz, kto jest moim prawnikiem?

- Jay mi kiedyś o tobie opowiadał.

- Naprawdę?

- Tak. Kiedyś w nocy mówił o tobie chyba z godzinę. Traktował cię jak młodszego brata, którego nigdy nie miał. Jesteś jedyną osobą na świecie, której naprawdę ufał. Powiedział, że gdyby mu się coś stało, powinnam się zwrócić do ciebie.

Przez sekundę przemknął mi przed oczami obraz Jaya siedzącego w knajpie Ambrosia na Huntington, kiedy to po raz ostatni spotkaliśmy się towarzysko, a on śmiał się, w wypięgniętej dłoni trzymał ciężką szklanę od scotcha do połowy napełnioną ginem, jego doskonale ostrzyżone włosy rzucały cień na szkło; emanował pewnością siebie właściwą człowiekowi, który już nie pamięta, kiedy ostatni raz się pomylił. I zaraz potem wyłonił się z pamięci drugi obraz, jak z zatoki Tampa wynoszono ciało Jaya - opuchnięte i śmiertelnie blade; oczy miał zamknięte i nie wyglądał na więcej niż czternaście lat.

- Kochałem Jaya - powiedziałem, chociaż w chwili gdy mówiłem te słowa, nie zdawałem sobie sprawy, czemu je wypowiadam.

Może dlatego, że to była prawda. A może chciałem zobaczyć reakcję Desiree.

- Ja też - powiedziała i zamknęła oczy.

Kiedy je znowu otworzyła, były wilgotne.

- On też ciebie kochał. Powiedział, że można ci ufać. Że różni ludzie, z najrozmaitszych środowisk, ufają ci bez zastrzeżeń. Wtedy właśnie opowiedział mi o Cheswiku Hartmanie, który pracuje dla ciebie za darmo.

- Czego więc pani ode mnie oczekuje, panno Stone?

- Desiree - nalegała. - Proszę.

- Desiree.

- Chciałabym, żebyście mnie jutro wieczorem ubezpieczali. Julian powinien być razem z ojcem na spotkaniu w One Federal, ale to tylko na wszelki wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- Wiesz, jak wyłączyć system alarmowy?

- Tak, o ile nie zmienił kodów, w co wątpię. Nie spodziewa się, że odważę się na tak samobójczy krok.

- A te... pamiątki rodzinne - nie mogłem znaleźć lepszego słowa - są warte takiego ryzyka? Pochyliła się w moją stronę, zaciskając dłonie na kostkach u nóg.

- Na krótko przed śmiercią moja matka spisała pamiętniki. Wspomnienia o swoim dzieciństwie w Gwatemali, opowieśćo matce, ojcu, braciach i siostrach, o tej części mojej rodziny, której nigdy nie poznałam i o której nic nie wiem. Wspomnienia kończą się w dniu, w którym do miasta przyjechał mój ojciec. Nie ma tam nic ważnego, ale tuż przed śmiercią dała mi je na przechowanie. Ukryłam je i nie mogę znieść myśli, że leżą teraz w tym domu i być może ktoś je tam znajdzie. A jeżeli wpadną w ręce ojca, zniszczy je. W ten sposób utracę wszystko, co mi jeszcze zostało z matki. - Spojrzała mi prosto w oczy. - Pomożesz mi, Patrick?

Pomyślałem o jej matce. Inez. Kupiona w wieku czternastu lat przez człowieka, który uważał, że w życiu wszystko można kupić. I niestety, zwykle okazywało się, że miał rację. Jakie życie wiodła w tym wielkim domu z szalonym megalomanem?

Jej jedyną ucieczką, jak się domyślałem, była szansa przelania na papier opowieści o życiu, jakie wiodła, zanim pojawił się ten człowiek i zabrał ją. I z kim mogła podzielić się swoimi najdroższymi wspomnieniami? Oczywiście ze swoją córką, tak samo uwięzioną i nękaną przez Trevora jak ona.

- Proszę - powiedziała Desiree. - Pomożesz mi?

- Oczywiście.

Dotknęła mojej dłoni.

- Dziękuję.

- Drobiazg.

Jej kciuk gładził wnętrze mojej dłoni.

- Nie - powiedziała. - Naprawdę, to dla mnie bardzo ważne.

- Rozumiem. Nie mówmy już o tym. Nie ma sprawy.

- Czy ty i pani Gennaro...? - zapytała. - To znaczy, czy wy... jesteście ze sobą długo?

Pozostawiłem tę kwestię w zawieszeniu.

Puściła moją dłoń i uśmiechnęła się.

- Wszyscy najlepsi już są zajęci - powiedziała. - To oczywiste.

Oparła się o fotel, nie spuszczać ze mnie wzroku, a ja wytrzymałem jej spojrzenie. Przez minutę patrzyliśmy na siebie w milczeniu, a potem uniosła lekko lewą brew.

- Czy tak? - zapytała.

- Są zajęci - powiedziałem. - Prawdę powiedziawszy, Desiree, jeden z ostatnich najlepszych...

- Tak?

- Właśnie niedawno spadł z mostu.

Wstałem.

Usiadła po turecku.

- Dziękuję za kawę. Jak dostaniesz się na lotnisko?

- Mam samochód, który wynajął dla mnie Jay. Dziś wieczorem powinnam go odstawić do miasta.

- Chcesz, żebym cię podwiózł i oddał wóz?

- Gdybyś mógł - powiedziała, patrząc w kubek z kawą.

- Ubierz się. Wrócę za kilka minut.

Angie spała nadal tak mocno, że wiedziałem, iż jedyny budzik, który byłby w stanie się przebić, musiałby mieć granat ręczny. Zostawiłem jej wiadomość i oboje z Desiree zeszliśmy do wynajętego grand am i pojechaliśmy na lotnisko.

Był kolejny upalny, letni dzień. Podobny do wszystkich innych odkąd tu przyjechaliśmy. Jak zwykle około trzeciej po południu przez jakieś pół godziny popada deszcz, wtedy powietrze się trochę odświeży, ale wilgoć natychmiast wyparuje i znowu upał aż do zachodu słońca.

- Co do tego, co wydarzyło się w pokoju - zaczęła Desiree.

- Nie ma o czym mówić - powiedziałem.

- Nie. Kochałam Jaya. Naprawdę. A ciebie prawie nie znam.

- Jasne - przytaknąłem.

- Chociaż, może, sama nie wiem... Wiesz coś o patologicznych zachowaniach wielu ofiar kazirodztwa i wykorzystywania seksualnego, Patrick?

- Tak, Desiree. Dlatego powiedziałem, że nie ma o czym mówić.

Wjechaliśmy na drogę prowadzącą do lotniska, kierując się czerwonymi znakami wskazującymi dojazd do terminala Delty.

- Skąd masz bilet? - zapytałem.

- Jay. Kupił dwa.

- Miał z tobą jechać?

Pokiwała głową.

- Kupił dwa - powtórzyła.

- Pierwszy raz o tym słyszę, Desiree - powiedziałem.

Spojrzała na mnie.

- Byłbyś z powrotem za dwa dni. W tym czasie twoja współpracowniczka mogłaby się poopalać, zwiedzić okolicę, odpocząć.

Zatrzymała się przed terminalem Delty.

- Gdzie się spotkamy w Bostonie? - zapytałem.

Przez chwilę patrzyła przez szybę, ręce opierała na kierownicy, uderzając o nią lekko opuszkami palców, oddech miała płytki. Potem zaczęła w roztargnieniu szukać czegoś w torebce, sięgnęła na tylne siedzenie po niewielką skórzaną czarną torbę podróżną. Na głowie miała czapkę baseballową odwróconą tyłem na przód, szorty koloru khaki i męską bawełnianą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Nic specjalnego, ale mógłbym się założyć, że w drodze do samolotu większość facetów będzie się za nią oglądać. Kiedy tak siedzieliśmy, poczułem nagle, że w samochodzie robiło się między nami coraz mniej miejsca.

- O co mnie pytałeś?

- Gdzie i kiedy się jutro spotkamy?

- Kiedy przyjedziecie?

- Pewnie jutro po południu - powiedziałem.

- Spotkajmy się więc przed domem Jaya.

Wysiadła z samochodu.

Ja też wysiadłem, a Desiree wyjęła jeszcze jedną małą torbę z bagażnika, zamknęła go i podała mi kluczyki.

- Przed domem Jaya?

- Zatrzymam się tam. Dał mi klucz, podał hasło i kod alarmowy.

- Dobrze. O której godzinie?

- O szóstej.

- A więc o szóstej.

- Świetnie. No to mamy randkę. - Odwróciła się do mnie. - Och, byłabym zapomniała, będziemy mieli jeszcze jedną randkę.

- Tak?

Uśmiechnęła się, zarzucając torbę na ramię.

- Tak. Jay prosił, żebym mu coś obiecała. Pierwszy kwietnia. Czerwona linia.

- Czerwona linia - powtórzyłem i nagle poczułem, jak mimo piekielnego upału temperatura mojego ciała gwałtownie się obniża.

Pokiwała głową, mrużąc oczy przed słońcem.

- Powiedział, że gdyby mu się coś przytrafiło, mam ci w tym roku dotrzymać towarzystwa. Hot dogi, budweiser i Henry Fonda. Czy to nie jest wasza tradycja?

- Tak, tradycja - potwierdziłem.

- No to ustalone. Umowa stoi.

- Jeśli Jay tak powiedział - zgodziłem się.

- Obiecałam mu to.

Uśmiechnęła się i pomachała do mnie jeszcze, kiedy otwierały się przed nią automatyczne drzwi.

- A więc randka?

- Randka - powiedziałem i też pomachałem jej na pożegnanie, promiennie się uśmiechając.

- Do zobaczenia jutro.

Weszła do terminalu, a ja patrzyłem przez szklane drzwi na jej kołyszący się wdzięcznie tyłek, kiedy przechodziła przez tłumek facetów, a potem skręciła w korytarz i znikła.

Faceci wciąż gapili się w miejsce, które zajmowała przez jakieś trzy sekundy, jakby było pobłogosławione przez Boga, i ja tak samo.

Patrzcie uważnie, chłopcy, pomyślałem. To było tak bliskie doskonałości, że pewnie niektórzy z was nigdy tego nie doświadczą. Zapewne nigdy nie stworzono istoty, która mogłaby się równać z duchem jej bezlitosnej niemal-doskonałości.

Desiree. Nawet jej imię wywoływało ścisk serca.

Stałem obok samochodu, uśmiechnięty od ucha do ucha, i wyglądałem pewnie na kompletnego idiotę, ponieważ nagle zatrzymał się przede mną bagażowy.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Jak najbardziej - odpowiedziałem.

- Zgubił pan coś?

Pokręciłem głową.

- Coś znalazłem.

- No to miał pan szczęście - powiedział i poszedł sobie.

Miałem szczęście. Tak. W przeciwieństwie do Desiree.

Byłaś tak blisko, tak bardzo blisko, moja panno. I nagle wszystko zepsułaś.
Zepsułaś w ostatnim momencie.

Część trzecia

Czerwona linia

32

Jakiś rok po tym, jak skończyłem praktykę u Jaya Beckera, wyrzuciła go z jego własnego mieszkania kubańska tancerka flamenco, niejaka Esmeralda Vazquez. Esmeralda podróżowała z trupą artystyczną Opera Za Trzy Grosze i drugiej nocy spędzonej w mieście poznała Jaya. Przez trzy tygodnie, kiedy występowała, praktycznie z nim mieszkała, chociaż Jay nie do końca tak uważał. Na nieszczęście dla niego Esmeralda tak właśnie myślała i zapewne dlatego wściekła się, gdy przyłapała go w łóżku z inną tancerką z tego samego zespołu. Esmeralda chwyciła za nóż, a Jay chwycił za klamkę i oboje z tą drugą tancerką uciekli w nocy jego dodgem.

Tancerka wróciła do mieszkania, które wynajmowała ze swoim chłopakiem, a Jay zapukał do mnie.

- Olałeś tancerkę flamenco? - zapytałem.

- Na to wygląda - powiedział, kładąc karton becka do mojej lodówki i butelkę chivasa na blacie w kuchni.

- Czy to było rozsądne?

- Nie wygląda na to.

- Może w takim razie było to głupie?

- Masz zamiar nabijać się ze mnie całą noc, czy będziesz dobrym chłopcem i powiesz mi, gdzie masz chipsy?

Zasiedliśmy więc na kanapie w moim salonie, popijaliśmy becka i chivasa i rozmawialiśmy o kastracji, której o mało nie dokonała na nim wzgardzona kobieta, o fatalnych rozstaniach, zazdrosnych narzeczonych i mężach i innych podobnych historiach, które nie byłyby tak zabawne, gdyby nie alkohol i odpowiednie towarzystwo.

I kiedy już rozmowa stawała się mało ciekawa, zauważyliśmy, że w telewizji zaczyna się film *Czerwona linia*.

- Cholera - powiedział Jay. - Zrób głośniej.

Zrobiłem.

- Kto to reżyserował? - zapytał Jay.

- Lumet.
- Jesteś pewien?
- Absolutnie.
- Ja myślałem, że Frankenheimer.
- Frankenheimer zrobił *Siedem dni w maju* - powiedziałem.
- Masz rację, cholera. Uwielbiam ten film.

No i przez następne dwie godziny obserwowaliśmy z napięciem, jak prezydent Stanów Zjednoczonych, czyli Henry Fonda, zżyma się na popadający w obłąd czarno-biały, zimnowojenny świat, jak błąd w systemie komputerowym doprowadza do tego, że amerykański oddział specjalny musi przekroczyć czerwoną linię i zbombardować Moskwę, a potem biedny Hank Fonda musi jeszcze mocniej zacisnąć zęby i wydać rozkaz zbombardowania Nowego Jorku, aby udobruchać Rosjan i uniknąć wojny nuklearnej na pełną skalę.

Kiedy film się skończył, spieraliśmy się, który był lepszy - *Czerwona linia* czy *Doktor Strangelove*. Moim zdaniem tych dwóch filmów nie można było porównywać; *Strangelove* to prawdziwe arcydzieło, a Stanley Kubrick to geniusz. Jay twierdził, że jestem pretensjonalny. Ja zarzuciłem mu, że jest zbyt dosłowny. On powiedział, że Henry Fonda to największy aktor w historii kina. Ja mu na to, że jest pijany.

- Gdyby mieli jakiś supertajny kod, mogliby odwołać te bombowce.

Rozsiadł się na kanapie, powieki mu opadały, w jednym ręku trzymał piwo, w drugim szklaneczkę chivasa.

- Supertajny kod? - zaśmiałem się.

Odwrócił głowę.

- Tak, naprawdę. Pomyśl, prezydent Fonda mógłby wtedy prywatnie porozmawiać z każdym z pilotów i podać im tajne hasło, które znalazłyby tylko oni i on. Mógłby ich wówczas odwołać nawet po przekroczeniu czerwonej linii.

- Ależ Jay - zaprotestowałem - przecież właśnie o to chodziło: on nie mógł już nikogo odwołać. Zostali tak wyszkoleni, że uważali każdą próbę komunikacji po przekroczeniu czerwonej linii za podstęp Rosjan.

- Niemniej...

Obejrzeliśmy jeszcze *Out of the Past*, który leciał zaraz po *Czerwonej linii*. Kolejny świetny czarno-biały film z archiwum Kanału 38, z czasów, kiedy ten kanał jeszcze coś sobą reprezentował. W pewnym momencie Jay poszedł do łazienki, a wracając, przyniósł z kuchni kolejne dwa piwa.

- Jeżeli będę ci chciał kiedykolwiek przesłać jakąś wiadomość - powiedział, popijając piwo - to będzie nasze hasło.

- Jakie?

- Czerwona linia - powiedział.

- Ależ Jay, teraz oglądamy *Out of the Past*. *Czerwona linia* skończyła się pół godziny temu. Nowy Jork jest rozbity w drobny mak. Musisz się z tym pogodzić.

- Mówię poważnie. - Gramolił się niezdarnie na kanapie i wreszcie usiadł prosto. - Jeżeli będę ci kiedyś chciał przesłać wiadomość z za grobu, to będzie właśnie „czerwona linia”.

- Co za wiadomość z za jakiegoś cholernego grobu? - zamiałem się. - Robisz się poważny.

- Jak grabarz. Posłuchaj mnie. - Pochylił się w moją stronę i szerzej otworzył oczy, aby mieć większą jasność sytuacji. - Chłopie, to niebezpieczna robota. To znaczy, może nie aż tak niebezpieczna jak w FBI, ale to nie przelewki. Kiedyś może mi się coś przytrafić... - Przetarł oczy i potrząsnął głową. - Rozumiesz, Patrick, ja funkcjonuję tak, jakbym miał dwa umysły.

- Masz na myśli dwie głowy. A Esmeralda mogłaby powiedzieć, że dzisiejszej nocy użyłeś niewłaściwej, dlatego chciała ci ją odciąć.

Parsknął śmiechem.

- Nie. No dobra, niech będzie. Jasne, mam dwie głowy. Ale ja teraz mówię o umysłach. Mam dwa umysły. Naprawdę. - Puknął się w głowę wskazującym palcem, puszczając do mnie oko. - Z jednym, tym normalnym, nie ma problemu. Ale ten drugi, to umysł gliniarza i on się nigdy nie wyłącza. Budzi mój normalny umysł w nocy, zmusza mnie do wyjścia z łóżka i rozmyślenia o czymś, co mnie nurtowało, chociaż nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Chodzi mi o to, że połowę spraw, nad którymi pracowałem, rozwiązywałem o trzeciej w nocy, właśnie dzięki temu drugiemu umysłowi.

- Musi ci być trudno ubierać się codziennie.

- Co?

- Mając te dwa umysły - powiedziałem. - Czy one różnią się gustach, odnośnie ciuchów i innych rzeczy? Jedzenia?

Zgromił mnie spojrzeniem.

- Mówię poważnie.

Podniosłem rękę.

- Poważnie, domyślam się, o czym mówisz.

- Nie. - Machnął ręką. - Jesteś jeszcze wciąż zbyt zielony. Ale zrozumiesz. Kiedyś. Ten drugi umysł, bracie, to prawdziwa kurwa. Dajmy na to, spotykasz kogoś - potencjalnego przyjaciela, kochankę, czy kogoś takiego - i chciałbyś się zaangażować, ale wtedy twój drugi umysł zaczyna pracować. Nawet jeżeli wcale tego nie chcesz. Włącza sygnały ostrzegawcze, uruchamia intuicję i nagle w głębi serca rozumiesz, że nie możesz ufać tej osobie. Twój drugi umysł wynajduje coś, czego normalny umysł nie potrafi lub nie chce wyłowić. Mogą upłynąć lata, zanim się zorientujesz, co to było - może to, że twój przyjaciel zawahał się przed wypowiedzeniem jakiegoś słowa, może nagły błysk w oku kochanki na widok diamentów, chociaż zapewniała cię, że nie dba o forszę. Może coś innego - kto to wie? Ale zawsze coś. I to będzie prawda.

- Jesteś pijany.

- Jestem, ale to nie znaczy, że nie mówię prawdy. Posłuchaj, wiesz, o czym mówię? O tym, że ktoś mnie kiedyś załatwi.

- No?

- Nie będzie to jakiś łodziarz podstawiony przez mafię czy pieprzony handlarz narkotyków, którego wyczuję na milę. To może być ktoś, komu zaufam, kogo pokocham. I może pójdę do piachu, nadal mu wierząc. Jakaś część mnie będzie mu wierzyć. - Zamrugął. - Ale mój drugi umysł, przysięgam, to niezawodny wykrywacz fałszu, zmusi mnie do jakiejś obrony przed tą osobą, niezależnie od tego, czy reszta mnie będzie tego chciała, czy nie. I o to właśnie chodzi.

Pokiwał do siebie głową, siadając głębiej na kanapie.

- To znaczy, o co?

- O ten plan.

- Jaki plan? Przez ostatnie dwadzieścia minut nie powiedziałeś niczego z sensem.

- Jeżeli umrę i ktoś, z kim byłem blisko, przyjdzie do ciebie i zacznie ci opowiadać, że ma dla ciebie przekaz o czerwonej linii, będziesz wiedział, że musisz go zlikwidować, aresztować lub po prostu nie dać się nabrać na gówna, które ci będzie wciskał. - Uniósł w górę puszkę z piwem - Wypijmy za to.

- Nie będziemy sobie przecinać kciuków brzytwą i zawierać braterstwa krwi czy czegoś w tym guście?

Zmarszczył brwi.

- Z tobą nie muszę. Pij. Wypiliśmy.

- A co będzie, jeżeli to ja cię załatwię, Jay?

Przyjrzał mi się, mrużąc jedno oko.

- Wtedy będę ugotowany.

Roześmiał się.

W miarę jak mijały lata i zwiększała się ilość wypitego piwa, Jay dopracował kod „wiadomości z za grobu”, jak to nazywałem. Jako drugi element hasła doszła data pierwszy kwietnia, prima aprilis, na którą miałyby się powołać osoba lub osoby odpowiedzialne za jego śmierć i usiłujące potem zaprzyjaźnić się ze mną.

Zawsze mu powtarzałem, że to bardzo daleki strzał. Coś jak podłożenie miny na pustyni Sahara, w nadziei że wpadnie na nią określona osoba. Jeden człowiek, jedna mina, pustynia o powierzchni siedmiu milionów kilometrów kwadratowych.

- Zaryzykuję - powiedział. - Może to rzeczywiście daleki strzał, ale gdy mina już wybuchnie, ludzie usłyszą ją nawet z dużej odległości. Pamiętaj tylko, bracie, o moim drugim umyśle. Kiedy już będę ziemi, ten drugi umysł może ci jeszcze przysłać wiadomość. Musisz ją tylko usłyszeć.

I usłyszałem.

„Musisz go zlikwidować, aresztować lub po prostu nie dać się nabrać na gówna, które ci będzie wciskał” - prosił mnie przez te wszystkie lata.

W porządku, Jay. Nie ma problemu. Cała przyjemność po mojej stronie.

33

- Wstawaj. Szybko. Wstawaj.

Rozsunąłem zasłony i pokój zaalało oślepiające słońce, które dotarło też do łóżka.

Kiedy wyszedłem, Angie udało się jakoś ułożyć w poprzek łóżka. Skopała z nóg prześcieradło i tylko jego skrawek zasłaniał jej pupę, kiedy wpatrywała się we mnie zaspanymi oczami, a włosy zasłaniały jej twarz jak firanka z czarnego mchu.

- Czy z rana nie zachowujesz się już jak Romeo? - zapytała.

- Daj spokój - powiedziałem. - Wyjeżdżamy.

Złapałem torbę podróżną i zacząłem pakować do niej rzeczy.

- Niech zgadnę - powiedziała. - Na komodzie leżą pieniądze, było cudownie, tylko nie pozwól, aby drzwi walnęły mniew tyłek, gdy będę wychodzić.

Ukląknę przed nią i pocałowałem ją.

- Coś w tym rodzaju. Wstawaj. Śpieszymy się.

Ona też uklękła, prześcieradło całkiem się zsunęło, objęła mnie ramionami. Jej ciało, miękkie i ciepłe od snu, przyłgnęło do mojego.

- Spaliśmy ze sobą po raz pierwszy od siedemnastu lat, a tybudzisz mnie w ten sposób?

- Niestety - westchnąłem - tak.

- Lepiej, żeby było dobrze.

- Jest lepiej niż dobrze. Chodź. Opowiem ci wszystko w drodze na lotnisko.

- Na lotnisko.

- Na lotnisko.

- Na lotnisko - powtórzyła, ziewając, zlazła z łóżka i zataczając się, poszła do łazienki.

Leśne zielenie i koralowe biele, jasne błękity i spalone żółcienie zostały w dole i zamieniły się w barwne kwadraciki, gdy unieśliśmy się w chmury i lecieliśmy na północ.

- Opowiedz mi jeszcze raz - poprosiła Angie. - Ten półnagi kawałek.

- Miała na sobie bikini - powiedziałem.

- W ciemnym pokoju. A ty byłeś w środku - powiedziała.

- Tak.

- I jak się czułeś?

- Nerwowo - przyznałem.

- Och - powiedziała. - Zła, zła odpowiedź.

- Poczekaj - poprosiłem, ale już wiedziałem, że podpisałem na siebie wyrok śmierci.

- Kochaliśmy się przez sześć godzin, a mimo to dałeś się uwodzić tej kurewce w bikini?

Pochyliła się na swoim fotelu, odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

- Przecież nie powiedziałem, że czułem się uwodzony. Powiedziałem, że czułem się zdenerwowany.

- To jest to samo. - Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Słowo daję, faceci.

- W porządku - przytaknąłem. - Faceci. Nie rozumiesz tego?

- Nie - powiedziała.

Oparła podbródek na pięści i zmrużyła oczy, co świadczyło o tym, że się koncentruje.

- Oświeć mnie, proszę.

- Dobrze. Desiree jest syreną. Przyciąga mężczyzn. Ma aurę, która w połowie promieniuje niewinnością, a w połowie czystą cielesnością.

- Aura.

- Tak. Faceci uwielbiają aurę.

- W porządku.

- Jak tylko obok niej pojawia się jakiś facet, zaczyna promieniować swoją aurą. Zresztą może ma ją cały czas, nie wiem. Tak czy inaczej, ta aura jest dość mocna. I taki facet patrzy na jej twarz, jej ciało, słucha jej głosu i czuje jej zapach, i już po nim.

- Wszyscy faceci tak reagują?

- Założę się, że większość.

- A ty?

- Nie - powiedziałem. - Ja nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ kocham ciebie.

Zamilkła. Uśmiech zniknął z jej twarzy, pobladła, a jej usta zostały półotwarte,

jakby zapomniała, co chciała powiedzieć.

- Co powiedziałaś? - zapytała w końcu.

- Słyszałaś.

- Tak, ale...

Opadła na fotel i przez chwilę patrzyła przed siebie. Potem odwróciła się do czarnej kobiety w średnim wieku, która siedziała po jej drugiej stronie i od początku przysłuchiwała się naszej rozmowie, nie ukrywając tego.

- Słyszałam, co powiedział, kochanie - przytaknęła kobieta, robiąc na drutach coś, co wyglądało na małą cipkę z groźnie sterczącymi igłami. - Głośno i wyraźnie. Nie znam się na tych bzdurach o aurze, ale tamto słyszałam dokładnie, dzięki.

- O rany - powiedziała do niej Angie. I co powiesz?

- Och, nie jest aż tak przystojny - powiedziała kobieta. - Może zasługuje na „ojej”, ale według mnie w żadnym razie nie zasługuje na „o rany”.

Angie odwróciła się do mnie.

- Ojej - powiedziała.

- Mów dalej - poprosiła kobieta - o tej flądrze, która zrobiła ci kawę.

- Co tu mówić - powiedziałem do Angie.

Zamrugła powiekami i zamknęła usta, przyciskając do szczęki kostki zwiniętej w pięść dłoni.

- Tak, tak, tak. Wróćmy do tego.

- Gdybym nie był, no wiesz...

- Zakochany - podpowiedziała kobieta.

Spojrzałem na nią.

- ... w tobie, Angie, tak, byłoby już po mnie. Ona jest groźną żmiją. Wybiera sobie facetów - a może mieć prawie każdego, którego zechce - i każe im tańczyć tak, jak zagra, jakkolwiek by zagrała.

- Chciałabym ją poznać - powiedziała kobieta. - Ciekawa jestem, czy udałoby jej się zmusić mojego Leroya do skoszenia trawnika.

- I tego właśnie nie rozumiem - powiedziała Angie. - Faceci są aż tak głupi?

- Tak.

- Tak powiedział - stwierdziła kobieta i wróciła do swojej robótki.

- Kobiety są inne niż mężczyźni - powiedziałem. - A przynajmniej większość z nich. Zwłaszcza jeśli chodzi o reakcje na przeciwną płęć. - Wziąłem ją za rękę. - Setki facetów mija codziennie Desiree na ulicy i przynajmniej połowa z nich będzie o niej

myślała przez następne kilka dni. A kiedy przechodzi koło nich, wcale nie myślą „Miła buźka, ładny tyłek, czarujący uśmiech” czy coś w tym guście. Oni cierpią. Chcieliby ją posiąść na miejscu, wtopić się w nią, wdychać ją.

- Wdychać ją?

- Tak. Faceci zupełnie inaczej reagują na piękną kobietę niż kobiety na przystojnych mężczyzn.

- A więc Desiree jest...?

Przeciągnęła grzbietem dłoni po wewnętrznej części swojego ramienia.

- Płomieniem, a my jesteśmy ćmami.

- Ale z ciebie ziółko - powiedziała kobieta, pochylając się i patrząc na mnie przez ramię Angie. - Gdyby mój Leroy opowiadał mi takie dyrdymały, dostałoby mu się znacznie mocniej niż przez ostatnie dwadzieścia lat.

Biedny Leroy, pomyślałem.

- Jezu - powiedziała Angie gdzieś na wysokości Pensylwanii.

- Co? - zapytałem, podnosząc głowę z jej ramienia.

- Możliwości - powiedziała.

- Jakie możliwości?

- Nie rozumiesz? Jeżeli odwrócimy wszystko, o czym dotychczas myśleliśmy, jeżeli spojrzymy na całą tę sytuację z perspektywy Desiree, która wcale nie jest trochę ześwirowaną i zepsutą osobą, tylko czarną wdową, maszyną skupioną jedynie na własnym interesie - to wtedy, mój Boże.

Usiadłem prosto.

- Rozwiń to - poprosiłem.

Pokiwała głową.

- Dobrze. Wiemy, że namówiła Price'a do kradzieży. Tak? Tak. A potem sprawiła, że Jay zaczął się zastanawiać, jak by tu zabrać Price'owi tę forszę. Oczywiście pogrywała dokładnie na odwrót. Rozumiesz, „Och, Jay, czy nie możemy być szczęśliwi bez pieniędzy?”, a w duchu myślała, „Złap przynętę, złap przynętę, ty idioto”. I Jay połknął haczyk. Ale nie mógł znaleźć pieniędzy. I wtedy ona się domyśliła, gdzie są ukryte. Poszła po nie, ale wcale nie została zaskoczona na gorącym uczynku, jak nam to opowiedziała. Wzięła forszę. Ale wtedy pojawił się nowy problem.

- Jay.

- Właśnie. Wiedziała, że nigdy nie przestanie jej szukać, chyba że zniknie raz na

zawsze. A on był dobry w swoim fachu. Musiała też pozbyć się Price'a. Nie mogła tak po prostu zniknąć. Musiała umrzeć. Więc...

- Zabiła Illianę Rios - dokończyłem.

Spojrzeliliśmy na siebie i moje oczy były tak samo szeroko otwarte jak jej.

- Wystrzeliła jej prosto w twarz z dubeltówki.

- Byłaby w stanie? - zapytałem.

- Dlaczego nie?

Siedziałem i zastanawiałem się nad tym. Rzeczywiście, dlaczego nie?

- Jeżeli przyjmujemy takie założenie - powiedziałem - musimy też przyjąć, że ona jest...

- Całkowicie pozbawiona sumienia lub moralności, lub empatii, lub tego, co czyni nas ludźmi.

Pokiwała głową.

- A jeżeli taka jest - powiedziałem - to nie stała się taka w ciągu jednej nocy. Była już taka od dłuższego czasu.

- Jaki ojciec, taka córka - powiedziała Angie.

I wtedy właśnie to mnie uderzyło. Jakby zawalił się na mnie budynek. Cały tlen z moich płuc został wessany przez wir powstały z nagłej i przerażającej pewności.

- Jakie jest najlepsze kłamstwo na świecie? - zapytałem Angie.

- To, które jest najbliższej prawdy.

Pokiwałem głową.

- Dlaczego Trevor tak bardzo chce śmierci Desiree?

- No właśnie, dlaczego?

- Ponieważ to nie on zastawił śmiertelną pułapkę na Tobin Bridge.

- Ona to zrobiła - niemal wyszeptała Angie.

- Desiree zabiła swoją matkę - powiedziałem.

- I usiłowała zabić ojca.

- Nic dziwnego, że jest na nią taki wściekły - powiedziała kobieta obok Angie.

- Nic dziwnego - powtórzyłem.

34

Wszystko to można było wyczytać czarno na białym, jeżeli tylko posiadało się właściwe informacje i przyjęło prawidłową perspektywę. Mimo nagłówków - TRZEJ MEŹCZYŹNI OSKARŻENI O BRUTALNE ZABÓJSTWO WŁAŚCICIELKI MARBLEHOUSE lub TRÓJKA GROŹNYCH PRZESTĘPCÓW OSKARŻONA O MORDERSTWO W TRAKCIE NAPADU NA SAMOCHÓD - cała historia szybko znikła z pierwszych stron gazet, gdy trzech zabójcy - Harold Madsen z Lynn, Colum Devereaux z południowego Bostonu i Joseph Brodine z Revere - przyznali się do winy dzień po tym, jak wielka ława przysięgłych przedstawiła im akt oskarżenia.

Oboje z Angie prosto z lotniska udaliśmy się do Biblioteki Publicznej na Copley Square w Bostonie. Usiedliśmy w dziale czasopism i zaczęliśmy przeglądać mikrofilmy archiwalnych numerów „Trib” i „News”, szukając relacji z tamtych wydarzeń, a potem dokładnie wszystkie przeczytaliśmy i znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

Nie zajęło nam to dużo czasu. Prawdę powiedziawszy, mniej niż pół godziny.

Dzień przed tym, zanim zebrała się wielka ława przysięgłych, obrońca Harolda Madsena skontaktował się z Biurem Prokuratora Okręgowego i przedstawił mu propozycję w imieniu swojego klienta. Madsen przyzna się do zabójstwa pierwszego stopnia i dostanie wyrok od czternastu do dwudziestu lat więzienia. *W zamian za to wskaże człowieka, który zlecił jemu i jego kolegom zabójstwo Trevora i Inez Stone.*

Wywołało to piorunujący efekt, ponieważ do tej pory nie mówiło się o morderstwie na zlecenie, a jedynie o śmierci pasażerki w przypadkowej strzelaninie podczas napadu na samochód.

ZABÓJCA, KTÓRY NAPADŁ NA SAMOCHÓD, PRYZNAJE: TO BYŁO MORDERSTWO - obwieściła gazeta „News”.

Kiedy się jednak okazało, że człowiek wskazany przez Madsena jako osoba, na której zlecenie działali, zmarł dwa dni po aresztowaniu Madsena, prokurator okręgowy wyśmiał całą sprawę.

- Anthony Lisardo? - Keith Simon, pełnomocnik prokuratora okręgowego,

roześmiał się reporterowi „Trib” w twarz. - Żartuje pan? To szkolny kumpel dwóch oskarżonych, który zmarł z przedawkowania narkotyków. Traktuję to jako żaloszny wybieg obrony, aby nadać tej nikczemnej zbrodni wymiar, którego nigdy nie miała. Anthony Lisardo nie miał absolutnie żadnego związku z tą sprawą.

A nikt z prawników obrony nie potrafił udowodnić, że jednak miał. Jeżeli Lisardo rzeczywiście kontaktował się z Madsenem, Devereaux i Brodine'em, to zabrał tę informację ze sobą do grobu. A ponieważ wersja wydarzeń podawana przez zabójców opierała się na rzekomym kontakcie z Lisardo i tylko z nim, całą winę za śmierć Inez Stone musieli przyjąć na siebie.

Oskarżony, który przyzna się do winy przed rozpoczęciem kosztownego dla budżetu stanu procesu, może zwykle liczyć na złagodzenie wyroku. Jednak Madsen, Devereaux i Brodine zostali oskarżeni o morderstwo pierwszego stopnia, a zarówno sąd, jak i prokurator okręgowy odrzucili możliwość ograniczenia ciężącego na nich zarzutu do morderstwa drugiego stopnia. Zgodnie z obowiązującym w Massachusetts prawem za morderstwo pierwszego stopnia przewidziana była tylko jedna kara - dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego.

Osobiście nie przejmowałem się losem trzech bandziorów, którzy z zimną krwią zabili kobietę i z całą pewnością mieli w miejscu serca ropiejący wrzód. Miło było was poznać, chłopcy. Uważajcie pod prysznicem.

Jednakże prawdziwy sprawca, osoba, która ich do tego wynajęła, zapłaciła za to i naraziła na karę - ta osoba zasługiwała co najmniej na takie samo cierpienie, jakie czeka tych chłopaków do końca życia.

- Teczka naszej sprawy - powiedziałem do Angie, kiedy wyszliśmy z sali z mikrofilmami.

Wręczyła mi ją, a ja zacząłem przeglądać wcześniejsze materiały, aż znalazłem notatki ze spotkania z kapitanem Emmettem T. Groningiem z komendy policji w Stoneham. Kolega, który był z Lisardo tamtej nocy, gdy się utopił, nazywał się Donald Yeager i mieszkał w Stoneham.

- Poproszę książkę telefoniczną - powiedziała Angie do recepcjonisty w bibliotece.

W Stoneham były dwa numery telefonów na nazwisko Yeager.

Pół godziny później ograniczyliśmy poszukiwania do jednego. Helene Yeager miała dziewięćdziesiąt trzy lata i nie знаła żadnego Donalda Yeagera. Znała kilku Michaelów, jakiś Edów, nawet jednego Chucka, ale nie tego.

Donald Yeager z Montvale Avenue 123 odebrał telefon dopiero po dłuższej chwili.

- Tak?
 - Donald Yeager? - upewniła się Angie.
 - Tak?
 - Jestem Candy Swan, dyrektor programowy WAAF w Worcester.
 - AAF - powtórzył Donald. - Świetnie. Nieźle ładujecie, ludzie.
 - Jesteśmy jedyną stacją, która naprawdę daje czadu - powiedziała Angie i puściła do mnie oko, a ja podniosłem kciuk.
 - Dzwonię do ciebie, Donald, ponieważ zaczynamy w naszej ramówce nowy program, od siódmej do północy, który nazywa się, hmm, Metalowcy z Piekła Rodem.
 - Bomba.
 - Tak, chcemy przeprowadzić wywiady z takimi fanami jak ty, interesującymi ludźmi z okolicy. Żebyś opowiedział innym słuchaczom, dlaczego kochasz AAF, jakie są twoje ulubione zespoły i tak dalej.
 - Będę na żywo w eterze?
 - Chyba że masz inne plany na dzisiejszy wieczór.
 - Nie. Absolutnie. Cholera. Mogę powiedzieć kumplom?
 - Jasne. Potrzebuję tylko twojego werbalnego potwierdzenia i...
 - Czego?
 - Musisz mi powiedzieć, że się zgadzasz, żebyśmy do ciebie później zadzwonili.
- Okolo siódmej.
- Czy się zgadzam? Kurde, bez jaj, człowieku.
 - Dobrze. Będziesz pod telefonem, kiedy zadzwonimy?
 - Nigdzie nie wychodzę. Hej, czy wygram jakąś nagrodę?
- Zamknęła na chwilę oczy.
- Co powiesz na dwa czarne T-shirty z Metallicą, wideo o Beavisie i Buttheadzie i czterech biletach na siedemnastą edycję Wrestlemanii do Worcester Centrum?
 - Super, człowieku. Super. Ale, ale.
 - Tak?
 - Myślałem, że Wrestlemania skończyła się na szesnastce.
 - Myliłeś się, Donaldzie. Zadzwonimy o siódmej. Bądź n pewno.
 - Bez ściemy, kotku.
-
- Jak na to wpadłaś? - zapytałem, gdy jechaliśmy taksówką do Dorchester, aby zostawić bagaże, odświeżyć się, wziąć pistolety, bo poprzednie straciliśmy na

Florydzie, i samochód.

- Nie mam pojęcia. Stoneham. AAF. Jakoś mi się to połączyło.
- Jedyna stacja, która naprawdę daje czadu - powiedziałem. - Sprytne.

Wziąłem szybki prysznic zaraz po Angie i kiedy wszedłem do salonu, zastałem ją pochyloną nad stertą ubrań. Miała na sobie wysokie czarne buty, czarne dżinsy, czarny biustonosz i właśnie szukała odpowiedniego T-shirta.

- No, no, panienko - powiedziałem. - Ćwicz mnie, bij mnie,każ mi podpisywać fałszywe czek.

Uśmiechnęła się.

- Och, to ci się podoba?

Wywaliłem język i zacząłem dyszeć. Podeszła do mnie, wymachując zawieszonym na wskazującym palcu czarnym T-shirtem.

- Kiedy wrócimy, będziesz mógł to wszystko ze mnie zdjąć.

Podyszałem jeszcze trochę, a Angie posłała mi cudowny, szeroki uśmiech i musnęła dłonią moje włosy.

- Czasami bywasz milutki, Kenzie.

Odwróciła się, żeby przejść do kanapy, ale wyciągnąłem ręce, złapałem ją w pasie i przyciągnąłem do siebie. Nasz pocałunek był tak długi i głęboki jak ten pierwszy, zeszej nocy w łazience. Może nawet dłuższy. Może głębszy.

Kiedy przestaliśmy się całować, jej ręce spoczywały na mojej twarzy, a moje na jej pośladkach.

- Cały dzień chciałem to zrobić.
- Następnym razem dopuść do głosu swoje impulsy.
- Było ci dobrze ostatniej nocy?
- Dobrze? Cudownie.
- Tak - powiedziałem. - Mnie też.

Jej ręce ześlizgnęły się po mojej twarzy i zatrzymały się na piersi.

- Kiedy to się skończy, wyjedziemy.

- Wyjedziemy?

- Tak. Wszystko mi jedno, czy na Maui, czy tuż obok do Suisse Chalet, ale powiesimy na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”, zamówimy jedzenie do pokoju i przez tydzień nie będziemy wychodzić z łóżka.

- Jak sobie pani życzy. Pani tu rządzi.

Donald Yeager spojrział na Angie ubraną w czarną, skórzaną kurtkę, dżinsy, wysokie buty oraz rozdarty na piersi T-shirt z koncertu Fury in the Slaughterhouse i byłem niemal pewien, że już zaczął w myślach układać list do Forum *Penthouse'a*.

- Jasna cholera - powiedział.

- Pan Yeager? - zapytała Angie. - Jestem Candy Swan z WAAF.

- Bez jaj?

- Bez jaj - powiedziała.

Otworzył szeroko drzwi do mieszkania.

- Wejdźcie. Wejdźcie.

- To mój asystent. Dziki Willy.

Dziki Willy?

- Tak, tak - pokiwał głową Donald, zapraszając ją do środka, a na mnie ledwo rzucając okiem. - Miło was poznać, cholera.

Odwrócił się do mnie tyłem, wszedłem więc za nimi do mieszkania i zamknąłem za sobą drzwi. Mieszkał w bloku z jasnoróżowej cegły przy Montvale Avenue, typowym dla Stoneham. Był to jednopiętrowy budynek, zaniedbany i brzydki, na oko mieściło się w nim ze szesnaście mieszkań. Niewielkie mieszkanie Donalda było chyba typowe. Pokój dzienny z wersalką, z której wylaziła od spodu brudna pościel. Kuchenka tak mała, że trudno byłoby w niej ugotować jajko. Z łazienki po lewej stronie dobiegało kapanie wody. Wzdłuż listwy przypodłogowej obok wersalki zasuwał chuderlawy karaluch, który nie tyle pewnie szukał jedzenia, co zgubił drogę w papierosowym dymie wiszącym w pokoju jak grzyb nuklearny.

Donald zebrał jakieś pisma z wersalki, żeby Angie mogła usiąść pod gigantycznym plakatem przedstawiającym Keitha Richardsa. Widziałem już to zdjęcie, było zrobione we wczesnych latach siedemdziesiątych. Keith wyglądał na nim, jak zwykle, na nieźle nawalonego, opierał się o ścianę, w jednej ręce trzymał butelkę Jacka Daniela, a w drugiej nieodłącznego papierosa i miał na sobie T-shirt z napisem JAGGER JEST DO DUPY.

Angie usiadła, a Donald spojrział na mnie totalnie zaskoczony, gdy zamknąłem drzwi na zasuwkę i wyciągnąłem z kabury pistolet.

- Hej! - zawołał.

- Donald - powiedziała Angie - nie mamy zbyt wiele czasu, więc będziemy się streszczać.

- Jak to się ma do AAF, koleś?

Spojrzał na mój pistolet i chociaż cały czas trzymałem go przy swoim kolanie lufą do dołu, wzdrygnął się, jakbym go odbezpieczył.

- Historia z AAF była kitem - przyznała Angie. - Siadaj, Donald. Szybko.

Usiadł. Błady i wychudzony chłopaczek z gęstymi, żółtawymi, krótko ostrzyżonymi włosami, ciasno przylegającymi do głowy w kształcie jabłka. Spojrzał na leżącą na stoliku fajeczkę do palenia marihuany.

- Jesteście ćpunami?

- Wkurzają mnie kretyni - powiedziałem do Angie.

- Nie, Donald, nie jesteśmy ćpunami. Jesteśmy ludźmi ze spluwami i nie mamy wiele czasu. Powiedz nam więc, co się wydarzyło tamtej nocy, gdy umarł Lisardo?

Pacnął się dłońmi w twarz z taką siłą, że na pewno zostaną mu ślady.

- A niech mnie! Chodzi o Tony'ego? A niech mnie!

- Chodzi o Tony'ego - powiedziałem.

- O rany!

- Opowiedz nam o Tonym - poprosiłem. - Szybko.

- Ale potem mnie zabijecie.

- Nie, nie zabijemy. - Angie poklepała go po nodze. - Obiecuję.

- Kto wsadził mu do papierosów kokę? - zapytałem.

- Nie wiem. Ja. Nie. Wiem.

- Kłamiesz.

- Nie.

Podniosłem pistolet.

- Dobra, kłamię - przyznał. - Kłamię. Odlóż to. Proszę!

- Powiedz jej imię - powiedziałem.

To „jej” zaskoczyło go. Spojrzał na mnie, jakby zobaczył śmierć, i skulił się na wersalce. Jego nogi oderwały się od podłogi. Łokcie przyłgnęły do chudej piersi.

- Powiedz.

- Desiree Stone, człowieku. To ona.

- Dlaczego? - zapytała Angie.

- Nie wiem. - Wyciągnął ręce. - Naprawdę. Nie wiem. Tony załatwił dla niej jakąś śmierdzącą sprawę, coś nielegalnego, ale nie chciał mi powiedzieć, co to było. Powiedział tylko, żebym się trzymał od tej laluni z daleka, bo to pieprzona zdzira.

- Ale nie trzymałeś się z daleka.

- Trzymałem się - powiedział. - Ja się trzymałem. Ale ona, cholera, ona sama tu

przyszła, niby że chce kupić trochę towaru, rozumiecie? I, ludzie, ona, powiem wam, ona, no, rany, tylko tyle mogę powiedzieć.

- Przerznięła cię tak, że aż ci oczy wyszły na wierzch - powiedziała Angie.

- Jaja mi wyszły na wierzch, proszę pani. I, mogę tylko powiedzieć, no, że jej imieniem powinni nazwać wyścig w Epcot. Kapujecie?

- Papierosy - przypomniałem mu.

- Tak, racja. - Spojrzał na swoje kolana. - Nie wiedziałem - powiedział cicho. - Co w nich było. Przysięgam na Boga. Wiecie, Tony był moim najlepszym kumplem. - Spojrzał na mnie. - Najlepszym kumplem, bracie.

- Kazała ci podrzucić mu te papierosy? - zapytała Angie.

Pokiwał głową.

- To była jego marka. Miałem je tylko zostawić w jego samochodzie. Rozumiecie? Ale potem wybraliśmy się na przejażdżkę skończyliśmy nad zbiornikiem, a on zapalił jednego i wszedł dowody, a potem tak śmiesznie zmienił się na twarzy. Jakby nastąpił na coś i nie spodobało mu się to, co poczuł? W każdym razie tak to było. Tylko ten śmieszny wyraz na jego twarzy, dotknął jeszcze palcami swojej piersi, a potem poszedł pod wodę.

- Wyciągnąłeś go?

- Próbowałem. Ale było ciemno. Nie mogłem go znaleźć. I po pięciu minutach przeraziłem się. Uciekłem.

- Desiree wiedziała, że miał alergię na kokę, prawda? - zapytałem.

- Tak. - Pokiwał głową. - Tony stosował tylko marychę i wódę, chociaż jako posłaniec i tak dalej, nie powinien...

- Lisardo należał do Kościoła Prawdy i Objawienia?

Spojrzał na mnie.

- Tak. Od dziecka.

Na chwilę przysiadłem na oparciu wersalki, wziąłem głęboki oddech i natychmiast zakrztusiłem się dymem unoszącym się w pokoju Donalda Yeagera.

- Wszystko - powiedziała Angie.

Spojrzałem na nią.

- Co?

- Wszystko, co ta kobieta robiła, było dokładnie zaplanowane. „Depresja”, Lecznica Smutku, wszystko.

- Jak Lisardo został posłańcem? - zapytałem Donalda.

- Jego matka, no wiecie, ześwirowała, ponieważ jej mąż był gangsterem i nurzał się w gównie; zapisała, zmusiła Tony'ego, aby wstąpił do tego kościoła, jakieś dziesięć lat temu. Był jeszcze dzieckiem.

- Co Tony o tym sądził? - zapytała Angie.

Lekceważąco machnął ręką.

- Uważał, że to wszystko pic na wodę. Ale czuł do nich jakiś respekt, coś takiego, bo jak mówił, są podobni do jego starego - ciągle kantują. Mówił, że mają kupę szmalu - całe góry forsy, której nie mogą ujawnić.

- Desiree wiedziała o tym, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Nie żeby mi o tym mówiła.

- Dalej, Donald.

Popatrzył na mnie.

- No cóż. Tony był gadułą. Więc tak, pewnie opowiedział Desiree wszystko o sobie, od chwili poczęcia. Pamiętam, jakiś czas przed śmiercią Tony powiedział mi, że spotkał tego gościa, który miał zamiar skroić Kościół na całkiem niezłą kasę, a ja mu na to coś w tym guście, „Tony, nie opowiadaj mi o takich sprawach”. Rozumiecie? Ale Tony był gadułą. Był gadułą.

Spojrzeliliśmy na siebie, ja i Angie. Miała absolutną rację. Desiree planowała najmniejszy ruch, jaki robiła. To ona wybrała za cel Lecznice Smutku oraz Kościół Prawdy i Objawienia, a nie na odwrót. To ona zagięła haczyk na Price'a. I Jaya. I zapewne na wszystkich innych, którzy myśleli, że to oni zagięli haczyk na Desiree.

Gwizdnąłem cicho pod nosem. Musiałem przyznać, że niezła z niej była sztuka, zupełnie wyjątkowa.

- Tak więc, Donaldzie, nie wiedziałeś, że papierosy były spreparowane? - zapytałem.

- Nie - powiedział. - Nie miałem pojęcia.

Pokiwałem głową.

- Myślałeś, że ona jest po prostu taka miła i chce podarować byłemu chłopakowi paczkę fajek.

- Nie, to znaczy, nie chodzi o to, że nie wiedziałem, wiecie. Ja tylko, bo rozumiecie, Desiree, ona, no, zawsze dostaje to, co chce. Zawsze.

- A chciała śmierci twojego najlepszego kumpla - powiedziała Angie.

- A ty jej zagwarantowałeś, że to dostanie - dodałem.

- Nie, człowieku, nie. Kochałem Tony'ego. Naprawdę. Ale Desiree...

- Wspaniale cię pieprzyła - powiedziała Angie.

Zamknął usta i spojrzał na swoje gołe stopy.

- Mam nadzieję, że to było najwspanialsze pieprzenie w twoim życiu - powiedziałem. - Ponieważ pomogłeś jej zabić swojego przyjaciela. I będziesz musiał żyć z tą świadomością do końca swoich dni. Wszystkiego najlepszego.

Otworzyliśmy drzwi.

- Was też zabije - powiedział.

Spojrzeliliśmy na niego. Pochylał się nad stołem, pakując drżącymi palcami marychę do fajeczki.

- Jeżeli wejdziecie jej w drogę, to was zmiecie, jak wszystko, co wchodzi jej w drogę. Ona wie, że nic nie powiem żadnemu gliniarzowi, bo jestem... nikim. Rozumiecie? - Spojrzał na nas. - Wiecie, o co jej chodzi? Moim zdaniem wcale nie o wyciskanie kasy. Jest w tym taka dobra, że to nie stanowi dla niej problemu. Ale niszczenie ludzi? Człowieku, założę się, że to daje jej takiego kopa jak salwy na Czwartego Lipca.

35

- Co może zyskać, wracając tutaj? - zapytała Angie, nastawiając ostrość w lornetce i kierując ją w oświetlone okna mieszkania Jaya w Whittier Place.

- Z całą pewnością nie chodzi o pamiątniki matki - powiedziałem.

- Myślę, że spokojnie możemy to skreślić. Siedzieliśmy w samochodzie zaparkowanym pod zjazdem z autostrady, na wysepce między nową Nashua Street Jail i Whittier Place. Osunęliśmy się możliwie nisko na fotelach, aby mieć dobry widok na okna sypialni i salonu Jaya i odkąd się tam zaczęliśmy, udało nam się dojrzeć dwie postacie - mężczyzny i kobiety - przesuwane się za oknami. Nie byliśmy na sto procent pewni, czy kobietą była Desiree, ponieważ w oknach wisiały firanki i widzieliśmy tylko sylwetki. Nie mieliśmy pojęcia, kim był mężczyzna. Niemniej z uwagi na system bezpieczeństwa w budynku mogliśmy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że tam na górze była Desiree.

- O co tu może chodzić? - zastanawiała się Angie. - Bo przecież z całą pewnością zgarnęła te dwa miliony, a na Florydzie była bezpieczna i miała tyle kasy, że spokojnie mogła wyjechać, gdzie tylko chciała. Dlaczego więc wróciła?

- Nie wiem. Może żeby skończyć coś, co zaczęła rok temu.

- Zabić Trevora.

Wzruszyłem ramionami.

- Dlaczego nie?

- W takim razie dlaczego?

- Hmm?

- Dlaczego? Ta dziewczyna, Patrick, zawsze ma jakiś cel. Nigdy nie robi niczego z pobudek emocjonalnych. Kiedy zabiła swoją matkę i usiłowała zabić ojca, jaki miała w tym cel?

- Wyzwolenie? - rzuciłem.

Pokręciła głową.

- To nie jest wystarczający powód.

- Wystarczający powód? - odłożyłem lornetkę i spojrzałem na Angie. - Nie sądzę,

żeby potrzebowała jakieś poważnej motywacji. Pamiętasz, co zrobiła z Illianą Rios? Do diabła, pamiętasz, jak załatwiła Lisardo.

- Racja, ale w tym była logika. Miała powód, oczywiście wynikający z jej planów. Zabiła Lisardo, ponieważ był jedynym łącznikiem między nią a tymi trzema chłopakami, którzy zabili jej matkę. Zabiła Illianę Rios, ponieważ to pomogło jej zatrzeć ślady po dwóch milionach, które ukradła Price'owi. Z jednego i drugiego osiągnęła istotną korzyść. Ale jaką korzyść dałoby jej zabicie Trevora? I dlaczego chciała go zabić już kilka miesięcy temu?

- W zasadzie możemy założyć, że chodzi o pieniądze.

- Dlaczego?

- Ponieważ była jego spadkobierczynią. Po śmierci obojga rodziców mogłaby odziedziczyć kilkaset milionów.

- Tak. Słusznie.

- No dobrze - powiedziałem. - Ale teraz to się nie liczy. Z całą pewnością Trevor już jej nie zostawi swojego majątku.

- Słusznie. Dlaczego więc wróciła?

- W tym cała rzecz.

Odłożyła lornetkę i przetarła oczy.

- To jakaś tajemnicza sprawa, nie sądzisz?

Oparłem się na chwilę na fotelu, rozprostowując mięśnie pleców i karku, czego natychmiast pożałowałem. Po raz kolejny zapomniałem o pękniętej łopacie i poczułem piekielny ból, który eksplodował w obojczyku, sparaliżował mi lewą stronę karku i przebił się do mózgu. Złapałem kilka płytkich oddechów i przełknąłem ślinę, czując napływającą do gardła żółć.

- Illiana Rios była tak bardzo podobna fizycznie do Desiree - powiedziałem w końcu - że Jay wziął ją za Desiree.

- Tak. I co z tego?

- Uważasz, że to przypadek? - odwróciłem się na fotelu. - Niezależnie od tego, co ją łączyło z Jayem, Desiree już wcześniej wybrała sobie Illianę Rios, właśnie z uwagi na fizyczne podobieństwo, i skazała ją na śmierć w tamtym motelu. Wymyśliła to dużo wcześniej.

Angie wzruszyła ramionami.

- Ta kobieta ma wszystko przemyślane.

- Właśnie. Dlatego trudno racjonalnie wyjaśnić śmierć jej matki.

- To znaczy?

Odwróciła się w moją stronę.

- Tamtego wieczoru zepsuł się samochód matki. Tak?

- Tak. - Pokiwała głową. - I wtedy matka zadzwoniła do Trevora, co dawało gwarancję, że będzie razem z nim w samochodzie, kiedy koledzy Lisardo...

- Rozważmy zatem możliwości. Zważywszy na plan dnia Trevora, sposób pracy, no i jego relacje z żoną - jakie są szanse, że Inez zadzwoni do niego z prośbą o podwiezienie? I jakie są szanse, że on odbierze telefon? I że zgodzi się ją przywieźć do domu, a nie zaproponuje, żeby wzięła taksówkę?

- To bardzo trudne do przewidzenia - przyznała.

- Właśnie. A Desiree nigdy niczego nie zostawia losowi, jak sama zauważyłaś.

- Chcesz powiedzieć, że nie planowała śmierci matki?

- Nie wiem. - Spojrzałem w okna i potrząsnąłem głową. - Z Desiree nic do końca nie wiadomo na pewno. Chce, żebyśmy jej jutro towarzyszyli podczas odwiedzin w domu. Rzekomo dla ochrony.

- Jakby kiedykolwiek w życiu potrzebowała ochrony.

- O to właśnie chodzi. Więc do czego nas tam potrzebuje? Co dla nas szykuje?

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, obserwując przez lornetki okna mieszkania Jaya i zastanawiając się nad odpowiedzią na moje pytanie.

O siódmej trzydziści rano pojawiła się Desiree.

A ja omal nie włożyłem w jej pole widzenia.

Wracałem właśnie ze sklepu z kawą na Causeway Street, bo oboje z Angie uznaliśmy, że po nocy spędzonej w samochodzie nasze zapotrzebowanie na kofeinę usprawiedliwia podjęcie takiego ryzyka.

Byłem jakieś dziesięć stóp od naszego wozu zaparkowanego na wprost domu Jaya, kiedy otworzyły się drzwi do budynku. Skuliłem się i ukryłem za filarem podjazdu.

Pierwszy z Whittier Place wyszedł elegancko ubrany mężczyzna w wieku czterdziestu-pięćdziesięciu lat, z teczką w ręku. Postawił teczkę na ziemi, zdjął płaszcz, po czym zaczął wdychać mocno powietrze i wystawił twarz do słońca, rozkoszując się wyjątkowo ciepłym marcowym dniem. Zarzucił płaszcz na rękę, podniósł teczkę i obejrzał się, słysząc, że z domu wychodzi mała grupka spieszących do pracy ludzi. Uśmiechnął się do jednej z osób.

Nie odwzajemniła uśmiechu, a wysoko upięte włosy i okulary zmyliły mnie w pierwszej chwili. Miała na sobie grafitowy kostium do pracy ze spódnicą tuż przed kolana, wykrochmaloną białą bluzkę i szary szal na szyi. Zatrzymała się na chwilę, aby poprawić kołnierz czarnego płaszcza, a w tym czasie mały tłumek rozproszył się, niektórzy poszli do samochodów, inni ruszyli w stronę North Station i Government Centre, jeszcze inni skierowali się do przejścia prowadzącego do Muzeum Nauki i Lechmere Station.

Desiree obserwowała ich z wyraźną pogardą i nienawiścią. A może ja zbyt wiele wyczytałem z wyrazu jej twarzy i sztywnej postawy.

Chwilę potem elegancki mężczyzna pochylił się i pocałował ją, a ona przesunęła delikatnie wierzchem dłoni po jego kroczu i odsunęła się.

Coś do niego powiedziała z uśmiechem, a on potrząsnął głową i na jego władczej twarzy pojawił się wyraz niepewności. Desiree poszła w stronę parkingu, prosto do granatowego kabrioletu Jaya, forda falcona z 1967 roku, który stał tam od czasu, kiedy jego właściciel wyjechał na Florydę.

Kiedy wkładała kluczyki do drzwi, poczułem do niej głęboką, niepohamowaną nienawiść, ponieważ pamiętałem, ile czasu i pieniędzy poświęcił Jay na renowację tego samochodu, szukając po całym kraju brakujących części. To był tylko samochód i przywłaszczenie go wydawało się najmniejszą z jej zbrodni, ale ja odczułem to, jakby Jay jeszcze żył, ponieważ jego samochód nadal stał na parkingu, a ona zadawała mu właśnie ostatni cios.

Mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy niemal w miejscu, gdzie stałem, i minął mnie z drugiej strony filaru. Kiedy poczuł podmuch chłodnego powietrza od strony Causeway Street, zmienił zdanie w sprawie płaszcza. Włożył go, kiedy Desiree zapalała silnik falcona, i ruszył przed siebie.

Wyszedłem zza filaru i stojąc na tyłach naszego samochodu spojrzałem w boczne lustro, gdzie napotkałem wzrok Angie.

Wskazała na Desiree, a potem na siebie.

Pokiwałem głową, wskazując na mężczyznę.

Uśmiechnęła się i posłała mi całusa.

Silnik zaczął pracować, a ja przeszedłem na drugą stronę ulicy i podążyłem za mężczyzną w stronę Lomasney Way.

Minutę później minęła mnie Desiree w samochodzie Jaya. Za nią jechał biały mercedes, a za nim Angie. Widziałem, jak wszystkie trzy samochody skręciły w

Staniford Street i skierowały się w prawo, w stronę Cambridge Street, gdzie miały do wyboru nieskończoną liczbę punktów przeznaczenia.

Kiedy za następnym rogiem idący przede mną mężczyzna włożył teczkę pod pachę, a ręce do kieszeni płaszcza, zrozumiałem, że czeka nas spacer. Trzymałem się w odległości około pięćdziesięciu metrów od niego i tak doszliśmy do Merrimac Street. Na Haymarket Square Merrimac łączy się z Congress Street i kiedy przechodziliśmy przez New Sudbury, znowu przewiał nas na wskroś zimny wiatr. Kontynuowaliśmy spacer w stronę dzielnicy finansowej, gdzie mieszało się ze sobą więcej stylów architektonicznych niż w jakimkolwiek innym znanym mi mieście. Lśniące szkło i granitowe słupy wznosiły się nad zaledwie trzypiętrowymi pseudopalaćcami w stylu florenckiego renesansu lub ruskinowskiego gotyku; modernizm spotykał się tu z niemieckim renesansem, postmodernizm z pop artem w sąsiedztwie jońskich kolumn i francuskich gzymsów, korynckich pilastrów i granitów oraz piaskowców ze starych, dobrych czasów Nowej Anglii. Wiele dni spędziłem w dzielnicy finansowej, przyglądając się tej architekturze, i kiedy miałem lepszy humor, wydawało mi się, że to mogłaby być niezła metafora tego, jak żyć na tym świecie - wszystkie te, tak odmienne perspektywy piętrzyły się jedna na drugiej i mimo to wszystko razem jakoś ze sobą współgrało.

Chociaż gdyby to ode mnie zależało, wysadziłbym ratusz w powietrze.

Na chwilę przedtem, nim zanurzyliśmy się w sercu dzielnicy finansowej, mężczyzna skręcił w lewo, przeciął zbiegające się w jednym miejscu ulice State, Congress i Court, wszedł na kamienny plac upamiętniający masakrę bostońską, przeszedł jeszcze jakieś dwadzieścia metrów i skręcił do Exchange Place Building.

Zacząłem biec, ponieważ Exchange Place jest gigantem obsługiwanym przez co najmniej szesnaście wind. Kiedy wpadłem do wysokiego na trzy kondygnacje marmurowego holu, nigdzie go już nie było. Skręciłem w prawo, do korytarza z windami szybkobieżnymi, i zobaczyłem, jak drzwi jednej z nich właśnie się zasuwały.

- Proszę poczekać! - zawołałem i udało mi się wcisnąć zdrowe ramię między drzwi.

Rozsunęły się, ale przedtem porządnie ścisnęły moją rękę. To był ciężki tydzień dla moich kończyn.

Mężczyzna opierał się o ścianę i patrzył na mnie niezadowolony, jakbym zakłócił jego prywatność.

- Dziękuję za przytrzymanie drzwi - powiedziałem.

Patrzył gdzieś ponad moją głowę.

- Rano chodzi tu wiele innych wind.

- Aha - mruknąłem - Chrześcijanin.

Kiedy drzwi się zamykały, zauważyłem, że nacisnął przycisk trzydziestego ósmego piętra, pokiwałem więc głową i też oparłem się o ścianę.

Spojrzał na moją posiniaczoną i podrapaną twarz, rękę na temblaku i ubranie, które nie wyglądało najlepiej po jedenastu godzinach spędzonych w samochodzie.

- Ma pan sprawę na trzydziestym ósmym? - zapytał.

- Tak.

Zamknąłem oczy.

- Jaką sprawę? - pytał dalej.

- A jak pan myśli?

- Nie wiem.

- To może pan jedzie na niewłaściwe piętro? - zdziwiłem się.

- Pracuję tam.

- I nie wie pan, jakie sprawy się tam załatwia? Rany. Pierwszy dzień?

Westchnął z politowaniem, a winda przemierzyła odległość między pierwszym a dwudziestym piętrem z taką prędkością, że miałem wrażenie, iż policzki zjadą mi pod podbródek.

- Młody człowieku - powiedział - myślę, że się pan pomylił.

- Młody człowieku? - zdziwiłem się, ale kiedy lepiej mu się przyjrzałem, zauważyłem, że wcześniej pomyliłem się co do jego wieku co najmniej o dziesięć lat.

Zmyliła mnie opalenizna i bujne ciemne włosy, a także energiczny chód, bo w rzeczywistości wyglądał na dobrze zakonserwowanego sześćdziesięciolatka.

- Tak, naprawdę uważam, że znalazł się pan w niewłaściwym miejscu.

- Dlaczego?

- Ponieważ znam wszystkich klientów firmy, a pana nieznam.

- Jestem nowy - wyjaśniłem.

- Wątpię - powiedział.

- Ależ naprawdę.

- W żadnym razie - upierał się i obdarzył mnie ojcowskim uśmiechem, pokazując śnieżnobiałe koronki zębów.

Powiedział „firmy”, a ja domyśliłem się, że nie chodziło o firmę księgową.

- Zostałem ranny - powiedziałem, wskazując na swoje ramię. - Jestem perkusistą

Guns N'Roses, zespołu rockowego. Słyszał pan o nim?

Pokiwał głową.

- Mieliśmy zeszłej nocy koncert na Fleet i ktoś założył materiały pirotechniczne w niewłaściwym miejscu, no i teraz potrzebuję prawnika.

- Naprawdę?

- Tak.

- Perkusista Guns N'Roses nazywa się Matt Sorum, a pan bynajmniej go nie przypomina.

Sześćdziesięcioletni fan Guns N'Roses? Jak to możliwe? I dlaczego musiało się to przytrafić właśnie mnie?

- Był nim Matt Sorum - powiedziałem. - Był. Pokłócił się z Axelem i teraz ja z nimi gram.

- Graliście we Fleet Center? - zapytał, kiedy winda dojeżdżała na trzydzieste ósme piętro.

- Tak, bracie.

Drzwi się otworzyły, a on zablokował je, zasłaniając dłonią fotokomórkę.

- Ostatniej nocy we Fleet Center grali Celtics z Bullami. Wiem to. Mam bilet sezonowy. - Znowu posłał mi ten uroczy uśmiech. - Kimkolwiek jesteś, módl się, żeby winda zwiozła cię na dół, zanim zajmie się tobą ochrona.

Wyszedł i patrzył na mnie jeszcze, gdy drzwi zaczęły się zmykać. Za jego plecami zobaczyłem pozłacane litery GRIFFIN, MYLES, KENNEALLYI BERGMAN.

Uśmiechnąłem się.

- Desiree - wyszeptalem.

Rzucił się w moją stronę i wsunął rękę między drzwi, które posłusznie się rozsunęły.

- Coś ty powiedział?

- Słyszał pan, panie Griffin. A może mogę mówić do pana Danny?

36

W jego gabinecie znajdowało się wszystko, czego potrzebował zamożny mężczyzna, a przy okazji mógł jeszcze zaoszczędzić na hangarze dla odrzutowca. W razie potrzeby z pewnością jeden by się tam zmieścił.

W korytarzu było pusto, tylko jeden z sekretarzy napełniał ekspresy do kawy rozstawione w niszach i w środku każdego biura. Gdzieś z oddali słychać było pracujący odkurzacz.

Daniel Griffin powiesił płaszcz i marynarkę w szafie, a potem podszedł do biurka, tak wielkiego, że spokojnie można byłoby podawać jego wymiary w metrach. Usiadł i wskazał mi ręką miejsce naprzeciw siebie.

Nie skorzystałem.

- Kim pan jest?

- Patrick Kenzie. Jestem prywatnym detektywem. Jeżeli chce pan poznać historię mojego życia, może pan zadzwonić do Cheswicka Hartmana.

- Zna pan Cheswicka?

Pokiwałem głową.

- Chyba nie jest pan tym człowiekiem, który wyciągnął jego siostrę z tej... sytuacji w Connecticut kilka lat temu?

Wziąłem do ręki ciężki brązowy posążek, stojący na rogu biurka, i przyjrzałem mu się uważnie. Przedstawiał jakąś wschodnią boginię lub postać mitologiczną, kobietę w koronie na głowie, która zamiast nosa miała trąbę słonia. Siedziała po turecku, z morza wyskakiwała do jej stóp ryba, a w czterech rękach trzymała wojenny topór, diament, butelkę z oliwą i zwiniętego w spiralę węża.

- Sri Lanka? - zapytałem.

Uniósł brwi i pokiwał głową.

- Wówczas to był, rzecz jasna, Cejlon.

- Uhu - przyznałem.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytał.

Spojrzałem na fotografię pięknej, uśmiechniętej żony, potem na kolejną,

przedstawiającą dorosłe dzieci, i jeszcze jedną - z gromadką wnuków.

- Głosuje pan na republikanów? - zapytałem.
- Co?
- Wartości rodzinne - powiedziałem.
- Nie rozumiem.
- Czego chce Desiree? - zapytałem.
- Nie jestem pewien, czy to pana powinno obchodzić.

Minął mu już szok, jaki przeżył przed windą, głos miał teraz głębszy, a w jego oczach znowu pojawił się chłód. Niedługo pewnie zacznie mi grozić ochroną, musiałem więc podciąć mu kolana. Obszedłem biurko dookoła i przesunąłem małą lampkę do czytania, usiadłem na blacie, a moje nogi były o cal od jego.

- Danny - odezwałem się - gdyby chodziło tylko o to, że ją rzniesz, nigdy nie pozwoliłbyś mi wyjść z windy. Masz do ukrycia coś bardzo poważnego. Coś nieetycznego, nielegalnego, co może cię posłać do więzienia na resztę życia. Jeszcze nie wiem, co to jest, wiem za to, jak działa Desiree, i z całą pewnością nie zmarnowałyby nawet pięciu minut na twoje sflaczałe genitalia, gdybyś w zamian nie dał jej czegoś naprawdę ważnego. - Pochyliłem się, poluzowałem jego krawat i odpiąłem guziki przy kołnierzyku. - Więc powiedz mi, co to jest.

Na jego górnej wardze zebrał się pot, a mocno zaciśnięte szczęki lekko się poluzowały.

- Pan tu wtargnął - powiedział.

Uniosłem brew.

- Tylko tyle potrafisz wymyślić? No dobra, Danny. Zeskoczyłem z biurka.

Odchylił się na swoim fotelu i odsunął się ode mnie, ale ja ruszyłem w stronę drzwi. Odwróciłem się do niego.

- Za pięć minut zatelefonuję do Trevora Stone'a, aby mu powiedzieć, że jego prawnik pieprzy jego córkę, czy mam mu przekazać jeszcze coś od ciebie?

- Nie zrobisz tego.
- Nie? Mam zdjęcia, Danny.

Uwielbiam blefy, które działają.

Daniel Griffin podniósł rękę i kilka razy przełknął ślinę. Wstał tak raptownie, że krzesło odjechało od biurka, położył na chwilę dłonie na blacie i łapczywie wdychał tlen z powietrza.

- Pracujesz dla Trevora? - zapytał.

- Pracowałem - powiedziałem. - Już nie pracuję. Ale wciąż mam numer jego telefonu.

- Czy jesteś - zapytał podnosząc głos - lojalny wobec niego?

- Ty nie - zachichotałem.

- Jesteś?

Pokręciłem głową.

- Nie lubię go i nie lubię jego córki, i o ile mi wiadomo, oboje chcą, abym był martwy dziś przed szóstą wieczór.

Pokiwał głową.

- To niebezpieczni ludzie.

- Czyżby, Danny? Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem. Co masz zrobić dla Desiree?

- Ja...

Potrząsnął głową i podszedł do małej lodówki w kącie gabinetu. Pochylił się, a ja wyciągnąłem pistolet i odbezpieczyłem go.

Ale wyjął tylko butelkę wody Evian. Wypił połowę i wytarł usta grzbietem dłoni. Oczy mu się rozszerzyły, gdy zobaczył pistolet. Wzruszyłem ramionami.

- To podły, zły człowiek, który niedługo umrze - powiedział. - Muszę myśleć o przyszłości. Muszę myśleć o tym, kto będzie zarządzał jego pieniędzmi, kiedy odejdzie. Kto będzie kontrolował jego sakiewkę, jeśli wolisz.

- Wielką sakwę - powiedziałem.

- Tak. Miliard sto siedemdziesiąt pięć milionów, to ostatnie podliczenie.

Ta kwota nieco mnie oszołomiła. Pewną ilość pieniędzy można sobie wyobrazić w postaci pełnej ciężarówki lub skarbca bankowego. Ale istnieją takie sumy, których w ogóle nie sposób sobie wyobrazić.

- To nie jest sakwa - powiedziałem. - To dochód narodowy.

Pokiwał głową.

- I coś z tym trzeba zrobić po jego śmierci.

- Jezu - zrozumiałem. - Chcesz zmienić jego testament.

Oderwał ode mnie wzrok i skierował go w stronę okna.

- Albo już go zmieniłeś - powiedziałem. - Zmienił swój testament po zamachu na jego życie, prawda?

Patrzył na State Street, potem na City Hall Plaza i w końcu pokiwał głową.

- Wykluczył z niego Desiree?

Znowu kiwnięcie.

- Komu teraz przypadną pieniądze?

Cisza.

- Komu teraz przypadną pieniądze, Daniel?

Machnął ręką.

- Różnym grupom interesu - zasilą uniwersytety, biblioteki, badania naukowe, tym podobne przedsięwzięcia.

- Bzdura. Nie jest aż tak wspaniałomyślny.

- Dziewięćdziesiąt dwa procent ma być przekazane prywatnemu trustowi jego imienia. Jako jego prawnik będę miał pełnomocnictwo, aby odpisywać co roku pewien procent dochodów z tego trustu i przekazywać firmom na badania medyczne. Reszta pozostanie w gestii trustu oraz będzie gromadzona w postaci odsetek.

- Jakie to będą badania medyczne?

Odwrócił się od okna.

- Badania nad kriogenicą. Niemal się roześmiałem.

- Ten obłąkany drań chce się zamrozić?P

Pokiwał głową.

- Do czasu, gdy znajdzie się lekarstwo na raka. Wtedy wyzdrowieje i nadal będzie jednym z najbogatszych ludzi na świecie, ponieważ same odsetki od jego kapitału pozwolą uchronić majątek przed inflacją aż do roku trzy tysiące.

- Poczekaj chwilę - powiedziałem. - Jeżeli umrze, czy tam się zamrozi, w jaki sposób będzie pilnował swoich pieniędzy?

- Jak może powstrzymać mnie czy moich spadkobierców od kradzieży jego pieniędzy?

- Właśnie.

- Prywatna firma księgowa.

Oparłem się o ścianę i zamyśliłem się.

- Ale ta prywatna firma księgowa zacznie działać dopiero wtedy, gdy on umrze lub się zamrozi. Tak?

Zamknął oczy i pokiwał głową.

- A kiedy zamierza się zamrozić?

- Jutro.

Roześmiałem się. To był totalny absurd.

- Proszę się nie śmiać. On jest szalony. Ale nie można go lekceważyć. Ja nie wierzę w kriogenicę. Ale co będzie, jeżeli się okaże, że to ja się mylę, a on ma rację, panie Kenzie? Będzie tańczył na naszych grobach.

- Chyba że zmienisz jego testament - powiedziałem. - To jedyna luka w jego planie, nieprawdaż? Nawet jeśli sprawdzi swój testament, zanim zanurzy się w zamrażarce, czy jak to się tam nazywa, i tak możesz go zmienić lub zastąpić innym, prawda?

Pociągnął łyk wody z butelki.

- To delikatna sprawa, ale możliwa.

- Wspaniale. Gdzie jest teraz Desiree?

- Nie mam pojęcia.

- Dobra.

Bierz płaszcz.

- Co?

- Idziesz ze mną, Danielu.

- Mam dużo pracy. Mam spotkania. Mam...

- A ja mam kilka kul w mojej spluwie, a one też dopominają się o spotkanie. Rozumiesz mnie?

37

Zamówiliśmy taksówkę na State Street i ruszyliśmy pod prąd porannego korka ulicznego w stronę Dorchester.

- Jak długo pracujesz dla Trevora? - zapytałem.

- Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

- Dłużej niż ćwierć wieku - skonstatowałem.

Pokiwał głową.

- Jednak sprzedałeś się w ciągu kilku godzin wczoraj w nocy za możliwość dotknięcia ciała jego córki.

Pochylił się i zaczął poprawiać mankiety swoich spodni, aż spoczęły na lśniących pantoflach.

- Trevor Stone - powiedział i przełknął ślinę - jest potworem. Traktuje ludzi jak towar. Gorzej niż towar. Kupuje, sprzedaje, handluje nimi, wyrzuca na śmietnik, kiedy już nie są mu do niczego potrzebni. Przyznaję, długi czas myślałem, że jego córka jest inna. Kiedy po raz pierwszy się kochaliśmy...

- Kiedy to było?

Podciągnął krawat.

- Siedem lat temu.

- Miała wtedy szesnaście lat.

Popatrzył na potężny korek na pasie prowadzącym w przeciwną stronę.

- Myślałem, że jest darem niebios. Nieskazitelna, młoda, czuła piękność, która ma to wszystko, czego brakuje jej ojcu. Jednak z czasem spostrzegłem, że udaje. Właśnie taka jest, lepsza aktorka niż jej ojciec. Ale to nie ma znaczenia. Będąc już starym człowiekiem, który dawno temu stracił niewinność, przemyślałem swoje perspektywy w zaistniałej sytuacji i wziąłem to, co jeszcze mogłem wziąć. Ona wykorzystuje mnie, a ja ją i oboje modlimy się o śmierć Trevora. - Uśmiechnął się do mnie. - Może i nie jest lepsza od swojego ojca, ale ładniejsza i znacznie fajniejsza w łóżku.

Nelson Ferrare spojrział na mnie zaczerwienionymi oczami, po czym przeciągnął

się, aż zatrzeszczał na nim T-shirt. Zza jego pleców dobiegł mnie zapach starego potu i nieświeżego jedzenia, który przenikał jego mieszkanie jak gorączka.

- Chcesz, żebym pilnował tego gościa?

Daniel Griffin wyglądał na przerażonego, jednak moim zdaniem to nie Nelson wzbudzał w nim strach, chociaż powinien, ale mieszkanie Nelsona.

- Tak. Do północy. Trzysta baksów.

Wyciągnął rękę, a ja położyłem na niej banknoty.

Odsunął się od drzwi.

- Właż, staruszk - powiedział.

Przepchnąłem Daniela Griffina przez próg, a on, potykając się, wylądował w pokoju.

- Możesz go do czegoś przytroczyć, jeśli chcesz, Nelson. Ale nie zrób mu krzywdy. Najmniejszej.

Nelson ziewnął.

- Za trzysta baksów zrobię mu nawet śniadanie. Jaka szkoda, że fatalnie gotuję.

- To przerażające! - zawołał Griffin.

- O północy puść go wolno - instruowałem Nelsona. - Do zobaczenia.

Nelson odwrócił się i zamknął za mną drzwi. Idąc korytarzem, usłyszałem jeszcze jego głos przez cienkie ściany bloku.

- W tym domu panuje jedna prosta zasada, staruszk: jeśli dotkniesz mojego pilota, oberżnę ci łapę starą piłą.

Wróciłem metrem do centrum po swój samochód, który stał w garażu na Cambridge Street. Był to porsche rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci, którego remontowaniem zajmowałem się mniej więcej w tym samym czasie co Jay swoim falconem - przez wiele lat wymieniałem część po części, zanim można było nim jeździć. I po jakimś czasie okazało się, że dumą nappełniała mnie włożona w niego praca, a nie rezultat. Mój ojciec powiedział mi kiedyś, pokazując dom, przy którego budowie pracował, zanim został strażakiem: Ten dom głównie mnie obchodzi, ale czy widzisz, Patrick, tamtą cegłę? I cały rząd cegieł na drugim piętrze? To ja je kładłem. Po raz pierwszy dotknęły ich moje palce. I te cegły mnie przeżyją.

I rzeczywiście przeżyły. Praca i jej efekty zawsze przeżyją tych, którzy się trudzili, co może potwierdzić duch każdego egipskiego niewolnika.

I może właśnie tego, pomyślałem, ściągając płachtę ze swojego samochodu, nie

może przeboleć Trevor. Bo o ile się orientowałem w interesach, które prowadził (mogłem się oczywiście mylić, zważywszy ich różnorodność), jego szansa na nieśmiertelność była bardzo wątpliwa. Nie wydawał się typem budowniczego. Był sprzedawcą i kupcem, a także wyzyskiwaczem, ale po ziarenkach kawy El Salvadoran i zyskach, jakie przynosiły, nic nie zostanie, kiedy kawa zostanie już wypita, a pieniądze wydane.

Jakie budynki noszą odciski twoich palców, Trevorze?

Jakie kochanki zachowają we wdzięcznej pamięci twoją twarz?

Jakie ślady zostawisz po sobie na tej ziemi?

Kto będzie opłakiwał twoją śmierć?

Nikt.

Wyjąłem ze schowka telefon komórkowy i zadzwoniłem na komórkę Angie, którą miała ze sobą w crown victorii. Nie odebrała jednak.

Zaparkowałem pod domem, włączyłem alarm, poszedłem na górę i zacząłem czekać.

W ciągu dwóch następnych godzin telefonowałem do niej dziesięć razy, sprawdziłem nawet swój telefon, aby się upewnić, że jest włączony. Był.

Pomyślałem, że może wyczerpała się bateria w jej komórce.

Ale w takim razie powinna podłączyć ładowarkę do gniazdka na zapalniczkę w samochodzie.

Nie mogłaby jednak tego zrobić, gdyby była poza autem.

Ale wtedy powinna do mnie zadzwonić.

Ale może nie miała czasu, albo w pobliżu nie było żadnej budki telefonicznej.

Aby się odprężyć, przez kilka minut oglądałem *Monkey Business*, ale nawet widok Harpo goniącego po oceanicznym liniowcu jakieś kobiety i czterech braci Marx naśladowujących Maurice'a Chevaliera, aby wydostać się z łódki ze skradzionym piosenkarzowi paszportem, nie przykuł mojej uwagi.

Wyłączyłem telewizor i odtwarzacz wideo i jeszcze raz zadzwoniłem na komórkę Angie.

Odpowiedzi nie było.

I tak przez całe popołudnie. Brak odpowiedzi. Tylko dzwonki po drugiej stronie linii i dzwonki w mojej głowie.

I cisza, która przychodziła potem. Głośniejsza, szydercza cisza.

38

Ta cisza towarzyszyła mi podczas jazdy do Whittier Place, gdzie o szóstej po południu miałem się spotkać z Desiree.

Angie była nie tylko moją współniczką. Nie tylko najlepszą przyjaciółką. I nie tylko kochanką. Oczywiście była dla mnie tym wszystkim, ale między nami istniało jeszcze coś znacznie ważniejszego. Od czasu tamtej nocy, kiedy znowu zostaliśmy kochankami, zaczęło do mnie docierać, że to, co działo się między nami - co najprawdopodobniej łączyło nas już od dzieciństwa - było nie tylko wyjątkowe; to było święte.

Angie była prawie wszystkim u początków mojego życia i wszystkim u jego kresu.

Bez niej - bez świadomości, gdzie jest i jak się ma - nie byłem nawet połową siebie; byłem niczym.

Desiree. Nie miałem wątpliwości, że za tą ciszą stoi Desiree. Jak tylko ją zobaczę, przestrzelę jej kolano i zadam kilka pytań.

Jednak mój wewnętrzny głos rozsądku podpowiadał mi, że Desiree jest sprytna. Pamiętam, co powiedziała Angie - Desiree zawsze działa z premedytacją. Jeżeli to ona jest odpowiedzialna za zniknięcie Angie, jeżeli trzyma ją gdzieś związaną, zapewne zechce jej użyć jako monety przetargowej. Nie mogła jej tak po prostu zabić. Nie miałyby z tego żadnej korzyści. Nic by nie zyskała.

Zjechałem z autostrady na Storow Drive, skręciłem w prawo, aby zatoczyć koło na Leverett Circle i wjechać na teren Whittier Place. Zanim jednak zdecydowałem się zrobić rundkę na rondzie, zjechałem na bok, zgasilem silnik i przez chwilę rozważałem swoje szanse, próbowałem się uspokoić, ostudzić krew gotującą się w moich żyłach, pomyśleć.

Celtowie, wyszeptaj mój wewnętrzny głos, pamiętaj o Celtach, Patrick. Byli szaleni. Mieli gorącą krew. Twoi przodkowie, postrach Europy sto lat przed Chrystusem. Nikt nie mógł się z nimi równać. Szaleni i gorąckrwiści, rzucali się do bitwy pomalowani na niebiesko i z erekcją. Wszyscy bali się Celtów.

Dopóki nie zjawił się Cezar. Juliusz Cezar zapytał swoich ludzi, co znaczą te

wszystkie bzdury o siejących postrach dzikusach w Galii, Germanii, Hiszpanii i Irlandii? Rzymianie przecież nikogo się nie boją.

To zupełnie tak jak Celtowie, odpowiedzieli jego ludzie.

Ślepa odwaga, powiedział Cezar, nie ma nic wspólnego z inteligencją.

I posłał pięćdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy na spotkanie z ćwierć milionem Celtów pod Alezją.

A oni przybyli z nabiegłymi krwią oczami. Przybyli nadzy, wyjący z wściekłości, z erekcją, kompletnie lekceważąc przeciwnika.

I wojska Cezara po prostu zmiotły ich z powierzchni ziemi.

Dzięki zastosowaniu precyzyjnych manewrów taktycznych i bez emocji wojska Cezara pokonały napalonych, zdolnych do wszystkiego i nieustraszonych Celtów.

Kiedy Cezar przejeżdżał w triumfalnym pochodzie przez ulice Rzymu, głosił wszem i wobec, że nigdy nie spotkał mężniejszego wodza niż Wercyngetoryks, przywódca Celtów galijskich. I może chcąc pokazać, co naprawdę myśli o czystym męstwie, podczas całej parady wymachiwał obciętą głową Wercyngetoryksa.

Po raz kolejny rozum pokonał odwagę. Umysły zwyciężyły serca.

Głupotą byłoby szarżować jak Celtowie, przestrzelić Desiree kolano i oczekiwać rezultatów. Desiree była taktykiem. Desiree była Rzymianinem.

Kiedy tak siedziałem w samochodzie, a z prawej strony płynęły ciemne wody rzeki Charles, moja kipiąca krew schłodziła się do temperatury lodu. Puls mi zwolnił. Ustąpiło drżenie rąk.

To nie będzie walka na pięści, powiedziałem sobie. Ze zwycięskiej walki na pięści wychodzisz cały pokrwawiony, twój przeciwnik zwykle jeszcze bardziej, ale ciągle jest gotowy do następnej potyczki, gdy tylko przyjdzie mu ochota.

To jest wojna. Wojnę wygrywa ten, kto obetnie przeciwnikowi głowę. Koniec sprawy.

- Jak się masz? - zapytała Desiree, gdy dziesięć minut później wyszła z Whittier Place.

- Doskonale.

Uśmiechnąłem się.

Zatrzymała się przy moim samochodzie i gwizdnęła z podziwu.

- Jest cudowny. Żałuję, że nie jest cieplej, aby można było opuścić dach.

- Ja też.

Zanim otworzyła drzwi, przeciągnęła dłonią po karoserii, potem wsiadła i cmoknęła mnie w policzek.

- Gdzie twoja współpracowniczka?

Wyciągnęła rękę i pieszczotliwie dotknęła obłożonej drewnem kierownicy.

- Postanowiła zostać jeszcze kilka dni na słońcu.

- Widzisz? Mówiłam ci. Zmarnowałeś darmowy bilet lotniczy.

Wyprysnęliśmy na autostradę, przecinając nieprawidłowo jeden pas jezdni, na co kilka samochodów zareagowało wyciem klaksonów.

- Podoba mi się, jak prowadzisz, Patrick. Bardzo po bostońsku.

- To cały ja - pokiwałem głową. - Bostończyk do szpiku kości.

- Mój Boże - powiedziała. - Posłuchaj tylko silnika! Mruczy jak leoparda.

- Właśnie dlatego go kupiłem. Uwielbiam pomruki leoparda.

Zaśmiała się gardłowo.

- Nie wątpię.

Skrzyżowała nogi i rozsiadła się wygodnie w fotelu. Miała na sobie granatowy sweter z kaszmiru z szerokim golfem, niebieskie dżinsy i brązowe mokasyny z miękkiej skórki. Jej perfumy pachniały jaśminem. Włosy wydawały woń świeżych jabłek.

- No jak - odezwałem się po chwili - dobrze się bawiłaś po powrocie?

- Bawiłam? - Potrząsnęła głową. - Odkąd wylądowałam, nie wytknęłam nawet nosa z tego mieszkania. Tak się bałam, że wyszłam dopiero na spotkanie z tobą. - Wyciągnęła z torebki paczkę dunhilli. - Mogę zapalić?

- Jasne. Lubię ten zapach.

- Były palacz?

Wcisnęła zapalniczkę na desce rozdzielczej.

- Wolę określenie wyleczony z nikotynowego uzależnienia.

Przejechaliśmy przez Charlestown Tunnel i skierowaliśmy się w stronę światła Tobin Bridge.

- Uważam, że nie powinno się tak potępiać ulegania nałogom.

- Czyżby?

Zapaliła papierosa i mocno zaciągnęła się dymem.

- Oczywiście. Wszyscy umrzemy. Czyż nie?

- Tak mi się wydaje.

- Dlaczego więc nie używać tego, co i tak cię kiedyś zabije? Dlaczego wykluczamy

pewne rzeczy - heroinę, alkohol, seks, nikotynę, skakanie na bungee i co tam jeszcze cię kręci - i demonizujemy je, podczas gdy obłudnie korzystamy z dobrodziejstw miast zatrutych spalinami i smogiem, jemy niezdrową żywność, czyż nie żyjemy pod koniec dwudziestego wieku w najbardziej uprzemysłowionym kraju na tej planecie?

- Zgadza się.

- Jeżeli umrę od tego - uniosła papieros - to przynajmniej będzie to mój wybór. Nie będę się skarżyć. Poza tym trzymam rękę na pulsie i kontroluję, kiedy nastąpi mój koniec. Najgorsze byłoby zginąć pod ciężarówką podczas joggingu w drodze na seminarium dla wegetarianów.

Mimo woli roześmiałem się.

- Oryginalny punkt widzenia.

Wjechaliśmy na Tobin Bridge, a jego widok przypomni mi Florydę, podobnie jak pieniąca się pod nami woda. Ale nie tylko Florydę. To tutaj zginęła Inez Stone, rozpaczliwie krzycząc, kiedy kule wchodziły w jej ciało i narządy wewnętrzne, patrząc w twarz obłądu i matkobójstwa, którego może była świadoma, a może nie.

Inez. Czy jej śmierć była częścią planu, czy jednak nie?

- Czy moja filozofia jest nihilistyczna? - zapytała Desiree.

Potrząsnąłem głową.

- Fatalistyczna. Zakonserwowana w sceptycyzmie.

Uśmiechnęła się.

- Podoba mi się to określenie.

- Do usług.

- Przecież i tak wszyscy umrzemy - powiedziała Desiree i pochyliła się do przodu. - Czy tego chcemy, czy nie chcemy. To normalna konsekwencja życia.

Wyciągnęła rękę i rzuciła mi na kolana coś miękkiego.

Musiałem dojechać do latarni na moście, żeby zobaczyć, co to takiego, ponieważ tkanina była ciemna.

Na moich kolanach leżał T-shirt. Z białym napisem FURY IN THE SLAUGHTERHOUSE. Rozdarty z przodu z prawej strony, w miejscu, gdzie znajdowała się klatka piersiowa osoby, która go nosiła.

Desiree przyłożyła pistolet do moich jąder, nachyliła się i przesunęła językiem po zewnętrznej części mojego ucha.

- Ona nie jest na Florydzie - powiedziała. - Jest gdzieś w dziurze. Jeszcze żyje, ale zginie, jeśli nie zrobisz tego, co ci każę.

- Zabiję cię - wyszeptalem, gdy zaczęliśmy zjeżdżać z mostu na drugą stronę rzeki.
- Wszyscy faceci mi to mówią.

Kiedy jechaliśmy wzdłuż Marblehead Neck, a w dole grzmiał i rozbijał się o skały ocean, na chwilę usunąłem ze swojej głowy obrazy Angie i przegnałem czarne chmury zmartwienia, które omal mnie nie udusiły.

- Desiree.

- To moje imię.

Uśmiechnęła się.

- Chcesz śmierci swojego ojca - powiedziałem. - W porządku. To ma jakiś sens.

- Dziękuję.

- Dla socjopaty.

- Co za elegancki język.

- Ale twoja matka - mówiłem dalej. - Dlaczego musiała zginąć?

Jej głos zabrzmiał lekko.

- Wiesz, jak to bywa między matkami i córkami. Cała ta tłumiona zazdrość.

Wszystkie opuszczone szkolne przedstawienia i kłótnie nad wieszakami na ubrania.

- Ale konkretnie - poprosiłem.

Przez chwilę bębniła palcami po lufie pistoletu.

- Moja matka - odezwała się - była piękną kobietą.

- Wiem. Widziałem fotografie.

Parsknęła.

- Zdjęcia nic nie mówią. Zdjęcia pokazują tylko zatrzymaną chwilę. Moja matka nie była tylko fizycznie piękna, kutasie. Była wcieloną elegancją. Była chodzącym wdziękiem. Kochała bez uprzedzeń.

Gwałtownie wciągnęła w płuca powietrze.

- Więc dlaczego musiała zginąć?

- Kiedy byłem mała, mama wzięła mnie pewnego razu do centrum miasta. Dzień dla dziewcząt, tak to określiła. Zrobiłyśmy sobie piknik w Common, poszłyśmy do muzeum, wypiliśmy herbatę w Ritzu, pływałyśmy łódką w kształcie łabędzia po ogrodzie miejskim. To był cudowny dzień. - Wyjrzała przez okno. - Gdzieś koło godziny trzeciej spotkałyśmy tego chłopczyka. Był w moim wieku - miał jakieś dziesięć, jedenaście lat. Był Chińczykiem i płakał, ponieważ ktoś z przejeżdżającego autobusu rzucił kamieniem, który trafił go w oko. I wtedy moja matka, nigdy tego nie zapomnę, przytuliła go do piersi i płakała razem z nim. W ciszy. Łzy spływały jej po

policzkach, a krew chłopca poplamiała jej bluzkę. Taka była moja matka, Patrick. - Odwróciła głowę w moją stronę. - Płakała nad obcymi ludźmi.

- I dlatego ją zabiłaś?

- Nie zabiłam jej - syknęła.

- Nie?

- Samochód się wywrócił, kretynie! Rozumiesz? Tego nie było w planie. Nie powinno jej być wtedy z Trevorem. Nie miała umrzeć.

Zakaślała głośno w zwiniętą pięść i zachłysnęła się gęstym, mokrym oddechem.

- To była pomyłka - powiedziałem.

- Tak.

- Kochałaś ją.

- Tak.

- Więc jej śmierć cię zraniła - powiedziałem.

- Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

- To dobrze - powiedziałem.

- Dobrze, że zginęła, czy dobrze, że jej śmierć mnie dotknęła?

- I jedno, i drugie - powiedziałem.

Gdy wjechaliśmy na podjazd prowadzący do rezydencji Trevora Stone'a, otworzyła się przed nami olbrzymia brama z kutego żelaza. Kiedy ją minąłem, zamknęła się za nami, a światła samochodu wydobyły z mroku starannie przycięte krzaki i krzewy, potem skręciliśmy w lewo na wysypaną białym żwirem alejkę biegnącą wokół owalnego trawnika z gigantycznym poidłem dla ptaków na środku, a następnie łagodnym łukiem skierowaliśmy się w prawo na główny podjazd. Rezydencja znajdowała się jakieś sto metrów przed nami, jechaliśmy do niej aleją białych dębów, które wznosiły się dumnie i groźnie niby wartownicy rozstawieni co pięć metrów.

Kiedy byliśmy już na końcu drogi, Desiree powiedziała:

- Nie zatrzymuj się. Jedź tam - i wskazała ręką, dokąd miałem jechać.

Objechałem fontannę, która nagle rozbłysła żółtymi strumieniami światła przecinającymi strugi spienionej wody. Na jej szczycie górowała brązowa figura nimfy, która obracała się bardzo powoli, a jej martwe oczy w cherubinowej twarzy śledziły każdy mój ruch, kiedy przejeżdżałem obok.

Droga skręciła ostro na rogu budynku i wjechałem w sosnowy lasek, w którym

stała przebudowana stodoła.

- Zatrzymaj się tutaj - poleciła Desiree i wskazała miejsce po lewej stronie stodoły. Zaparkowałem i zgasilem silnik.

Wyjęła kluczyki ze stacyjki i wysiadła, a następnie, celując we mnie z pistoletu, czekała, aż otworzę drzwi i też wyjdę za nią w wieczorny mrok. Z uwagi na wiatr wiejący znad oceanu powietrze było tu dwa razy chłodniejsze niż w mieście.

Dobiegł mnie charakterystyczny dźwięk odbezpieczanego pistoletu, odwróciłem głowę i spojrzałem w czarną lufę, za którą stał Julian Archerson.

- Dobry wieczór, panie Kenzie.

- Frankenstein - powiedziałem. - Miło cię widzieć, jak zwykle.

W zapadającym zmroku dostrzegłem wystający z kieszeni jego płaszcza jakiś chromowany przedmiot. Kiedy po chwili moje oczy przywykły do ciemności, zorientowałem się, że było to coś w rodzaju pojemnika z tlenem.

Desiree podeszła do Juliana i podniosła do góry plastikową rurkę, która zwisała z pojemnika, a następnie pociągnęła za nią, aż w ciemności pojawiła się żółta maska.

Podala mi ją i przekręciła pokrętło na pojemniku, a wtedy usłyszałem syk.

- Wdychaj to.

- Nie żartuj.

Julian szturchnął mnie lufą pistoletu w szczękę.

- Nie ma pan wyboru, panie Kenzie.

- Zrób to dla niej - powiedziała słodkim głosem Desiree. - Miłości twojego życia.

- Powoli - powiedziałem i wziąłem maskę.

- Co? - zapytała Desiree.

- Tak właśnie będziesz umierała, Desiree. Powoli.

Przyłożyłem maskę do twarzy, wziąłem głęboki oddech i natychmiast poczułem drętwienie w policzkach i opuszkach palców. Po drugim oddechu poczułem, jak drętwieją mi płuca, a po trzecim wszystko zrobiło się zielone, a potem czarne.

39

Pierwszą moją myślą po odzyskaniu świadomości było to, że jestem sparaliżowany.

Nie mogłem ruszać rękami. Nie mogłem ruszać nogami. Czułem całkowity bezwład nie tylko kończyn, ale także mięśni.

Otworzyłem oczy, kilkakrotnie zamrugałem powiekami, aby się pozbyć suchej skorupy, która, miałem wrażenie, uformowała się na moich gałkach ocznych. W polu widzenia pojawiła się uśmiechnięta twarz Desiree i natychmiast się rozplynęła. Potem zobaczyłem klatkę piersiową Juliana. Następnie lampę. I znowu klatkę piersiową Juliana. I jeszcze raz uśmiechniętą twarz Desiree.

- Cześć - powiedziała.

Pomieszczenie za nimi zaczęło nabierać kształtu, jakby nagle wszystko wypłynęło do mnie z ciemności i zatrzymało się gwałtownie za ich plecami.

Byłem w gabinecie Trevora, siedziałem na krześle w kącie po lewej stronie biurka. Z tyłu dobiegał mnie szum oceanu. Jakby na potwierdzenie tego, że naprawdę się ocknąłem, usłyszałem z prawej strony tykanie zegara. Odwróciłem głowę i spojrzałem. Dziewiąta. Byłem nieprzytomny dwie godziny.

Spojrzałem w dół na swoją pierś i zobaczyłem tylko biel. Moje ręce były przytwierdzone do oparcia krzesła, a nogi do wewnętrznej strony jego nóg. Byłem skrupowany prześcieradłami, z których jedno zakrywało moją pierś i uda, a drugie dolną część nóg. Nie czułem żadnych węzłów i domyśliłem się, że oba prześcieradła związane z tyłu krzesła. Jednym słowem, zostałem potraktowany jak mumia, unieruchomiony od szyi w dół w taki sposób, że w razie autopsji, co Desiree z całą pewnością brała pod uwagę, na moim ciele nie będzie żadnych śladów po związaniu, odcisków sznura czy otarć po kajdankach.

- Żadnych śladów - powiedziałem. - Bardzo dobrze.

Julian wykonał gest, jakby zdejmował z głowy kapelusz.

- Nauczyłem się tego w Algierii - pochwalił się. - Dawno temu.

- Podróże kształcą - powiedziałem. - To mi się podoba u Frankensteina.

Desiree podeszła do mnie i usiadła na blacie biurka, dłonie włożyła pod uda i zaczęła machać nogami jak mała dziewczynka.

- Cześć - przywitała się znowu, słodko i niefrasobliwie.

- Cześć.

- Czekamy na mojego tatę.

- Aha. - Spojrzałem na Juliana. - Jeżeli Frankenstein jest tutaj, a Baniak nie żyje, to kto jest z twoim ojcem w mieście?

- Biedny Julian - powiedziała Desiree - zachorował dzisiaj na gripę.

- Przykro mi, Frankenstein.

Julian zacisnął usta.

- Aby pojechać do miasta, tatuś musiał skorzystać dzisiaj z prywatnego serwisu z limuzyną.

- Na Boga! - zawołałem. - Co powiedzą sąsiedzi? To dopiero.

Wyciągnęła dłonie spod ud, wyjęła z kieszeni paczkę dunhilli i zapaliła papierosa.

- Już się domyślasz, Patrick?

Przekrzywiłem głowę i spojrzałem na nią.

- Zastrzelisz Trevora, zastrzelisz mnie i upozorujesz wszystko tak, aby wyglądało na to, że pozabijaliśmy się nawzajem.

- Coś w tym guście.

Podciągnęła lewą nogę na blat, potem prawą i usiadła na biurku po turecku, przyglądając mi się przez kółka dymu z papierosa, które zdmuchiwała w moją stronę.

- Policja z Florydy potwierdzi, że przeprowadziłem tam coś w rodzaju prywatnej wendety i miałem jakąś obsesję na punkcie twojego ojca, więc odmalują mnie jako paranoika lub kogoś jeszcze bardziej szalonego.

- Zapewne.

Strząsnęła popiół na podłogę.

- Rany, Desiree, wszystko układa się po twojej myśli.

Ukloniła mi się lekko.

- Jak zwykle. Wcześniej czy później. To Price miał tu siedzieć na twoim miejscu, ale się zbiesił i musiałam improwizować. Następnym miał być Jay, ale zaszły kolejne komplikacje i znowu musiałam improwizować. - Westchnęła i zgasiła papierosa na blacie biurka. - Ale nic nie szkodzi. Improwizowanie to jedna z moich specjalności.

Odchyliła się do tyłu i posłała mi szeroki uśmiech.

- Zacząłbym klaskać - powiedziałem - ale jestem chwilowo do tego niezdolny.

- Liczą się intencje - powiedziała.
- Ponieważ na razie siedzimy tu bezczynnie i czekamy, aż zamordujesz swojego ojca i mnie, chciałbym cię o coś zapytać.
- Wał, dziecinko.
- Price wziął pieniądze, które razem ukradliście, i schował je. Tak?
- Tak.
- Ale dlaczego mu na to pozwoliłaś, Desiree? Dlaczego nie wyciągnęłaś mu z gardła informacji, gdzie są, i nie zabiłaś go?
- On był bardzo niebezpiecznym facetem - powiedziała i uniosła brwi.
- No dobrze, może i tak, ale daj spokój. Gdybyście mieli rywalizować ze sobą w tej dziedzinie, to założę się, że przy tobie wypadłby jak maminsynek.

Pochyliła się w moją stronę i spojrzała mi w oczy z nieukrywanym zadowoleniem. Potem wyprostowała się, podciągnęła nogi do góry i objęła dłońmi kostki.

- Tak, kiedy to było naprawdę konieczne, odzyskałam forszę w godzinę. Musiała się jednak pohać krew. Zresztą ten biznes Price'a z narkotykami nie był taki głupi, Patrick. Gdyby statek nie zatonął, zarobiłby w jeden dzień dziesięć milionów dolarów.

- A wówczas zabiłabyś go dopiero wtedy, gdy już pomnożyłby tę forszę?
- Pokiwała głową.
- Nieźle, co?
 - Ale tymczasem heroina wypłynęła na plażach Florydy...
 - I przekręt się nie udał, tak. - Zapaliła kolejnego papierosa. - Potem tatuś przysłał tam was, Cliftona i Cushinga, a Clifton i Cushing wykluczyli z gry Jaya i znowu musiałam improwizować.

- Jesteś w tym bardzo dobra, Desiree.

Uśmiechnęła się, otworzyła usta i przejechała koniuszkiem języka pod górnymi zębami. Opuściła nogi na podłogę i zeskoczyła z biurka, a potem zaczęła krążyć wokół mojego krzesła, paląc papierosa i przyglądając mi się rozpromienionym wzrokiem.

Po jakimś czasie zatrzymała się, oparła się znowu o biurko i zaczęła się wpatrywać we mnie swoimi jadesitowymi oczami.

Nie pamiętam, jak długo to trwało, ile czasu patrzyliśmy sobie w oczy, czekając, które pierwsze mrugnie. Chciałbym móc powiedzieć, że kiedy patrzyłem tak długo i głęboko w zielone, błyszczące oczy Desiree, zrozumiałem ją. Chciałbym powiedzieć, że poznałem naturę jej duszy, odkryłem jakąś więź łączącą nas dwoje, a także wszystkie inne ludzkie istoty. Chciałbym móc to wszystko powiedzieć, ale nie mogę.

Im dłużej patrzyłem, tym mniej widziałem. Porcelanowy jadeit niósł zapowiedź niczego. A zapowiedź niczego wiedzie do emanacji niczego. Może z wyjątkiem czystej chciwości, bezwstydnego pożądania, wypolerowanej duszy maszyny, która zna tylko pazerną drapieżność i niewiele ponad to.

Desiree zgasiła papierosa na biurku obok pierwszego peta i ukucnęła przede mną.

- Wiesz, Patrick, co w tym wszystkim jest naprawdę do dupy?

- Poza twoim sercem? - zapytałem.

Uśmiechnęła się.

- Poza tym. Do dupy jest to, że cię dziwnie polubiłam. Żaden mężczyzna nigdy mnie nie odrzucił. Nigdy. I to mnie bardzo podnieciło. Gdybyśmy mieli więcej czasu, przekonałabym cię do siebie.

Pokręciłem głową.

- Nie miałybyś szans.

- Czyżby? - Przynęła się bliżej i położyła mi głowę na kolanach. Oparła się na lewym policzku i spojrzała na mnie prawym okiem. - Przekonuję do siebie wszystkich. Pomyśl o Jayu.

- Przekonałaś do siebie Jaya? - zapytałem.

Otarła policzek o moje uda.

- Tak bym to ujęła.

- To dlaczego byłaś na tyle głupia, by na lotnisku powiedzieć mi o czerwonej linii?

Podniosła głowę.

- Wtedy coś cię tknęło?

- Od chwili gdy się spotkaliśmy, siedziałem obok ciebie na płocie, ale to straciło mnie na ziemię.

Cmoknęła językiem.

- Świetnie, punkt dla Jaya. Punkt dla Jaya. Zastawił na mnie pułapkę zza grobu, tak?

- Tak.

Znowu ukucnęła.

- Niech będzie. Niewiele mu to pomogło. Tobie też. - Wyprostowała się i przeciągnęła dłońmi po swoich włosach. - Zawsze jestem przygotowana na różne ewentualności, Patrick. Zawsze. Tego mnie nauczył ojciec. Nienawidzę tego kutasa, ale tego jednego mnie nauczył. Zawsze trzeba mieć rezerwowy plan. A czasami nawet jeszcze jeden.

- Mój ojciec nauczył mnie tego samego. Choć także nienawidzę tego kutasa.

Przechyliła głowę w prawo.

- Naprawdę?

- Tak, Desiree. Naprawdę.

- Czy on blefuje, Julian?

Odwróciła się przez ramię.

Na nieruchomej twarzy Juliana pojawił się grymas.

- Blefuje, kochanie.

- Blefujesz - powiedziała do mnie.

- Obawiam się, że nie - powiedziałem. - Kochanie. Miałaś dzisiaj jakieś wieści od prawnika swojego ojca?

Światła reflektorów oświetliły dom i usłyszeliśmy, jak opony samochodu zachręściły na żwirze.

- To pewnie twój ojciec - powiedział Julian.

- Wiem, kto to może być, Julianie.

Wpatrywała się we mnie, a mięśnie na jej zuchwie poruszały się niemal niezauważalnie.

Spojrzałem jej w oczy tak głęboko, jakbym patrzył w oczy kochanki.

- Zabijesz Trevora i mnie, upozorujesz to tak, jakbyśmy nawzajem się pozabijali, ale to wszystko na nic bez zmiany testamentu, Desiree.

Otworzyły się drzwi frontowe.

- Julian! - zawołał Trevor Stone. - Julian! Gdzie jesteś?

Opony odjechały po żwirze w stronę głównej bramy rezydencji.

- Gdzie on jest? - zapytała Desiree.

- Kto? - zdziwiłem się.

- Julian! - zawołał Trevor.

Julian ruszył w stronę drzwi.

- Zostań - rzuciła Desiree.

Julian zamarł w miejscu.

- Czy on potrafi też przewracać się na grzbiet i przynosić kość? - zapytałem.

- Julian! Chryste Panie, człowieku!

Niepewne kroki Trevora przybliżyły się na marmurowej posadzce w naszą stronę.

- Gdzie jest Danny Griffin? - zapytała Desiree.

- Rozumiem, że nie odpowiadał na twoje telefony.

Wyciągnęła spod swetra pistolet.

- Julian! Na Boga!

Ciężkie drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich Trevor Stone, opierając się na lasce; był w smokingu, na szyi miał biały jedwabny szalik, jego ciało drżało.

Desiree wycelowała w niego pistolet, ręce trzymała pewnie, klęcząc na podłodze.

- Cześć, tatusiu - przywitała go. - Dawno się nie widzieliśmy.

40

Nigdy nie widziałem, aby człowiek, w którego wycelowano pistolet, zachowywał się tak spokojnie jak Trevor Stone.

Popatrzył na córkę, jakby widzieli się zaledwie wczoraj, spojrzął na pistolet, jakby był prezentem, na którym mu nie zależało, wszedł do pokoju i skierował się w stronę biurka.

- Witaj Desiree. Opaliłaś się.

Poprawiła włosy i odwróciła głowę w jego stronę.

- Tak uważasz?

Spojrzenie zielonych oczu Trevora omiotło twarz Juliana i zatrzymało się na mnie.

- Widzę, panie Kenzie - zauważył - że pan także wrócił z Florydy bez szwanku.

- Mimo krępujących mnie prześcieradeł, czuję się znakomicie, Trevor - powiedziałem.

Przeszedł z drugiej strony biurka, położył dłoń na jego blacie, a następnie przysunął sobie wózek inwalidzki, który stał przy oknie, i usiadł. Desiree wykonała obrót na kolanach, cały czas mierząc w ojca z pistoletu.

- Widzę, Julianie - odezwał się Trevor, a jego dźwięczny baryton wypełnił gabinet - że postanowiłaś sprzymierzyć się z młodocianością.

Julian skrzyżował ramiona na piersi i spuścił głowę.

- To najbardziej pragmatyczna opcja, proszę pana. Jestem pewien, że pan to rozumie.

Trevor otworzył hebanową skrzyneczkę stojącą na biurku, a Desiree odbezpieczyła pistolet.

- To tylko cygaro, kochanie.

Wyciągnął kubańskie cygaro długości mojej łydki, odciął końcówkę i zapalił. Jego zapadnięte policzki pracowały jak miechy, z żarzącego się czubka popłynęły w górę małe kółka dymu, aż w końcu cygaro zaczęło się palić, a do moich nozdrzy dotarł przyjemny zapach przypominający zapach dębowych liści.

- Trzymaj ręce tak, żebym je widziała, tatusiu.

- Nawet nie pomyślałbym, aby mogło być inaczej - powiedział, pochylił się na oparciu wózka i wypuścił kółko dymu tuż nad swoją głową. - Przyszedł więc, aby dokończyć robotę, którą tych trzech Bułgarów sfuszowało w zeszłym roku na moście.

- Coś w tym rodzaju - przyznała.

Przechylił głowę i spojrział na nią kątem oka.

- Nie, dokładnie o to ci chodzi, Desiree. Pamiętaj, że jeżeli wypowiedasz się nieprecyzyjnie, twoje myśli także są nieprecyzyjne.

- Kodeks postępowania według Trevora Stone'a - zwróciła się do mnie.

- Panie Kenzie - powiedział, wpatrując się w kółka dymu - czy przeleciał pan moją córkę?

- Tatusiu - upomniała go Desiree. - Doprawdy.

- Nie - powiedziałem. - Nie miałem przyjemności. Co, jak myślę, odróżnia mnie od reszty panów w tym pokoju.

Na jego zniekształconych ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Ach, więc fantazje Desiree o naszym kazirodczym stosunku nadal żyją.

- Sam mnie tego nauczyłś, tatusiu: jeżeli coś się sprawdza, należy to stosować.

Trevor puścił do mnie oko.

- Nie jestem bez grzechu, ale tej granicy nie przekroczyłem. - Odwrócił głowę. - A ty, Julianie, jak oceniasz umiejętności mojej córki w sypialni? Zadowolające?

- Dość - powiedział Julian i skrzywił się.

- Lepsze niż jej matki?

Desiree gwałtownie odwróciła głowę w stronę Juliana, a potem z powrotem w kierunku Trevora.

- Tego nie wiem o jej matce, proszę pana.

- Ależ, doprawdy. - Zachichotał. - Nie bądź taki skromny, Julianie. Z tego, co mi wiadomo, to ty jesteś ojcem jej dziecka, nie ja.

Julian zacisnął dłonie w pięści i lekko rozstawił nogi.

- Fantazjuje pan.

- Czyżby?

Trevor odwrócił się do mnie i mrugnął. Czulem się jak postać dramatu Noëla Cowarda uwspółcześnionego przez Sama Sheparda.

- Uważasz tatusiu, że to gra jakąś rolę? - zapytała Desiree. Stała na nogi. - Tak dalece nie obchodzą mnie uznawane powszechnie koncepcje właściwego i

niewłaściwego zachowania seksualnego, że mam to gdzieś.

Przeszła obok mnie, okrążyła biurko i stanęła za plecami ojca. Nachyliła się nad nim. Przyłożyła lufę pistoletu do jego lewej skroni, a następnie z całej siły przeciągnęła ją w prawo tak, że na czole Trevora pojawiła się cienka, krwawa linia.

- Co z tego, gdyby nawet Julian był moim biologicznym ojcem?

Trevor wpatrywał się w kroplę krwi, która skapnęła z jego czoła na cygaro.

- A teraz, tatusiu - powiedziała i uszczypnęła go w lewe ucho - pozwolisz, że przesunę cię na środek pokoju, abyszymogli być wszyscy razem.

Kiedy popychała wózek, Trevor nadal palił cygaro, starając się zachowywać tak samo obojętnie jak wtedy, gdy wszedł do gabinetu, ale zauważyłem, że ta sytuacja zaczyna już powoli na niego oddziaływać. Strach wyrzył swój ślad w jego dumnie wypiętej piersi, w odbiciu jego oczu i w ułożeniu zdeformowanej szczęki.

Desiree okrążyła z wózkiem biurko i ustawiła go z przodu, na wprost mnie, i obaj siedzieliśmy chwilę w milczeniu, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś wstaniemy.

- Jak się pan czuje, Kenzie? - zapytał Trevor. - Związany, bezbronny, rozmyślający nad tym, który oddech będzie pana ostatnim?

- Ty mi to powiedz, Trevor.

Desiree zostawiła nas samych i podeszła do Juliana, przez chwilę o czymś szeptała, ale jej pistolet cały czas był wycelowany w tył głowy ojca.

- Jesteś przebiegłym typkiem - powiedział Trevor, zniżając głos. - masz jakieś propozycje?

- O ile się nie mylę, Trevor, masz przejebane.

Machnął cygarem.

- Ty też, chłopcze.

- Chyba jednak trochę mniej.

Uniósł brwi i spojrzał na moje zmumifikowane ciało.

- Czyżby? Sądzę, że się mylisz. Ale gdybyśmy połączyli siły, moglibyśmy...

- Znałem kiedyś jednego faceta - powiedziałem. - Molestował swojego syna, kazał zabić żonę, wywołał wojnę gangów między Roxbury i Dorchester, w której zginęło co najmniej szesnaścioro dzieci.

- I? - zapytał Trevor.

- I lubiłem go bardziej niż ciebie - powiedziałem. - Wyjaśnię ci, dlaczego. W gruncie rzeczy on był bydlakiem i ty jesteś bydlakiem, więc to mi przypomina wybór między dwoma rodzajami choroby wenerycznej. Niemniej on był biedny,

niewykształcony, a społeczeństwo na milion sposobów dało mu odczuć, jak bardzo ma go w dupie. A ty, Trevor, miałeś wszystko, czego może tylko zapragnąć człowiek. I nie było ci dosyć. Kupiłeś sobie żonę tak jak się kupuje maciorę na wiejskim targu. Ze swojego dziecka zrobiłeś potwora. A ten facet, o którym mówiłem? Dobrze wiem, że był odpowiedzialny za śmierć co najmniej dwudziestu osób. A może nawet było ich więcej. I potraktowałem go jak psa. Bo tylko na to zasługiwał. A ty? Założę się, że nawet z kalkulatorem nie potrafiłbyś zliczyć ludzi, których śmierć masz na sumieniu, których życie zniszczyłeś lub uczyniłeś pasmem cierpień.

- Więc potraktujesz mnie jak psa, Kenzie?

Uśmiechnął się.

Potrząsnął głową.

- Nie. Raczej jak rekina, którego można złowić daleko na morzu. Wciągnąłbym cię do łodzi i walił pałką po głowie, aż byś stracił przytomność. Potem rozciąłbym ci brzuch, wrzucił z powrotem do wody i patrzył, jak większe rekiny pożerają cię żywcem.

- No, no - powiedział. - Czyż to nie byłby wspaniały widok?

Podeszła do nas Desiree.

- Wesoło wam, panowie?

- Pan Kenzie wyjaśniał mi właśnie subtelnosci Koncertu Brandenburskiego nr 2 Bacha w tonacji F-mol. Naprawdę zrewolucjonizował moją percepcję tego utworu, kochanie.

Poklepała go po skroni.

- To przyjemnie, tatku.

- Co zamierzasz z nami zrobić? - zapytał.

- Po tym, jak was zabiję?

- Właśnie się nad tym zastanawiałem. Nie rozumiem, dlaczego naradzasz się z moim ulubionym służącym, panem Archersonem, skoro wszystko idzie zgodnie z planem. Jesteś skrupulatna, Desiree, bo tak cię wychowałem. Jeżeli więc musisz się naradzać z panem Archersonem, to gdzieś tu jest przysłowiowa łyżka dziegciu w beczce miodu. - Spojrzał na mnie. - Czy to ma jakiś związek z przebiegłym panem Kenzie?

- Przebiegłym - powtórzyłem. - Użyłeś tego określenia już drugi raz.

- To ci się należy - zapewnił mnie.

- Patrick - zwróciła się do mnie Desiree - musimy o czymś porozmawiać, prawda?

Odwróciła głowę. - Julianie, możesz zawieźć pana Stone do spiżarni i tam go zamknąć?

- Do spiżarni! - zawołał Trevor. - Uwielbiam spiżarnię. Te wszystkie smakołyki w puszkach.

Julian położył ręce na ramionach Trevora. - Zna pan moją siłę. Proszę mnie nie zmuszać, abym jej użył.

- Nie ma mowy - zapewnił go Trevor. - Do przysmaków w puszkach, Julianie. Żwawo.

Julian wywiózł go z gabinetu i dobiegł mnie odgłos kółek skrzypiących na marmurowej posadzce, gdy jechali w stronę kuchni.

- Ach, te szynki! - krzyczał Trevor. - Te pory!

Desiree usiadła okrakiem na moich kolanach i przyłożyła pistolet do mojego lewego ucha.

- No to jesteśmy sami.

- Czy to nie jest romantyczne?

- A wracając do Danny'ego.

- Tak?

- Gdzie on jest?

- Gdzie jest moja współpracownica?

Uśmiechnęła się.

- W ogrodzie.

- W ogrodzie? - zdziwiłem się.

Pokiwała głową.

- Zakopana po szyję. - Wyjrzała przez okno. - Boże, mam nadzieję, że nie będzie dziś padał śnieg.

- Wykop ją - powiedziałem.

- Nie.

- No to pożegnaj się z Dannym.

W jej źrenicach zalśniły sztylety.

- Niech zgadnę - jeżeli nie zadzwonisz do określonej godziny, on umrze, bla, bla, bla.

Spojrzałem na zegar na ścianie, podczas gdy ona kręciła się na moich udach.

- W zasadzie, nie. Tak czy inaczej dostanie kulkę w głowę za jakieś trzydzieści minut.

Jej twarz na chwilę pobladła, ale natychmiast poczułem mocne pociągnięcie za włosy i szturchnięcie lufą pistoletu w ucho tak ostre, że omal nie przebiła mi się na drugą stronę.

- O ile nie zadzwonisz - powiedziała.

- Nie. Dzwonienie nie wchodzi w grę, ponieważ facet, który go pilnuje, nie ma telefonu. Jeżeli nie pojawię się za trzydzieści minut - nie, dwadzieścia dziewięć - w drzwiach jego mieszkania, świat będzie miał jednego prawnika mniej. Ale przecież kto by tam płakał po prawniku?

- A co będzie z tobą, jeżeli on zginie?

- Umrę - powiedziałem. - Co i tak przecież nastąpi.

- Zapomniałeś o swojej współpracownicy?

Wskazała głową w stronę okien.

- Daj spokój, Desiree. Przecież już ją zabiłaś.

Patrzyłem jej w oczy.

- Nie, nie zabiłam.

- Udowodnij to.

Zaśmiała się i zakołysała na moich udach.

- Pieprz się, koleś. - Wyciągnęła palec w stronę mojej twarzy. - Jesteś w sytuacji bez wyjścia, Patrick.

- Ty też, Desiree. Jeżeli stracisz prawnika, stracisz wszystko. Zabijesz ojca, zabijesz mnie i zostaniesz tylko z jednym milionem. A oboje wiemy, że to ci nie wystarczy. - Przechyliłem głowę i lufa pistoletu ześlizgnęła się z mojego ucha na policzek. - Dwadzieścia osiem minut - oznajmiłem. - Po tym czasie już przez resztę życia będziesz mogła tylko rozpamiętywać, jak blisko byłaś miliarda dolarów. I patrzeć, jak inni go wydają.

Rękojeścią pistoletu uderzyła mnie w czubek głowy tak mocno, że powietrze w pokoju na chwilę zrobiło się purpurowe, a wszystko wokół zawirowało.

Desiree zeskoczyła z moich kolan i wymierzyła mi policzek otwartą dłońią.

- Myślisz, że cię nie znam? - zawołała. - Co? Myślisz, że nie...

- Myślę, że zabraknie ci prawnika, Desiree. To właśnie myślę.

Kolejne uderzenie, w ślad za którym tym razem poszły w ruch paznokcie i rozorały mi skórę na lewym policzku.

Odbezpieczyła pistolet, przyłożyła mi lufę między oczy i krzyknęła prosto w moją twarz, a jej usta były ziejącą dziurą oszalałej, pokonanej zuchwałości. W kącikach jej

ust pieniała się ślina, krzyknęła znowu, palec obejmujący cyngiel zaczerwienił się. Echo jej wrzasków i pobrzmiwająca w nich wściekłość falowały wokół mojej głowy, paliły uszy.

- Umrzesz, ty pieprzony gnoju - powiedziała ochryplym, przerywanym głosem.

- Dwadzieścia siedem minut - powiedziałem.

Do gabinetu wpadł Julian, a Desiree wycelowała w niego pistolet.

Podniósł ręce w górę.

- Jakiś problem, proszę pani?

- Jak szybko możesz dojechać do Dorchester? - zapytała.

- W trzydzieści minut - odpowiedział.

- Masz na to dwadzieścia. Pokażemy panu Kenzie jego współniczkę w ogrodzie. -

Spojrzała na mnie. - A potem, Patrick, podasz nam adres swojego przyjaciela.

- Julian nigdy nie przekroczy drzwi jego mieszkania żywy.

Uniosła pistolet nad moją głowę, ale zatrzymała go w pół ciosu.

- To zmartwienie Juliana - syknęła. - Adres za pokazanie współniczki. Zgoda?

Pokiwałem głową.

- Rozwiąż go.

- Kochanie?

- Nie mów do mnie kochanie, Julian. - Nachyliła się z tyłu nad moim krzesłem. -

Rozwiąż go.

- To niemądre - powiedział Julian.

- Widzisz jakieś inne wyjście?

Julian nie odpowiedział.

Najpierw poczułem ulgę na piersi. Potem w nogach. Prześcieradła opadły i spoczęły na podłodze tuż przede mną.

Desiree zwała mnie z krzesła uderzeniem w tył głowy ręką pistoletu. Zaraz potem przyłożyła mi lufę do szyi.

- Idziemy.

Julian wziął z biblioteczki latarkę i otworzył drzwi balkonowe prowadzące na trawnik na tyłach rezydencji. Wyszliśmy za nim i skręciliśmy w lewo, podążając za kręgiem światła latarki, który tańczył tuż przed nim.

Ponieważ Desiree jedną ręką trzymała mnie z tyłu za włosy, a drugą przyciskała lufę pistoletu do mojej szyi, musiałem schylić się na wysokość jej wzrostu. Zeszliśmy z trawnika na dróżkę okrążającą stodołę, minęliśmy przewróconą taczkę, przeszliśmy

przez kępę drzew i znaleźliśmy się w ogrodzie.

Był ogromny, podobnie jak reszta posiadłości - co najmniej tak duży jak boisko do gry w baseball, otoczony z trzech stron na metr wysokim, pokrytym szronem żywopłotem. Przeszliśmy przez plastikową folię rozciągniętą przy wejściu i światło latarki Juliana wydobyło z ciemności zlodowaciałe grudy ziemi oraz sterczące tu i ówdzie żdźbła trawy, która była na tyle odporna, aby przeżyć zimę. Nagle po prawej stronie, tuż przy ziemi, coś się poruszyło i Desiree zatrzymała mnie w miejscu gwałtownym szarpnięciem za włosy. Krąg światła latarki powędrował w prawo, potem w lewo i niespodziewanie znalazł się w nim wychudzony zając z futrem zjeżonym od zimna, który szybko skrył się w pobliskim żywopłocie.

- Zastrzel go - powiedziałem do Desiree. - Może mieć trochę forsy.
- Zamknij się - warknęła. - Julian, pośpiesz się.
- Kochanie.
- Nie mów do mnie kochanie.
- Mamy problem, kochanie.

Odsunął się, a my spojrzeliśmy w oświetlony latarką pusty dół w ziemi, głęboki na jakieś półtora metra i szeroki na pół.

Dół mógł być kiedyś całkiem porządny, ale ktoś narobił okropnego bałaganu, wygrzebując się z niego. Ziemia była rozdrapana i porozrzucana wokół w szerokim promieniu. Ktoś nie tylko chciał się z niego za wszelką cenę wydostać. Ona była po prostu wściekła.

Desiree rozejrzała się w prawo i w lewo.

- Julian.
- Słucham.

Cały czas gapił się w dziurę.

- Kiedy ostatni raz ją sprawdzałeś?

Julian spojrzał na zegarek.

- Co najmniej godzinę temu.
- Godzinę.
- Do tej pory mogła już dotrzeć do telefonu - powiedział Julian.

Desiree skrzywiła się.

- Gdzie? Najbliższy dom znajduje się czterysta metrów stąd, a właściciele spędzają zimę w Nicei. Jest powalana ziemią. Jest...

- W tym domu - syknął Julian, oglądając się przez ramię na rezydencję. - Może

być w tym domu.

Desiree pokręciła głową.

- Jest nadal na zewnątrz. Wiem to. Czeka na swojego chłopaka. Prawda? - krzyknęła w ciemność. - Prawda?

Coś zaszeleściło z lewej strony. Dźwięk mógł dobiegać z za żywopłotu, ale ponieważ dwadzieścia metrów dalej szumiał ocean, nie sposób było go zidentyfikować.

Julian nachylił się nad żywopłotem.

- Nie wiem - powiedział wolno.

Desiree skierowała pistolet w lewo i wypuściła z ręki moje włosy.

- Reflektory. Możemy włączyć reflektory, Julianie.

- Naprawdę nie wiem - powiedział Julian.

Dobiegł mnie szept wiatru lub pomruk oceanu.

- Cholera - zaklęła Desiree. - Jak ona zdołała...

Usłyszeliśmy chlupoczący dźwięk, jaki wydaje but, kiedy ktoś wdepnie w kałużę lodowatej brei.

- O Boże - jęknął Julian i skierował światło latarki na swoją pierś i na dwa błyszczące ostrza ogrodowych nożyc, które sterczały wbite w jego mostek.

- O Boże - powtórzył, wpatrując się w ich drewniane uchwyty, jakby oczekiwał, że coś mu wyjaśnią.

Potem światło latarki runęło na ziemię, a on w ślad za nim. Czubki nożyc przebiły plecy, Julian zamrugał powiekami, oparł podbródek o ziemię i westchnął. Potem zapanowała cisza.

Desiree skierowała pistolet w moją stronę, ale broń wypadła jej z ręki, kiedy nasada węża ogrodowego trafiła ją w nadgarstek.

- Co? - zawołała i odwróciła głowę w lewo, w chwili gdy z ciemności wyłoniła się Angie, uwalana ziemią od stóp do głów, i przyłożyła Desiree w sam środek twarzy z taką siłą, że ta z całą pewnością straciła przytomność, zanim jej ciało dotknęło ziemi.

41

Stałem obok prysznic w łazience dla gości znajdującej się na parterze, woda obmywała ciało Angie, a resztki ziemi spływały do jej kostek i ginęły w odpływie kanalizacyjnym. Gdy tarła gąbką lewe ramię, mydlana piana skąpy wała po łokciu i wisiała tam chwilę w długich strzępach, po czym spadła do marmurowego brodzika. Potem Angie zabrała się za drugie ramię.

Od chwili kiedy tu przyszliśmy, już po raz czwarty szorowała każdą część swojego ciała, ale ja cały czas patrzyłem na nią jak urzeczony.

- Złamałaś jej nos - powiedziałem.

- Tak? Widzisz tu gdzieś szampon?

Nałożyłem na dłoń myjkę do twarzy i otworzyłem szafkę z kosmetykami. Potem owinałem myjką mały pojemnik z szamponem, wycisnąłem trochę żelu na dłoń i wróciłem do Angie.

- Odwróć się plecami.

Posłusznie się odwróciła, a ja pochyliłem się i zacząłem wcierać jej szampon we włosy. Gdy masowałem delikatnie jej czaszkę, czułem pod palcami mokre, splątane pasma i pianę przepływającą między palcami.

- Bardzo przyjemne uczucie - powiedziała.

- Nie żartuj.

- Bardzo źle wygląda?

Pochyliła się niżej, a ja wyplątałem palce z jej włosów, widząc, że uniosła ramiona i sama zaczęła je myć tak energicznie, jak ja nigdy nie ośmieliłbym się traktować własnego owłosienia, gdybym chciał, żeby po czterdziestce zostało mi jeszcze coś na głowie.

Spłukałem pod kranem szampon z dłoni.

- Co?

- Jej nos.

- Źle - powiedziałem. - Jakby miała ich co najmniej trzy.

Wróciłem do kabiny, gdy Angie włożyła już głowę pod prysznic i pienista mydlana

woda spływała jej po plecach na posadzkę.

- Kocham cię - powiedziała z zamkniętymi oczami i głową odchyloną do tyłu, płucząc sobie włosy na skroniach.

- Tak?

- Tak.

Pochyliła głowę do przodu i wyciągnęła rękę po ręcznik, który jej podałem.

Zakręciłem wodę, a ona wytarła twarz, zamrugnęła oczami i spojrzała na mnie. Prychnęła resztką wody z nosa i wytarła ręcznikiem szyję.

- Kiedy Frankenstein kopał dół, wykopał go za głęboko. Gdy mnie tam wrzucił, wyczułam pod stopami wystające z boku kamienie. Kilkanaście centymetrów od dna. Musiałam wyteńczyć wszystkie mięśnie, żeby utrzymać się na tym małym występie. Nie było to łatwe. Widziałam, jak ten drań rzuca na mnie łopatą ziemię z absolutnie beznamietną twarzą. - Opuściła ręcznik z piersi na talię. - Odwróć się.

Odwróciłem się twarzą do ściany, aby mogła wytrzeć resztę ciała.

- Dwadzieścia minut. Tyle mu zajęło zasypywanie dołu. Upewnił się jeszcze, że jestem unieruchomiona. Przynajmniej do wysokości ramion. Nawet nie mrugnął, gdy splunęłam mu w twarz. Wytrzesz mi plecy?

- Oczywiście.

Odwróciłem się, a ona podała mi ręcznik i wyszła z brodzika. Wytarłem grubym ręcznikiem jej ramiona, a potem całe plecy, podczas gdy ona wycisnęła w dłoniach włosy i odrzuciła je do tyłu.

- Chociaż ciągle stałam na tym maleńkim występie, pod nogami miałam już trochę ziemi. Początkowo nie mogłam się zupełnie ruszyć i okropnie się przeraziłam, ale potem przypomniałam sobie o czymś, co kazało mi stać przez dwadzieścia minut jedną nogą na tym kawałku kamienia, kiedy pan Chodząca Śmierć zakopywał mnie żywcem.

- Co to było?

Przytuliła się do mnie.

- Ty. - Dotknęła językiem mojego języka. - My. No wiesz. To. - Poklepała mnie po piersi i wzięła ręcznik. - I wtedy zaczęłam się wyginać i napinać, pod stopy osunęło mi się jeszcze trochę ziemi, a ja nie przestawałam się kręcić i, och, trzy godziny później poczułam, że jest jakiś postęp.

Uśmiechnęła się, a ja pocałowałem ją, napotykając ustami na jej zęby, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało.

- Tak się bałam - powiedziała, zarzucając mi ramiona naszyję.

- Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

- To nie była twoja wina. Popełniłam błąd, bo kiedy śledziłam Desiree, nie zauważyłam, że jechał za mną Frankenstein.

Zaczęliśmy się znowu całować, a ja wyczułem pod palcami kilka kropel wody, których nie wytarłem na jej plecach, i pragnąłem tak mocno przycisnąć ją do siebie, aby jej ciało wtopiło się w moje albo moje w jej.

- Gdzie jest torba? - zapytała, gdy po chwili zwolniliśmy uścisk.

Podniosłem torbę z podłogi. W środku było jej brudne ubranie i chusteczka, której używaliśmy do wytarcia odcisków palców z rączki ogrodowego węża i nożyc. Wrzuciła do środka ręcznik, a ja myjkę, a potem wzięła T-shirt z kupki ubrań Desiree, które położyłem na stolku, i wciągnęła go na siebie. Potem dzinsy, skarpetki i tenisówki.

- Tenisówki są o jakieś pół numeru za duże, ale cała reszta pasuje doskonale - powiedziała. - Chodźmy rozprawić się z tymi mutantami.

Wyszedłem za nią z łazienki, niosąc torbę.

Przywiozłem Trevora do gabinetu, a Angie poszła na górę sprawdzić, co się dzieje z Desiree.

Ustawiłem wózek z Trevorem przed biurkiem, a on przyglądał się z uwagą, jak zabrałem się do wycierania kolejną chusteczką krzesła, do którego wcześniej byłem przywiązany.

- Usuwasz ślady waszego pobytu w tym domu - powiedział. - Bardzo interesujące. Po co to robisz? A mój martwy służący - bo domyślam się, że jest martwy?

- Jest martwy.

- Jak to wyjaśnicie?

- Nic nie musimy wyjaśniać. Nikt nas nie skojarzy z tym, co się tu dzieje.

- Spryciarz - przyznał. - To cały ty, młody człowieku.

- I nie daję za wygraną - dodałem. - Zapomniałeś, czemu nas zatrudniłeś.

- Jasne. Ale „spryciarz” to coś więcej. Nie uważasz?

Oparłem się o blat biurka tak, aby go nie dotknąć rękami, i spojrzałem na Trevora.

- Kiedy jest ci to na rękę, doskonale udajesz stukniętego starego głupca.

Machnął w powietrzu nadpalonym cygarem, które cały czas trzymał w ręku.

- Każdy z nas potrzebuje jakichś sztuczek, do których w razie czego może się uciec.

Pokiwałem głową.

- To niemal wzruszające.

Uśmiechnął się.

- Ale nie do końca.

- Nie?

Pokręciłem głową.

- Masz na to zbyt wiele krwi na rękach.

- Wszyscy mamy krew na rękach - powiedział. - Pamiętasz, jak nie tak dawno temu modne stało się wyrzucanie krugerrandów i bojkotowanie wszelkich produktów pochodzących z Afryki Południowej?

- Oczywiście.

- Ludzie chcieli poczuć się lepiej. Ale jak ma się krugerrand do takiej nieprawości, jaką jest apartheid? Prawda?

Ziewnąłem, zasłaniając usta pięścią.

- W tym samym czasie, kiedy to wspaniałe i prawe społeczeństwo amerykańskie bojkotuje Afrykę Południową, futra lub cokolwiek innego, co aktualnie powinno się bojkotować, przymyka się oczy na działalność, dzięki której to samo społeczeństwo dostaje kawę z Ameryki Środkowej lub Południowej, odzież z Indonezji czy Manili, owoce z Dalekiego Wschodu, niemal wszystkie produkty z Chin. - Włożył do ust cygaro i patrzył na mnie przez kłęb dymu. - Doskonale wiemy, jak funkcjonują rządy tamtych państw, jak tłumią wszelki sprzeciw, jak powszechnie korzystają z niewolniczej pracy, jak postępują z każdym, kto zagraża ich korzystnym umowom z amerykańskimi firmami. I nie tylko jesteśmy na to ślepi, ale wręcz ich do tego zachęcamy. Ponieważ lubisz swoje cienkie koszule, lubisz kawę, modne tenisówki, owoce w puszkach i cukier. A zapewniamą ci to ludzie tacy jak ja. Wspieramy te rządy i obniżamy koszty pracy, dzięki czemu możesz sporo zaoszczędzić. - Uśmiechnął się. - Czy to nie jest dla nas korzystne?

Uniosłem wysoko zdrową rękę i kilkakrotnie uderzyłem otwartą dłonią o udo, co wywołało odgłos podobny do klaskania w dłonie.

Uśmiechnął się i wypuścił obłoczek dymu z cygara.

Nie przerywałem klaskania. Klaskałem tak długo, aż poczułem szczypanie skóry

na udzie i drętwienie nadgarstka. Klaskałem i klaskałem, wypełniając ogromny pokój odgłosem ciała uderzającego o ciało, aż z oczu Trevora znikła wesołość, opuścił rękę trzymającą cygaro i powiedział:

- W porządku. Już możesz przestać.

Ja jednak klaskałem nadal, a mój martwy wzrok tkwił w jego martwej twarzy.

- Powiedziałem, dość, młody człowieku.

Klap, klap, klap, klap, klap, klap, klap.

- Możesz przestać wydawać ten irytujący dźwięk?

Klap, klap, klap, klap, klap, klap.

Wstał z wózka, ale pchnąłem go mocno stopą i usiadł ponownie. Pochyliłem się i zwiększyłem tempo oraz siłę uderzeń dłoni o swoje ciało. Zamknął oczy. Zwinąłem dłoń w pięść i zacząłem walić nią o oparcie jego wózka, w górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół, pięć uderzeń na sekundę, jedno po drugim. Trevor mocniej zacisnął powieki.

- Brawo - powiedziałem w końcu. - Jesteś Cynceronem wyzyskiwaczy, Trevor. Moje gratulacje.

Otworzył oczy.

Oparłem się o biurko.

- Nie obchodzi mnie teraz córka związkowca, którą pokroiłeś na kawałki. Nie obchodzi mnie, ilu misjonarzy i ile zakonnice leży w płytkich grobach z kulkami w tyle głowy na skutek twoich rozkazów lub polityki, jaką wprowadziłeś w republikach bananowych. Nie obchodzi mnie nawet to, że kupiłeś swoją żonę i prawdopodobnie uczyniłeś każdą chwilę jej życia piekłem na ziemi.

- To co pana obchodzi, panie Kenzie?

Uniósł do ust cygaro, ale wytrąciłem mu je i zostawiłem tłące się na dywanie u moich stóp.

- Obchodzi mnie Jay Becker i Everett Hamlyn, ty bezwartościowy kawałku gówna. Zamrugał powiekami, strząsając kroplę zbierającego się na rzęsach potu.

- Pan Becker mnie zdradził.

- Ponieważ zgrzeszyłby śmiertelnie, nie robiąc tego.

- Pan Hamlyn postanowił poinformować władze o moich interesach z panem Kohlem.

- Ponieważ zrujnowałeś firmę, której poświęcił całe swoje życie.

Wyjął chusteczkę z wewnętrznej kieszeni smokingu i przez minutę ochryple w nią

kaślał.

- Umieram - powiedział.

- Nie, ty nie umierasz - zaprotestowałem. - Gdybyś naprawdę myślał o śmierci, nie zabiłbyś Jaya. Nie zabiłbyś Everetta. Gdyby któryś z nich pozwał cię do sądu, nie mógłbyś się zamknąć w komorze kriogenicznej, prawda? A do czasu, kiedy mógłbyś to wreszcie zrobić, twój mózg przestałby już pracować, narządy wewnętrzne rozpadłyby się i wtedy zamrażanie się byłoby stratą czasu.

- Umieram - powtórzył.

- Tak - powiedziałem - teraz z pewnością tak. I co z tego, panie Stone?

- Mam pieniądze. Podaj swoją cenę.

Wstałem i zdeptałem cygaro.

- Moja cena to dwa miliardy dolarów.

- Mam tylko jeden.

- Ach, tak - powiedziałem i popchnąłem go w stronę schodów.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał.

- Mniej niż to, na co zasługujesz - powiedziałem. - Ale więcej niż to, na co jesteś przygotowany.

42

Powoli wspinaliśmy się po schodach, a Trevor czepiał się kurczowo poręczy, co chwila się zatrzymywał i ciężko dyszał.

- Słyszałem, jak wchodziłeś dzisiaj do domu, i widziałem, jak maszerowałeś po swoim gabinecie - powiedziałem. - Twoje kroki były wówczas dużo pewniejsze.

Odwrócił w moją stronę zmaltretowaną twarz męczennika.

- To przychodzi falami - wyjaśnił. - Ból.

- Ty i twoja córka - powiedziałem - nigdy się nie poddajecie, prawda?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

- Kto się poddaje, ten umiera, panie Kenzie. Co się zgina, to się łamie.

- Błądzić jest rzeczą ludzką, wybaczać to przywilej bogów. Możemy to ciągnąć całymi godzinami. No dalej. Pana kolej.

Dotarliśmy na podest schodów.

- W lewo - powiedziałem i podałem mu laskę.

- Na litość boską - zawołał. - Co zamierzasz ze mną zrobić?

- Na końcu korytarza w prawo.

Rezydencja została zbudowana w ten sposób, że jej tył zwrócony był na wschód. Okna gabinetu Trevora i pokoju rekreacyjnego na parterze wychodziły na morze. Podobnie jak piętro wyżej okna w jego sypialni i w pokoju Desiree. Natomiast na drugim piętrze tylko z jednego pokoju widać było wodę. Okna i ściany tego pomieszczenia można było usunąć, latem wzdłuż krawędzi parkietu ustawiano balustradę, rozsuwano moduły sufitu, aby odsłonić niebo, a całą posadzkę pokrywano kwadratami z twardego drewna, co miało zabezpieczać parkiet. Z całą pewnością demontowanie tego pokoju każdego pogodnego letniego dnia nie należało do rzeczy łatwych, podobnie jak zamykanie go, czy też ochrona przed niepokodą o każdej porze dnia i nocy, kiedy tylko Trevor Stone zapragnął odpocząć, ale nie on się musiał o to martwić. Było to zmartwienie Frankensteina i Baniaka, czy też służby, która wykonywała ich polecenia.

Zimą pokój pełnił rolę francuskiego salonu, zastawiony złożonymi krzesłami i kanapkami w stylu Ludwika XIV, delikatnymi haftowanymi siedziskami i dywanami, kruchymi, inkrustowanymi złotem stolikami, udekorowany obrazami przedstawiającymi szlachetnie urodzonych mężów i damy rozprawiających o operze, gilotynie, czy o innych sprawach, które pasjonowały Francuzów w przededniu zagłady arystokracji.

- Próżność - powiedziałem, patrząc na napuchnięty, złamany nos Desiree i zniekształconą szczękę Trevora - była powodem upadku najwyższej klasy francuskiego społeczeństwa. Doprowadziła do wybuchu rewolucji oraz pchnęła Napoleona do Rosji. Tak w każdym razie uczyli mnie jezuici. - Spojrzałem na Trevora.
- Mam rację?

Wzruszył ramionami.

- Trochę to uproszczona wersja, ale bliska prawdy.

On i Desiree siedzieli przywiązani do krzesel ustawionych na przeciwległych krańcach pokoju, jakieś dwadzieścia metrów jedno od drugiego. Angie była we wschodnim skrzydle na parterze rezydencji i przygotowywała niezbędne akcesoria.

- Mój nos wymaga pomocy lekarza - poskarżyła się Desiree.

- W tej chwili nie mamy tu żadnego chirurga plastycznego.

- Czy to był blef? - zapytała.

- Co?

- Ta historia z Dannym Griffinem.

- Tak. Totalny blef.

Dmuchnęła na pasmo włosów, które opadło jej na twarz, i pokiwała głową.

Kiedy przyszła Angie, odsunęliśmy pod ściany wszystkie meble, pozostawiając między Desiree i jej ojcem pustą przestrzeń.

- Zmierzyłeś pokój? - zapytała Angie.

- Jasne. Ma dokładnie dwadzieścia pięć metrów długości.

- Nie jestem pewna, czy udałoby mi się rzucić piłką na odległość dwudziestu pięciu metrów. Jak daleko od ściany stoi krzesło Desiree?

- Dwa metry.

- A Trevora?

- Tak samo.

Spojrzałem na jej ręce.

- Ładne rękawiczki.

Uniosła dłonie w górę.

- Podobają ci się? To rękawiczki Desiree.

Teraz ja uniosłem swoje, także w rękawiczkach.

- Te należą do Trevora. Chyba z cielejącej skórki. Bardzo miękkie i delikatne.

Sięgnęła do torby i wyjęła z niej dwa pistolety. Austriackiego glocka 17, kaliber dziewięć milimetrów, i niemieckiego sig sauera P226, kaliber dziewięć milimetrów. Glock był lekki i czarny, sig sauer, ze srebrzystego stopu aluminium, wydawał się nieco cięższy.

- W szafie z bronią jest tego mnóstwo - powiedziała Angie - te jednak wydały mi się najbardziej stosowne do naszych celów.

- Magazynki?

- Sig ma piętnaście naboí. Glock siedemnaście.

- I oczywiście po jednym w komorze.

- Oczywiście. Ale komory są puste.

- Na Boga, co wy robicie? - zapytał Trevor.

Zignorowaliśmy go.

- Jak myślisz, kto jest silniejszy? - zapytałem.

Spojrzała na nich.

- Trudno przewidzieć. Desiree jest młoda, ale Trevor ma silne ręce.

- Weź glocka.

- Z przyjemnością.

Wręczyła mi sig sauera.

- Gotowa? - zapytałem, po czym wcisnąłem uchwyt sig sauera między uszkodzone ramię a klatkę piersiową i załadowałem nabój do komory.

Angie opuściła glocka lufą do podłogi i zrobiła to samo.

- Gotowa.

- Czekać! - zawołał Trevor, kiedy ruszyłem ku niemu z pistoletem wycelowanym dokładnie w jego głowę.

Na zewnątrz szumiał ocean, a na niebie świeciły gwiazdy.

- Nie! - zawołała Desiree, gdy Angie pomaszerowała w jej stronę z wyciągniętym pistoletem.

Trevor zaczął się miotać na krześle, szarpiąc sznur, którym był związany. Rzucił głową w lewo, potem w prawo i znowu w lewo.

A ja byłem coraz bliżej.

Słyszałem, jak Desiree waliła krzesłem o parkiet, robiąc to samo co jej ojciec, a w miarę jak moje kroki przybliżały się do Trevora, przestrzeń wokół niego wydawała się kurczyć. Jego twarz robiła się coraz większa i wyraźniejsza nad muszką; oczy miały się w lewo i w prawo. Z włosów kapał pot, a zniekształcone policzki wykrzywiały spazmy. Jego mlecznobiałe wargi przylgnęły do zębów i w końcu zaczął żałośnie skomleć.

Podszedłem do krzesła, na którym siedział, i przyłożyłem lufę pistoletu do czubka jego nosa.

- Co czujesz?

- Nie - jęknął. - Błagam.

- Pytałam „co czujesz?” - krzychała Angie z drugiego końca pokoju do Desiree.

- Nie! - błagała Desiree. - Nie!

- Zadałem ci pytanie, Trevor - powiedziałem.

- Ja...

- Co czujesz?

Utkwił oczy w lufie pistoletu, aż na rogówkach pojawiły się czerwone żyłki.

- Odpowiedz.

Jego usta wydęły się, potem zacisnęły, a żyły na szyi nabrzmiały.

- Czuję się - powiedział - jak gówno!

- Tak, właśnie tak - powiedziałem. - Tak właśnie czuł się Everett Hamlyn, kiedy umierał. Jak gówno. Tak samo czuł się Jay Becker. Tak czuła się twoja żona i ta sześciolatnia dziewczynka, którą pokroiłeś na kawałki i wrzuciłeś do kadzi z ziarnami kawy. Jak gówno, Trevor. Jak zupełnie nic.

- Nie zabijaj mnie - prosił. - Błagam. Błagam.

Z jego oczu pociekły łzy.

Odsunąłem pistolet.

- Nie zamierzam cię zastrzelić, Trevor.

Zdziwiony, obserwował, jak wytrząsałem z uchwytu sig sauera magazynek, który wpadł prosto do mojego temblaka. Potem przycisnąłem pistolet do swojego unieruchomionego nadgarstka, odsunąłem zamek i wyrzuciłem nabój z komory. Pochyliłem się, podniosłem go z podłogi i schowałem do kieszeni.

Jego zdziwienie jeszcze wzrosło, gdy wyjąłem ze szkieletu zamek i też umieściłem go w temblaku. Następnie wyjąłem sprężynę. Pokazałem ją Trevorowi, a potem wrzuciłem do temblaka. Na końcu wymontowałem lufę i dołożyłem ją do innych

części.

- Pięć części - poinformowałem Trevora. - Całość. Magazynek, zamek, sprężyna, lufa i szkielet pistoletu. Zakładam, że potrafisz złożyć swoją broń?

Pokiwał głową.

Odwróciłem się do Angie.

- Jak Desiree poradzi sobie ze składaniem broni?

- Myślę, że tatuś dobrze ją tego nauczył.

- Wspaniale.

Spojrzałem na Trevora.

- Jak pewnie wiesz, glock i sig sauer to identyczne pistolety, jeżeli chodzi o sposób ich składania.

Pokiwał głową.

- Wiem o tym.

- Cudownie.

Uśmiechnąłem się i odwróciłem tyłem do niego. Odliczyłem piętnaście kroków, zatrzymałem się i wyjąłem z temblaka wszystkie części pistoletu. Ułożyłem je równo na podłodze w jednej linii.

Następnie podszedłem do Angie i Desiree. Stałem przy krześle i też odliczyłem piętnaście kroków do środka pokoju. Po chwili przysła Angie i starannie ułożyła pięć elementów rozebranego glocka w jednej linii na podłodze.

Wróciliśmy do Desiree i Angie rozwiązała jej ręce, a następnie schyliła się i mocniej zacisnęła węzły na kostkach u jej nóg.

Desiree spojrzała na mnie. Oddychała ustami, aby oszczędzić nos.

- Jesteście szaleni - powiedziała.

Pokiwałem głową.

- Chcesz zabić swojego ojca. Zgadza się?

Spuściła oczy na podłogę.

- Hej, Trevor - zawołałem. - Nadal życzysz swojej córce śmierci?

- Z całego serca - odkrzyknął.

Spojrzałem na Desiree, która przechyliła głowę i spojrzała na mnie przez przymknięte powieki i zasłonę miodowych włosów, które opadały jej na twarz.

- Oto jak wygląda sytuacja, Desiree - powiedziałem, gdy Angie poszła odwiązać ręce Trevorowi i sprawdzić sznury na jego nogach. - Oboje macie związane nogi. Trevor odrobinę słabiej niż ty, niewiele. Uważam, że jest trochę powolniejszy, więc

daliśmy mu niewielką przewagę. - Wskazałem na lśniącą posadzkę. - Tam leżą pistolety. Dostańcie się do nich, złóżcie i zróbcie z nimi, co uważacie za stosowne.

- Nie możecie tego zrobić - powiedziała Desiree.

- Desiree, „nie można” to pojęcie z dziedziny moralności. Powinnaś o tym wiedzieć. Możemy zrobić wszystko, co sobie wymyślimy. Ty jesteś tego żywym dowodem.

Pomaszerowałem na środek pokoju, stanęliśmy z Angie obok siebie i patrzyliśmy, jak oboje rozprostowują palce, szykując się.

- Gdyby wam przyszła do głowy inteligentna myśl, aby połączyć siły i ruszyć za nami - powiedziała Angie - to będziemy w drodze do redakcji „Boston Tribune”. Nie traćcie więc czasu. Gdyby któreś z was przeżyło - o ile to możliwe - najlepiej zrobi, wsiadając do samolotu. - Trąciła mnie łokciem. - Chcesz jeszcze coś dodać?

Obserwowałem ich, jak wycierali dłonie o uda i gimnastykowali palce, pochyleni nad związanymi w kostkach nogami. Ruchy ich ciał nie pozostawiały wątpliwości co do genetycznego podobieństwa, które wszakże jeszcze wyraźniejsze było w ich jadeitowych oczach. Malowała się w nich chciwość, upór i bezwstyd. To było coś pierwotnego, coś znacznie bliższego stęchliźnie jaskini niż subtelnej elegancji tego salonu.

Pokręciłem głową.

- Bawcie się dobrze w piekle - powiedziała Angie i wyszliśmy z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Zbiegliśmy na dół schodami dla służby i przeszliśmy przez kuchnię do małych drzwi znajdujących się w samym jej kącie. Nad naszymi głowami coś uporczywie szurało po podłodze. Potem usłyszeliśmy jakiś łoskot i natychmiast kolejny, dobiegający z drugiego końca pokoju.

Wyszliśmy z domu i pobiegliśmy ścieżką prowadzącą wzdłuż trawnika na tyłach rezydencji. Panowała niemal kompletna cisza, ponieważ ocean uspokoił się i umilkł.

Wyjąłem z kieszeni kluczyki do samochodu, które odebrałem Desiree, minęliśmy ogród, przebudowaną stodołę i zatrzymaliśmy się przy moim porsche.

Było ciemno, tylko na niebie świeciły gwiazdy, zatrzymaliśmy się więc na chwilę przy samochodzie, patrząc na nie. Masywna rezydencja Trevora Stone'a lśniła w gwiazdnej poświacie, a mój wzrok powędrował po niemal czarnej powierzchni oceanu aż do miejsca, gdzie woda stykała się z horyzontem i niebem.

- Spójrz - powiedziała Angie i pokazała mi biały świetlisty punkcik poruszający się

na ciemnym niebie, który zostawiając po sobie jasny ślad, zmierzał do jakiegoś punktu poza naszym polem widzenia, do którego jednak nie dotarł. W pewnym momencie nastąpiła implozja w nicość, której świadkami było kilka najbliższych gwiazd, obserwujących to zdarzenie bez większego, jak się wydawało, zainteresowania.

Porywisty wiatr znad oceanu, który głośno zawodził, kiedy tu przyjechałem, teraz ucichł. Noc była wyjątkowo spokojna.

Pierwszy strzał zabrzmiał jak petarda.

Drugi jak komunia.

Czekaliśmy, ale nie usłyszeliśmy już niczego poza ciszą i dalekim pluskiem umęczonych fal.

Otworzyłem Angie drzwi do samochodu, usiadła na fotelu i otworzyła mi drzwi od środka, gdy podszedłem do auta z drugiej strony.

Cofnęliśmy się, wykręciliśmy, objechaliśmy rześkie oświetloną fontannę, minęliśmy aleję dębów i maleńki trawnik z pokrytym szronem poidłem dla ptaków.

Biały żwir chrzęścił pod kołami samochodu, kiedy Angie wyjęła pilota, którego wzięła z rezydencji, nacisnęła guzik i olbrzymia brama z kutego żelaza, ozdobiona na środku rodzinnym herbem i inicjałami TS, otworzyła przed nami swoje ramiona, żegnając nas lub witając, oba te gesty są bowiem do siebie podobne, a wszystko zależy od perspektywy.

Epilog

Aż do powrotu z Maine nie mieliśmy żadnych wiadomości o tym, co się wydarzyło.

Tej samej nocy, kiedy opuściliśmy rezydencję Trevora, pojechaliśmy na wybrzeże do Cape Elizabeth, gdzie w hotelu, do którego mało kto przyjeżdżał przed wiosennym sezonem, wynajęliśmy mały bungalow z widokiem na ocean.

Nie czytaliśmy gazet, nie oglądaliśmy telewizji. Umieściliśmy na drzwiach tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”, zamawialiśmy posiłki do pokoju, leżeliśmy rano w łóżku i obserwowaliśmy, jak białe grzywy późnozimowych fal marszczą się na Atlantyku.

Desiree strzeliła ojcu w brzuch, a on jej w pierś. Leżeli naprzeciwko siebie na lśniącej parkiecie i wykrwawiali się, a fale przypyływu rozbijały się o fundamenty domu, w którym mieszkali przez dwadzieścia trzy lata.

Policja była zdumiona zarówno odnalezieniem w ogrodzie ciała martwego służącego, jak również śladami wskazującymi na to, że ojciec i córka, zanim pozabijali się nawzajem, byli przywiązani do krzeseł. Przesłuchano i zaraz potem zwolniono szofera limuzyny, który tamtej nocy przywiózł Trevora z miasta, a policja nie znalazła żadnych dowodów świadczących o tym, że w domu był jeszcze ktoś poza ofiarami.

Podczas naszej tygodniowej nieobecności zaczęły się też ukazywać artykuły Richiego Colgana o Lecznicy Smutku i Kościele Prawdy i Objawienia. Kościół natychmiast wytoczył sprawę przeciwko „Tribune” i Richiemu, ale żaden sędzia nie wydał zakazu publikacji tych materiałów i pod koniec tygodnia Lecznica Smutku musiała czasowo zamknąć swoje oddziały w Nowej Anglii i na środkowym zachodzie.

Niemniej Richiemu, mimo usilnych starań, nie udało się dowiedzieć, czyja potęga i twarz stoją za osobą P. F. Nicholsona Ketta, nie dotarł także do niego samego.

My jednak nic o tym wszystkim nie wiedzieliśmy, zaszyci na Cape Elizabeth.

Byliśmy tam sami ze sobą, słuchaliśmy dźwięku własnych głosów, rozkoszowaliśmy się smakiem szampana i ciepłem swoich ciał.

Nie rozmawialiśmy o niczym ważnym i to były najlepsze rozmowy, jakie prowadziłem od dłuższego czasu. Bywało, że patrzyliśmy na siebie długo w naładowanej erotyzmem ciszy i często równocześnie oboje wybuchaliśmy śmiechem.

Pewnego dnia znalazłem w bagażniku swojego samochodu tomik sonetów Szekspira. Dostałem go rok temu w prezencie od agenta FBI, z którym pracowałem nad sprawą Gerry'ego Glynnna. Agent specjalny Bolton podarował mi go, kiedy zapadłem na głęboką depresję. Zapewniał mnie, że to przyniesie ulgę. Wtedy mu nie uwierzyłem i wrzuciłem książkę do bagażnika. Jednak w Maine, wtedy gdy Angie brała prysznic lub spała, przeczytałem większość sonetów i chociaż nigdy nie byłem wielbicielem poezji, polubiłem wiersze Szekspira, zmysłowy ton tego języka. Niewątpliwie wiedział dużo, dużo więcej niż ja, o miłości, stracie, naturze ludzkiej i całej reszcie.

Czasami w nocy wkładaliśmy ubrania, które kupiliśmy w Portland dzień po przyjeździe, i wychodziliśmy tylnymi drzwiami naszego bungalowu na trawnik. Tuląc się do siebie z zimna, szliśmy na plażę, siadaliśmy na kamieniu i patrzyliśmy na ciemne morze, chłonąc łapczywie piękno, które roztaczało się przed nami pod smolistym niebem.

Ornament piękna, pisał Szekspir, wzbudza podejrzenie.

I miał rację.

Jednakże piękno samo w sobie, surowe i naturalne, jest święte. I moim zdaniem, godne naszego zachwytu i naszej wierności.

Wtedy, podczas tych nocy nad morzem, brałem do ręki dłonie Angie i unosiłem do ust. Całowałem ją. I czasami, kiedy morze burzyło się, a niebo robiło się jeszcze bardziej ciemne, czułem trwogę. Czułem pokorę.

I czułem się cudownie.